

**CATHERINE COULTER**

**GÓRSKA TAJEMNICA**

*Piątek w nocy*

*Jezioro Black Rock Oranack,*

*Maryland*

Gardło piekło ją dotkliwie. Jakby wypełnione żrącym kwasem. Nie była w stanie jasno myśleć, w głowie miała pustkę, gęstą i ciężką niczym łańcuch. Wiedziała, że ciemność, która ją otacza podszyta była przemocą. Nozdrza drażnił jej zapach czegoś zjełczałego, jakby starego oleju. Co to był za zapach? Co oznaczał? Jednak nie była w stanie go rozpoznać. Ale wiedziała, że musi to zrobić, albo - co się stanie? *Umrę, to się stanie. Muszę wziąć się w garść, muszę się obudzić albo umrę.*

Zapach był coraz silniejszy, zbierało jej się na wymioty. Wiedziała, że nie wolno jej zasnąć, w przeciwnym razie udusi się. Musi się ruszyć, obudzić się.

Przełknęła ślinę i nieomal zwymiotowała, kiedy kwas w jej gardle wymieszał się z tym zjełczalym zapachem.

Próbowała lekko oddychać, całą energię wkładając w otwarcie oczu, w poczucie własnego ciała, wyrwanie się z tej ciemnej matni, gdzie nie była w stanie poruszać się i mówić. Jej głowa była ciężka, gardło płonęło żywym ogniem, a umysł - gdzie był jej umysł? Doprowadzony do kresu wytrzymałości, szarpany przez ból i strach, porywany przez zamęt, unosił się coraz wyżej, zupełnie odrętwiały.

Usłyszała jakieś głosy. Głos pana Cullifera? Raczej nie. Jego głos był bardziej charakterystyczny, jak chrzęst mokrego żwiru pod stopami. Nie słyszała, kto i o czym rozmawiał, czy byli to mężczyźni, czy kobiety. Ale wiedziała, że to, co mówili, było złe. Złe dla niej.

Zapach stawał się tak silny, że palił ją w oczy i w nozdrza. *Oddychaj, oddychaj, weź się w garść.* Odetchnęła głęboko, ignorując mdłości i w końcu poczuła, jak wraca jej świadomość, przedzierając się przez ciemność.

W końcu rozpoznała ten zapach: to był zapach zdechłej ryby, który stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Dobiegł ją zapach łodzi i mokrych oparów benzyny.

Dokąd ją zabierali. Kim byli? Nieśli ją, a ona wdychała ten cuchnący odór. *Oddychaj, oddychaj.* Słyszała skrzypienie desek i odgłosy nocy - świerszcze, pohukiwania sowy, plusk wody.

Powiew wiatru sprawił, że otworzyła oczy w chwili, kiedy plecami uderzyła o taflę

wody. Nagły ból opanował jej ciało i umysł. Instynktownie wzięła głęboki oddech, przeczuwając, że za chwilę woda pokryje jej twarz i głowę, zanim powoli opadnie na dno. *Ruszaj się, ruszaj.* Ale nie mogła. Choć jej ręce nie były skrepowane, przywiązane były liną wzdłuż tułowia, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Stopy miała związane i przyłączone do czegoś ciężkiego. Naoglądała się za dużo filmów o mafii. Nie chcieli, żeby po prostu utonąła, ale żeby zniknęła na zawsze, jakby nigdy nie istniała, i nigdy nie wkroczyła w ich życie.

Nie chciała umrzeć. *Nie umrę!*

Da radę, na pewno jej się uda. Szybko przesunęła linę oplatającą jej pierś tak, że mogła poruszać palcami. Jej ruchy były niezdarne, ale to było bez znaczenia, nie chciała umrzeć i tylko to się w tej chwili liczyło. Ku swojemu zdziwieniu była w stanie przejrzeć wodę i wiedziała, że nie mogła być zbyt głęboka, bo nad sobą czuła blask księżyca i to jej wystarczyło. Rozpaczliwie i bardzo cierpliwie rozpracowywała węzeł, aż w końcu udało jej się go poluzować. Poczła pieczenie w klatce piersiowej, ale skupiła się na rozplątywaniu węzłów.

Na studiach była kapitanem drużyny pływackiej i wiedziała, jak kontrolować oddech i wykorzystać go do maksimum. Wiedziała też, że czas szybko ucieka. Środek, który zażyła, nie pomógł. Wiedziała, że długo już nie wytrzyma. Zbyt wiele wysiłku kosztowało ją zaciskanie ust i wstrzymywanie oddechu. Widziała niewyraźnie, ciśnienie w klatce piersiowej ciągle narastało, niemal ją rozsadzając. *Zaraz utonę.* Udało jej się poluzować węzeł. Kopnięciem zrzuciła balast i wypłynęła na powierzchnię wody. Pierwszą jej myślą było głęboko odetchnąć, ale zmusiła się do krótkich wdechów nosem. Musiała zachowywać się cicho i pozostać w bezruchu, nie mącąc wody z obawy, że oni mogli nadal tam być i wpatrywać się w miejsce, gdzie ją wrzucili, patrzeć, jak spod wody wydobywają się pęcherzyki powietrza i czekać, aż upewnią się, że ona już na pewno nie żyje. Będą czekać, o tak, z rozkoszą zaczekają, aż zyskają pewność, że pozbyli się jej na zawsze.

Jej mózg znowu pracował na pełnych obrotach. Słyszała, jak woda delikatnie pluska o deski drewnianego pomostu.

Wyszli na pomost i wrzucili ją do wody, myśląc, że jest dostatecznie głęboka. Zanurzyła się z powrotem i podpłynęła pod pomost, aby się pod nim ukryć.

Bardzo powoli i cicho wynurzyła głowę, starając się nabrać tyle powietrza, ile tylko mogła. Starła się oddychać lekko i spokojnie. Żyła. Stopniowo oddychała coraz głębiej. Jej płuca wypełniły się powietrzem. Cóż za wspaniałe uczucie.

Znowu usłyszała głosy, ale nie była w stanie zrozumieć nic z tego, co mówią, bo

oddalały się. To byli mężczyźni czy kobiety? Nie mogła ich odróżnić, ale wiedziała, że były to dwie osoby. Słyszała oddalający się stukot stóp na drewnianym pomoście, odgłos silnika i odjeżdżającego samochodu. Wyłynęła spod pomostu i w oddali zobaczyła tylne światła samochodu.

Dobrze. Są przekonani, że ją zabili.

Jak udało im się nafaszerować ją jakimiś prochami? Kolację jadła sama, w swojej kuchni. To wino, pomyślała, butelka czerwonego wina, którą znalazła przed drzwiami i którą ona otworzyła. Skąd się wzięła? Nie wiedziała, nie zwróciła na to uwagi.

Uśmiechnęła się. Nikt z nich nie wiedział o tym, że wypła tylko odrobinę wina. Parę łyków więcej i teraz leżałaby martwa na dnie jeziora. Nikt nie wiedziałby, gdzie jej szukać. Po prostu by zniknęła. Na zawsze.

Wyszła z wody i zaczęła drzeć, więc objęła dłońmi ramiona i rozejrzała się. Nie było tutaj żadnych zabudowań, domków letniskowych ani zacumowanych łodzi, tylko wąska, dwupasmowa droga prowadząca w ciemną nicość.

Zadrzała z zimna i strachu, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że żyła.

Dostrzegła tablicę *Jezioro Black Rock*. Gdzie było Jezioro Black Rock?

To nie miało znaczenia. Ruszyła w kierunku, w którym odjechał samochód.

Zdawało jej się, że minęła cała wieczność, ale w rzeczywistości po jakichś piętnastu minutach zobaczyła światła małego miasteczka. Było to *Oranack w stanie Maryland*, jak głosiła niewielka czarno - biała tablica.

Było późno. Nie wiedziała, która dokładnie była godzina, bo jej zegarek pod wpływem wody przestał działać. Szła przez opustoszałe miasteczko, kierując się w stronę świecącego na pomarańczowo neonu *Restauracja u Mel*. Lokal był cały oszklony, więc widać było, co dzieje się w środku. Przy stoliku naprzeciw okna siedziało dwoje ludzi, a obok nich stała zmęczona kelnerka, gotowa przyjąć zamówienie. Na zewnątrz dostrzegła zaparkowaną taksówkę, a przy barze siedział taksówkarz, pijąc kawę. Uśmiechnęła się.

Kiedy taksówka wjechała na podjazd Jimmy'ego, poprosiła taksówkarza, żeby zaczekał, a w duchu modliła się, żeby nie zabrali jej portfela. Dzięki Bogu alarm nie był uzbrojony, a okno w jej sypialni nadal było otwarte na oścież. Jej portfel leżał na kuchennym blacie, tam, gdzie zostawiła go wcześniej tego wieczora. Czy to naprawdę było zaledwie trzy, cztery godziny temu? Wydawało się, że minęły wieki.

Pół godziny później po raz ostatni spojrzała na wielki dom Jimmy'ego w stylu georgiańskim z czerwonej cegły, zbudowany w latach trzydziestych ubiegłego wieku, usytuowany pośród zadbanego sąsiedztwa pomiędzy ogromnymi dębami na Pinchon Lane.

Nawet nie zdążyła pomyśleć o nim jak o ojcu, zacząć nazywać go ojcem, i zastanawiała się, czy na zawsze pozostanie dla niej Jimmym. Spędziła z nim zaledwie sześć tygodni.

Jechała swoim białym chargerem poprzez ciche ulice, aż dojechała do obwodnicy. Doskonale wiedziała, dokąd zmierzała, i wiedziała, że to czyste szaleństwo ruszać w podróż nocą, bo była skrajnie wyczerpana. Zjadłszy dwa batoniki, poczuła nagły przypływ energii. Musiała coś wymyślić, zaplanować. Musiała się ukryć. Wzmocniwszy się kawą oraz jeszcze kilkoma batonikami, przejechała całą noc i o ósmej rano zatrzymała się w motelu Cozy Boy przy zjeździe z autostrady w Richmond.

Obudziła się czternaście godzin później. Każdy mięsień jej ciała protestował przeciwko wstaniu z łóżka, ale nagle wróciły jej siły. *Strach*, pomyślała, *doskonały napój energetyczny*.

Nie zamierzała jechać do domu matki ani nawet do niej zadzwonić. Nie chciała narażać ich na niebezpieczeństwo. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie miała przyjaciół bliskich na tyle, żeby do nich zadzwonić, by się o nią nie martwili. Nie utrzymywała kontaktu z dawnymi przyjaciółmi z Richmond. Pewnie nikt nawet nie zastanawiał się, gdzie ona jest. Nawet pani Riffin, długoletnia gosposia Jimmy'ego, odeszła tydzień po jego śmierci. Nikt, pomyślała, nikt się nie martwił. Może tylko prawnik Jimmy'ego zastanawiał się, gdzie ona jest, ale raczej nic w tym kierunku nie zrobi. Jeżeli chodzi o rodzeństwo Jimmy'ego, gdyby wiedzieli, że leży na dnie jeziora, nie mieliby nic przeciwko temu.

Czy Quincy i Laurel mieli z tym coś wspólnego? Brat i siostra Jimmy'ego - niewiarygodne, ale jej wujek i ciotka - nienawidzili jej, chcieli, żeby zniknęła. Ale morderstwo? Tak, pomyślała, byli zdolni do wszystkiego. Może byli inni, którzy za nią nie przepadali, ale żeby zaraz chcieć ją zamordować?

Wszystko wskazywało na Quincy'ego i Laurel.

Błądziła po krętych drogach Wirginii, aż następnego ranka trafiła do tego małego motelu w Waynesboro. Wiedziała, dokąd zmierza, ale co potem? Na kanale PBS usłyszała wspomnienia kariery politycznej Jimmy'ego. Chociaż nie był liberałem, oceniano go pozytywnie - jako osobę charyzmatyczną, oddaną służbie publicznej. Gdyby tylko wiedzieli, pomyślała, że Jimmy był kimś więcej. Było coś jeszcze. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Nie mogła. To może poczekać.

Słuchała, jak wiceprezydent mówił o byłej żonie Jimmy'ego, jego dwóch córkach, ale nie padło ani słowo o niej, o jeszcze jednej jego córce, tej, o której istnieniu dowiedział się na sześć tygodni przed śmiercią.

Schyliła się, aby podrapać kostkę, w miejscu, gdzie była mocno skrepowana liną i

przez chwilę nie mogła oddychać.

Uderzyła dłonią w kierownicę i wzięła się w garść. Wyrzała za okno i popatrzyła na ciemne pola Wirginii, na linię drzew, nieruchome ciemne znaki drogowe i pomyślała: *Jeżeli wy, szaleńcy, próbowaliście mnie zabić, mam nadzieję, że jesteście szczęśliwi, że wznosicie toasty, bo udało wam się pozbyć mnie, jedynej osoby, która może bardzo uprzykrzyć wam życie. Świętujcie.*

Postanowiła, że im nie daruje. Ale komu?

*Poniedziałek rano*

*Georgetown, Waszyngton*

Sherlock odebrała telefon od Jimmy'ego Maitlanda o godzinie 7:32 rano. Właśnie wsypywała płatki śniadaniowe do miseczki Seana, a pies Astro siedział obok jego krzesła z wywieszonym językiem i merdając ogonem, oczekiwał na swoją porcję. Uwielbiał płatki śniadaniowe.

- Chodzi o Jacksona Crowne'a - powiedział Maitland. - I nie mam dobrych wieści, Sherlock.

- Co się stało?

Twarz Sherlock pobladła. Savich polał mlekiem płatki i zaczął mówić do Seana, żeby odwrócić jego uwagę, jednocześnie uważnie obserwując twarz żony. Nasypał psu garść płatków do jego miski.

- Ale nie wie pan na pewno? - zapytała słabym głosem.

- Nie, nie wiem na pewno - odpowiedział Maitland. - Ale to nie wygląda dobrze, Sherlock. Jest z nim doktor MacLean, więc możesz sobie wyobrazić, jak wszyscy się martwią. W Quantico czeka na ciebie i Savicha helikopter. Jedźcie tam jak najszybciej. Na razie nie wysyłamy brygady poszukiwawczo - ratunkowej, zaraz dowiedziałyby się o tym media, a to oznaczałoby, że za dużo informacji o doktorze MacLeanie trafiłoby do niewłaściwych ludzi. Jeżeli go nie znajdziecie, nie będę miał innego wyboru i wezwę ludzi. Zabawne, że Jack pilotuje cesnę brygady poszukiwawczo - ratunkowej. Wiem, że rozumiesz. Liczę na was.

Sherlock rozumiała aż za dobrze, ale wcale jej się to nie podobało. Gwizdałaby na media i na obawy o bezpieczeństwo doktora MacLeana, wysłałaby tam brygadę w ciągu dziesięciu minut. Ale pan Maitland mógł mieć rację - jeżeli to nie była awaria, bądź wypadek - to oznaczało sabotaż. Kiedy odłożyła słuchawkę telefonu, patrząc, jak Sean powoli męczy swoje płatki, wzięła się w garść i spokojnie powiedziała:

- Chodzi o Jacka. Jego samolot rozbił się w południowo - wschodnim Kentucky, a sygnał SOS dotarł z małego miasteczka Parlow w Appalachach, godzinę drogi od granicy stanu Wirginia. Jak pewnie wiesz, z Jackiem jest doktor MacLean. Pan Maitland chce, żebyśmy udali się tam jak najszybciej i dowiedzieli, co się dzieje. Nie wezwał jeszcze brygady poszukiwawczo - ratunkowej. To nie wygląda... - przerwała i spojrzała na Seana.

Łyżka, którą Sean trzymał w dłoni, zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Mamo, co się stało?

- Jeden z naszych agentów może być niebezpieczeństwem, Sean. Tata i ja jedziemy tam, żeby go znaleźć i sprowadzić do domu.

Sean pokiwał głową.

- No dobrze. Znajdź go, mamo, i przywieź tutaj, może pogra ze mną w *Pajama Sam*.

- Tak zrobię, kochanie - powiedziała Sherlock i pocałowała go, po czym zmierzwiła jego czarne włosy, takie same, jak włosy jego ojca. Nie mogła się powstrzymać i znowu go pocałowała.

Astro zaczął ujadać.

- Astro też chce, mamo - krzyknął Sean.

Sherlock pozwoliła psu zlizać puder ze swojego policzka.

- Może twoja mama pozwoli mi sobie towarzyszyć - powiedział Savich, po czym przytulił i ucałował syna. Odwrócił się do Gabrieli, niani Seana. - Będziemy w kontakcie, Gabby. Damy znać, kiedy dowiemy się, co się dzieje. Dziesięć minut później Gabriela odprowadziła ich do drzwi. Delikatnie położyła dłoń na ramieniu Sherlock.

- Spotkałam raz Jacka Crowna - powiedziała. - Kiedy przyniosłam jakieś dokumenty do twojego biura. Zapytał, czy lubię grać w piłkę tak samo jak Sean, a ja powiedziałam mu, że moim idolem jest Tom Brady. Roześmiał się. Mam nadzieję, że go znajdziecie. A ten drugi, doktor MacLean, jest taki ważny?

- Nazwałabym go raczej piorunochronem - powiedziała Sherlock. - Obiecuję, że znajdziemy Jacka. Jednak wiedziała, że rokowania nie były zbyt dobre, zarówno dla Jacka, jak i dla jego pasażera.



*Poniedziałek rano*

Rachael wpatrywała się w tablicę, jasnoczerwone litery na białym tle. *Parlow, Dom Czerwonych Wilków*. Prawie dom, pomyślała Rachael i roześmiała się. Dom? Parlow w stanie Kentucky, miejsce, którego nie widziała, odkąd była chudą jak patyk dwunastolatką z aparatem na zębach i włosami sięgającymi pupy, bo wuj Gillette nie chciał, żeby je obcinała. Odwiedzała go w jego wspaniałym domu w Slipper Hollow, jakieś osiem kilometrów na północny wschód od Parlow, dokąd prowadziła droga nieznaną nawet wielu miejscowym. Wuj Gillette bardzo cenił sobie prywatność, zwłaszcza odkąd na początku lat dziewięćdziesiątych wrócił do domu z wojny w Zatoce. Może aż za bardzo.

Wyglądało na to, że ostatni kilometr drogi będzie musiała pokonać pieszo - jej dodge odmówił posłuszeństwa.

Zostawiła go na skraju drogi; biały, brudny z ubłoconymi tablicami rejestracyjnymi, przeżył swoje.

Coraz bardziej zbliżała się do nieznanego i to było cudowne. Miała tylko jedną starą wełnianą torbę wypchaną ubraniami, którą zabrała z domu Jimmy'ego w Chevy Chase. Przez całą noc jechała samochodem i teraz, o siódmej piętnaście rano, była bardzo zmęczona. Raczej nikt jej nie śledził, przynajmniej tak jej się wydawało, kiedy nocą powoli przemierzała bezdroża stanu Wirginia. Jeszcze raz obejrzała się za siebie i spojrzała na swojego wiernego chargeera, który nie sprawiał jej problemów odkąd kupiła go trzy lata temu - aż do teraz.

*Uspokój się, jesteś już prawie na miejscu* - w Slipper Hollow, gdzie mieszkał wuj Gillette, otoczony przez gęsto porośnięte lasem góry, rozciągające się jak okiem sięgnąć. Ich szczyty były skąpane w porannej mgle i pokryte cienką śnieżną kołdrą, dopóki nie roztopi jej słońce. Te góry podnosiły ją na duchu, kiedy jako dziecko chowała się pośród gęstych liści na gałęzi starego dębu, przyglądając się rozciągającym się wokół szczytom, pagórkom i skałom, zastanawiając się, co jest po ich drugiej stronie. W wieku lat czterech była przekonana, że wyłącznie olbrzymy, a może przy odrobinie szczęścia, jeszcze psy i koty.

Bardzo dobrze pamiętała tamten letni dzień, kiedy jej matka powiedziała: *Czas, abyśmy rozpoczęły samodzielne życie*. Tak, pamięta to doskonale. Pomogła matce i niechętnemu wujowi Gillette spakować ich rzeczy do starego chryslera i o wschodzie słońca odjechały. Bardzo tęskniła za Slipper Hollow i wujem Gillette, niecierpliwie odliczała dni do wizyt u niego, nie mogąc się ich doczekać.

Minał prawie rok, odkąd po raz ostatni widziała wuja Gillette. Przynajmniej wiedziała,

że będzie w domu. Wuj nigdy nie wyjeżdżał ze Slipper Hollow.

Musiała się pospieszyć. Chciała być tam przed południem - jeżeli uda jej się tak szybko naprawić samochód. Zaczęło burczeć jej w brzuchu, oczami wyobraźni zobaczyła panią Jersey, zdaniem jej matki najlepszą kucharkę w Kentucky i właścicielkę kawiarni Monk's i zastanawiała się, czy nadal tam jest. Rachael ciągle pamiętała smak ciepłych babeczek, które piekła, a gorące jagodowe nadzienie parzyło ją w język.

Kawiarnia Monk's była otwarta od wczesnego ranka dla kierowców ciężarówek i może pani Jersey nadal tam była.

Jeżeli tak, Rachael modliła się, żeby jej nie rozpoznała, żeby nikt nie rozpoznał w niej tamtej dwunastolatki. Miała nadzieję, że pozwoli jej skorzystać z telefonu stacjonarnego, bo na tej prowincji nie działały telefony komórkowe i wskaże jej najlepszego mechanika w Parlow. Nie zamierzała dzwonić do wuja Gillette, była teraz ostrożna, bardzo ostrożna. Nie chciała zostawiać żadnych śladów, bez względu na to, że uważali ją za martwą i, że z tego, co wiedziała, nigdy nie słyszeli o miasteczku Parlow w stanie Kentucky czy o Slipper Hollow.

*Jestem bezpieczna. Przecież jestem martwa.*

Zadrzała, kiedy przypomniała sobie plusk lodowatej wody i zapięła pod szyję skórzaną kurtkę. Zapomniała już, jak zimne były tutaj poranki, nawet w połowie czerwca.

Znów spojrzała na zasnute mgłą góry, skapane w jasnoszarym świetle. Ale tym razem nie była poruszona ich surowym pięknem, chciała tylko dotrzeć do domu. Chciała coś zaplanować, a wuj Gillette jej w tym pomoże. Był bardzo mądry, w końcu był kapitanem piechoty morskiej. I nigdy nie przestał nim być, jak powiedział kiedyś z iskrą w głosie i ona to zapamiętała.

Ale jej dodge zawiódł ją na ostatniej prostej.

Rachael zarzuciła torbę na ramię i spojrzała w stronę Parlow. W oddali widziała zarysy domów pośród drzew, wzgórz i wąskich krętych dróg.

Uszła kilka kroków i stanęła w miejscu, słysząc z oddali odgłos zbliżającego się silnika.

Podniosła głowę, ale niczego nie zobaczyła. Może to był samochód, który jechał inną drogą, a może... Nie, to nie mogli być oni. Wzięła głęboki oddech i dalej spoglądała w niebo.

Ale nadal nie była w stanie się poruszyć. Patrzyła w stronę długiej, wąskiej doliny Cudlow, która niczym nóż przecinała linię gór. Stała tak, przesłaniając dłonią oczy przed promieniami słońca, próbującymi przedrzeć się przez mgłę.

I oto jej oczom ukazał się jednosilnikowy samolot przelatujący nad niskimi górami w dalekim końcu doliny, rzucało nim i kołysało, wydobywały się z niego kłęby czarnego dymu.

O Boże, ten samolot za chwilę się rozbije, nie, pilot próbował opanować go i przywrócić do pionu w dalekim końcu wąskiej doliny. Widziała płomienie przedzierające się przez dym w kierunku skrzydeł. Raczej mu się nie uda. Nie odrywając wzroku od samolotu, ruszyła biegiem w jego kierunku.

Czy Dolina Cudlow była na tyle długa i równa, żeby można było na niej wylądować samolotem? Nie miała pojęcia, nigdy nie uczyła się latać. Patrzyła, jak samolot opadał coraz niżej i niżej, wyobraziła sobie pilota, usiłującego uratować samolot przed katastrofą. Wstrzymała oddech i modliła się.

Eksplozja wstrząsnęła małym samolotem, po czym zaczął spiralnie opadać w dół.

To niewiarygodne, ale pilotowi udało się zapanować nad samolotem. Chwilę później silnik zgasł i mały jednosilnikowy samolot opadł jak kamień. Wiedziała, że będzie patrzyła na jego koniec, nie ma mowy, żeby pilotowi udało się go wyprowadzić. Ale jakimś sposobem udało mu się złapać prąd powietrza i poszybować zepsutym samolotem, aż jego koła w końcu dotknęły ziemi. Samolot odbił się i szarpnęło nim, przód podniósł się i znowu z trzaskiem opadł. Trzęsąc się, zahamował i zatrzymał się zaledwie kilkanaście metrów od miejsca, w którym stała na samym krańcu doliny. Z samolotu zaczął wydobywać się dym i natychmiast stanął w płomieniach.

Rachael zaczęła biec w kierunku samolotu, kiedy zobaczyła, że pilot kopnięciem wyważył drzwi i przez wąski otwór usiłował wyciągnąć ze środka nieprzytomnego mężczyznę. Nie mogła uwierzyć, że mu się to udało. Przerzucił sobie mężczyznę przez ramię i zaczął uciekać jak najdalej od samolotu.

Po chwili potknął się i upadł. Nieprzytomny mężczyzna upadł na ziemię, uderzając głową o stos kamieni. Nie ruszał się. Samolot eksplodował, zamieniając się w jasną pomarańczową kulę, płomienie buchały wysoko w górę, rozsypując części samolotu we wszystkich kierunkach. Zobaczyła, jak pilot podnosi się i chwiejnym krokiem podchodzi do nieprzytomnego mężczyzny. Wtedy coś, co wyglądało jak część ogona samolotu uderzyło go w nogę i powaliło na ziemię. Tym razem już się nie podniósł.

To było przerażające. Rachael pomyślała - życie albo śmierć - wszystko wyjaśni się w ciągu góra dwóch minut. Została jej może minuta.

Podbiegła najpierw do nieprzytomnego mężczyzny i uklękła przy nim. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Był drobnej budowy ciała, starszy, na oko pięćdziesięcioletni, miał zakrwawioną głowę i klatkę piersiową. Przycisnęła palce do jego szyi. Żył, ale jego puls był ledwie wyczuwalny. Potrząsnęła nim lekko.

- Może pan otworzyć oczy?

Ani drgnął. Przysiadła na piętach. Niewiele myśląc, zdjęła kurtkę i okryła nią mężczyznę.

Poderwała się, kiedy usłyszała jęk pilota. W okamgnieniu znalazła się przy nim, patrząc na osmoloną dymem twarz, i sklezione krwią ciemne włosy i cienką stróżkę krwi ciekącą z jego lewego ucha. Krew sączyła się też z dziury w spodniach, którą wycięła część ogona samolotu, która w niego uderzyła. Nie ruszał się.

*Proszę, nie umieraj. Tylko nie umieraj.* Nie zniosłaby więcej śmierci.

Rachael delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu i lekko nim potrząsnęła, ale nadal się nie ruszał. Dotknęła jego rąk i nóg. Nic nie wyglądało na złamane, ale wewnątrz mógł mieć poważne obrażenia. Był znacznie młodszy od tamtego mężczyzny, mniej więcej w jej wieku, wysoki i wysportowany. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, pod spodem białą koszulę i krawat, oraz czarne spodnie i czarne półbuty. Delikatnie poklepała go po policzku.

- Proszę, obudź się.

Jęknął i lekko się poruszył. Zbliżyła się i jeszcze raz poklepała go po policzku.

- No, dalej, obudź się. Wiem, że możesz to zrobić. Sama nie dam rady cię podnieść, a nikogo więcej tutaj nie ma. Ten drugi mężczyzna jest nieprzytomny i potrzebuje twojej pomocy. Proszę, obudź się.

Tym razem mocno uderzyła go w policzek. Mężczyzna złapał ją za nadgarstek. Krzyknęła, ale jej nie puścił. Jack otworzył oczy. Długie proste włosy w kolorze słońca muskały jego twarz. Złotobrązowe z cienkim warkoczykiem zwisającym po jednej stronie. Próbował podnieść rękę, żeby go dotknąć, ale nie dał rady.

- Podoba mi się ten warkocz. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Niezły cios.

- Cóż, przepraszam, ale musiałam pana obudzić. Muszę sprowadzić pomoc dla pana i pana przyjaciela. Gdzie jest pan ranny? Co się stało?

Ku jej zdziwieniu uśmiechnął się.

- Czyja umarłem? A pani jest aniołem? Nie, nie może pani być aniołem, ma pani zbyt ładne włosy i ten warkoczek - anioły takich nie mają. I ubrudziła pani sobie nos.

- Chciałabym być aniołem, ale to chyba znaczyłoby, że pan mnie sobie wyobraża, a dzięki Bogu tak nie jest. Jestem Rachel. Nad lewą skronią ma pan ranę, która krwawi. Widziałam, jak część ogona samolotu w pana uderzyła i powaliła na ziemię. Pana prawe biodro też bardzo krwawi. Powinniśmy założyć opaskę uciskową.

- Proszę użyć mojego krawata.

Wzięła jasnoczerwony krawat w kolorowe wzorki i podłożyła pod jego nogę.

- Proszę powiedzieć mi, kiedy będzie odpowiednio ciasno - powiedziała i zacisnęła.

- Wystarczy. Proszę porządnie zawiązać. Czy coś jest złamane?

- Raczej nie, przynajmniej z tego, co mogę stwierdzić, ale nie jestem lekarzem.

- Zwykle złamane kości widać gołym okiem.

- Chodzi o pana wnętrzności. Coś złego może się tam dziać. Przez chwilę milczał.

- Jak dotąd czuję się dobrze.

- To dobrze. Nie jestem też pilotem, ale widziałam, jak sprowadził pan samolot na ziemię. Nie mam pojęcia, jak pan sobie z tym poradził, ale się udało. To było niesamowite.

Nigdy nie byłam tak przerażona. No, może jeden raz. *Właściwie to całkiem niedawno, zaledwie w piątek w nocy.* Paradoksalnie chciało jej się śmiać.

Spojrzał na nią, zmuszając się do uśmiechu.

- Ale skoro udało mi się uciec, to raczej nie była katastrofa, ale to, co nazywam przymusowym lądowaniem - zmarszczył brwi. Zauważyła, że był ledwie żywy. - Nie mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem tę dolinę. Pomyślałem, że w końcu rozbijemy się o górę i za kilkaset lat archeologowie znajdą nasze szczątki.

- Nie wydaje mi się, żeby mógł pan jeszcze kiedyś w życiu liczyć na takie szczęście. Przykro mi, ale pański samolot jest zniszczony. Tak samo jak pański szalowy krawat.

Puścił jej nadgarstek.

- Bomba - powiedział słabym głosem.

- Nie, proszę mi tu znowu nie zemdleć. Musi pan się obudzić i mi pomóc - pochyliła się nad nim. - Proszę na mnie spojrzeć. Jak ma pan na imię? Proszę się skoncentrować.

*Bomba? Mówił coś o bombie!* No, no, coraz lepiej.

- Mam na imię Jack.

- No dobrze, Jack. Trzymaj się, pójdziemy do mojego samochodu, przynajmniej będzie pan tam bezpieczny i jest tam cieplej niż tutaj.

Jack Crowne miał wrażenie, że głowa mu za chwilę eksploduje, tak bardzo go bolała. Co do jego nogi, ciągle doskwierała i pulsowała, ale to było do zniesienia. Może gdyby miał więcej szczęścia, ta część samolotu nie uderzyłaby go tak mocno.

- Grabieżca to dobry samolot - powiedział, po czym zaklął pod nosem i dodał: - A raczej był. Skupił się.

- Mówiła pani coś o moim przyjacielu? Znalazła pani drugiego mężczyznę? Lekko dotknęła dłonią jego ramienia.

- Tak, jest tam. Jest nieprzytomny, ale żyje. Ma zakrwawioną głowę i klatkę piersiową. Nie wiem, czy ma jakieś złamania. Przykro mi, ale jestem sama. Kiedy zaprowadzę pana do mojego samochodu, pomogę mu.

- Nie, sam sobie poradzę. Teraz musimy pomóc jemu. Moja komórka, gdzie ona jest? Zadzwoń po pomoc.

- Niestety, to niemożliwe. Telefony komórkowe tutaj nie działają, za dużo gór i zero nadajników. Zajmiemy się nim, proszę się nie martwić. Proszę nie zamykać oczu. Sama nie dam rady pana podnieść. Pójdziemy pomóc pańskiemu przyjacielowi.

Jack zacisnął zęby i pomyślał o Timothy, który mógł teraz umierać, tutaj, na tym pustkowiu. Z jej pomocą zdołał podeprzeć się na łokciach i rozejrzał się wokół.

- Czy ja ciągle jestem w Kentucky?

- Tak, blisko granicy ze stanem Wirginia. Wylądował pan w dolinie Cudlow, jedynej przerwie w paśmie górskim ciągnącym się przez wiele kilometrów. Jeżeli nie udało by się panu wylądować tutaj... cóż, ale udało się panu. Lepiej teraz o tym nie myśleć. Ma pan szczęście i talent. A pana przyjaciel...

- Proszę pomóc mi wstać. Przenieś go do pani samochodu. Rachael nie była w stanie wyobrazić sobie, żeby ten człowiek był w stanie pomóc komukolwiek, jednak objęła go za klatkę piersiową i pociągnęła do góry. Podniósł się na kolana i oparł się o nią. Na chwilę zastygł w bezruchu, opierając głowę na jej ramieniu.

- Dobrze się pan czuje?

- Kręci mi się w głowie i chce mi się wymiotować, ale poza tym czuję się dobrze. Proszę dać mi jeszcze chwilę. Jack oddychał szybko i płytko. Na szczęście mdłości ustąpiły. Bolała go głowa, ból był ostry i przenikliwy, ale do zniesienia.

- No dobrze, możemy iść. Muszę zobaczyć, co z Timothyem.

Zajęło mu to jakieś pięć minut, ale w końcu wstał i ruszył, a Rachael pomagała mu jak tylko mogła, służąc za podpórę.

- Oto Timothy. Nie rusza się.

Z pomocą Rachael Jack uklęknął obok doktora Timothy'ego MacLeana. Sprawdził jego puls, dotknął głowy, potem obmacał mu ręce i nogi. Oddał Rachael jej skórzaną kurtkę.

*Ma sporą ranę ciętą klatki piersiowej, dzięki Bogu daleko od serca. Rana nie wygląda na głęboką i już nie krwawi. Moim zdaniem ma też parę złamanych żeber. Był nieprzytomny już wtedy, kiedy wyciągałem go z samolotu.*

- Widziałam, jak uderzył głową o kamienie. Zaklął pod nosem.

- To moja wina, potknąłem się i wtedy on upadł.

- Tak, jasne, obwinianie się na pewno poprawi jego stan. Zmrużył oczy i kilka razy głęboko odetchnął. Patrzyła, jak podniósł mężczyznę i przełożył go sobie przez ramię. Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach.

- Cieszę się, że jest taki lekki - powiedział, zdyszany. - No dobrze, Rachael, podeprzyj mnie pod lewe ramię i ruszajmy.

Nie trzymał się zbyt pewnie na nogach, ale razem dali radę zrobić jeden krok, później kolejny i ruszyli w stronę auta.

- Mój samochód stoi na poboczu drogi. Zepsuł się, a ja nie znam się na samochodach.

- Ja się znam - powiedział, zaciskając zęby. Znowu chciało mu się wymiotować. Timothy może i ważył niewiele, ale nadal było to sześćdziesiąt parę kilogramów bezwładnego

ciała. Zatrzymał się, odczekał chwilę, aż mdłości ustąpiły.

- To tylko kilka metrów. Dam radę.

Rachael otworzyła tylne drzwi samochodu, a on położył swojego przyjaciela na tylnym siedzeniu. Zdjął kurtkę i wręczył jej. Dwie kurtki wystarczyły, żeby całkowicie przykryć Timothy'ego.

Jack pochylił się, oparł o maskę samochodu i zamknął oczy. Lewa strona jego twarzy była pokryta zaschniętą krwią.

- Która godzina?

- Niedługo będzie ósma.

- Poluzuj opaskę na mojej nodze - poprosił, nie otwierając oczu. Tak zrobiła.

- Dobrze, krwawienie ustało. Wyprostował się i powiedział:

- No dobrze, a teraz obejrzę twój samochód. Może to nic poważnego i będę w stanie go naprawić. Raczej nie, pomyślała Rachael. Nic w jej życiu nie było łatwe.



Gdy Jack wyprostował się, uderzył głową o podniesioną maskę samochodu i pomyślał, że zemdleje. Oparł się o brudny błotnik, mocno zacisnął powieki i pozwolił, by świat wirował. Może nie byłoby tak źle znowu położyć się na ziemi, to mogłoby uratować jego głowę przed eksplozją. Poczuł jej ramiona oplatające jego tors.

- Nie ruszaj się przez chwilę - powiedziała. - Już cię trzymam. Gdy w końcu się pozbierał, zapytała:

- W porządku?

- Bywało lepiej. Choćby wczoraj. Dzięki. Uśmiechnęła się do niego i chciała powiedzieć: *U mnie też.*

- Powiesz mi, co się zepsuło w moim samochodzie? Potrafisz go naprawić?

- Może zabrakło ci paliwa?

- Nie. Zatankowałam w Hamilton.

- Dobrze, przewody nie są uszkodzone. Uruchom samochód.

Przekręciła kluczyk, ale nic się nie stało. Spróbowała jeszcze raz. Nadal nic.

- Nie ma paliwa w układzie zasilania. Popsuła się pompa paliwowa. Trzeba ją wymienić. Czy miasteczko Parlow jest wystarczająco duże, by mieć przyzwoitego mechanika?

Kiwnęła głową.

- Tak, ma około trzech tysięcy mieszkańców. To tylko dwa kilometry stąd. Czy pompa paliwa jest taka ważna?

- Tak, ale nie jest zbyt droga.

- Ruszyłam w stronę Parlow, kiedy usłyszałem twój samolot. Mówisz, że to była bomba? Nie rozumiem. Czy nie za dużo powiedział?

- Prawdopodobnie myliłem się. Już po wszystkim, nie martw się o to.

Jeszcze raz sprawdził swój telefon komórkowy, wiedząc, że w żaden magiczny sposób nie pojawił się sygnał, tak samo, jak nie było go, kiedy sprawdzał ostatnio.

- Masz rację, nie będę zaprzętać sobie tym mojej ślicznej, małej główki. Kretyn. Uśmiechnął się pomimo przejmującego bólu głowy.

- Nikt nie nazwał mnie kretynem, odkąd zapomniałem prezerwatyw i Luise Draper mnie rzuciła.

- No proszę - powiedziała. - Zapomnij o telefonie komórkowym. Jesteśmy w górach i, jak mówiłam, nie ma tutaj zasięgu.

A więc Parlow w stanie Kentucky, oto nadchodzimy! - Spojrzał raz jeszcze na wciąż nieprzytomnego Timothy'ego leżącego na tylnym siedzeniu, z upiornie bladą twarzą. Ale Timothy był żywy, dzięki Bogu, i Jack musiał zadbać, by tak pozostało. Brzmiało to jak dobry żart, kiedy prawie padał twarzą na asfalt.

Jeszcze tego brakowało, myślała Rachael, ale co jeszcze mogła zrobić? Nie mogła go tu zostawić, by sam sobie radził. No dobra, najwyżej przybędzie do Slipper Hollow trochę później, niż planowała. Wuj Gillette nie wie, że przyjeżdża, więc nie będzie się martwił.

- Myślę, że w tej sytuacji najrozsądniej będzie jak jedno z nas pójdzie do Parlow i sprowadzi pomoc - powiedziała.

- Byłaś tu wcześniej?

Na krótką chwilę jej twarz znieruchomiała, zanim odpowiedziała:

- Nie, nie byłam.

Przyglądał się jej przez mgłę bólu, patrzył na jej twarz osłoniętą przez włosy, gdy spuściła wzrok, na warkocz na policzku, po czym skinął głową.

- Ja też nie byłem. - Nie był głupi. W jej oczach dostrzegł panikę, usłyszał kłamstwo i nie był zdziwiony. Kogo obchodziło, czy była w małym miasteczku w Kentucky? Przeczesał palcami ciemne włosy, które umazane krwią stanęły na sztorc.

- W Parlow mają chyba jakiegoś lekarza albo karetkę.

- Raczej tak - powiedziała i w ten sposób kolejny raz skłamała.

W Parlow pewnie jest komisariat policji albo szeryf, pomyślał Jack. Nie chciał w to mieszać lokalnych służb, ale biorąc pod uwagę stan jego i Timothy'ego wątpił, że będzie miał wybór.

Wolno szli wzdłuż dwupasmowej drogi. Jack był dużym i ciężkim mężczyzną, a ona musiała przejąć sporą część jego ciężaru, żeby utrzymać go w pionie. Po dwudziestu krokach zdyszana Rachael powiedziała:

- Zatrzymajmy się na chwilę. - Pomogła mu się oprzeć o dąb obok drogi. - Nie mamy dużo do przejścia, damy radę.

- Przepraszam, zapomniałem, jak masz na imię?

- Rachael... a, nazwisko nie ma znaczenia, prawda?

Jego policyjny zmysł po raz kolejny go zaalarmował, chociaż diabeł wbijał mu gwoździe w głowę. Chciał ją zapytać, kim jest i czego się obawia, ale powiedział tylko:

- To zależy od tego, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć. Myślisz, że będę cię podrywał i nie chcesz, bym jechał za tobą do domu?

Podrywać ją? Ją?

- Domyślam się, że uraz głowy pozbawił cię wzroku.

- O nie, mężczyzna nigdy nie jest ślepy, kiedy chodzi o kobietę. No chyba, że jest martwy.

Śmiała się, potrząsając nad nim głową, i założyła włosy za ucho. Warkocz znów znalazł się z przodu i zwisał obok policzka. Powiedziała jej, że jest bardzo seksowny, gdyby miał dość siły.

- Dość tego, przypominam, że wyratowałam cię z opresji. Wychodzi na to, że jesteś mi coś winien - powiedziała.

- Tak jest, proszę pani. Zastanawiam się, czy w Parlow jest szpital.

- Nie - to znaczy, kto wie? Prawdopodobnie niedaleko stąd jest szpital publiczny. Zobaczymy. *Przyłapałem cię, mała.*

- Mam nadzieję, że nie jesteś niebezpieczny - rzekła, patrząc prosto przed siebie. Bolały ją ramiona i plecy. Spojrzała w górę i zobaczyła jego rozbawione spojrzenie. - Gdybyś nie uwieszał się na mnie jak pijany, mógłbyś wyglądać groźnie z czarną twarzą, niczym komandos podczas nocnej operacji.

- Tak, jasne - odparł z goryczą. Miał ochotę przewrócić się na te przyjaźnie i miękko wyglądające krzaki na poboczu drogi. Nie, musiał sprowadzić pomoc dla Timothy'ego, ale uporczywy ból ciągnął go w dół. Wstrząs mózgu, znał to, pamiętał aż za dobrze, jak na studiach dostał w głowę podczas gry w futbol. Nieprzyjemne, ale przeżył.

- Hej, widzę dom - powiedziała. - Już prawie jesteśmy, Jack. Trzymaj się. Raczej nie powiesz mi, jak masz na nazwisko?

- Nie. Pomożesz mi jeszcze przez pięćdziesiąt metrów?

- Jasne, w liceum byłam w drużynie zapaśniczej - dyszała ciężko.

Roześmiał się. Ból w jego głowie był tępy i dokuczliwy i wydawało mu się, że głowa zaraz mu eksploduje. W końcu dotarli do małego, białego domu, który bardzo dobrze pamiętała.

Dwie kozy przyglądały im się z niewielkim zainteresowaniem, gdy przechodzili przez zarośnięty chwastami podjazd. Zapamiętała psy, kilka wylegających się na słońcu kundli.

- Dzięki ci, dobry Boże, widzę linię telefoniczną - powiedział Jack.

Rachael chciała mu powiedzieć, żeby nie spodziewał się zbyt wiele, że w czasach jej dzieciństwa pan Gurt był znany z niepłacenia rachunków, dopóki wierzyciele nie stanęli na jego progu.

*Nie ma mowy, żeby pan Gurt mnie rozpoznał i nazwał mnie po imieniu, nic z tych rzeczy. Problem w tym, że nigdy nie byłam dobrym kłamcą, a sądząc po reakcji Jacka, muszę*

*być w tym fatalna. No i wracam do punktu wyjścia. Muszę spróbować mówić jasno i szczerze i pomyśleć, zanim zwyczajnie wszystko wygadam. Zrobię to, nie mam wyboru.*

*Jeśli dowiedzą się, że żyję, przyjdą po mnie.*

Rachael pomyślała, że jest niewielkie prawdopodobieństwo, że tak się stanie, ale oni mieli władzę i środki, obawiała się kusić los. Nie, pozostanie martwa do czasu, gdy będzie gotowa stawić im czoło. Najpierw musiała upewnić się, że to byli Quincy i Laurel, jeśli tak, to ich dostanie. Jak na razie była bezpieczna. Najbezpieczniej jest być martwym.

Przedstawienie czas zacząć.

Na jej pukanie drzwi otworzył pan Gurt, obecnie bardzo stary człowiek. Wciąż nosił wytarte niebieskie dżinsy, włożone w zniszczone wojskowe buty. Te same? Stał w otwartych drzwiach i zerkał na nich podejrzliwym wzrokiem. Nie rozpoznał jej.

Dzięki ci, Boże, dzięki.

Ale jak mógł jej nie rozpoznać, kiedy patrzył na nią dokładnie w ten sam sposób, z tą samą kwaśną miną na pomarszczonej twarzy? Spojrzała w te kaprawe oczy i zdała sobie sprawę, że on nie ma pojęcia, kim była.

- Słucham? Czego chcecie?

*Dla mnie to całkiem oczywiste, ty stary dziadu,* pomyślała, ale Jack był ledwie żywy, więc odgarnęła włosy z twarzy i powiedziała:

- Mieliśmy wypadek. Czy możemy skorzystać z pana telefonu? Zostawiliśmy nieprzytomnego przyjaciela w samochodzie. Źle z nim.

- Co jest z pani mężem, wypił za dużo i wsiadł za kierownicę?

- Właściwie spadł z nieba prosto do moich stóp. Proszę nam pomóc.

Pan Gurt westchnął i machnął ręką, zapraszając ich do środka. To już było coś. Jako dziecko była w jego domu tylko raz, z matką, kiedy przyniosły panu Gurtowi bożonarodzeniowe ciasteczka.

Weszli w głęboki mrok i poczuli zapach mąki owsianej i wanilii. Usłyszała przeciągły dźwięk, który doprowadził jej serce do szaleństwa, dopóki nie zobaczyła bardzo grubego mopsa truchtającego w ich kierunku. W pysku miał smycz, a skórzany rzemień ciągnął się po podłodze.

- Nagietek, nie trzęś się i nie sikaj na podłogę. Pozwólmy tym ludziom zatelefonować, później z tobą wyjdę. - Zaprowadził ich do salonu, gdzie unosił się zapach świeżej cytryny. Wszystkie sprzęty były przykryte staromodnymi koronkowymi serwetkami i pokrowcami, poźółkłymi ze starości. - Nagietek nie cierpi być na dworze, najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Wszystko ją stresuje, więc muszę być z nią. Boi się nawet Oswalda

i Ruby.

- Oswalda i Ruby? - zapytała Rachael.

- To dwie kozy żujące Bóg wie co w ogródku przed domem. Tu jest telefon. Zapłaciłem rachunek nie dalej jak sześć tygodni temu, więc gnojki nie mogli go jeszcze wyłączyć. Zagroziłem, że wezmę sobie jeden z tych nowomodnych telefonów komórkowych, ale babka z firmy telefonicznej roześmiała się. Powiedziała, że tu może nie być sygnału do połowy przyszłego stulecia, wieki po tym, jak wykituję. Tylko nie zamawiajcie międzymiastowej, dobrze? Nagietku, trzymaj mocz, już idę. Jack wyjął telefon z jej ręki.

- Przepraszam, ale to nie może czekać - wybrał numer komórki Savicha.

- Tu Savich.

- Savich, mówi Jack. Na chwilę zapadła cisza.

- Jack, cieszę się, że cię słyszę. Wszystko w porządku?

- Jestem trochę obity, ale przeżyję.

- A doktor MacLean?

- Jest nieprzytomny, dostał w głowę, gdy upadł. Ma ranę ciętą na klatce piersiowej i chyba kilka złamanych żeber. Musieliśmy go zostawić na tylnym siedzeniu samochodu Rachael. Jesteśmy w Parlow w Kentucky, niedaleko granicy z Wirginia.

- Kto to jest Rachael?

- Widziała, jak sprowadziłem samolot na ziemię, i pomogła mi się pozbierać - mówiąc to, spojrzał na nią. Bawiła się swoim cienkim warkoczem.

- Dobrze. Wygląda na to, że właśnie podążamy w kierunku Parlow, to tam odebrali twój sygnał SOS.

- Słyszę śmigła helikoptera. Gdzie jesteś?

- Piętnaście minut temu odlecieliśmy z Quantico. Dotarcie do ciebie zajmie nam kilka godzin. Bobby zmierza do prywatnego lotniska sędziego Hardesty tuż przy drodze 72, niedaleko Parlow. Tam będzie czekał na nas samochód, więc będziemy mogli do ciebie dotrzeć. Teraz pozwól, że przekażę słuchawkę Sherlock, zanim wyrwie mi ją z ręki.

- Jack? Tu Sherlock. Pan Maitland zadzwonił do nas około siódmej trzydzieści rano, powiedział, że się rozbiliś, ty pajacu. Dajesz słowo, że nic ci nie jest?

Jack uśmiechnął się.

- O tak, anioł mnie uratował, ale...

- Ale co?

- Gorzej z Timothyem. On może być poważnie ranny. Tak jak powiedziałem Savichowi, leży nieprzytomny w samochodzie Rachael, który stoi zepsuty na poboczu drogi.

Zostawiliśmy go tam by wezwać pomoc.

- Dobrze. Zadzwoń gdzie trzeba i zorganizuję ewakuację rannego do najbliższego oddziału ratunkowego. A wracając do ciebie, Jack, powiedz mi, czy nastąpiła jakaś awaria?

Zdawał sobie sprawę, że Rachael przygląda się jego twarzy, przysłuchując się każdemu słowu, które wypowiadał.

- Najprawdopodobniej nie - powiedział tylko.

- OK, tym zajmiemy się później - powiedział Savich. - Zadzwoń do pana Maitlanda. On wyśle specjalistę, żeby obejrzał samolot. Potrzebujesz lekarza? Zaczekaj, Sherlock ma na linii ludzi od ewakuacji rannych, a oni muszą wiedzieć, gdzie dokładnie jest doktor MacLean. Jack, jesteś tam?

Jack poczuł, jak jego mózg odpływa daleko i co gorsza pozwolił na to.

- Sherlock? Myślę, że będzie lepiej, jak Rachael ci powie. Rachael wzięła od Jacka słuchawkę i patrzyła, jak on opada na jeden ze starych głębokich foteli obitych szarą tkaniną. Słuchała, po czym podała kobiecie położenie swojego samochodu, dodając:

- Bardzo się cieszę, że przyjedziecie, bo Jack potrzebuje pomocy. Tak jak powiedział, mój samochód zepsuł się, więc do miasta szliśmy pieszo. Spotkamy się pewnie w jakiejś medycznej placówce, którą mają w Parlow. Jack ma nogę skaleczoną odłamkiem samolotu i prawdopodobnie wstrząs mózgu. Zostanę z nim, zanim tu przyjedziecie.

- Dziękuję bardzo za to, że mu pomagasz. Wciąż jesteśmy kilka godzin drogi od was. Jak się nazywasz? Ale Rachael odłożyła słuchawkę. Jack był ledwie przytomny.

Klinika w Parlow Rosy Bill Avenue Poniedziałek rano Doktor Post wyprostował się, gdy siostra Harmon wprowadziła mężczyznę i kobietę do małego gabinetu. Sherlock stała w drzwiach, patrząc na Jacka, który leżał na plecach przykryty prześcieradłem od pasa w dół i z rozpiętą koszulą. Pochyliła się nad nim młoda kobieta, której długie włosy zasłaniały twarz, ostrożnie zmywała mu z twarzy sadzę. Z boku zwisał jej warkocz.

- Jack? - Sherlock podeszła do nich.

- Czy to ty, Sherlock? Wyglądasz pociągająco w tej czarnej skórzanej kurtce. Przepraszam, ale niespecjalnie się czuję. I zamknął oczy.

- Proszę się nie martwić, znowu zasnął. To od leków. Pozwólmy mu odpocząć, dobrze? - odezwał się doktor Post. Sherlock wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się do lekarza.

- Jestem agentka Sherlock, a to jest agent Savich, z FBI. A ten tu to agent Jackson Crowne.

- Wiem. Był wystarczająco przytomny, aby powiedzieć mi to, kiedy się tutaj zgłosili.

Kobieta stojąca nad Jackiem wyprostowała się.

- Na imię mam Rachael - powiedziała. - Pomagałam Jackowi. Nie powiedziała nic więcej.

Już kiedy Jack przedstawił się doktorowi Postowi, wiedziała, że już po niej. Tylko tego jej trzeba było. A teraz była w jednym pomieszczeniu razem z trójką federalnych.

- Proszę nam powiedzieć, co dokładnie mu dolega - zapytała Sherlock lekarza.

- Ma wstrząs mózgu i nie był zbyt szczęśliwy z tego powodu. Nie mamy w miasteczku rezonansu magnetycznego, ale tomografia komputerowa nie wykazała żadnych anomalii - powiedział doktor Post. - Miał ranę ciętą nogi, ale szczęśliwie nie uszkodził niczego ważnego, musiałem mu tylko założyć jeden z moich gustownych szwów. Podałem mu antybiotyki i leki przeciwbólowe. Teraz powinien odpoczywać, ale powinno być z nim wszystko dobrze. Chciałbym zatrzymać go na noc i upewnić się, że nic złego się nie dzieje. Zainwestowałem w niego mnóstwo czasu i nie chciałbym, żeby wyszedł z kliniki i przewrócił się na twarz, niwecząc moją doskonałą pracę. Doktor Post spojrzał z ciekawością na dwoje agentów FBI, którzy patrzyli z taką ulgą, jakby chcieli go uściskać.

- Zdaje się, że pracujecie razem. A może jesteście tu przypadkiem?

- Tak - powiedział Savich.

- Powiedziała mi, że nie jest jego żoną - rzekł doktor Post, wskazując na Rachael.

- Nie, nie jest, ale kiedy się obudzi, pomyśli, że ja jestem jego matką, tak mu złożę skórę za to, że nas tak wystraszył. Doktor Post zaśmiał się.

- Powiecie mi, co tu się dzieje? Pytam, bo zaraz po tym jak tych dwoje dotarło do mojej kliniki, usłyszałem ambulans na sygnale jadący przez miasto. Czy ktoś jeszcze ucierpiał?

- Obawiam się, że tak. Dziękuję, że pan się nim zajął.

- Nie ma za co - odparł doktor Post. Savich przyglądał się uważnie Rachael.

- Więc to ty jesteś wybawicielką Jacka.

Rachael wciąż nie mogła w to uwierzyć. Są agentami FBI, wszyscy troje. Kiedy ona i Jack, potykając się, weszli do kliniki, doktor Post otworzył im drzwi frontowe, trzymając w dłoni filiżankę kawy. Jack wyciągnął swoją odznakę i pokazał ją osłupiałemu lekarzowi.

Dlaczego Jack nie mógł być zwykłym pilotem samolotu? Nie, on był agentem FBI, którego szefowie mogli być zaprzyjaźnieni z Quincym i Laurel, mogli być przez nich przekupieni lub być pod ich wpływem, zdać się na nich z powodu ich pozycji - nie, nie wchodzi w to.

*Oni są przekonani, że nie żyję. I niech tak pozostanie.*

Była bezpieczna, dopóki tych troje federalnych nie pozna jej nazwiska. Wciąż będzie martwa.

Wiedziała, że każda biurokracja jest dziurawa jak sito, włączając w to FBI. Nie, będzie bardzo ostrożna, będzie dobrze kłamać. To dla niej nowe doświadczenie. Uśmiechnęła się.

- Na imię mam Rachael. Uścisnęli sobie dłonie.

- Rozumiem, że widziała pani, jak samolot agenta Crowne'a spada i pomogła pani Jackowi i doktorowi MacLean - powiedział Savich. - Chcielibyśmy podziękować, że miała pani na nich oko, panno...

*Jestem najlepszym kłamcą na świecie, najbardziej opanowanym i przychodzi mi to z łatwością.*

- Rachael Abercrombie.

*Kłamie*, pomyślał Savich, ale co w tym dziwnego? Uśmiechając się do niej, powiedział:

- Tak, dziękuję, panno Abercrombie. Oddział do ewakuacji rannych zabrał doktora MacLeana do szpitala jakieś dwadzieścia minut temu. Nie wiemy, w jakim jest stanie. Zawiadomiłem waszego szeryfa.

- O nie, to nie jest mój szeryf, agencie Savich. Nigdy wcześniej nie byłam w Parlow. Tylko tędy przejeżdżam. Savich przyjrzał się jej twarzy. Patrząc na ten mały pomysłowy warkocz, przyszło mu do głowy, że Sherlock wyglądałaby bardzo seksownie z czymś takim.

- A więc wszyscy jesteśmy tu obcy. Na szczęście wkrótce przyjedzie szeryf.

Doktor Post widząc, jak wielki twardziel spogląda na zegarek z wizerunkiem - nie do wiary - Myszki Miki, zmarszczył brwi.

- Wiele pani zawdzięczamy, panno Abercrombie - powiedziała Sherlock.

- Och, nie przesadzajcie - burknęła Rachael. - To Jack ocalił ich obu. Wyciągnął doktora MacLeana z samolotu, zanim ten eksplodował. Upieram się, że niewielka w tym moja zasługa.

Doktor Post powiedział.

- Siostra Harmon, powiedziała mi że szeryf Hollyfield miał problem z szambem tego ranka i dlatego przyjedzie trochę później. Ale będzie tu, zawsze się zjawia. - Post przyglądał im się uważnie. - Nigdy wcześniej nie spotkałem żadnych agentów FBI.

- On je na śniadanie płatki kukurydziane, razem z naszym synem Seanem - odezwała się Sherlock i uśmiechnęła się.

- Ja jem pszenne tosty z masłem orzechowym. Doktor Post roześmiał się.

- Czyli jesteście zwykłymi ludźmi? Być może, ale nie dla mnie. Jesteście



małżeństwem i razem pracujecie?

- Zgadza się - przytaknął Savich.

Doktor Post podniósł broń Jacka, która leżała na ladzie, obok jego brudnych, porwanych spodni.

- Mój ojciec miał kimber gold match II. To świetna broń.

- Agent Crowne uważa, że jest skuteczna - oświadczył spokojnie Savich i wyciągnął dłoń. Doktor Post podał mu pistolet, rękojeścią do przodu.

- Dziesięciopistoletowy magazynek?

- Tak - powiedziała Sherlock. - I jeden nabój w komorze, co daje razem jedenaście pociągnięć za spust. Rachael wyłączyła się. Chciwie parzyła na broń, którą trzymał teraz agent Savich. Chciała ją ukraść, kiedy zobaczyła, jak doktor Post wyjmuje ją zza pasa Jacka. Teraz było już za późno. Nie mogła pojąć, dlaczego nie zauważyła jej wcześniej, nie wyczuła jej, kiedy szła obok, wspierając go.

To był bardzo nerwowy poranek. Nie potrzebowała broni. Wszystko, co musiała zrobić, to nie stracić głowy. Ci agenci nie mają pojęcia, kim ona jest, gdzie mieszka, co robiła, kiedy trafiła na Jacka, a ona nie miała zamiaru im tego mówić.

Musiała zachować anonimowość, musiała pozostać martwa. Przynajmniej agenci byli skupieni na Jacku.

Ale nie podobał jej się sposób, w jaki Savich patrzył na nią, jakby wiedział, że kłamie, ale nie zamierzał jej tego mówić. To nie był jego kłopot. Gdy tylko wymieni pompę paliwa, wyjedzie z Parlow i ukryje się w Slipper Hollow, głęboko w lasach porastających wzgórza Kentucky, wzgórza, które rozciągają się jak akordeon.

Czas wziąć sprawy w swoje ręce i ruszyć stąd. Uśmiechnęła się do agentów i powiedziała radośnie:

- Teraz, kiedy tu jesteście, nie jestem już potrzebna. Muszę naprawić samochód. Chcę odwiedzić parę miejsc, a czas mnie goni. Tak jak mówiłam, nie jestem stąd. Mój samochód właśnie się zepsuł, kiedy zobaczyłam, jak Jack lądował samolotem w dolinie Cudlow. To nie było zbyt zabawne, ale przynajmniej wszystko dobrze się skończyło. *Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi - na wszelki wypadek trzymaj buzię na kłódkę.*

Sherlock przekrzywiła głowę, ale nie powiedziała nic. Siostra Harmon wyjrzała zza drzwi.

- Doktorze Post, mamy mnóstwo nowych pacjentów i dzwoniła doktor Reimer. Jej mały synek wymiotuje i nie wie, czy przyjdzie dziś do pracy. Jimmy Bunt skaleczył nogę, spadając z traktora, wygląda na złamaną. On awanturuje się, denerwując panią Mason, która

wszystkim mówi, że właśnie wychodzi do pracy, mimo że nie powinna, przynajmniej przez kolejne trzy tygodnie.

- Za dwadzieścia lat przechodzę na emeryturę - powiedział doktor Post, wychodząc z sali.

Sherlock dostrzegła, jak Rachael przygląda się Jackowi i marszczy brwi na widok jego zakrwawionych włosów. Złapała myjkę i ostrożnie zaczęła wycierać krew.

No tak, ona go uratowała, to ma sens, troszczy się o niego na tyle, żeby go umyć.

Rachael, to imię zawsze podobało się Sherlock, ale Abercrombie? Jak Abercrombie i Fitch\*<sup>1</sup>?

Hmm. Zobaczyła krąg delikatnych piegów na nosie Rachael. Miała piękne włosy, długie, gładkie i lśniące z jaśniejszymi pasemkami, bardzo ładnie zrobionymi i ten pomysłowy warkocz z boku. Musiała zapytać Dillona, co myśli o takim warkocz. Co do oczu Rachel, były ciemnoniebieskie i... pełne obawy. Tak, ona bała się, a jej obgryzione paznokcie nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Ale czego się bała? Ich? Uciekała od agresywnego męża? Sherlock wiedziała, że takich spraw są tysiące, ale bądź co bądź ta kobieta uratowała Jacka. Cokolwiek było nie tak, była skłonna i gotowa jej pomóc.

Powiedziała więc do Rachael:

- Wiesz, że Jack był wcześniej ranny tylko raz? Został pchnięty nożem przez oszalałego narkomana. To naprawdę niesamowite, bo spędził cztery lata w elitarniej jednostce kryminalnej FBI. Stawił czoło bardziej przerażającym sytuacjom niż większość agentów przez całe życie. Wypalił się, bez wątpienia, ale zamiast opuścić FBI i pracować w zawodzie prawnika, Dillon namówił go, żeby dołączył do jego jednostki, do Kryminalnej Grupy Pościgowej.

- O, to bardzo interesujące - mruknęła Rachael i rzuciła myjkę do zlewu. Uśmiechnęła się do nich szeroko. - Było mi miło was poznać. Pójdę już, do widzenia. - Ruszyła w stronę drzwi.

Sherlock położyła dłoń na ramieniu Rachael.

- Jack jest bardzo dobrym agentem i bardzo dobrym człowiekiem.

Rachael była ubrana w miękki beżowy, kaszmirowy sweter, pod spodem miała białą markową bluzkę, bardzo drogą, pomyślała Sherlock. Buty, które nosiła, wyglądały na miękkie i wygodne. Ale sprawiała wrażenie roztrzęsionej. Sherlock uśmiechnęła się.

Rachel spojrzała na spoczywającą na swoim ramieniu dłoń Sherlock, jej długie palce, wypielęgnowane paznokcie i obrączkę.

---

<sup>1</sup>\* Abercrombie & Fitch - amerykańska marka odzieżowa (przyp. tłum.).

- Tak, mogę sobie wyobrazić, że Jack jest bardzo dobry w tym, co robi.

- Zanim załatwisz naprawę samochodu, będziemy naprawdę wdzięczni, jeśli nam powiesz, co dokładnie działo się w chwili, kiedy zobaczyłaś samolot, dobrze?

Rachael była tak blisko drzwi, że mogła dotknąć klamki. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się chłodno i zastanawiała się, czy kiedykolwiek znowu zobaczy swoją skórzaną kurtkę, którą przykryła doktora MacLeana.

- Naprawdę docenilibyśmy to, Rachael - powiedział uprzejmie Savich. - Dopóki Jack będzie spać, pokręcę się tutaj i porozmawiam z szeryfem, kiedy tu przyjedzie. Potem zorganizuję holowanie twojego samochodu do mechanika, podczas kiedy ty i Sherlock napijecie się kawy i coś zjecie. Muszę też sprawdzić, czy z doktorem MacLeanem wszystko w porządku. Pewnie jesteś głodna.

- Posłuchaj - powiedziała Sherlock, patrząc na zegarek.

- Zrobiło się późno. Nie wiem jak ty, Rachael, ale ja umieram z głodu. Dillon, spotkamy się w tej kawiarni po drugiej stronie ulicy, kiedy wszystko załatwisz. - Sherlock odwróciła się w stronę Rachael, uśmiechając się przez cały czas.

- Przepraszam, zapomniałam jak masz na nazwisko.

- Abercrombie - odpowiedziała Rachael kamiennym głosem.

- Ładne nazwisko, takie angielskie, bardzo znane - powiedziała Sherlock, myśląc: *Jesteś naprawdę kiepskim kłamcą.*

- Chodźmy zjeść jajecznicę.

Świetnie, znalazła się w potrzasku. Spojrzała na nieruchomą twarz Crowne'a. Kiedy zmyła z niej sadzę i krew, zobaczyła przystojną twarz z oliwkową cerą, wyrazistą i mocno zarysowaną szczęką, o mocnych kościach i dołkiem w brodzie. On był w specjalnej grupie kryminalnej FBI? Nie wiedziała dokładnie, czym się zajmowali, ale brzmiało to przerażająco. Niemal został zabity przez narkomana? A ten doktor MacLean był przestępcą, którego transportował do Waszyngtonu? Czy przyjacielem, który miał kłopoty? Nie chciała tego wiedzieć, nie chciała się w to angażować. Potrzebowała czasu i samotności by cieszyć się tym, że nie żyje. Ostatnie, czego potrzebowała, to więcej kłopotów. Sherlock wciąż się do niej uśmiechała. No cóż, nie miała wyboru.

- Czy mógłby pan przynieść ze sobą do kawiarni moją kurtkę? - zapytała Savicha.

- Z przyjemnością - odpowiedział.

- Dziękuję, agencie Savich - powiedziała Rachael i wraz z Sherlock opuściła klinikę. Kilka osób w poczekalni przyglądało się im, jedni z zaciekawieniem, inni z niechęcią, że tak długo musieli czekać.

Savich został jeszcze chwilę z Jackiem, patrząc, jak oddycha, sprawdzając jego tętno, by dodać sobie otuchy. Po chwili do poczekalni wszedł szczupły mężczyzna po czterdziestce, ubrany w spodnie ogrodniczki i jasnoczerwoną, flanelową koszulę z długim rękawem, z trzydziestką ósemką w kaburze przypiętej do szerokiego paska wokół talii. Savich mógł tylko westchnąć na widok tego osobliwego przedstawiciela lokalnych władz. Wiedział, że raczej łatwo nie będzie.

- Jestem szeryf Hollyfield - powiedział mężczyzna, wyciągając smukłą dłoń stwardniałą od odcisków.

Savich podał mu rękę, przedstawił się i pokazał swoją odznakę.

- Miło mi, agencie Savich. Przepraszam za spóźnienie. To cholerne szambo pani Judd znowu się zepsuło. Wyjdźmy na zewnątrz, będziemy mogli porozmawiać bez świadków.

- Może mógłby pan wysłać holownika na miejsce wypadku, żeby przywieść samochód Rachael?

- Moja ciężarówka może go holować. Jedźmy. Porozmawiamy po drodze.

Savich skinął głową i podążył za nim na zewnątrz. Dzień był przyjemnie ciepły. Na porannym niebie świeciło słońce.

- Dziękuję, że pan przyjechał, szeryfie - powiedział Savich, wspinając się na miejsce pasażera wielkiego białego chevroleta Silverado.

Szeryf uniósł wysoko jasną brew.

- To ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym się wizyty FBI. Słyszałem od Benny'ego, jednego z ratowników medycznych, że ten facet jest w kiepskim stanie. Co tam się stało, agencie Savich?

- Chętnie panu o tym opowiem, kiedy ocknie się mój agent, który wiozł samolotem tego człowieka do Waszyngtonu. Doznał wstrząsu mózgu i ma ranę szarpaną nogi.

- Co się stało?

- Agent Crowne rozbił się, lądując, ale dał radę przejść kawałek. Tyle w tej chwili wiem, szeryfie, przykro mi. Póki co, nie wiemy co z tym drugim.

- Ale nie będziecie trzymać tego w tajemnicy przed lokalnymi, prawda?

- Może, ale faktem jest, że nie wiem, kiedy i dlaczego ten samolot runął.

- Bardzo dobrze. Coś panu powiem, na ramieniu agenta Crowne'a musiał siedzieć anioł stróż, bo dolina Cudlow jest jedynym płaskim obszarem ziemi w promieniu wielu kilometrów. Nawet nasza dwupasmowa droga jest tak kręta, że nie można na niej wylądować. Gdyby rozbił się w górach, byłoby po nim i po jego przyjacielu.

Tak się składa, że jestem oficerem wydziału dochodzeniowo - śledczego bostońskiej policji, więc może pan przestać myśleć, że jestem wieśniakiem z dziury zabitej dechami, który nie odróżnia dupy od palca.

Savich planował grzecznie odsunąć na bok szeryfa o imieniu Dougie, który zajmował się szambami i nosił trzydziestkę ósemkę przypiętą do ogrodniczek. Czas zmienić strategię.

- Założę się, że zajmowanie się szambami nie było w zakresie pańskich obowiązków w pracy w policji. Od dawna jest pan tu, w Kentucky - zapytał.

- Jakies dziesięć lat, szeryfem w Parlow jestem od dziewięciu. Moja żona urodziła się tutaj, tęskniła, więc się przenieśliśmy tutaj. Spryciarz z pana, agencie Savich. Nie chce pan zdradzić mi tajemnicy śledztwa, rozumiem. Pomyślał pan, że złoży mi miłą, kurtuazyjną wizytę, zdmuchnie mnie i zajmie się swoją federalną robotą. Ale jestem tu szeryfem i nie jestem głupi, chwała Bogu nie jestem stereotypowym tumanem plującym tytoniem, który rządzi się na swoim podwórku. - Po czym spojrzął po sobie i roześmiał się. - Niezależnie od widoku, który obecnie przedstawiam, odkryje pan, że mam niezły mózg, który jest do pana dyspozycji, gdy na moim terenie w podejrzanych okolicznościach spadł samolot. Nie chce pan być ze mną szczery, w takim razie może będę musiał sam to sprawdzić. Kim jest ten facet w szpitalu okręgowym Franklina?

Dla Savicha stało się jasne, że ten facet nie tylko miał łeb na karku, ale też nie da się spławić i zrobi dokładnie to, co powiedział, sprawdzi wszystko sam. Znał też teren, ludzi i topografię. Savich spojrzął przeciągle na Dougiego Hollyfielda i powiedział:

- Podobają mi się trzydziestki ósemki przypięte do ogrodniczek. To miły akcent.

Szeryf uśmiechnął się.

- Moja żona tak się ze mnie śmiała, że nie była mi w stanie powiedzieć, co o tym myśli. Zamierza pan traktować mnie jak równego sobie? Pozwoli mi pan zrobić, co w mojej żalostnej mocy, by panu pomóc?

- Tak - powiedział Savich. - Tak zrobię. Mężczyzna w szpitalu to doktor Timothy MacLean, pochodzący z Lexington w Kentucky. Jego rodzina jest właścicielem stajni wyścigowych, może pan o nich słyszał.

Szeryf Hollyfield pokiwał głową.

- Jego rodzina zna agenta Crowne'a i jego rodzinę, więc poprosili go o pomoc. Podobno doktor MacLean uważa, że ktoś w Waszyngtonie, gdzie jest psychiatrą pacjentów o wielkich nazwiskach, próbuje go zamordować. Zona MacLeana namówiła go, żeby wrócił do Lexington, do swojej rodziny. Był kolejny zamach na jego życie, więc agent Crowne poleciał do Lexington, żeby dla jego bezpieczeństwa sprowadzić go z powrotem do Waszyngtonu i dotrzeć do korzeni sprawy.

Jasna brew szeryfa uniosła się w górę, a jego palce zacisnęły się na szerokim pasie oplecionym wokół ogrodniczek.

- Powiedział mi pan znacznie więcej, niż się spodziewałem. Pozwoli pan, że zauważę, iż FBI nie zajmuje się takimi rzeczami jak transportowanie samolotami zwykłych obywateli

do Waszyngtonu, agencji Savich.

- Ze względu na znajomość z rodziną agenta Crowne'a, to była sprawa osobista - powiedział Savich.

- Dlaczego nie doda pan, że głównym powodem zainteresowanie federalnych jest to, że zamieszane są w to jakieś grube ryby? Czym doktor MacLean tak wkurzył swoich pacjentów - hazardzistów? - zapytał szeryf Hollyfield.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- No dobrze. Na razie to kupuję. Skupmy się na tym, co dzieje się tutaj. Coś panu powiem, agencji Savich. Dot, sanitariuszka w Parlow, powiedziała mi o poszukiwaniach i samolocie ratowniczym. Pomyślała, że pilot jest z resortu spraw wewnętrznych, bo oni zazwyczaj latają takimi samolotami. Mówiła, że to był dobry pilot, bo udało mu się wylądować w dolinie. Dot zna się na tym, bo też jest pilotem, równie dobrym, jak ratownikiem. Zastanawiała się, dlaczego agent Crowne nim leciał, skoro nie słyszała o żadnych wypadkach.

- Sądzę, że to był jedyny dostępny samolot.

- Po tym, jak grupa ratunkowa zabrała doktora MacLeana, Dot obejrzała samolot.

Savich czekał. Wiedział, że zbyt wiele nie zostało po tym, jak eksplodował na ziemi. Wiedział też, że nie spodoba mu się to, co zaraz powie szeryf.

- Dot nie miała czasu ani dostatecznej wiedzy, żeby gruntownie obejrzeć samolot, ale patrząc na to, co zostało z kadłuba, jej zdaniem wyglądało to, jakby przedział bagażowy został wypchnięty na zewnątrz przez eksplozję, może bomby. Cokolwiek to było, wygląda na to, że nie zadziało, skoro samolot nie eksplodował w powietrzu. Więc lepiej będzie, agencji Savich, jeśli nie będzie pan próbował szukać przyczyn katastrofy w awarii maszyny. - Szeryf Hollyfield kołysał się na nogach.

- Tak - przyznał Savich. - Tak też uważa agent Crowne. Wezwaliśmy specjalistę, żeby to zweryfikował. Czy pana zastępcę mógłby ochraniać miejsce katastrofy, zanim przybędą tu nasi ludzie?

Szeryf Hollyfield skinął głową.

- No dobrze. Będzie mnie pan informował, agencji Savich? Savich pokiwał głową. Nigdy nie wiesz, kiedy spotkasz dobrego stróża prawa, pomyślał, ściskając dłoń szeryfa z wdzięcznością tak czystą, jak jego kalosze.

Savich oglądał rozrzucone szczątki, podczas gdy szeryf Hollyfield podczepiał hol do samochodu Rachael.

- Trudno wyobrazić sobie, że przeżyli - mruknął szeryf prostując się, żeby rozejrzeć

się po dolinie Cudlow. Dłonią przesłonił oczy przed silnym porannym słońcem.

Kiedy szeryf podrzucił go do kawiarni Monk's, Savich powiedział:

- Czy mogę później przyjść do pana biura, szeryfie, i skorzystać z pana telefonu?

Chciałbym dowiedzieć się, co z doktorem MacLeanem.

Szeryf Hollyfield pokiwał głową.

Savich najpierw chciał porozmawiać z Sherlock i sprawdzić, czy dowiedziała się czegoś o Rachael Abercrombie. Po raz kolejny sprawdził swój telefon komórkowy, ale nie było zasięgu. Góry plus odludzie i technologia staje się tutaj zupełnie bezużyteczna.

Kawiarnia Monk's był to niewielki, biały budynek z pokojami do wynajęcia na piętrze.

Savich położył kurtkę Rachael na krześle obok niej.

- Dziękuję, agencie Savich. Dokąd odholował pan mój samochód?

- Za chwilę o tym porozmawiamy. - Savich podniósł menu. - Co polecacie?

Kelnerka z nieprawdopodobnie kruczoczarnymi włosami utrwalonymi lakierem w stożek dziarsko podeszła do ich stołu, jej jaskrawożółte tenisówki stuknęły o przetarte linoleum. Ubrana była w wielki fartuch nałożony na dzinsy i białą, męską koszulę.

Zatrzymała się, spojrzała na Savicha, posłała mu szeroki uśmiech, pokazując zęby równie białe jak koszula, którą miała na sobie.

- Moja siostra, Daliah, jest pielęgniarką w klinice i powiedziała mi, że są tu jacyś agenci federalni, a jednego z nich zakrwawionego i prawie martwego przywieźli do izby przyjęć. Ale to nie pan, dzięki Bogu - przerwała na chwilę i przyjrzała się mu. - Jest pan nawet przystojniejszy, niż opowiadała Deliah. Nie wiedziała o tym drugim, bo był w takim złym stanie. Wszyscy wyglądacie groźnie, macie takie ostre rysy. Założę się, że niegrzeczni z was chłopcy. Oczywiście to sprawia, że kiedy jesteście obok, kobiety odzyskują animusz - nawet moja siostra, która nawet nie zauważyła, kiedy odszedł od niej mąż. A tutaj - proszę, proszę, dwie ładne dziewczyny, zwarte i gotowe. Sherlock prychnęła. Suzette, kelnerka, nie zwróciła na nią uwagi. Suzette mogła być jego matką, pomyślał Savich i uśmiechnął się do niej.

- Nie, bywam niebezpieczny tylko wtedy, kiedy nie dostanę tu śniadanie moich płatków kukurydzianych. Czy mogę prosić o bardzo gorącą herbatę... Suzette?

- Możesz mówić do mnie Suz - powiedziała. - Mamy tylko herbatę ekspresową, może być? Savich skinął głową. I natychmiast wyobraził sobie torebkę herbaty zamoczoną w letniej wodzie.

- Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale Tony właśnie wyjął z piekarnika pieczeń. Albo, jeśli interesuje cię zdrowe jedzenie, mamy paluszki rybne, smażone w głębokim tłuszczu,



bardzo smaczne.

Savich poprzestał na jajecznicy i toście pszennym z dżemem, który zachwalała Suz. Wskazała na Sherlock i Rachael.

- Twoje dwie piękne panie na pewno się ze mną zgodzą. Podniósł głowę i zobaczył Rachael uśmiechającą się do niego.

- Coś mi mówi, że nie je pan zbyt często smażonych paluszków rybnych, agencie Savich.

- Nie, ale nasz syn mógłby jeść je przez cały dzień, gdybyśmy mu pozwolili, na zmianę z tacos i hot dogami. Rachael obrzuciła ich uważnym spojrzeniem.

- Proszę mi przypomnieć, jak ma na imię wasz syn?

- Sean, miłośnik gier komputerowych i futbolu, chce pomóc czerwonoskórnym budować dynastię, choć naprawdę nie wie, co to znaczy.

- Małżeństwo agentów FBI. Niewiarygodne. Savich skinął głową.

Sherlock odwróciła się do niego.

- Kiedy wszedłeś, Dillon, Rachael nie chciała opowiedzieć mi o sobie. Pomyślałam, że po tym jak zjemy razem wspaniały lunch, za który zaproponowałam zapłacić, będzie miała do mnie więcej zaufania.

- Trudno jest komuś zaufać, Sherlock - powiedział powoli - kiedy trzęsiesz się ze strachu. Powiem ci coś, nie możemy pozwolić jej odejść, bo jest naocznym świadkiem.

Sherlock popatrzyła wprost na Rachael.

- A kto powiedział, że nie była bezpośrednio zamieszana w doprowadzenie do katastrofy samolotu Jacka? Może nadzorowała wszystkim z ziemi?

Rachael uderzyła pięścią w stół, aż jej łyżka podskoczyła w górę. Jak mogli tak szybko domyślić się, że ma kłopoty? To nie w porządku. Była idiotką, martwą zaledwie od dwóch i pół dnia. Jeśli nie będzie ostrożniejsza, nie pozostanie martwa do końca tygodnia.

- Co takiego? Posłuchajcie, nie możecie mnie zatrzymać, byłam tylko przypadkowym świadkiem, nie możecie...

- Może uciekasz przed mężem? - spytała Sherlock ze współczuciem.

Mężem? Rachael stłumiła histeryczny śmiech i poczuła, jak ogarniają ją panika. Złapała swój portfel, wyslizgnęła się z kabiny i wyszła z kawiarni w ciągu mniej niż pięciu sekund.

Suz, niosąca Savichowi talerz z parującą jajecznicą, zatrzymała się i spojrzała za nią.

- Czy to nie było do przewidzenia - seksowny facet z dwiema dziewczynami? Założę się, że ta mała ruda zagroziła, że przywali tej blond z uroczym warkoczem, prawda?

- Jesteś doskonałą obserwatorką, Suz - powiedział Savich. Sherlock przewróciła

oczami, rzuciła serwetkę na talerz z kawałkiem zimnego bekonu i podążyła za Rachael.

- Jeśli ma dojść do pyskówki, to na ulicy, nie tutaj. Tony tego nie cierpi, za bardzo przypomina mu to teściową.

Sherlock dogoniła Rachael przy piekarni Bobolink's. Stała oparta o witrynę sklepową ze wzrokiem utkwionym w swoich zniszczonych butach. Sherlock delikatnie dotknęła jej ramienia. Rachael nie poruszyła się.

- Wiesz - powiedziała Sherlock. - Kiedy jest ciężko, to wcale nie znaczy, że sama musisz się z tym wszystkim zmagać. Jestem agentką FBI, jestem wprawiona w radzeniu sobie z takimi sytuacjami. Tak samo jak Dillon i Jack. A to znaczy, że dziś jest twój szczęśliwy dzień, a my wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami.

- Nie potrzebuję pomocy - odparła Rachael. - Chcę, żeby jak najszybciej naprawili mój samochód i żebym mogła wyjechać. Muszę wyjechać... Ktoś na mnie czeka. Chcę, żeby agent Savich powiedział mi, dokąd odholował mój samochód.

Sherlock uśmiechnęła się.

- Wróćmy więc do kawiarni i zapytajmy go o to.

- Nigdy się od ciebie nie uwolnię, prawda? Może powinnam cię obezwładnić?

- Raczej nie. Dillon nigdy nie uderzyłby kobiety, ale ja owszem.

- Skoro jestem pozbawiona transportu, nie mam wielkiego wyboru, jak tylko wrócić z tobą.

Gdyby musiała, mogła nawet iść pieszo do Slipper Hollow, ale to byłoby głupie pozbawiać się środków ucieczki. Modliła się, żeby agent Savich nie wyczyścił tablic rejestracyjnych. Mógłby wtedy bardzo łatwo ustalić, kim była, prawdopodobnie potrzebowałby na to mniej niż minutę. Zamartwiała się do obłądu, kiedy Sherlock zapytała:

- Dokąd jechałaś, kiedy zepsuł ci się samochód, Rachael?

- Do Cleveland - odpowiedziała bez wahania Rachael. - Jechałam do Cleveland.

*Kolejne kłamstwo*, pomyślała Sherlock.

Kawiarnia Monk's zaczęła wypełniać się ludźmi, którzy przychodzili na wczesny obiad. Kiedy weszły do środka, rozmowy ucichły. Sherlock nie miała wątpliwości, że plotki o przybyłych agentach FBI rozeszły się po całym mieście.

Usiadły naprzeciw Savicha.

- Rozmawiałem z doktorem Hallickiem ze szpitala okręgowego Franklina - powiedział. - Musiałem zadzwonić do niego z budki. MacLean nadal nie odzyskał przytomności. Muszą przeprowadzić więcej badań, żeby móc stwierdzić, jakie są rokowania. Poprosiłem szeryfa Hollyfielda, żeby przydzielił kilku strażników do pilnowania doktora MacLeana, zanim przyjadą agenci federalni.

Wtedy Rachael podniosła wzrok. Miała ochotę natychmiast go obezwładnić i zapytać, gdzie jest jej cholerny samochód, ale powiedziała tylko:

- Jack - to znaczy agent Crowne mówił coś o bombie.

- To możliwe. Ekspert ma dziś przyjechać i stwierdzić, co było powodem katastrofy samolotu. Jeżeli rzeczywiście była w nim bomba, powie nam, dlaczego cesna nie eksplodowała w powietrzu, chociaż to i tak bez znaczenia.

- Po co ktoś miałby zabijać doktora MacLeana?

A dlaczego nie? - pomyślała Sherlock. To nie była tajemnica państwowa. W końcu ręka rękę myje.

- Cóż, wystarczy, że doktor Timothy MacLean, psychiatra, ma wielu wysoko postawionych pacjentów, którzy boją się, co może o nich powiedzieć.

- Czyli, że narusza tajemnicę lekarską?

- Na to wygląda - powiedział Savich. Rachael wyprostowała się na krześle.

- Agencji Savich, naprawdę było mi miło poznać pana i agentkę Sherlock, ale muszę już jechać. Proszę powiedzieć, gdzie jest mój samochód.

- Zabiorę panią do warsztatu, kiedy tutaj skończymy. Ale obawiam się, Rachael, że będziemy cię potrzebować. Była pani jedynym świadkiem przymusowego lądowania Jacka. Wszystko pani widziała. Z czasem wszystko sobie pani przypomni, proszę mi wierzyć. Zostanie pani z nami jeszcze trochę?

Rachael przeniosła wzrok ze swojej torby na dwójkę agentów. Na razie, zanim naprawią jej przeklęty samochód, utknęła w Parlow i mogła tylko modlić się, żeby nikt jej nie rozpoznał. Na tej głuchej prowincji tajemnice na długo nie pozostawały tajemnicami. Pomyślała, że w towarzystwie agentów FBI przynajmniej będzie bezpieczna.

- Planowałam jechać tam, dokąd zmierzałam. Nie mam zbyt wiele czasu i pieniędzy.

- A dokąd pani jedzie?

- Tak jak powiedziałam agentce Sherlock, jechałam do Cleveland, na rozmowę o pracę. Rodzinny biznes. Tak. Jasne, pomyślał Savich i powiedział:

- Dzień lub dwa wystarczyłyby, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. Suz powiedziała mi, że przy Canvasback Lane jest całkiem przyzwoity hotel. FBI za niego zapłaci.

Kiedy Suzette przyniosła im rachunek, Sherlock zapytała:

- Dlaczego wszystko w Parlow tak dziwnie się nazywa? Rachael już miała odpowiedzieć, ale przypomniała sobie, że przecież była w Parlow po raz pierwszy.

- Horace Bench, bogaty gość, który w latach trzydziestych założył miasto, zajmował

się hodowlą wielu gatunków kaczek. Uznał, że niewielu ludzi rozpoznaje gatunki kaczek, więc dorzucił kilka bardziej znanych, jak canvasback, rosy bill, old squaw. On sam mieszkał na Runners Road, a jego córka mieszkała na Old Hooknose Lane. Sherlock uniosła brew.

- Hooknose? Myślałam, że kaczka nazywa się Hookbill.

- Bo tak jest - powiedziała Suz i uśmiechnęła się.

- A skąd pochodzi nazwa Parlow? - zapytała Sherlock.

- Parlow był indiańskim wodzem, który żył w osiemnastym wieku i wyszukiwał osadników, żeby razem z nim i jego ludźmi co roku świętowali Święto Dziękczynienia. Zawsze przynosił na ucztę pstrągi. Nieźle, co?

- A gdzie jest biuro szeryfa? - zapytał Savich.

- Przy głównej ulicy, nazywa się First Street. Szeryf Hollyfield jest tak uczciwy, że można powierzyć mu swoje oszczędności. Jest też bardzo bystry.

- Kacze nazwy - powiedziała Sherlock, kiedy wychodzili z kawiarni Monk's. Savich niósł torbę Rachael. - Zawsze zdumiewała mnie ludzka wyobraźnia.

Cała trójka została zameldowana w hotelu przez dyrektora hotelu, panią Flint, która nie mieszkała w Parlow na tyle długo, by móc rozpoznać Rachael. Powiedziała im, że Greeb's Pond był najlepszym z luksusowych hoteli w Parlow. On także został nazwany imieniem ulubionej kaczki dziadka obecnego właściciela.

Ich pokoje były przyozdobione kaczymi motywami, od tapet przez dywany, narzuty na łóżkach aż po trzy małe wypchane kacze głowy wiszące na ścianach.

- Ja rozpoznaję tylko dzikie kaczki - powiedziała Sherlock, potrząsając głową. - Wyobraźcie sobie wypychanie kaczych głów. I spojrzcie na tę najmniejszą kaczkę - wygląda jak zabawka. Założę się, że rano zamiast dźwięku budzika obudzi nas kwakanie.

Sherlock najwyraźniej nie miała zamiaru spuścić z oka Rachael, zatem we dwie udały się do kliniki Parlow. Przepchnąwszy się przed kilkoma osobami czekającymi w kolejce do rejestracji, Sherlock pokazała swoją odznakę FBI bardzo młodej recepcjonistce o krótkich, rudych, nastroszonych włosach z czarnymi końcówkami, energicznie żującej gumę. Dziewczyna wskazała im tę samą niewielką salę, w której ostatnio zostawiły śpiącego Jacka. Sherlock zatrzymała się przed wejściem i jeszcze raz spojrzała na swój telefon komórkowy. Nadal nic. Kiedy weszła do środka, Rachael pochyliła się nad Jackiem.

- Wygląda pan lepiej, agencie Crowne, co za ulga. Myśleliśmy, że nadal będzie pan nieprzytomny.

Jack uśmiechnął się. Osłabiający ból głowy był już tylko tępym pulsowaniem, prawdopodobnie dzięki magicznym lekarstwom doktora Posta.

- Spałem od godziny, byłem ledwie przytomny, kiedy ta żująca gumę nastolatka przyszła tutaj, żeby pobrać krew. Tak sobie myślę, Rachael, że nie powinnaś na razie oddalać się, przynajmniej dopóki nie załatwimy tutaj wszystkiego. Jak myślisz?

Rachael uporczywie milczała.

- No dobrze, Sherlock, a gdzie jest Savich?

- Oto i on - odpowiedziała Sherlock i uśmiechnęła się na widok Dillona wchodzącego do pokoju badań.

- No, chłopie - powiedział Savich, ściskając dłoń Jacka. Nie wyglądasz już tak chorobliwie blade. Jak głowa i noga?

- Będę żył.

- To bardzo dobra nowina.

- Agencie Savich, proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój samochód? - spytała Rachael.

- Odholowali twój samochód do najlepszego i najrzetelniejszego mechanika w Parlow - jest godny zaufania jak żaden inny tak powiedział mi Mort, dyspozytor szeryfa Hollyfielda. Ale może zająć się twoim samochodem dopiero za kilka dni - jest bardzo zajęty.

- Jasne - odparła Rachael. - Założę się, że zastraszył go pan i musiał tak powiedzieć.

- To bardzo możliwe - przyznała Sherlock, uśmiechając się promiennie do Rachael. - Jest do tego zdolny.

- Ona czasami lubi podlizać się szefowi - zauważył Savich. - Tak jak powiedziałem, w Parlow jest wielu mechaników, większość działa przy stacjach benzynowych, ale szeryf stanowczo ich odradzał. Jego dyspozytor też. Pewnie wiedzą, co mówią, Rachael.

- Musi tu być jakiś inny godny polecenia mechanik.

- No tak, jest jeszcze jeden, ale coś mu się stało z kręgosłupem i leży w łóżku. - Savich wzruszył ramionami. Zwrócił się do Jacka. - Doktor MacLean nadal jest nieprzytomny, więc nie ma pewności, co mu jest. Mówią, że jego stan jest stabilny. Tommy Jerkins powinien tu być lada chwila, aby zbadać samolot. Sherlock, pójdziesz ze mną? Muszę wykonać parę telefonów z biura szeryfa Hollyfielda. Chcę też upewnić się, czy przysłał strażników do pilnowania doktora MacLeana. Naprawdę czujesz się lepiej? - zapytał Jacka.

- Nie narzekam, a to już coś - odpowiedział Jack.

- To dobrze. Jack, możesz wypytać Rachael, może przypomni sobie coś więcej na temat katastrofy. Pamiętaj, Rachael, że cokolwiek sobie przypomnisz, będzie dla nas wielką pomocą. Do zobaczenia później.

Mam nie spuszczać Rachael z oczu, pomyślał Jack. Kiedy już zostali sami, Jack zapytał:

- Zdradzisz mi w końcu swoje nazwisko?

- Abercrombie - powiedziała. Dlaczego właśnie to idiotyczne nazwisko przyszło jej do głowy? - Jak twoja noga?

- Do wesela się zagoi, dzięki za troskę. Przez tydzień nie będę mógł chodzić na siłownię, potem też będę musiał uważać. - Jack zapiął koszulę, potem zrzucił prześcieradło, którym był przykryty, i ze zdziwieniem odkrył, że ma na sobie tylko bokserki. Szybko naciągnął prześcieradło z powrotem. - Skoro moja głowa nie eksploduje, jestem gotowy, żeby wstać. Doktor Post powiedział, że o ile nie zamierzam startować w maratonie, mogę wstawać. - Uśmiechnął się do niej. - Podasz mi spodnie, Rachael? Są na wieszaku obok drzwi.

Podawała mu brudne, podarte spodnie i wyszła z sali, mówiąc:

- Będziesz w nich wyglądał, jakbyś wrócił z wojny z gangiem narkotykowym.

- Przyjemny obrazek.

Opuścili klinikę Parlow, słuchając, jak pielęgniarka mamrocze pod nosem coś o twardzieli z mięśni zamiast mózgu, Jack trzymał w garści receptę na środki przeciwbólowe. Spojrzawszy na receptę, Rachael powiedziała:

- Chodźmy najpierw do apteki.

- Nie, teraz nie potrzebuję tabletek od bólu.

- Ale niedługo będziesz potrzebował.

- Myślę...

- Zamknij się, Jack.

Jack wziął ją pod ramię, jakby obawiał się, że mu ucieknie, u wiedział, że nie byłby w stanie jej złapać.

- Agent Savich zapewne zarezerwował ci pokój w tym samym hotelu, gdzie wszyscy się zatrzymaliśmy. Kiedy rozejrzysz się wokół, wszystko tutaj kojarzy się z kaczkami. Myślałam, że Old Squaw Lane to pospolita zniewaga, ale nie, to kaczka.

- Oczywiście, że tak. - Jack uśmiechnął się, zmierzając w kierunku apteki. Z całą fiolką środka przeciwbólowego w kieszeni podreptał z Rachael pod rękę do biura szeryfa znajdującego się na końcu First Street, obok budynku straży pożarnej. - Ciekawe, czy strażacy mają tutaj ręce pełne roboty, spójrz tylko na te wszystkie stare drewniane budynki.

- Hej, czy to ty jesteś pilotem tego, co zostało z tej ratunkowej cesny?

Jack uśmiechnął się na widok wysokiej, szczupłej, na oko pięćdziesięcioletniej kobiety o krótkich siwych włosach i wibrującym władcym głose. Stała naprzeciw nich na chodniku, przed wielkim oknem biura szeryfa.



- Tak - odpowiedział Jack, unosząc brew.

- Jestem Dot - Doroty Malone - bardzo głupie imię, ale mój ojciec uwielbiał ją, tę aktorkę. Zdażyłam już trochę przyjrzeć się twojemu samolotowi. Myślę, że to była bomba, ale frajerowi nie udało się podstęp, dzięki Bogu.

- Właściwie - powiedziała Rachael - dzięki Bogu za dolinę Cudlow. Dot pokiwała głową.

- Na pewno, ale ty też wykonałeś kawał dobrego lądowania.

- Dziękuję.

- Szeryf Hollyfield przydzielił strażników do pilnowania szczątków samolotu.

- Bardzo słusznie - powiedział Jack, uściśnął jej rękę i otworzył drzwi do biura szeryfa.

Jack wiedział, że Dot Malone miała rację. Jeżeli bomba zadziałałaby, jak należy, po nim i Timothyem pozostałyby tylko wspomnienia. Na szczęście miał czas, żeby wysłać sygnał SOS i dostrzec wąską dolinę Cudlow rozciągającą się pośród tej niewyobrażalnej masy gór.

Recepcja była pusta, więc Jack i Rachael weszli do dużego pomieszczenia podzielonego na około dziesięć boksów, z których trzy zajęte były przez umundurowanych policjantów, którzy obserwowali każdy ich krok. Jack skinął głową do każdego z mężczyzn i za głosem Savicha podążył do niewielkiego gabinetu szeryfa Hollyfielda. Przez otwarte drzwi widać było Savicha rozmawiającego przez telefon. Rachael popchnęła go na krzesło i przyjrzała mu się uważnie.

- Sądziłam, że czujesz się na tyle dobrze, żeby trochę się przejść, ale jednak nie. Znowu cię boli. Usiądź tu i nie ruszaj się. Tabletki zaraz zaczną działać.

- Nie, jestem...

- Cicho bądź. Teraz powinieneś leżeć i odpoczywać. Odchyl głowę do tyłu i zamknij oczy. Kiedy Savich odłożył słuchawkę, pojawił się Tommy Jerkins.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Savich, Sherlock i szeryf Hollyfield pojechali z Tommym na miejsce katastrofy. Dziesięć minut później, kiedy Jack w końcu poczuł zbawienną moc środka przeciwbólowego i był w stanie widzieć wszystko wyraźnie, razem z Rachael udali się do Greeb's Point, najlepszego hotelu w Parlow. Rachael podtrzymywała go, kiedy pani Flint meldowała go w ostatnim wolnym pokoju.

- To pan jest tym agentem federalnym, którego samolot został zestrzelony i wylądował na autostradzie, prawda? - zapytała pani Flint.

- Mniej więcej - odpowiedział Jack. Rachael pomogła mu wejść po schodach. Pokój był uroczy, z wysokim sufitem i oknami wychodzącymi na Canvasback Lane. Było tutaj

wszystko, czego potrzebował.

- Jeszcze więcej kaczek - powiedział Jack i patrząc na tapetę z kaczym motywem, opadł na łóżko. - Już mi lepiej, Rachael. Możemy pojechać i zobaczyć, co z samolotem. Rany, to łóżko jest wspaniałe i...

Rachael popchnęła go na łóżko. Po kilku sekundach zasnął.

Napełniła szklanek wodą i razem z fiolką z lekarstwem przeciwbólowym postawiła na nocnej szafce obok łóżka.

Przykryła go kocem w kaczki i wróciła do swojego pokoju.

Kiedy dziesięć minut później wychodziła, wyglądała najlepiej jak mogła, ubrana w ciuchy, które miała w torbie.

Kiedy już miała wyjść przez frontowe drzwi, pani Flint zawołała za nią:

- Proszę pani, czy pani też jest agentką FBI? Nie zapisałam pani nazwiska.

- Abercrombie, pani Flint. Nie jestem agentką. Z przyjemnością zawiadamiam, że agent Crowne zasnął. Wie pani może, gdzie mogę znaleźć warsztat Tip Top?

Udała się prosto do warsztatu znajdującego się nieopodal. Była tam tylko jedna osoba, młody chłopak ubrany w zniszczony podkoszulek, dżinsy i czarne trampki siedział na składanym krześle w garażu, żuł gumę i z nogami opartymi o ścianę garażu przeglądał egzemplarz zniszczonego Playboya.

Playboy. Nieźle, to było bardzo obiecujące, pomyślała Rachael, kiedy potykając się o starą chłodnicę weszła do ciemnego pomieszczenia. Kiedy podniosła wzrok, prawie uciekła. Rozpoznała go od razu - to był Roy Bob Lancer. Kiedy ona miała dwanaście lat, on chodził do ostatniej klasy liceum, był kapitanem drużyny futbolowej. Spojrzał na nią i niech go Bóg błogosławi, najwyraźniej jej nie rozpoznał. To było oczywiste, że raczej nie pamiętał chudej dwunastolatki z aparatem na zębach.

Rachael posłała mu zniewalający uśmiech, który miał zawrócić mu w głowie, wzbudzić jego pożądanie i sprawić, że będzie jadł jej z ręki.

- Zastanawiam się, czy to pan odholował pan mój samochód, panie... Zerwał się na równe nogi.

- Lancer, proszę pani, nazywam się Roy Bob Lancer. Ach, to do pani należy ten charger?

- Tak, ale nigdzie go tu nie widzę - posłała mu kolejny oszalamiający uśmiech.

- Jest na zewnątrz, cały i zdrowy.

- Proszę mówić mi Rachael. A ja będę zwracać się do ciebie Roy Bob - powiedziała, znowu szczerząc zęby w uśmiechu. - Jako że nie wiem nic o pompach paliwowych, chcę,

żebyś ją dla mnie naprawił lub wymienił. - Patrzyła na niego przeciągle, wypinając pierś. - Jesteś ekspertem, wszyscy tak mówią. Jesteś też uczciwy, tak twierdzi szeryf i jego dyspozytor. To jak będzie?

- Cóż, proszę pani, nie zdążyłem jeszcze go obejrzeć. Jestem zawałony robotą. - Roy Bob pospieszenie upuścił Playboya i wepchnął go pod otwartą skrzynkę z narzędziami. Spojrzał na najpiękniejszą dziewczynę, jaką widział z tak bliska, odkąd Ellie porzuciła go bez żalu prawie cztery miesiące temu i wyjechała do wielkiego miasta, Waynesboro, gdzie jak twierdziła, mieszkali jej kuzyni. Rachael patrzyła na niego bezradnie, sprawiając, że chciał rzucić świat do jej stóp, ale cóż mógł zrobić? Agent Savich był agentem FBI, a obowiązkiem Roya Boba było nie...

- Wiesz co, Roy Bob? Oprócz tego, że zapłacę za twoje usługi, chciałabym podziękować ci osobiście i zaprosić na kawę do Monk's, a może nawet na drinka w jakieś miłe przytulne miejsce?

Rozpromienił się, ale po chwili potrząsnął głową.

- O, tak, cóż... nie, cholera - przepraszam, że się wyrażam, bardzo bym chciał, no, wie pani, wybrać się z panią na piwo, ale jestem teraz strasznie zajęty... - Wskazał ręką wokół.

Tak, jasne. To z pewnością była sprawka Savicha. Czas poszukać nowego mechanika. Nie, może da mu jeszcze jedną szansę.

- Posłuchaj, Roy Bob, mam do załatwienia bardzo ważną sprawę w Cleveland. Muszę natychmiast tam pojechać. Może razem jakoś byśmy temu zaradzili, może...

Wtedy powietrze przeciął głośny strzał, kula ze świstem przeleciała tuż nad jej ramieniem, odbiła się rykoszetem od krawędzi opony i utkwiała w puszcze z olejem, który wytrysnął na podłogę. Kolejny strzał, tym razem ostry i głośny, kula wbiła się w ścianę jakieś trzydzieści centymetrów nad ich głowami.

- Hej, co to było?

Rachael chwyciła Roya Boba za ramię i pociągnęła w dół między stertę starych opon.

- To była kula. Nie wychylaj się, ktoś do nas strzela.

- Nie, to niemożliwe. To znaczy, kto... Dwie kolejne kule uderzyły w ścianę za nimi.

- Jasna cholera - przepraszam za słowa - masz rację, ale dlaczego? Kto miałby to robić?

- Nie mam pojęcia. - Jednak wiedziała. Odkryli już, że żyje. Ale jakim sposobem? - Roy Bob, masz w swoim biurze telefon?

- Mam.

- Nie ruszaj się stąd.

Wyrzała zza sterty opon, przez okno zajrzała do jego niewielkiego biura i na zagraconym biurku zobaczyła czarny telefon. Drzwi do biura były zaledwie dwa metry od nich. Najpierw jednak wyjęła z kieszeni swój telefon komórkowy i wybrała numer alarmowy. Brak zasięgu.

- Posłuchaj, Rachael...

Kolejny pocisk utkwił w starym fotelu samochodowym, przyczepionym do ściany obok jego głowy. Szybko z powrotem pochylił głowę.

- O rany, o co tutaj chodzi? Czy ty też jesteś z FBI, Rachael, i ktoś cię szuka?

- Roy Bob, muszę dostać się do twojego telefonu.

- Nie, lepiej ja pójde.

Wychylił się na tyle, żeby wyrzeć zza sterty opon. Kolejny pocisk uderzył w filar jakiegoś pół metra od jego głowy, rozpryskując wokół betonowe odłamki i gęsty pył. Jeden z takich odłamków zranił ramię Roya Boba, aż ten krzyknął.

- Nie podnoś się, Roy Bob. Raczej nie masz broni?

- Jasne, że mam. Stary remington mojego taty. Jest schowany za biurkiem przy ścianie, pod jego ulubionym kalendarzem. Nie, zaczekaj! Ja po niego pójde i odstrzelę łeb temu idiocie...

Zbladł, złapał się za ramię i upadł na ziemię, dysząc.

- Powiedz mi, że jest naładowany.

- Tak, w magazynku są dwie kule.

Nie ma czasu, pomyślała, nie ma czasu. Nawet jeżeli ktoś słyszał strzały i powiadomił szeryfa - nie było czasu. Długo już nie pożyją. Ciągłe żyli tylko dlatego, że snajper nie wszedł

do środka i ich nie zastrzelił. Dlaczego tego nie zrobił? Może został ostrzeżony, że ona mogła mieć przy sobie broń. I znowu zastanawiała się, czy pojechali sprawdzić, czy jej zwłoki leżą na dnie jeziora Black Rock. To nieistotne, po prostu ktoś ją widział. Ale jak udało im się ją znaleźć, i to tak szybko? Teraz należało wziąć się w garść, wiedzieli, że tutaj jest, i chcieli ją zabić. Musiała się pospieszyć.

- Zostań tutaj, Roy Bob. Uciskaj ramię, nie wstawaj. Nie prowokuj go.

Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, niedługo oboje będą martwi. Rachael przeczołgała się za starym wiadrem i stertą filtrów oleju. Już prawie. Przez otwarte drzwi wtoczyła się do biura. Znowu rozległ się strzał, tym razem nieomal dostała w głowę, kula trafiła we framugę drzwi. Snajper strzelał zza jej pleców, a to oznaczało, że znajdował się dokładnie naprzeciw wejścia do warsztatu. Sekundy ich życia były policzone. Poczowała wściekłość pomieszana ze strachem. Przetoczyła się między ścianą a biurkiem Roya Boba, przykłękała na kolana, złapała remingtona, dokładnie takiego samego, jak miał wuj Gillette i na jakim ćwiczyła i położyła się na brzuchu na brudnym linoleum. Potem nad jej głową znowu rozległy się dwa strzały. Rachael podskoczyła, załadowała i wystrzeliła w stronę wejścia. Usłyszała męski krzyk i przekleństwa. Trafiła go. W tej chwili czuła się taka silna, niezwyciężona.

- Rzuć broń i wyjdź, żebyś mogła cię widzieć, albo odstrzelę ci łeb! - krzyknęła.

Usłyszała ciężki odgłos uciekających kroków. Zerwała się i wybiegła z warsztatu, zobaczyła go, jak znika za rogiem, i znowu strzeliła. Chybiła, ale była blisko. Odgłos kroków ucichł w oddali. Rachael biegła za mężczyzną, zobaczyła, jak wsiada do czarnego forda i odjeżdża z piskiem opon. Zaczęła za nim biec, ale zdała sobie sprawę, że w rewolwerze nie było więcej kul, a on mógł zobaczyć ją w lusterku wstecznym i chcieć znowu ją zaatakować. Opuściła broń, uśmiechając się groźnie. Zapomniała już, jak to jest być silną i mieć kontrolę. Jak udało im się tak szybko ją znaleźć?

- O rany, to było niezłe, naprawdę niezłe. Ma pani cęła, kątem oka widziałem, jak trzymał się za bolące ramię i uciekał, gdzie pieprz rośnie.

- Mów mi Rachael - powiedziała, podbiegając do telefonu Roya Boba i wybierając numer alarmowy. Dyspozytor Mort poprosił, żeby opisała swoją sytuację. Prawie się roześmiała. Opanowała się jednak i poprosiła o rozmowę z agentem Savichem. Nie było go tam... ale zaraz, zaraz, on i szeryf właśnie weszli.

- Słucham, mówi Savich.

- Jakiś facet próbował nas zabić! Warsztat Roya Boba! Szybko! - krzyknęła do słuchawki.

Kiedy na miejsce przybyli szeryf Hollyfield, Savich i Sherlock, a za nimi wszyscy

zastępcy szeryfa z Parlow, krzyknęła:

- Uciekł czarną furgonetką, fordem, w tamtą stronę! Pierwsze trzy litery na jego tablicy rejestracyjnej to FTE! Chciała jechać z nimi, ale to było ostatnie, czego teraz potrzebowała. Było jej ciężko, ale spokojnie stała i patrzyła.

- Widziałem ten samochód, którym przyjechaliście. Weźcie mojego chevroleta, lepiej się do tego nada - krzyknął szeryf Hollyfield i rzucił kluczyki Savichowi. Spojrzał za nimi i westchnął. Odwrócił się i przyjrzał się Royowi Bobowi i Rachael. Roy Bob trzymał się za ramię i przewracał oczami, nie z bólu, ale z podekscytowania. A Rachael wyglądała na bardzo dumną z siebie.

- Roy Bob, to był dobry strzał. Postrzełeś go w ramię? - zapytał szeryf Hollyfield.

- Nie - odparł Roy Bob. - To nie ja. Szeryf ze zdziwieniem spojrział na Rachael.

- Proszę mi wybaczyć moje zaściankowe ograniczenie. A więc to pani go postrzeliła.

Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co zaszło.

Nie mogła powstrzymać od uśmiechu.

- To było zabawne.

- Tak, jasne. - Szeryf był zawstydzony, że okazał się takim seksistą, i to ją uspokoiło, a nawet sprawiło, że lekko się uśmiechnęła.

- Roy Bob i ja dyskutowaliśmy o tym, jak szybko mógłby naprawić mój samochód, kiedy nad naszymi głowami ze świstem przeleciała kula. Roy Bob by do niego strzelił, ale jak pan widzi, sam został ranny. Doczołgałam się do jego biura, wzięłam pistolet i strzeliłam do tego faceta. Mógł przecież tutaj wbiec i zastrzelić nas oboje, ale tego nie zrobił. Może obawiał się, że Roy Bob ma pod ręką broń, więc czekał i strzelał zza drzwi.

- Nie zorientowałam się - powiedział Roy Bob, nadal tak naładowany adrenaliną, że nie mógł ustać w miejscu i nie zwracał najmniejszej uwagi na krew sączącą się z rany na jego ramieniu.

Że ktoś strzela. Potem były kolejne strzały i ona powaliła mnie na podłogę za tym stosem opon. A facet dalej strzelał.

Dostałem w ramię kawałkiem betonu, a Rachael wczolgała się do mojego biura i wzięła remingtona mojego taty.

Rany, ona wie, jak używać broni, zrobiła to tak dobrze, jak mój dziadek, wstała i strzeliła. Trafiała sukinsyna - przepraszam za wyrażenie - i to za pierwszym strzałem. Znowu strzeliła, ale on uciekał tak szybko, że chybiła.

Przerwał na chwilę i szeroko się uśmiechnął. - Wyjdiesz za mnie, Rachael? Już nie chcę Ellie, ona nie potrafi strzelać powiedział, spojrział na swoje ramię i zbladł. - O rany, ja

krwawię.

Rachael oderwała rękaw koszuli Roya Boba i obwiązała nim jego ramię.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. Pomyślała o swoim samochodzie i doszła do wniosku, że wszystko stracone i będzie musiała go tutaj zostawić.

- A pani, panno Abercrombie? Jak się pani czuje?

- Ze mną wszystko w porządku. - Poczula, że rumieni się z dumy i świeci jak jaskrawy neon. - Trafiłam go, szeryfie, trafiłam.

- Często pani strzela, panno Abercrombie?

- Ostatnio nie. Ale wygląda na to, że nie zapomniałam. To wyszło tak naturalnie, wie pan, o co chodzi?

- Wiem. Więc dorastała pani w otoczeniu broni?

- Tam, gdzie się wychowałam, wszyscy wiedzieli, jak posługiwać się bronią i celnie strzelać.

- Rozumiem. A gdzie to było?

Zanim zdążyła obmyślić wiarygodną odpowiedź, wtrącił się Roy Bob.

- Remington był co najmniej tak stary jak mój ojciec. I nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak sprawnie się nim posługiwał, odkąd zmarł mój dziadek, to było jeszcze w ubiegłym stuleciu.' - Rozpromienił się, patrząc na Rachael. - I proszę spojrzeć, szeryfie, jaka ona jest piękna. Może pan sobie wyobrazić, jak dobrze strzelałyby nasze dzieci i jak pięknie by przy tym wyglądały?

Szeryfowi chciało się śmiać, ale zamiast tego spojrział podejrzliwie na Roya Boba.

- Więc ktoś wchodzi tutaj, ot tak, i zaczyna strzelać. Znowu igrasz z losem, Roy Bob? Jesteś na tyle głupi, żeby zadzierać ze starym panem Pratem po tym, co zrobił ci zeszłej jesieni? Wiesz, że eksploduje jak petarda. Roy Bob wyprostował się.

- Nie, proszę pana. Nie kuszę losu, odkąd Ellie ode mnie odeszła. Byłem zbyt przygnębiony, tylko siedziałem w domu, a moimi jedynymi rozrywkami były piwo i bejsbol.

Szeryf westchnął.

- No dobrze, Roy Bob. Zastępca Glenda zawiezie cię do kliniki.

- Nie, szeryfie, proszę, tylko nie ona. Ostatnio nie była dla mnie zbyt miła. Poza tym, nie jestem obłożnie chory, sam jestem w stanie tam pojechać. Hej, Rachael, wydaje mi się, że wyglądasz znajomo.

- To dlatego, że dobrze strzelam - powiedziała, poklepując go po zdrowym ramieniu.

- W porządku, Roy Bob, jedź do doktora Posta. Co do pani, panno Abercrombie, chcę, żeby pojechała pani ze mną do mojego biura, tam porozmawiamy. Złóż pani formalne

zeznanie. Mam nadzieję, że agentowi Savichowi i agentce Sherlock uda się złapać tego gościa.

- Roy Bob, a co do mojego samochodu...

- Załatwisz mi drugie ramię, jeżeli natychmiast nie naprawię twojej pompy paliwowej, Rachael? Rachael wycelowała w niego palcami złożonymi na kształt pistoletu.

- Mogłabym. Wtedy mógłbyś pomyśleć, że wyglądam jak twoja matka. Roy Bob roześmiał się, po czym jęknął z bólu.

- Później się tym zajmę.

*Ale nie na czas. Jak uwolni się od szeryfa Hollyfielda?*

Szeryf zobaczył, jak do warsztatu wchodzi, a właściwie wbiega jego najmłodszy zastępca, Theodore Osgood, zwany Zębem, bo jeden z jego przednich zębów był do połowy odłamany. Miał dwadzieścia jeden lat, był wielki, muskularny i sapał.

- Ten facet w czarnej furgonetce - wysapał. - Prawie potracił panią Crump, ominął ją, ale przestraszyła się tak bardzo, że uderzyła się o hydrant. Zabieramy ją do kliniki.

Rachael nie słuchała. *Uda mu się uciec, potworom zawsze się to udaje*, myślała.

Minęło dwa i pół dnia, odkąd wrzucili ją do jeziora Black Rock. Nie miało znaczenia, jak dowiedzieli się, że była tutaj, ale ją znaleźli i teraz sytuacja była krytyczna.

Musiała natychmiast wydostać się z Parlow. I dostać się do Slipper Hollow.

Ale jak?



Szeryf miał rację, pomyślał Savich, pędząc jego potężnym chevroletem na prywatne lotnisko sędziego Hardesty. Louie, ich pilot, siedział pod pinią, pykał fajkę i czytał przygody Juana Cabrillo\*. W ciągu pięciu minut byli już w powietrzu.

- Louie, założę się, że on kieruje się na główną autostradę - powiedziała Sherlock do mikrofonu. - Chce zgubić się w ruchu ulicznym, ale nie znajdzie go na tej drodze.

- Przyjąłem - powiedział Savich. - Szukamy czarnego forda pickupa o rejestracji zaczynającej się od liter FTE. Louie zatoczył helikopterem ciasne koło i zmierzał w kierunku skrzyżowania dróg 72 i 75.

- Poza tym jest ranny, zależnie od tego, jak poważny jest uraz, może jechać zygakiem, zemdleć, ale raczej nie ma mowy, że się zatrzyma - powiedziała Sherlock, przebiegając wzrokiem autostradę poniżej.

Louie krążył na wysokości stu metrów ponad autostradą.

- Nie schodźmy już niżej - powiedział Savich. - Ludzie widzieli wystarczająco dużo ataków helikopterów w filmach. Nie chcemy, żeby ktoś zdenerwował się i spowodował wypadek. Ruch zwiększa się.

Pięć minut później Sherlock powiedziała:

- O tam, tam jest. Właśnie skręcił z drogi 75. Jest poza zasięgiem wzroku, korony drzew zasłaniają widok, ale na drodze są koleiny, więc musi jechać wolno.

- Jesteś pewna, że to on? - zapytał Savich.

- Tak, numer rejestracyjny zaczyna się na FTE - krzyknęła Sherlock.

- Louie, leć jakieś osiem kilometrów dalej i tam nas zostawisz. Sherlock, upewnij się, że on zostanie na drodze dojazdowej.

Uśmiechnęła się do niego i uniosła kciuk.

Krajobraz był usłany gęstymi kępami dębów i sosen rozciągającymi się w dolinach pomiędzy wyższymi szczytami. Jakies dziesięć kilometrów dalej Louie wylądował około piętnastu metrów od drogi dojazdowej. Savich i Sherlock wyskoczyli z helikoptera i pobiegli w stronę drogi.

Zaledwie siedem minut potem usłyszeli nadjeżdżające auto. Z wyciągniętą bronią stali w cieniu trzech młodych sosen.

Kiedy samochód przejeżdżał obok nich, Savich wystrzelił lizy kule w kierunku przedniej opony po stronie pasażera, a Sherlock przebiła tylną oponę. Gdy samochód

---

\*Juan Cabrillo - portugalski podróżnik, żył na początku XVI wieku (przyp tłum.).

gwałtownie skręcił i zatrzymał się, Savich wykrzyknął: FBI!

Wysiadaj, powoli!

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się.

- Wychodzę, nie strzelajcie! - krzyknął męski głos.

- Załóż ręce na szyję! - krzyknął Savich. Nie widział mężczyzny zbyt dobrze, ale zobaczył, jak podnosi jedną rękę w górę, na szyję. To dobrze, Rachael postrzeliła go w drugą rękę. Potem, tak szybko, że Savich ledwie miał czas zareagować, mężczyzna podniósł pistolet i oddał sześć strzałów ponad maską samochodu. Savich odpowiedział strzałem, padając na ziemię i przetaczając się.

Mężczyzna schował się za drzwiami, a Savich załadował nowy magazynek do swego sigy i przy wielkim klonie podniósł się na kolana. Kątem oka dostrzegł Sherlock okrążającą samochód z tyłu. Obejrzała się, żeby zobaczyć, czy wszystko z nim w porządku, przykucnęła i pobiegła.

- Żarty się skończyły - krzyknął Savich. - Strzelałeś do mnie. Spudłowałeś. Za minutę będzie tu sześć radiowozów. Chcesz tu umrzeć? Jeśli tak, to dalej, strzelaj do mnie, a ja ci to załatwię. Jeśli nie, rzuć pistolet na drogę tak, żebym mógł go wiedzieć. No już!

Minęły całe wieki, prawdopodobnie dziesięć sekund, zanim mężczyzna zawołał.

- No dobrze, wychodzę. Nie strzelajcie!

Sherlock przyłożyła pistolet do tyłu jego głowy.

- Rzuć to natychmiast. Nawet nie drgnij, bo będziesz trupem. Mężczyzna wzdrygnął się, zaskoczony, po czym rzucił broń pod jej stopy.

- Cieszę się, że nie okazałeś się kompletnym matosem. Dillon, mam go. Nadszedł Savich z pistoletem wycelowanym w klatkę piersiową mężczyzny. Sherlock zdjęła mężczyźnie okulary przeciwsłoneczne.

Patrzyli prosto w oczy człowiekowi, na którego twarzy rysował się ból.

- Rachael nieźle cię urządziła, prawda? - powiedziała Sherlock.

Poruszył się szybko, w dłoni trzymał małego derringera, którego wymierzył w Sherlock. Ale Savich był szybszy.

Strzelił mężczyźnie w przedramię, w którym trzymał pistolet.

Mężczyzna krzyknął, derringer wypadł mu z dłoni, a on upadł jak kamień u stóp Sherlock.

Nie stracił przytomności, ale oddychał ciężko i szybko. Jęczał, trzymając się za przedramię. Drugie ramię miał przewiązane zabrudzoną olejem szmatą. Savich podniósł derringera.

- Byłeś szybki.

- Ale nie wystarczająco szybki - powiedziała Sherlock i kopnęła go w zębra.

- Suka - wycedził mężczyzna.

- Tak, wszyscy frajerzy tak mówią - powiedziała Sherlock i uklękła, żeby skuć mu rękę z przodu. Dała mu chusteczkę do nosa.

- Masz, przyciśnij do przedramienia. Nic ci nie jest, Dillon?

- Nie, nic. - Miał ochotę powiedzieć jej, że mało nie zemdłał, kiedy facet wyciągnął derringera.

- Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, kim jest ten bałwan. Hej koleżko, powiesz nam, jak się nazywasz? - zapytała Sherlock.

Wymamrotał coś, w jego słowach ciągle słychać było złość i jad.

- Nie wydaje mi się, żeby był do tego zdolny - powiedziała Sherlock, znowu lekko kopiąc go czubkiem buta.

- - Kto cię wyszkolił? Na pewno byłeś szkolony. Zabójca do wynajęcia, tak? - zapytał Savich.

Mężczyzna nie powiedział nic, tylko mamrotał i przyciskał chusteczkę do przedramienia. Savich przeszukał jego kieszenie, ule znalazł tylko pół paczki gumy do żucia i nóż szwajcarskiej minii.

- Obawiałeś się, że cię złapiemy, więc wyrzuciłeś portfel, tak? - zapytała Sherlock. - To jedyna rzecz, jaką dziś dobrze zrobiłeś. Pewnie ukradłeś tę ciężarówkę, tak? Ale wiesz co, złamasie, założę się, że wcześniej byłeś notowany i jesteś w naszym systemie. Bardzo szybko będziemy wszystko o tobie wiedzieć.

Czterdzieści pięć minut później, mężczyzna znalazł się na sali operacyjnej w szpitalu okręgowym imienia Franklina, dwa piętra niżej od znajdującego się w śpiączce doktora Timothy'ego MacLeana.

Sherlock zadzwoniła do biura szeryfa Hollyfielda, rozmawiała z Jackiem i kazała mu pilnować Rachael. Ona i Savich spotkali się z doktorem Hallickiem w sali, w której leżał MacLean.

Savich i Sherlock nigdy nie poznali doktora Timothy'ego MacLeana, widzieli tylko jego zdjęcia. Jack mówił o jego dobroci, poczuciu humoru, niezwykłej przenikliwości i empatii. MacLean i ojciec Jacka byli przyjaciółmi z dawnych czasów i ich rodziny znały się od zawsze. MacLean kiedyś świetnie grał w tenisa i miał jednego wnuka, syna drugiej córki. Oboje w milczeniu patrzyli na jego woskową, szarą twarz. Z tymi wszystkimi przewodami, które utrzymywały go przy życiu, zastanawiali się, czy jest szansa, że kiedykolwiek wróci do

siebie. Wyglądał na wysuszonego i dekadę starszego niż jego czterdzieści dziewięć lat.

Doktor Hallick osłuchiwał serce pacjenta, sprawdził jego puls i wyprostował się.

- Prawie byliśmy zmuszeni podłączyć go do respiratora, gdy jego oddech stał się nierówny. To dziwne, ale rezonans magnetyczny nie wykazuje żadnego oczywistego urazu w mózgu, z wyjątkiem niewielkiego obrzęku. W rezultacie nie wiemy, dlaczego doktor MacLean nie wybudza się. Ale mózg wciąż w pewnym sensie jest dla nas tajemnicą. Zauważyliśmy zanikanie - kurczenie się przednich płatów mózgu. Państwa kolega, agent Crowne, zadzwonił do mnie i pomógł nam nawiązać kontakt z jego lekarzami na Duke University. Niestety dla doktora MacLeana, doszli do wniosku, że miał objawy demencji płata czołowego, jeszcze zanim to się stało. To straszne, że człowiek tak wybitny jak doktor MacLean traci rozum tak wcześnie.

- Tak, poinformowano nas o tym, doktorze. Czy demencja płata czołowego jest powodem niewybudzania się ze śpiączki? - zapytała Sherlock.

- Mało prawdopodobne, ale według doktora Kelly'ego, naszego neurologa, mamy bardzo małe doświadczenie w tej dziedzinie. - Wzruszył ramionami. - Możemy tylko patrzeć i czekać. Ma dwa złamane żebra. Zszyliśmy ranę ciętą na jego klatce piersiowej i mamy na nią oko.

Co do ich strzelca, dalej był na sali operacyjnej. Wcześniej zdjęli jego odciski palców i wkrótce dowiedzą się, kim jest. Savich i Sherlock nie mieli wątpliwości, że figurował w ich bazie.

Kiedy wychodzili z sali doktora MacLeana, zobaczyli szeryfa Hollyfielda opartego o ścianę.

Zmienił ogrodniczki na czarne spodnie, białą koszulę, wełnianą marynarkę i eleganckie buty. Był szczupłym człowiekiem o przyjemnym wyrazie twarzy, ciemnych oczach, które patrzyły z przenikliwością charakterystyczną dla większości gliniarzy.

- Co mówią o doktorze MacLeanie? Dojdzie do siebie?

- To dość skomplikowane - powiedział Savich. - Tęsknię za pana poprzednim stylem.

- Jasne, Jack powiedział to samo. Niech pan posłucha, agencie Savich, komplikacje to moja specjalność. Dlaczego nie mówi pan do mnie Dougie?

Savich spojrzał na niego.

- Nie mogę.

Szeryf Hollyfield uśmiechnął się.

- No tak, rozumiem.

- Ale Dougie pasowało do ogrodniczek - powiedziała Sherlock.

- Jasne, chodźmy do kawiarni na kawę. Opowiecie mi, jak to było z tym facetem. Jackowi i Rachael nic się nie stało, więc możecie się o nich nie martwić. Musiałem zostawić ich w Parlow, bo Jack wciąż nie wyglądał zbyt dobrze. Odniosłem wrażenie, że nie zamierzał spuścić jej z oczu. Wrócili do hotelu.

Podczas gdy Savich sączył swoją herbatę, Dougie powiedział:

- Zanim zostawiłem Jacka i Rachael i przyjechałem tutaj, Tommy Jerkins, wasz ekspert z FBI, zdał mi raport. Znalazł resztki materiału wybuchowego, mówi, że to Semtex, ale detonator źle funkcjonował, nie odpalił całego materiału wybuchowego. Po tym, jak koła uderzyły o ziemię, wybuchło paliwo i resztki Semtexu. Tommy mówi, że Jack jest szczęściarzem. Nawet bez wybuchu bomby cesna była wystarczająco niesprawna, by zawieźć go prosto do nieba. Wiedząc, jak niedostępne są góry, nawet gdyby bomba zdmuchnęła ich z nieba, wszystko wskazuje na to, że podczas poszukiwań nie znaleziono by i nie uratowano żadnego z nich, ani nawet szczątków, żeby coś ustalić.

Prawdopodobnie uznano by to za błąd pilota. Jack mówi, że będzie mu brakowało tego samolotu - kontynuował szeryf. - Powiedział mi, że sporo z tą maszyną przeżył. Poradziłem mu, że może kupić jej wieniec.

- Osoba, która stoi za tym usiłowaniem zabójstwa, na pewno znów spróbuje targnąć się na życie doktora MacLeana - stwierdziła Sherlock. - To był trzeci raz, dlaczego miałby znowu nie spróbować?

- Może też czyhać na życie Jacka, jeżeli dojdzie do wniosku, że doktor MacLean powiedział Jackowi o ciemnych interesach swoich pacjentów, może nawet zdradził mu, gdzie ukryli dowody.

- Nasze laboratorium zbada to, co zostało z bomby, i może uda się określić, skąd pochodziła - powiedział Savich. - Nasi ludzie w Lexington są już na lotnisku, przepytują wszystkich. Ktoś musiał coś widzieć.

- Jack twierdzi, że doktor MacLean nie zdradził mu żadnych tego typu szczegółów - poinformował szeryf Hollyfield.

- To było wtedy, kiedy Jack powiedział, że nie był do tego zdolny. Zapytałem go, jak to możliwe, a on odpowiedział, że doktor MacLean nic nie pamiętał.

Nagle szeryf Hollyfield przybrał poważną minę.

- Czy ktoś raczy mi to wyjaśnić?

Jasno i ostro, pomyślał Savich, tak działał mózg szeryfa Hollyfielda. Spojrzał na Sherlock. Kiedy ta pokiwała głową, powiedział:

- Doktor MacLean cierpi na postępujące zaburzenie mózgu zwane demencją płata

czołowego. Rokowania nie są zbyt dobre.

- Demencja? Ale przecież on nie jest stary.

- To prawda - przyznała Sherlock. - Demencja płata czołowego może dotknąć ludzi w wieku średnim.

- A jakie są objawy?

- Choroba pozbawia go zahamowań, sprawia, że mówi i robi nietypowe rzeczy - jak na przykład mówi księdzu po nabożeństwie, że jest świętoszkowatym zarozumialcem, albo kobiecie, że wygląda grubo, albo napada na faceta, gdy ten gapi się na jego żonę - i tym podobne gafy. Czasami pamięta, że to robi, czasami nie. Jeżeli pamięta, stara się o nich zapomnieć, gdyż nie uważa, że powiedział coś niewłaściwego. Skoro więc jego choroba postępowała, doktor MacLean zaczął opowiadać o swoich sławnych pacjentach nawet swojemu partnerowi do gry w tenisa. O sprawach objętych tajemnicą lekarską. Niekoniecznie pamiętał, że coś komuś wyjawiał, a jeżeli nawet tak było, uważał, że to nic wielkiego. Może pan sobie wyobrazić, szeryfie Hollyfield, że to nieciekawa sytuacja, bo ma wielu stawnych i bardzo wpływowych pacjentów. Praktykuje w Waszyngtonie, więc mówimy o wielu politykach, gwiazdach filmowych i grubych rybach biznesu. Doktor MacLean cieszył się bardzo dobrą opinią, był znany ze swojej dyskrecji, zanim dotknęła go choroba. Szeryf Hollyfield z dezaprobatą popatrzył na śmietniczkę opartą o ścianę w kącie kawiarni.

- Dziękuję za wyczerpujące wyjaśnienia, agencie Savich. To wiele wyjaśnia. Ktoś postanowił wyeliminować go, by chronić siebie.

Savich pokiwał głową.

- W zależności od tego, co i komu wyjawiał doktor MacLean, mogłoby to zniszczyć reputację i kariery pacjentów, a nawet sprawić, by wylądowali w więzieniu. Co do jednej osoby jesteśmy pewni, że doktor MacLean z nim rozmawiał. Był to, jak już wspominałem, jego wieloletni partner do gry w tenisa, Artur Dolan, który zginął w piątek dwa tygodnie temu, po tym, jak jego samochód zjechał z drogi i spadł z klifu niedaleko Morristown w stanie New Jersey. Sprawy dotąd nie wyjaśniono, ale lokalna policja skłania się ku stwierdzeniu, że był to wypadek. FBI przesłuchuje rodzinę i przyjaciół MacLeana. Rzeczywiście rozmawiał z wieloma przyjaciółmi i wyjawiał sporo pikantnych szczegółów. Jednak tym, do których dotarliśmy, nie podał żadnych nazwisk pacjentów.

- Jednak, ktokolwiek za tym stoi - powiedziała Sherlock - bał się, że Artur Dolan prędzej czy później zdradzi jakieś nazwiska, więc na wszelki wypadek go zabił.

- Cóż za zapobiegawczość - westchnął szeryf. - To świadczy o tym, że miał silny motyw, prawda?

- Owszem - zgodził się Savich.

- Czy doktor MacLean pamiętał na tyle z tego, co opowiadał swojemu przyjacielowi, żeby się bać? - zastanawiał się szeryf.

- Jack twierdzi, że Molly, żona doktora MacLeana, nie wierzy, że to był wypadek. Wiedziała, co robił Timothy, i oszalała z niepokoju. Zadzwoiła do jego rodziny w Lexington i powiedziała, co się dzieje. Potem w Waszyngtonie, niedaleko ich domu ktoś próbował przejechać go samochodem. Polecieli więc do Lexington potem pojechali do Durham, żeby tam zdiagnozował go lekarz z Duke University. Po zamachu na jego życie w Lexington, pani MacLean zadzwoniła do Jacka z prośbą o pomoc. FBI wyjaśniła sprawę, a Jack przyleciał samolotem, żeby go zabrać. I wtedy to się stało.

- Czy w tej chwili doktor MacLean jest pod wpływem leków? - zapytał szeryf Hollyfield. - Czy można powstrzymać postęp choroby?

- Niestety, na tę przypadłość nie ma skutecznego lekarstwa - powiedziała Sherlock. - Będzie postępowała aż do śmierci. Pager szeryfa Hollyfielda zadzwonił. Spojrzał na numer, przeprosił i wyszedł w poszukiwaniu telefonu. Wrócił po pięciu minutach.

- To był Jack. Mówił, że Rachael grozi, że pójdzie do warsztatu Roya Boba i ukradnie jeden z jego samochodów. Powiedział, że nie czuje się na siłach, żeby ją gonić ani próbować utrzymać na miejscu, więc prosi, żebyście wrócili i skłonili ją do powiedzenia prawdy.

Szeryf Hollyfield spojrział na nich uważnie.

- Nie wydaje mi się, żebyście w najbliższym czasie zaznali spokoju. Wracajmy do Parlow i dowiedzmy się od Rachael, dlaczego ktoś próbował ją zastrzelić w warsztacie Roya Boba.

- Przerwał na chwilę. - Dlaczego miałyby coś przed wami ukrywać? Bo przecież ona jest dziewczyną Jacka, tak?

- Myślę, że ona chce uruchomić samochód bez kluczyka. Zagroziłem, że zamknę ją w celi, ale nie chciałybym tego robić, bo w końcu uratowała mi życie. Potrzebuję pomocy - powiedział Jack do Sherlock, kiedy wraz z Savichem i szeryfem weszli do biura szeryfa.

- Jeżeli spróbuje to zrobić, to dobrze, będziemy mogli ją aresztować - zdecydował Savich.

Szeryf Hollyfield zajął miejsce za biurkiem i gestem wskazał im miejsca na przeciw. Popatrzył na każdego po kolei, kręcąc głową.

- Nigdy nie przypuszczałam, że federalni mogą być tacy zabawni.

Rachael mimowolnie zaciskała ręce. Zauważyła to i była na siebie zła. Czy tak szybko się poddała? Ujrzała utkwione w niej wyczekujące spojrzenia.

- Nie mam pojęcia, jak uruchomić samochód na styk - powiedziała.

- Jestem szeryfem Parlow, panno Abercrombie - oznajmił szeryf Hollyfield. - Chciałbym, żeby pani powiedziała mi, dlaczego ten frajer, który aktualnie przebywa w szpitalu okręgowym Franklina, chciał panią zabić.

Rachael wiedziała, że każda z osób przebywających w tym biurze mogłaby błyskawicznie zidentyfikować ją po tablicach rejestracyjnych. Jeżeli chodziło o zabójcę, nie miała wątpliwości, że to była ich sprawka - najwyraźniej Quincy i Laurel wiedzieli już, że żyła.

Przypuszczała, że jeżeli już musiała komuś zaufać, to może to być trójka agentów FBI i szeryf. Powoli pokiwała głową, patrząc na każdego z nich.

- Nie ma powodu, żebym dalej milczała. Nie wiem, co możecie zrobić, ale być może jesteście w stanie mi pomóc. Jeśli w FBI będą przecieki... cóż, to nie ma teraz znaczenia, tak? Oni wiedzą już, że żyję. Pewnie powiedzielibyście, że jestem takim doktorem MacLeanem. Ludzie, którzy mnie ścigają, nie spoczną, dopóki żyję.

- A więc, Rachael, opowiedz nam wszystko - poprosił Jack.

- Kiedy wróciłam do domu w ostatni piątek, na progu znalazłam butelkę czerwonego wina razem z dokumentami, które zostawił dla mnie mój prawnik, Brady Cullifer. Szczerze mówiąc, byłam przygnębiona, zmęczona i opróżniłabym całą butelkę wina, gdyby nie to, że potwornie bolała mnie głowa. Na szczęście dla siebie wypiałam tylko jeden kieliszek, bo do wina dodano środki odurzające. Przestały działać, kiedy wynosili mnie na pomost. Było ich dwoje, jedno trzymało mnie pod rękę, drugie za nogi. Nie związali mi nadgarstków, tylko przywiązali mi ręce wzdłuż tułowia. Ale związali mi nogi w kostkach. Przypuszczam, że



zanim wrzucili mnie do jeziora, musieli przywiązać do liny obciążnik, chociaż dokładnie tego nie pamiętam. Wrzucili mnie do wody, tak daleko, jak dali radę. Balast pociągnął mnie za sobą na dno. - Jej głos zaczął drżeć. - Przepraszam.

Sherlock wcisnęła jej w dłoń kubek wody.

- Wypij to i oddychaj głęboko. Rachael wypiła.

- Już mi lepiej, przepraszam. Na szczęście miałam na tyle rozsądku, że zachowywałam się cicho, więc nie zauważyli, że się ocknęłam. Przed zanurzeniem instynktownie wciągnęłam haust powietrza. Nie chciałam umierać. Nie wiedzieli, że na studiach osiągałam świetne wyniki w pływaniu na długie dystanse i dobrze panowałam nad oddechem. Uwolniłam ręce, potem nogi i wypłynęłam na powierzchnię.

Usłyszała, jak Jack przeklął pod nosem, i spojrzała na niego. Chyba wcześniej nie wiedziała nikogo tak wściekłego. To dodało jej otuchy i przywróciło równowagę.

- Jesteś zupełnie wyjątkowa, Rachael - powiedział rzeczowo Savich. - Mam nadzieję, że o tym wiesz. Nie spanikowałaś i nie utonęłaś i uwolniłaś się sama.

- Prawdę mówiąc, byłam przerażona, ale nie chciałam umierać. Cofnęłam się, żeby nie mącić wody, bo wiedziałam, że będą stać na pomoście i patrzeć, czy spod wody nie wydobywają się pęcherzyki powietrza. Pod wodą podpłynęłam pod pomost i tam nie ukryłam. Słyszałam, jak się oddalają, rozmawiając, ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy to byli mężczyźni, czy kobiety. Widziałam tylne światła odjeżdżającego samochodu. Doszłam do małej knajpki w Oranack, w stanie Maryland i stamtąd wzięłam taksówkę do domu.

Przerwała na chwilę i odetchnęła głęboko.

- Z domu wyszłam najszybciej, jak się dało. Jechałam tylko nocą, dotarcie tutaj zajęło mi dwa i pół dnia, bo... prawdę mówiąc, bałam się. Miałam nadzieję, że zgubię się gdzieś na bocznych drogach. Chciałam być pewna, że już po wszystkim, że oni wierzą, że nie żyję i nie będą jak złe duchy, które czyhają na moje życie. Ale myliłam się. Dowiedzieli się - nie mam pojęcia jak?

- Ktoś musiał cię widzieć - powiedziała rzeczowo Sherlock. - Widziałaś kogoś, kiedy wróciłaś do domu albo kiedy wyjeżdżałaś?

Rachael pokręciła głową.

- Nie, ale skupiłam się na pakowaniu rzeczy i wydostaniu się stamtąd. Ma pani rację, Sherlock, to brzmi sensowniej niż nurkowanie w jeziorze i sprawdzanie, czy moje ciało tam leży. Tak czy inaczej, jakoś dowiedzieli się, że żyję i dokąd jadę. Działali bardzo szybko.

Przerwała na chwilę, spojrzała na przysłuchujących się jej.

- Wierzycie mi?

- Tak - odparła Sherlock. - O, tak.

- Czy jest ktoś, kto mógłby zgłosić pani zaginięcie? - zapytał Savich. Rachael pokręciła głową.

- Ten człowiek, który próbował zabić mnie w warsztacie Roya Boba, wiecie, kim on jest?

Sherlock wyjęła z kieszeni kurtki niewielki notatnik, otworzyła go i powiedziała:

- Nasz snajper nazywa się Roderick Lloyd, ma trzydzieści dziewięć lat, prawdopodobnie jest dziennikarzem i pracuje jako wolny strzelec. Nie ma żony, mieszka w Falls Church. Wcześniej szedł na złą drogę - jako nieletni był notowany za rozboje i wielokrotne kradzieże samochodów, napady na osiedlowe sklepy. Kiedy miał szesnaście lat, jego matka porzuciła go, wyszła ponownie za mąż i przeniosła się do Oregonu. Mądra kobieta. Potem było usiłowanie zabójstwa funkcjonariusza Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami podczas policyjnej obławy, wtedy wpadł. Spędził marne osiem lat w zakładzie karnym na przedmieściach Detroit. Nie odsiedział całego wyroku, prokurator skrócił mu wyrok w zamian za wydanie dwóch większych dilerów narkotykowych.

- Pan Maitland właśnie załatwia nakaz i nasi ludzie pójną dokładnie przeszukać jego mieszkanie. Dillon może sprawdzić potencjalnych pracodawców, zagraniczne konta bankowe - powiedział szeryf. - Personel szpitala Franklina twierdzi, że kiedy się ocknął, zażądał adwokata. Więc to na pewno on.

- W ciągu dwóch lub trzech dni wyjdzie ze szpitala i nasi ludzie odwiozą go do Waszyngtonu. Jego zdjęcie powinno za chwilę przyjść faksem, szeryfie - oznajmił Savich.

Szeryf Hollyfield pokiwał głową.

- Dobra robota. Cokolwiek to znaczy, sprawdziłem skłonności hazardowe Roya Boba. Nic. Doktor Post zszyl jego ramię. Nic mu nie będzie.

- Ten człowiek - powiedziała Rachael - Roderick Lloyd, nie mam pojęcia, kto to jest. Nic mi nie mówi jego nazwisko, nigdy wcześniej go nie widziałam. Na litość boską, Jack, usiądź, zanim upadniesz. Powinieneś być zostać w łóżku, idioto.

- Ja? Idiota?

- Tak, ty. Znowu będzie cię bolała głowa. Mogę się założyć. Musisz wziąć kolejną tabletkę przeciwbólową.

Jack nie był zbyt zaskoczony, kiedy Sherlock poklepała go po ramieniu i podała mu kubek wody. Ale on nie chciał brać więcej tabletek. Mieszały mu w głowie.

- Posłuchaj mnie, Jack - powiedziała Rachael. - Ból ma zły wpływ na proces zdrowienia, więc nie udawaj twardziela.

- To prawda, Jack - zgodziła się z nią Sherlock. - Do dna. Połykając tabletkę, nie spuszczał wzroku z Rachael.

- Nie chciałaś nam niczego powiedzieć, bo tak bardzo bałaś się, że dowiedzą się, że żyjesz, i znowu będą próbowali cię zabić? Cóż, milczałaś, a i tak cię znaleźli. Zgadzam się z Sherlock. Jest bardzo prawdopodobne, że ktoś cię widział, może jeden z twoich niedoszłych zabójców był w twoim domu lub przyjechał, kiedy ty wyjeżdżałaś.

- Albo - wtrącił Savich - może chcieli wziąć coś z twojego domu, zobaczyli cię i pewnie się wkurzyli.

- Naprawdę nikogo nie widziałam, kiedy wróciłam do domu, ani żywego ducha. Byłam tam tylko przez chwilę.

- Wiedzieli, że pani tutaj jedzie - powiedział szeryf. - Powiedziała pani, że nie pochodzi stąd. Więc gdzie pani mieszka?

- Skłamałam. Dorastałam tutaj - nie w samym mieście. Ale nie zamierzałam się tutaj zatrzymać. Chciałam ukryć się w Slipper Hollow i zastanowić się, co dalej zrobić.

Szeryf Hollyfield rozparł się na krześle.

- Ale przecież nawet miejscowi nic nie wiedzą o Slipper Hollow. Nawet nie wiem, gdzie to dokładnie jest. Nigdy nie byłem tam wzywany.

- Slipper Hollow? - zdziwił się Savich.

- Tam dorastałam. To miejsce jest ukryte pomiędzy górami, mieszka tam tylko mój wuj Gillette. Tam, z nim, byłabym bezpieczna i mogłabym pomyśleć, co dalej robić.

Jack ożywił się.

- Chcesz się zemścić, tak? - zapytał.

- Tak, chcę ich zdemaskować. Muszę tylko wymyślić, jak to zrobić. Sytuacja znowu się zmieniła.

- Ciągłe mówisz „oni”. Wiesz, kto próbował cię zabić? - zapytał Savich.

- Owszem.

- Więc kto?

Rachael wzięła głęboki oddech. Potem uśmiechnęła się.

- No dobrze, żadnych więcej tajemnic. Wydaje mi się, że to Abbottowie.

- Ci Abbottowie? - powtórzył Jack z niedowierzaniem.

- Masz na myśli senatora Johna Jamesa Abbotta z Maryland? I jego rodzinę? - upewniła się Sherlock.

- Tak.

- Kim ty jesteś, Rachael? - zapytał Jack, pochylając się do przodu na krześle.

- Jestem nieślubnym dzieckiem Johna Abbotta. Po dłuższej chwili milczenia Jack powiedział:

- Z jednej strony cieszę się, że nie chodzi o jakiegoś mafijnego bossa, to byłoby zbyt banalne. Albo szalonego terrorystę, który wciela w życie dżihad. Zastanawiam się, dlaczego Timothy i ja nie mogliśmy zostać uratowani przez matkę miejscowego piłkarza? Jesteś nieślubną córką senatora?

- Tak. Nie wiedziałam nic o moim ojcu, kim jest, ani gdzie mieszka. Dopiero dwa miesiące temu moja matka w końcu mi powiedziała.

- I twierdzisz, że rodzina senatora Abbotta próbuje cię zabić? - zapytał Savich.

- Tak, dokładnie to mam na myśli.

- Zaraz, zaraz - powiedziała Sherlock. - Zatrzymajmy się na chwilę. Gdzie jest twoja matka?

- Mieszka w Richmond ze swoim mężem i moim przyrodnim bratem Benem. Jak wcześniej mówiłam, mój wuj Gillette w tej chwili jest jedynym mieszkańcem Slipper Hollow. Właściwie tam dorastałam, a Parlow było najbliższym miastem. Kiedy miałam dwanaście lat, razem z mamą przeprowadziłyśmy się do Richmond.

- Rachael - powiedział Jack. - Masz około trzydziestu lat! Dlaczego twoja matka czekała tak długo, zanim powiedziała ci, że twoim ojcem jest John Abbott?

- Twierdziła, że chciała poczekać, aż umrze jego ojciec - Carter Blaine Abbott. Zmarł cztery miesiące temu.

- Ten Carter Blaine Abbott? - szeryfowi Hollyfieldowi opadła szczęka. - No tak, zapomniałem, że senator Abbott był jego synem.

- Ten staruszek był legendą - powiedział powoli Savich, nie spuszczać wzroku z twarzy Rachael. - Miał poważanie i wpływy wśród wielu światowych przywódców, zarówno w polityce, jak i w biznesie. Myślę, że prezydent odetchnął z ulgą, kiedy ten stary wyzyskiwacz w końcu umarł.

Sherlock pokiwała głową.

- Czytałam, że rodziną rządził jak swoim imperium: zachowujesz się niewłaściwie, on cię niszczy.

- Nie zniszczył Jimmy'ego - mojego ojca.

- To prawda. Ciekawe dlaczego?

- Jimmy twierdził, że jego ojciec naprawdę zaczął wierzyć, że jego najstarszy syn będzie dobrym prezydentem, ale tylko jeżeli jego stary poczciwy tata - Carter Blaine Abbott - będzie nadal żył i powie mu, jak sobie radzić. Jimmy mówił, że to był jedyny raz, kiedy jego ojciec zmienił zdanie na jakikolwiek temat.

- Do diabła, Rachael - powiedział Jack. - Włos na głowie się jeży. Naprawdę jesteś spokrewniona z tymi ludźmi?

- Niestety tak - odparła Rachael.

- Powiedziałaś, że twoja matka chciała poczekać z powiedzeniem ci prawdy, aż staruszek umrze. Dlaczego? - zapytała Sherlock.

- Twierdziła, że niechętnie to przyznaje, ale nadal boi się tego starego drania. Chociaż

wiedziała, że intelektualnie pozostał z niego tylko spróchniały pień, wciąż wyczuwała od niego wrogość, od której śniły jej się koszmary.

- Opowiedz nam, co się stało - poprosił Savich. Rachael spojrzała na wielkiego agenta FBI, który wyglądał, jakby na śniadanie jadł gwoździe. Skupił na niej całą swoją uwagę i to było onieśmielające. Pochylił się nad nią i poklepał ją po ramieniu.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

To ją załamało. Oparła się o ścianę, spojrzała po kolei na każdego z nich, chwilę dłużej zatrzymując wzrok na twarzy Jacka. Pomyślała, że wyglądał zbyt blado.

- Było jasne, że moja matka bała się Cartera Abbotta. Kiedy dowiedział się, że jego najstarszy syn - jego przepustka do nieśmiertelności - spotyka się z moją matką, dziewczyną z małego miasteczka, bez rodowodu i majątku, w jego pojęciu nie mógł być szczęśliwy. Miał bzika na punkcie pochodzenia.

- A co właściwie twój ojciec tutaj robił? - zapytała Sherlock.

- Mama mówiła, że syn właściciela lokalnego młyna był dobrym przyjacielem Jimmy'ego. Wtedy jeszcze był tutaj młyn. Aż pojawił się pan Abbott i zabrał ich obu na wakacje do Hiszpanii. Jak się pewnie domyślacie, rodzina właściciela nie protestowała.

Jack pokiwał głową.

- No dobrze, twoja matka zaszła w ciążę. Nie powiedziała o tym twojemu ojcu?

- Nie, nikomu nie powiedziała. Musiała powiedzieć wujowi Gillette, swojemu bratu. Ich rodzice, a moi dziadkowie, już wtedy nie żyli. Powiedziała mi, że przez długi czas była rozgoryczona i wściekła. I przerażona. Była wstrząśnięta, kiedy jakieś pięć miesięcy później dostała list od Cartera Abbotta. Napisał, że wie, że jest w ciąży, ale nie pozwoli jej obwiniać jego syna i wciągać w to jego rodziny. Jeżeli kiedykolwiek piśnie o tym choć słowo, jeżeli będzie próbowała kontaktować się z jego synem, on zajmie się nią i jej bachorem. Co miał na myśli? - Rachael wzruszyła ramionami. - Mama była pewna, że chciał zabić ją i dziecko. Dołączył czek na pięć tysięcy dolarów. Mama podarła ten czek. Urodziła mnie, i jak się okazało, dopóki byłam nastolatką, nie byłam podobna do żadnego z nich. Ale w wieku osiemnastu lat byłam już podobna do senatora Johna Jamesa Abbotta jak dwie krople wody, chociaż nikt tego podobieństwa nie zauważał. I założę się, że wy też byście nie zauważyli, gdybyście nie znali tej historii. Więc Jimmy nie wiedział o mnie, dopóki nie pojawiłam się w drzwiach jego biura w Kapitolu, parę tygodni po tym, jak moja mama w końcu powiedziała mi o nim. Nie chciałam tam iść. Byłam na niego zła, chociaż mama przysięgała, że on o mnie nie wiedział. Pamiętam, że jak miałam pięć lat, zapytałam ją o mojego ojca. Nic mi nie powiedziała, ale widziałam, jak później płakała w swoim pokoju i nigdy więcej nie

poruszałam tego tematu.

Rachael westchnęła głęboko, zanim podjęła opowieść.

- Przekonała mnie, żebym dała mu szansę. Powiedziała, że nie wie, jak on mnie przyjmie, ale czy nie warto spróbować?

Zgodziłam się z nią. Nadszedł czas, żebym poznała człowieka, który mnie spłodził. Nie miałam pojęcia, gdzie mógł mieszkać, tak samo moja matka, więc poszłam do jego biura. Wracał właśnie z lunchu ze swoim współpracownikiem, Gregiem Nicholsem. Zobaczył mnie, jak stoję i na niego patrzę. Nie wierzył własnym oczom, potem uśmiechnął się szeroko i wypowiedział imię mojej matki: Angela. Nie czekał na odpowiedź, zaprosił mnie do swojego biura, ignorując współpracowników i wyborców czekających na niego. Nadal pamiętam ten jego promienny uśmiech. Złapał mnie za rękę i zaczął tańczyć ze mną wokół gabinetu. Potem przytulił mnie tak mocno, że myślałam, że popękają mi żebra - jej głos zaczął drżeć, pochyliła głowę. - Nie wyraził najmniejszej wątpliwości, że jestem jego córką. Uwierzcie mi, nigdy nie oczekiwałam czegoś takiego, pomimo że podobieństwo między nami było uderzające. To było... cudowne. Po chwili Jack zapytał:

- Senator Abbott ma jeszcze inne dzieci, prawda?

- Tak, natychmiast zyskałam dwie siostry przyrodnie. Jimmy i jego żona rozwiedli się jakieś dziesięć lat temu. Jego była żona mieszka w Vail, w stanie Kolorado, a obie jego córki wyszły za mąż. Odniosłam wrażenie, że Jimmy i Jacqueline - jego była żona, nie kochali się. Nie ożenił się ponownie, powiedział mi, że nigdy nie chciał. Mówił, że widuje córki dwa razy w roku, przeważnie wyjeżdżają razem na narty, a święto Dziękczynienia spędza ze swoim bratem, Quincym, siostrą Laurel i jej mężem Stefanosem Kostasem i ich dwoma synami w rezydencji Kostasów, na przedmieściach Hailstone. Mówił, że święto Dziękczynienia jest zawsze bardzo uroczyste, ale raczej smutne. Opowiedziałam mu wszystko o Slipper Hollow, wuju Gillette i o naszym wspólnym życiu, poza okresem, kiedy uczestniczył w wojnie w Zatoce, do czasu, kiedy miałam dwanaście lat i przeprowadziliśmy się do Richmond. Jimmy nigdy nie słyszał o tej dziurze. Przypuszczam, że moja matka była zbyt zawstydzona, żeby mu powiedzieć, myślała, że Slipper Hollow było zbyt prowincjonalne jak na jego wysokie upodobania. On powiedział mi, że zawsze wiedział, że ona mieszkała w Parlow lub w okolicach, ale nigdy nie zaprosił go do swojego domu.

Chciał wiedzieć wszystko o Angeli - mojej matce. Ale nie chciał do niej dzwonić, zakłócać jej spokoju i burzyć jej życia. Myślę, że miał rację. Mój ojczym to świetny facet, ale wtrącanie się bogatego senatora w jego życie nie byłoby dla niego przyjemne. A mama oczywiście zdawała sobie z tego sprawę i powiedziała mi, że cieszy się, że widzi nas razem.

Jimmy na pewno polubiłby Bena, mojego przyrodniego brata, ale nigdy nie miał okazji go poznać.

- Więc myślisz, że to Quincy Abbott i Laurel Abbott Kostas chcieli cię zabić? - zapytała Sherlock.

- Tak. I nie zdziwiłabym się, gdyby mąż Laurel, Stefanos, leż. był w to zamieszany.

- Twój ojciec trzy tygodnie temu zginął w wypadku samochodowym, prawda? - zapytał Jack.

- Tak - odparła Rachael.

- Czy nie prowadził po pijanemu? - zapytał Jack.

- Wszyscy w to uwierzyli - powiedziała ostro Rachael. Policja twierdzi, że pił alkohol i potem sam prowadził samochód i stracił nad nim kontrolę, ale ja wiem, że to nieprawda. Nie ma mowy, że to był wypadek. Został zamordowany. Od razu to wiedziałam. Pamiętam, jak stałam w wielkim korytarzu, kiedy wyszła już policja, śledczy federalni, ludzie z ministerstwu, a ja nie wierzyłam, że Jimmy był pijany. Wiedziałam, że lubili Jimmy'ego, podświadomie nie miałam co do tego wątpliwości. Ale nie miałam żadnych dowodów, i dlatego uciekłam po tym, jak próbowali mnie utopić, i nie poszłam na policję. Byłam też wstrząśnięta nagłą śmiercią Jimmy'ego. Próbowałam to wszystko jakoś poukładać, ale nie miałam czasu.

- A więc twierdzi pani, że Laurel Kostas i Quincy Abbott zabili pani ojca, a teraz próbują zabić panią - podsumował szeryf Hollyfield. - Prawdę mówiąc, Rachael, po takiej opowieści odesłałbym cię na badania psychiatryczne, ale spójrzcie, co stało się w Parlow. Zgadzam się, to brzmi dość złowieszczo, założę się, że każdy z nas ma jakieś osobiste doświadczenia ze złem.

Nikt nie zaprzeczył.

- Nie tak dawno temu Dillon i ja spotkaliśmy twojego ojca na imprezie dobroczynnej w Bentley Gallery w Georgetown powiedziała Sherlock. - Ale ciebie tam nie było. Nawet o tobie nie wiedzieliśmy.

- Nie przypominam sobie... ale zaraz, to wyszło w ostatniej chwili. Jedna z przyjaciółek Jimmy'ego zabrała mnie na zakupy do Nowego Jorku, bo zamierzał wydać przyjęcie, na którym miał przedstawić mnie wszystkim, włączając w to młodych przystojnych mężczyzn, którzy zabijaliby się, żeby mnie poznać - uśmiechnęła się, wzruszając ramionami.

- Ale przyjęcie się nie odbyło.

- Wiedziałaś, że twój ojciec przyjaźnił się z szefem Dillona, Jimmym Maitlandem? - zapytała Sherlock. - Niósł trumnę na jego pogrzebie. Z tego, co pamiętam, pan Maitland



zawsze nazywał go John, nigdy Jimmy. Pewnie dlatego, że sam ma na imię Jimmy.

- Nie wiedziałam o tym, to znaczy, stałam razem z całą rodziną i witałam gości, którzy przybyli na jego pogrzeb. Nie pamiętam pana Maitlanda. Ale tamten dzień pamiętam jak przez mgłę.

- Po jego pogrzebie - powiedział Savich - po prostu zniknęłaś. Pogrzeb był prawie trzy tygodnie temu. Dlaczego mieliby zostawiać cię w spokoju przez trzy tygodnie, a potem próbowali cię zabić? Dlaczego nie zabili cię od razu, pozorując kolejny wypadek? Jak to wyjaśnisz, Rachael?

- Cóż, prawdę mówiąc, chyba nie zwrócili na mnie uwagi. Jimmy i ja spędziliśmy razem sześć tygodni, zanim zginął - przerwała i opuściła głowę. Jack zauważył, że nerwowo zaciska palce na kolanach. Potem podniosła głowę i powiedziała opanowanym głosem: - Nie mieli szans mnie zabić, bo dzień po pogrzebie Jimmy'ego wyjechałam z Waszyngtonu. Po prostu wiedziałam, że będę następna. Nikomu nie powiedziałam, dokąd jadę, nawet mojej mamie. W ubiegły czwartek wróciłam do domu Jimmy'ego, teraz to mój dom, bo Jimmy mi go zostawił. Po trzech dniach zaczęli działać.

- Dokąd pojechałaś? - zapytał Jack.

- Na Sycylię, do małego miasteczka na wybrzeżu, jeszcze nieodkrytego przez turystów. Miałam dużo do przemyślenia, ale wiedziałam, że muszę wrócić do Waszyngtonu. Musiałam poradzić sobie z jego majątkiem i jego rodziną - więc wróciłam jakieś dwa tygodnie po pogrzebie. Nie minął tydzień, a wrzucili mnie do jeziora.

- Cofnijmy się trochę - zasugerowała Sherlock. - Uważasz, że twój ojciec został zamordowany, ale przecież zginął w wypadku. Przeprowadzono drobiazgowo śledztwo, nikt niczego nie podważał. Masz jakiś dowód, że było inaczej?

- Żadnego namacalnego dowodu nie mam.

- Więc powiedz nam, co masz - powiedział Jack.

- No dobrze. Dwa dni po tym, jak wróciłam, zadzwonił do mnie Brady Cullifer, prawnik Jimmy'ego. Trochę się o mnie niepokoił, bo wyjechałam bez słowa i nie wiedział, gdzie mnie szukać. Okazało się, że Jimmy zmienił testament. Zostawił mi swój dom, a resztę majątku podzielił między trzy swoje córki. Pan Cullifer powiedział mi, że już poinformował Laurel Kostas i Quincy Abbotta o zmianie testamentu i że nic im nie zapisał. A, i byłabym zapomniała - Jimmy mnie adoptował. To stało się formalnie parę dni przed jego śmiercią, więc w świetle prawa stałam się jego córką.

- Czy rozwód twojego ojca był nieprzyjemny? - zapytała Sherlock.

- Myślisz, że jego była żona mogła go zabić? Raczej nie. Spotkałam Jacqueline i jej

córki, Elaine i Carlę z ich mężami na pogrzebie. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, kulturalni. Jacqueline zachowywała się raczej chłodno, jakby była tym wszystkim znudzona. Jego córki były wstrząśnięte, milczące. Wyjechały z Waszyngtonu zaraz następnego dnia rano. Ja wyjechałam jakieś trzy godziny po nich. W ubiegły czwartek w nocy wróciłam z Włoch. W piątek wieczorem wypłam trochę czerwonego wina i widocznie w tym winie były środki odurzające. Kiedy później tego wieczora wróciłam do domu, wina i dokumentów już nie było.

- Więc dlaczego nie przyszło ci do głowy, że ten prawnik, Brady Cullifer, też był w to zamieszany? - zapytał Jack.

- Przez chwilę przemknęło mi to przez myśl. Ale to nie miało sensu. Pracował dla Jimmy'ego od lat. Nie miał powodu, żeby mnie krzywdzić. To Laurel i Quincy podrzucili mi to zatrute wino, wiem to na pewno.

- No dobrze, wróćmy do sedna sprawy - zdecydował Savich. - Powiedziałaś, dlaczego myślisz, że brat i siostra twojego ojca go zamordowali. Mów dalej, Rachael. Przekonaj nas.

- To długa historia i nie moja. A skoro nie chodziło o mnie, niczego nie powiedziałam zaraz po jego śmierci - powiedziała płaczącym głosem. - Nie wiem, po prostu...

- Za późno na to - uciął Jack. - No dalej, Rachael, wyrzuć to z siebie. Chodzi o twojego ojca, prawda? Pokiwała głową.

- I o jego spór z rodzeństwem? Znowu pokiwała głową.

- Mówiłaś o swoim ojcu „Jimmy” - zauważyła Sherlock, odsuwając się lekko.

- Tak. Nie czułam się jeszcze na tyle swobodnie, żeby nazywać go ojcem. A jeżeli chodzi o resztę, po prostu nie wiem...

- Wszystko, co nam powiesz, nie wyjdzie poza ten pokój - zapewnił Jack. - Czy wszyscy się zgadzają? Wszyscy pokiwali głowami.

Ale to niczego nie ułatwiło. Nawet myślenie o tym, co się stało, było trudne, a co dopiero mówienie o tym. Nie była pewna, czy potrafi. Ale w końcu nie miała wyjścia.

- No dobrze. Muszę komuś zaufać, a wy wydajecie mi się najlepszymi kandydatami. Ale to musi pozostać między nami. Obiecujecie?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Co to za wielka tajemnica, Rachael? - zapytał Jack, marszcząc brwi. - Senator Abbott był szpiegiem, czy co?

- Nie, nie, ale... no dobrze. Tylko wam to powiem.

Mówiłam wam, że Jimmy zaskoczył mnie swoim wylewnym powitaniem. Był otwarty, kochający, chciał znać wszystkie szczegóły dotyczące mojego życia. - Uśmiechnęła się nu myśl o tym. - Jednak zaczęłam zauważać, że milknie w dziwnych momentach, że wyglądał na niespokojnego i czymś przygnębionego. Kiedy zaczęłam go wypytywać, w końcu powiedział mi, co zrobił. Był tak rozpaczliwie samotny, taki przerażony. umilkła na chwilę.

Mniej więcej półtorej roku temu Jimmy jechał samochodem do domu przez Delancey Park. Było późno, słońce zachodziło, a on wypił z kolegami kilka drinków. Rozmawiał przez telefon komórkowy i nie zwracał większej uwagi na drogę przed sobą. Nagle przed maskę samochodu wjechała na rowerze mała dziewczynka. Potrącił ją i zabił. Wpadł w panikę i uciekł z miejsca wypadku. Zadzwoił do swojego doradcy, Grega Nicholisa, który natychmiast do niego przyjechał.

Jego doradca - muszę wam o nim trochę opowiedzieć. Greg mu około trzydziestu pięciu lat, jest bardzo bystry - ma intuicję, pewnie powiedzielibyście, że jest zdeterminowany. Jego ambicją było zobaczyć Jimmy'ego w Białym Domu. Jimmy mu ufał, podziwiał jego intelekt, zapał i zaangażowanie. Greg przekonał Jimmy'ego, żeby zachował to w tajemnicy, bo gdyby wyszło na jaw, że zabił dziecko - w wyniku wypadku, czy nie - jego kuriera, życie, rodzina byłby zrujnowane, mógłby nawet pójść do więzienia, skazany za spowodowanie wypadku i ucieczkę z miejsca wypadku.

Nie próbuję usprawiedliwiać tego, co zrobił, ale Greg jest mistrzem perswazji, przekonałby samego papieża do przejścia nu islam. Cóż, prawda, że Greg też byłby zrujnowany, jeżeli Jimmy przyznałby się do zabójstwa małej dziewczynki. W Waszyngtonie byłby skończony, to pewne, więc usilnie przekonywał Jimmy'ego, że najlepszym, jedynym słusznym wyjściem jest trzymanie gęby na kłódkę. Efekt był taki, że Jimmy dał się przekonać. I bardzo dobrze wiedział, że Greg był wyrachowany, ale kogo to obchodziło? Za bardzo bał się o własną przyszłość.

Opowiadał mi, jak próbował usprawiedliwiać się przed samym sobą - wiecie, że gdyby rodzice dziewczynki byli z nią, tak jak powinni być, to by się nie zdarzyło. Co za rodzice pozwalają dziecku samemu jeździć rowerem po ruchliwej drodze? Ale twierdził, że nieważne, jakie wymówki wymyślał, to nigdy nie działało.

Mówił o osobistych konsekwencjach - stałym, niesłabnącym poczuciu winy, ciągle powracających nocnych koszmarach, o oddaleniu się od Kongresu, swoich kolegów, rodziny,

współpracowników tak, że nawet terapia nie pomagała. Tak długo z tym żył, że zżerało go to od środka. Nie mógł tak dłużej żyć. Mówił mi, że myślał o zgłoszeniu się na policję, o wyznaniu tego całemu światu. Chciał znać moją opinię na ten temat.

Widziałam, jak był rozbity, jak destrukcyjnie działało na niego to, co zrobił. Aleja dopiero go znalazłam i nie chciałam od razu stracić. Widziałam jednak, jak cierpiał, i powiedziałam mu, że powinien zrobić to, co sam uważa za słuszne i że ja zawsze będę przy nim. Niech się dzieje, co chce, będę przy nim trwać. Ale to zależało od niego. Jego decyzja, jego życie.

Rachael zamilkła na chwilę, patrząc tępo przed siebie. Przełknąwszy ślinę, mówiła dalej.

- Jak dziś pamiętam ten jego dziwny, wykrzywiony uśmiech. Powiedział, że psychiatra, do którego chodził, nigdy nie mówił o wyznaniu tego, co zrobił. Mówił tylko o wybaczeniu sobie tej niefortunnej pomyłki. Niefortunna pomyłka, powtarzał, ta mała dziewczynka była zaledwie niefortunną pomyłką.

- Psychiatra? - ożywił się Savich.

- Tak, mniej więcej od pół roku chodził do psychiatry. Jimmy powiedział mi, że Greg uważał, że to niezbyt rozsądne chodzić do miejscowego lekarza - za duże ryzyko, skoro wokół każdego gabinetu kręciło się przynajmniej kilku żądnych sensacji rekinów, czyhających na wizytę kogoś sławnego. Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na nich po kolei.

- W końcu Jimmy zdecydował, że zwoła konferencję prasową. Miał zamiar wyznać, co zrobił, a potem zgłosić się na policję. Ale niestety nie zdążył.

- Skoro twierdzisz, że to Abbottowie go zabili, musiał powiedzieć swojemu bratu i siostrze o swoich planach? - zapytała Sherlock.

- Tak, powiedział im.

- Zadzwoił do swojej byłej żony i córek?

- Nie wiem. Może, bo to wpłynęłoby też na nie. Jestem pewna, że lojalnie uprzedził każdego, na kogo to mogło mieć jakikolwiek wpływ. Prawdopodobnie prosił o zrozumienie i przebaczenie, bo musieli liczyć się z konsekwencjami. Podejrzewam, że jego brat Quincy poradził mu, żeby ku jej pamięci posadził drzewo w Delancey Park, w miejscu, gdzie ją potrafił.

Savich spojrział na ekran komputera.

- Ta dziewczynka nazywała się Melissa Parks. Tej sprawy dotąd nie wyjaśniono. Ucieczka z miejsca wypadku.

- Wiemy o niej coś jeszcze? - zapytała Sherlock.

- Rok temu rodzina Melissy Parks otrzymała kopertę zawierającą sto tysięcy dolarów w niskich nominałach i liścik, w którym napisane było tylko „przepraszam”. Po tym wznowiono śledztwo, ale nie byli w stanie wytropić, skąd pochodziły pieniądze i list, więc śledztwo ponownie zawieszono.

- Jimmy nie mówił mi o tym - odezwała się Rachael. - Pamiętam, że parę dni po tym, jak powiedział mi o wypadku, weszłam do jego gabinetu i zastałam go wpatzonego w telefon. Wiedziałam, że chciał zadzwonić do rodziców Melissy, zawiadomić policję, skończyć z tym szaleństwem. Niestety zwlekał z tym zbyt długo, ostrzegł tych, których nie powinien, a potem zginął.

- Rachael, jesteś pewna, że twój ojciec wyznał o tym swojej rodzinie i Gregowi Nicholsowi? - spytała Sherlock.

- Tak.

- No dobrze. Muszę ci powiedzieć, że jestem w stanie uwierzyć, że jego wyznanie doprowadziłoby jego rodzinę do takiej wściekłości, że mogliby go zabić.

- To jeszcze nie wszystko. Jego śmierć została uznana za wypadek, bo kiedy dwóch policjantów patrolujących ulicę znalazło samochód u podnóża klifu, Jimmy był sam i siedział na siedzeniu kierowcy. Twierdzili, że wyczuli od niego alkohol i że oczywiste jest, że wypił za dużo, stracił kontrolę nad samochodem i zjechał w dół stromego zbocza tuż przy obwodnicy.

- Tak, pamiętam - mruknęła Sherlock.

- Jimmy powiedział mi, że odkąd potrafił tę małą dziewczynkę, nie był w stanie usiąść za kierownicą. Od tamtej pory nie prowadził samochodu. Nie było z tym problemu, bo miał do dyspozycji samochód z kierowcą. Mało tego, od tamtej feralnej nocy nie wziął do ust alkoholu. Tak mi powiedział, a ja mu uwierzyłam.

- Więc dlaczego nie powiedziałaś prawdy policji? - dopytywał Jack.

- Nie mogłam - odparła Rachael. - Musiałabym też powiedzieć, dlaczego przez ostatnie półtora roku nie piłam alkoholu i nie prowadziłam samochodu. Po prostu nie byłam w stanie się do tego zmusić. Wszystko mogło wyjść na jaw. To by źle wpłynęło na pamięć o nim. - Przerwała i wzięła głęboki oddech. - To był główny powód, dla którego wyjechałam na Sycylię. Musiałam zdecydować, co dalej robić. Przez dwa tygodnie biłam się z myślami, rozważyłam wszystkie za i przeciw, i podjęłam decyzję. Postanowiłam wrócić do Waszyngtonu i powiedzieć prawdę. Oczywiście, zamierzałam przedyskutować to z moją matką, ale wiedziałam, że ona by się ze mną zgodziła, bo tak chciał zrobić Jimmy i był na to w pełni przygotowany. Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić: spełnić jego wolę. Po

tym, jak domyśliłam się, co zrobili Quincy i Laurel, mogę i zrobię to. Oczyszczyć jego sumienie. Szeryf Hollyfield stukał końcem długopisu o blat biurka.

- Twój ojciec nie żyje - powiedział po namyśle. - Tak samo jak jego sumienie i jego poczucie winy. Zgadzasz się z jego doradcą - po co rujnować dobre imię senatora Abbotta? I jego pamięć? Po co niszczyć to, co sobą reprezentował i o co walczył przez większość swojego życia? Jego zasługi zostałyby zapomniane - ludzie zapamiętaliby, że zabił w parku dziecko i zataił to. - Pochylił się do przodu i zacisnął dłonie. - Rachael, czy chciałabyś, żeby określało go to, co zdarzyło się półtora roku przed jego śmiercią? Żeby zapisał się w historii jako bogaty facet, który zabił małą dziewczynkę po pijanemu?

Rachael zerwała się z krzesła i zaczęła przechadzać się po małym gabinecie.

- Próbowałam to sobie tłumaczyć w ten sam sposób, ale wiem, że on by tego nie chciał! Kiedy powiem wszystkim, jak planował przyznać się do winy, na pewno przekonają się, że ostatecznie miał zasady i był uczciwy.

- Odkąd skończyłem dwadzieścia lat, wiem, że ludzie rozumują inaczej - powiedział łagodnie Jack. - Szeryf Hollyfield ma rację, nie pozostawiliby na twoim ojcu suchej nitki, a całe dobro, którego dokonał w życiu prywatnym i w polityce, będzie zniekształcane, kwestionowane lub zapomniane. Jeżeli chodzi o ciebie, nikt nie doceni, czy wykonałeś jego ostatnią wolę, czy nie. Pozostaniesz nieślubną córką, która zniszczyła imię swojego ojca.

- Wiem, że próbujecie mi pomóc, ale dokładnie to wszystko przemyślałam, i nie ma znaczenia, co inni o mnie mówią i myślą. Mylisz się, Jack, nie ma innej możliwości. - Potrząsnęła głową i założyła za ucho kosmyk długich włosów. Savich podniósł wzrok znad ekranu komputera.

- Czy odkąd wróciłaś, powiedziałaś komuś, że zamierzasz wyznać winę ojca?

- Powiedziałam panu Culliferowi, prawnikowi Jimmy'ego. Myślałam, że wtajemniczył go w swoje plany, ale tego nie zrobił. Zareagował raczej obojętnie, powiedział mi, że podejrzewał, że z Jimmym dzieje się coś bardzo niedobrego. Zapytał, czy mam jakieś dowody, świadków, których oczywiście nie miałam. Potem powiedział, że jeżeli rzeczywiście wyznam winę Jimmy'ego za niego, rozpęta się wokół mnie piekło - ludzie będą mnie szkalować, oskarżać o kłamstwa i chęć zemsty, bo wiele lat temu zostawił moją matkę i że robię to, żeby się na nim zemścić, a on nie może nawet się obronić. Ja już to wszystko przemyślałam, ale powiem wam, że mówił w taki sposób, ta całkowita pewność w jego głosie sprawiła, że prawie byłam gotowa zmienić swoją decyzję. Wtedy znalazłam dziennik Jimmy'ego. Byłam poruszona jego cierpieniem, poczuciem winy, jego nienawiścią do siebie za to, co zrobił, i to sprawiło, że zdecydowałam, że dalej będę robić swoje, nie bacząc na

konsekwencje. Czułam, że jestem mu to winna. Powiedziałam o tym Gregowi Nihcolowski. Wysłuchał mnie, po czym stwierdził, że nie zamierza pomagać mi w zniszczeniu dobrego imienia senatora Abbotta i wciąganiu w to bagno reszty rodziny. Oczywiście on sam też zostałby w to wciągnięty, może nawet trafiłby na jakiś czas do więzienia, ale żadne z nas o tym nie wspomniało. Nie chciałam o niczym mówić Laurel i Quincy'emu, bo byłam pewna, że to oni go zabili, i wiedziałam dlaczego. W głębi duszy czułam, że traktują mnie w ten sam sposób, jak kogoś, kogo trzeba uciszyć, albo jak gryzonia, który wpełzł do ich pięknego, doskonałego życia.

Jack pochylił się, ściskając dłonie między kolanami.

- Nietrudno powiązać fakty. Rodzina Abbottów jest biznesowo powiązana z innymi wpływowymi rodzinami: DuPontami, Barringtonami, Jetty - Smithami. Raczej nie byłiby zachwyceni skandalem, pytaniami, zainteresowaniem mediów, kwestionowaniem uczciwości ich klanów, i całą resztą. No i oczywiście proces, jaki prawdopodobnie wytoczyliby bliscy lejącej dziewczynki. Mogliby też stracić część swoich wpływów, pewnie z czasem skandal by ucichł. Ale nie mogę sobie wyobrazić, że tracą przez to swój majątek, w końcu ich brat nie był jakimś tam nieudacznikiem, ale senatorem Stanów Zjednoczonych.

- Wybacz, Rachael, ale nie wierzę, że ktoś z nich, lub oni wszyscy mordują go, żeby go uciszyć. Za słaby motyw.

- Jako osoba postronna bacznie ich obserwowałam - powiedziała Rachael. - Nie potrafię opisać, jak bardzo są dumni. Ich poczucie władzy, własnej wartości, ich arogancja są wprost niewyobrażalne. Uwielbiają swoje nazwisko, szlacheckie pochodzenie, uwielbiali swojego ojca, i jego ojca, założyciela imperium Abbottów. Dzieci Laurel chodzą do najlepszych prywatnych szkół, potem będą studiować na najlepszych uczelniach, obaj przeznaczeni są do sprawowania władzy, do poślubienia sobie podobnych kobiet z wpływowych rodzin. Świadczy o tym przykład córek Jimmy'ego. Mężowie obu wywodzą się z bogatych rodzin.

W ich oczach taki skandal zrujnowałby rodzinę, a z tym nigdy by się nie pogodzili. Zdecydowałiby, że pozbycie się tego zagrożenia było nie tylko uzasadnione, ale wręcz rozsądne. To dlatego zabili Jimmy'ego i próbowali zabić mnie.

- A trzy dni później próbowano cię otruć i wrzucono do jeziora Black Rock - podsumował Jack.

- Tak.

- Wniosek jest taki, Rachael - stwierdził Savich - że jako dowód masz tylko przekonanie, że twój ojciec skończył zarówno z prowadzeniem samochodu, jak i z piciem alkoholu.

- Gdyby tylko udało mi się zdobyć jakiś dowód, koczowała bym pod Białym Domem i powiadomiła Washington Post. Nie uciekałabym, gdzie pieprz rośnie po tym, jak próbowali mnie utopić. Ale to i tak nie ma znaczenia. Znalezienie mnie nie zajęło im dużo czasu. Sherlock wstała i wyprostowała się, po czym szturchnęła w ramię swojego męża.

- I co teraz, szefie? Savich uściśnął jej rękę.

- Po pierwsze, Rachael, chciałbym, żebyś to wszystko spisała: wypadek spowodowany przez senatora Abbotta, w którym zginęła Melissa Parks, jego śmierć, usiłowanie zabicia ciebie - obie próby. Tak szczegółowo, jak to możliwe. I zrób to szybko. Zrobimy sześć kopii. Weźmiemy kilka z nich. Uważam, że najlepiej będzie po prostu się ujawnić. To powinno powstrzymać dalsze zamachy na twoje życie. Pokręciła głową.

- Wszystko spiszę, ale nie chcę się ujawniać. Jeszcze nie teraz.

- Co takiego? Bawi cię bycie przynętą? - zapytał Jack.

- Obejdzie się bez pańskiego sarkazmu, agencie Crowne - odpowiedziała. - Posłuchajcie, kiedy zdołałam wydostać się z jeziora, wszystko było dla mnie jasne. Zgadzam się, że moje ujawnienie się może ich powstrzymać, ale wtedy unikną odpowiedzialności za zabicie Jimmy'ego, ich brata. Nie rozumiecie, że muszę znaleźć dowód? Chcę ich załatwić, nawet jeżeli miałabym to przypłacić życiem. - Patrzyła po kolei na każdego z nich. - Może jesteście w stanie mi pomóc, a może nie. Ale w tej chwili to jest mój cel. Potem się ujawnię i obwieszczę wszem i wobec, jakim człowiekiem był Jimmy. W końcu tylko człowiek honorowy poczułby takie wyrzuty sumienia za spowodowanie wypadku, w którym zginęło dziecko.

Wiem, że martwicie się, jakie będą tego konsekwencje, ale ja święcie wierzę, że ludzie potrafią wybaczać. Teraz, kiedy już wam wszystko opowiedziałam, zamierzam odebrać mój samochód i pojechać do Slipper Hollow. Mam mnóstwo rzeczy do przemyślenia i do napisania, jak chce agent Savich.

- Rachael, a jak wygląda twoja sytuacja finansowa? - zapytał Savich. Rachael puściła



do niego oko.

- Przypuszczam, że jestem bardzo bogata, przynajmniej teoretycznie, bo Jimmy zapisał mi jedną trzecią swojego majątku. A tak naprawdę mam w portfelu plik banknotów, które wzięłam z sejfu Jimmy'ego, zanim w piątkową noc opuściłam jego dom. Nie liczyłam, ale chyba jest ich sporo. Co do rozporządzania resztą jego majątku - naprawdę nie wiem. Miałam zamiar w przyszłym tygodniu zadzwonić do pana Cullifera i go o to zapytać.

Savich wystukał coś na klawiaturze MAX - a, po czym podniósł wzrok.

- Uważam, że to dobry pomysł, żebyś na razie ukryła się w Slipper Hollow. Jack, czy mógłbyś z nią tam pojechać i wszystko sprawdzić, upewnić się, że będzie bezpieczna?

- Zaczekaj, Savich, a co z Timothyem? Mam...

- Nadal nie odzyskał przytomności - odparł Savich. - Jutro przewozimy go do Waszyngtonu, tam łatwiej go będzie chronić. Musisz zrobić jeszcze jedno: usiądź razem a Rachael i dopilnuj, żeby spisała wszystkie szczegóły. Kiedy skończymy, poszukamy dowodów. Do zobaczenia za kilka dni, dobrze?

- Tak, za kilka dni - odpowiedział Jack. - Rachael?

- Za kilka dni - powtórzyła Rachael. - Potem chcę wrócić i ich dopaść.

- Wygląda na to, że masz plan. - Savich wstał, podał rękę szeryfowi Hollyfieldowi. - Dziękuję za pomoc. Spodobało mi się Parlow. Mój dobry przyjaciel, Dix Noble, jest szeryfem w Maestro w stanie Wirginia, to jakieś trzy, cztery godziny drogi stąd. Wy dwaj mielibyście mnóstwo tematów do rozmowy. Zanim przeniósł się na prowincję, był oficerem wydziału dochodzeniowo - śledczego policji w Nowym Jorku. Proszę mu o tym nie mówić, ale uważam, że jest pan co najmniej tak błyskotliwy jak on.

Będziemy w kontakcie. Sherlock, pan i ja będziemy obserwować w nocy szpital, w którym nadal przebywa doktor MacLean. Poza tym muszę sprawdzić, czy nasz snajper, Roderick Lloyd, nadal żąda adwokata.

- A tak liczyłam na noc w hotelu Greeb's - powiedziała Sherlock. - Zasyłabym pod czujnym okiem wypchanej kaczki.

Roy Bob z powodu odniesionych ran został bohaterem Parlow. Kiedy z ręką na temblaku opuszczał klinikę, on i bandyta, który strzelał w jego warsztacie, zyskali sporą sławę. Każdy chciał od niego usłyszeć, co tamtego dnia wydarzyło się w jego warsztacie. Krzątał się więc dumnie po warsztacie, majstrując przy samochodzie Rachael pomimo bólu i niewygody z powodu unieruchomionej ręki. Obserwowało go kilka osób, podziwiając jego siłę i wytrzymałość, kiedy nadeszli Jack i Rachael.

- Cześć - zawołał. Wyglądał na zamroczonego środkami przeciwbólowymi. - To już

nie potrwa długo, Rachael. Właśnie opowiadałem im, że zagroziłaś, że mnie zastrzelisz, jeżeli nie zreperuję go szybko. Ted nawet zaoferował ci bezpłatne mycie samochodu.

- Nie mam czasu. Chcemy wyjechać za godzinę. Dasz radę Roy Bob?

- Jasna sprawa.

- Czy naprawdę postrzeliła pani tego człowieka?

- Tak, naprawdę. Teraz leży w szpitalu, ale najwyraźniej nie jest tak głupi, jak myślałam, bo wcale nie chce mówić. Przez chwilę panowała cisza, wszyscy popatrzyli na przelatujący nad nimi helikopter.

- Agenci FBI też wyjeżdżają?

- Tak, dwoje z nich. - Roy Bob pokiwał głową. - Agent Crowne zostaje, by chronić Rachael. - Przerwał na chwilę i zmarszczył brwi. - Chociaż po tym, jak widziałem, jak posługuje się remingtonem mojego taty, uważam, że nie potrzebuje ochrony.

Jack sprawdził postępy w pracy Roya Boba pod maską samochodu Rachael.

- Wygląda nieźle, Roy Bob. Rachael, może wpadniemy do kawiarni Monk's na pieczeń Tony'ego i wrócimy tu za godzinę?

- Będzie gotowy - obiecał Roy Bob i zaczął śpiewać piosenkę o facecie i Ralphie, jego psie myśliwskim. Jego towarzyszom wyraźnie się spodobała.

Godzinę później Rachael wyjeżdżała swoim samochodem z Parlow, na siedzeniu obok niej siedział Jack, któremu nadal dokuczał tępy ból głowy.

- Mniej więcej za godzinę się ściemni. Przez ten czas zdążymy dotrzeć do domu wuja Gillette w Slipper Hollow. Jack ze zdziwieniem odkrył, że góry znacznie bardziej podobają mu się z ziemi niż z samolotu. Do Slipper Hollow prowadziła dobrze utrzymana dwupasmowa asfaltowa droga. Wznosiła się i skręcała, okrążała głązy i klify, ale dalej uparcie dążyła ku sercu gór.

- Tutaj droga się kończy - powiedziała Rachael, zwalniając i ostrożnie parkując obok gęstego zagajnika. - Będziemy tutaj dobrze ukryci, a samochód słabo widoczny. To dlatego nie chciałam myć samochodu - lepszy kamuflaż. Jack odchrząknął, wysiadł z samochodu i pozbierał z ziemi gałęzie i opadłe liście. Dokładnie przykrył nimi samochód. Odwrócił się do Rachael i uśmiechnął się.

- Nawet jeżeli ci źli już wiedzą o Slipper Hollow, wątpię, czy szybko je znajdą. Słońce zaraz zajdzie, chodźmy już. Uszli jakieś sto metrów w głąb lasu, gdy nagle nieoczekiwanie wyszli na wielką polanę. Pośrodku stał piękny dom cały z drewna i szkła, dwukondygnacyjny, ze strzelistym dachem, dwoma kominami, otoczony ogromnym gankiem, na którym wokół okrągłego stołu stały cztery bujane fotele.

- Nie tego się spodziewałem - szepnął Jack. Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, wiem.

Rachael pomyślała, że pewnie oczekiwał nędznej chałupy z porzrzuconymi wokół zardzewiałymi częściami samochodów, z dymem kłębiącym się z rozpadającego się komina, ale nie tego.

- To dzieło sztuki - powiedział. - Dom i ogród otoczony gęstym lasem wygląda jak z widokówki. I te klomby. Pewnie za miesiąc będzie tutaj istna tęcza kolorów. - Z boku zobaczył dwa budynki gospodarcze. - Spiżarnia?

- Tak. Wuj Gillette nie cierpi wypraw do miasta. Zapasy robi raz na pół roku.

- Czy on wie, że przyjedziemy?

- Tak, dzwoniłam do niego tuż przed naszym wyjazdem z Parlow i powiedziałam, że przyjeżdżam i przywożę gościa. Może jednak bezpieczniej będzie pomachać białą chustką. Wtedy na pewno nie będzie do nas strzelał. - Szturchnęła Jacka w ramię i roześmiała się. - Mam cię!

Wysoki mężczyzna wyszedł z domu i stanął na tarasie. Pomachał do nich i zszedł po drewnianych schodach. Rachael podbiegła do niego. Jack patrzył, jak mężczyzna bierze ją w ramiona i mocno przytula. Kiedy Jack podszedł bliżej, mężczyzna podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Witam w Slipper Hollow. Jestem Gillette Janes.

- Agent Jack Crowne z FBI. Proszę mówić mi Jack. Jestem tutaj, żeby chronić Rachael.

Nie wypuszczając z objęć Rachael, Janes wyciągnął rękę. Była to delikatna dłoń o długich palcach, wyglądała jak dłoń pianisty, pomyślał Jack, kiedy ją uściskał, ale jednocześnie silna, bo na pewno musiał tutaj na tym odludziu robić wszystko, co trzeba. Jack mógł tylko pokiwać głową, bo znowu wyciągnął pochopne wnioski. Prawdę mówiąc, spodziewał się typowego prosiaka z wielkim brzuchem, ubranego we flanelową koszulę i znowu się zawiódł.

- Ma pan piękny dom - powiedział i naprawdę tak uważał.

- Dziękuję. To Rachael wierciła i wbijała gwoździe. Cieszę się, że dotarłaś tutaj bezpiecznie, kochanie. Szybko się tutaj ściemnia. Zapraszam do środka. Zjemy coś, a potem opowiecie mi, co się dzieje.

- To pewnie bardzo spokojne odludzie? - zapytał z nadzieją Jack. Gillette Janes roześmiał się.

- Podobno tak było za czasów mojej babki.

*Slipper Hollow**Poniedziałek wieczór*

- Dlaczego to miejsce nazywa się Slipper Hollow?\* - zapytał Jack, zjadając ostatnią łyżkę wegetariańskiej zupy. Były w niej chyba wszystkie warzywa pod słońcem, a z przepisu na to danie na pewno ucieszyłby się Savich. Gillette Janes przez chwilę żuł w milczeniu krakersa.

- Wieść niesie, że w pełni lata, kiedy kwitły polne kwiaty, w tej kotlinie spotkało się dwoje młodych kochanków. Niestety pewnego dnia znalazł ich ojciec dziewczyny, zastrzelił chłopca, i zabrał stamtąd swoją córkę, która kopała i krzyczała, chcąc wrócić do zmarłego kochanka. Kiedy tak się szamotoła, spadł jej pantofelek.

Po latach mówiło się, że nadal można tutaj usłyszeć, jak płacze po zgubionym pantofelku - nie po swoim nieszczęśliwie zmarłym kochanku - i tak oto ta nazwa Slipper Hollow przyłgnęła do tego miejsca.

- Czy są jakieś dowody autentyczności tej opowieści, wuju Gillette?

- Żadnych, o ile mi wiadomo - odparł. - Nigdy nie słyszałem, jak płacze po swoim pantofelku, a mieszkam tu prawie przez całe życie.

Rachael bawiła się kryształowym kieliszkiem do wina.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni. Nikt z wyjątkiem kilku starszków z Parlow i okolic nie wie o istnieniu Slipper Hollow. A i nikt z nich nie udzieliłby wskazówki nikomu obcemu.

- Cieszę się, że udało mi się utrzymać to miejsce w tajemnicy - powiedział Gillette, wstając, by wstawić naczynia do zmywarki. - Po tym, jak twoja matka i ty przeprowadziłyście się do Richmond, zacząłem nawet robić zakupy w Heissen's Dome, jakąś godzinę drogi stąd na północ - ludzie znają mnie z widzenia, może z nazwiska, ale nie wiedzą, gdzie mieszkam.

Jack, ktokolwiek ściga moją dziewczynkę, raczej wątpię, że znajdzie ją tutaj, bo nie było jej tu od lat. Więc powiedz mi, Rachael, czy naprawdę wierzysz, że brat i siostra senatora Abbotta zamordowali jego, a potem próbowali dwukrotnie zamordować ciebie?

- Nie ma innej możliwości - odpowiedziała Rachael.

- Działali bardzo szybko. Opowiedz mi o nich.

- Znam ich głównie z opowiadań Jimmy'ego, bo przed jego śmiercią spotkałam ich tylko trzy razy. Nazywają się Laurel i Quincy. Ciągłe ze sobą rywalizują. Jimmy opowiadał mi, że zaraz po tym, jak został wybrany na pierwszą kadencję do senatu, Laurel wygryzła

---

\*Slipper Hollow - z ang. Pantofelkowa Kotlina (przyp. tłum.).

Quincy'ego ze stanowiska prezesa ich firmy zajmującej się głównie handlem nieruchomościami na całym świecie - centra handlowe, drapacze chmur, i tym podobne.

Jimmy opowiadał mi, że walka między Laurel i Quincym była naprawdę zacięta. Ale staruszek - ich ojciec, Carter Blaine Abbott, stanął po stronie Laurel. Ona kierowała firmą, odkąd pięć lat temu Carter Abbott wycofał się.

Wydaje mi się, że Laurel i Quincy są w równym stopniu pazerni i arogancy. Mogę także wyobrazić sobie, że ci dwoje łączą siły, aby pozbyć się swojego największego zagrożenia - ich brata - prawdopodobnie zaraz po tym, jak powiedział im o zabójstwie Melissy Parks, i o tym, że zamierza o wszystkim powiedzieć i ustąpić z funkcji senatora.

- Laurel Abbott - powtórzył powoli Gillette. - Czy ona nie poślubiła greckiego armatora? Jak on się nazywał?

- Stefanos Kostas. To facet, który ma wyjątkowo wysokie mniemanie o sobie. Wydaje mi się, że jest tak olśniewający i wygadany, że żadna kobieta mu się nie oprze. Jimmy twierdzi, że zdradzał Laurel nawet po tym, jak się jej oświadczył. Patrzy na kobiety, łącznie z mną, w taki sposób, że natychmiast mam ochotę wskoczyć pod prysznic.

- Widziałem jego zdjęcia - powiedział Gillette. - Wygląda jak z żurnala, wymuskany i twardy zarazem, niezła kombinacja. Więc nie byłaś zainteresowana, co?

Rachael zadrzała.

- Gdybym nie mogła skorzystać z prysznica, bez wahania użyłabym węża ogrodowego. Mają dwóch synów, obaj skończyli Standover, to elitarne liceum w Vermont. Stefanos jest właścicielem greckiej wyspy Scorpis, ale większość czasu spędza tutaj.

- Opowiedz nam o Quincym - powiedział Jack, stając przy blacie kuchennym obok Gillette. - Nie, Rachael, nie wstawaj, (łowa mnie nie boli, z nogą też w porządku. Podobno robię niezłą kawę. Jest taka smaczna, że niektórzy twierdzą, że to dar.

Roześmiała się.

- No dobrze, Quincy. Taki z niego modniś, że parę miesięcy w roku spędza w Mediolanie, gdzie szyją dla niego nowe ubrania, w których dumnie pokazuje się w La Scali. Rozwodził się już trzy razy, i ze złośliwego komentarza, który raz zrobiła Laurel, zrozumiałam, że za alimenty, które płaci, można by przez tydzień karmić małe państwo. Jest tak samo egocentryczny i arogancki jak Laurel i nosi na głowie śmieszny tupecik, jak Donald Trump. Pewnego wieczoru prawie spadł mu na talerz, ale nikt nie pisnął nawet słówka.

- Staruszek Abbott chciał, żeby Laurel stanęła na czele firmy. Więc Quincy jest od niej mniej bystry? Rachael zamyśliła się na chwilę.

- Nie o to chodzi. Oboje są bystrzy, ale jemu brak silnej woli i osobowości do tego.

Robi to, co ona mu każe. Co do Quincy'ego, wydaje mi się, że miałby problem ze znalezieniem czyjegoś czułego punktu, podczas gdy Laurel natychmiast uderzyłaby w niego bez wahania.

- Więc Quincy odtańczy taniec wojenny, ale skalpu nie ściągnie? - zapytał Jack.

- Otóż to. Jeszcze jedno: jest wyjątkowym seksistą, a ponieważ jest całkowicie zdominowany przez swoją siostrę, Jimmy twierdził, że stał się też bardziej bezwzględny wobec kobiet. Kiedyś słyszałam, jak mówił do Jimmy'ego, że kobieta jest na swoim miejscu, kiedy klęczy i ma zajęte usta.

- Wystarczy - uciął Jack.

- Opowiedz nam więcej o Laurel - poprosił Gillette.

- Zna wszystkie mroczne tajemnice i wie, co robić. Zawsze dostaje to, czego chce. Nie ma skrupułów, potrafi dążyć do celu po trupach. Oczywiście z tego, co mówił Jimmy.

- Raczej się nie lubili - zauważył Gillette.

- Nie, raczej nie. Pytałam o to Jimmy'ego, o te wszystkie przycinki ukryte pod pozorną uprzejmością, o zachowywanie pozorów, a on powiedział, że to trwa od tak dawna, że nie potrafi sobie przypomnieć, czy kiedyś było inaczej.

- Czytałem kiedyś w Wall Street Journal, że pod jej przewodnictwem Abbott Enterprises znacznie się wzbogaciła i zyskała prestiż w kraju i za granicą - mówił dalej Gillette.

- Tak też twierdził Jimmy - powiedziała Rachael. - I na pewno drażniło to Quincy'ego.

- Westchnęła, zjadła krakersa i zamknęła opakowanie. - Ale skąd ja wezmę dowód?

- Znajdziemy go - oświadczył Jack z pewnością w głosie. Uśmiechnęła się do niego.

- A wiesz, że wuj Gillette zna się na komputerach, może nawet równie dobrze, jak agent Savich? Mówiłeś, Jack, że on jest w tym naprawdę niezły.

- Agent Savich? - zapytał Gillette. - Masz na myśli agenta FBI, Dillona Savicha? Jack pokiwał głową.

- Czytałem o nim, widziałem mnóstwo wyników spraw, jakie rozwiązał dla FBI. Dokonał wdrożenia programu rozpoznawania twarzy Scotland Yardu. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak to działa.

Jack roześmiał się.

- Czy zdarza ci się mówić po imieniu do komputera, Gillette?

- Po imieniu? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Właściwie to mam trzy komputery.

- Może to kwestia do rozważenia - powiedział Jack. - Savich ma tylko jednego

laptopa, nazywa się MAX lub MAXINE - jest transgeniczny, zmienia płeć co pół roku.

Gillette roześmiał się tak, że rozlał kawę. A co to była za podłoga, pomyślał Jack, dużo ładniejsza od jego podłogi, to go dręczyło, bo wybrał włoskie kafelki i sam je ułożył. Spojrzał na marmurowe kwadraty w różnych odcieniach szarości, poprzecinane mlecznobiałymi liniami.

- Zastanawiam się, dlaczego nigdy nie przeczytałem żadnej wzmianki o MAX - ie - powiedział Gillette, po czym pochylił się, żeby wytrzeć kawę z podłogi. - Ani o MAXINE.

- Zobaczę, może będę mógł umówić cię z Savichem, przynajmniej wirtualnie. Twój dom jest niesamowity. Myślę, że może już najwyższy czas zrobić mały remont w moim.

- Masz już swój dom? W tak młodym wieku?

- Wcale nie jestem taki młody - odparł Jack. - Mam prawie trzydzieści dwa lata.

- Znaczący trzydzieści jeden - powiedział Gillette. - Młody jesteś.

- Wystarczająco młody - powiedziała Rachael, dmuchając na kawę, którą wuj Gillette wlał właśnie do kamionkowego kubka z jej imieniem. - Jesteś ode mnie starszy tylko o trzydzieści sześć miesięcy.

- Trzydzieści sześć miesięcy i wiele lat - powiedział Jack. Rachael uśmiechnęła się szyderczo.

- Czyżby? A czy kiedyś spędziłeś trochę czasu na dnie jeziora w towarzystwie betonowej bryły?

- No dobra, trochę przesadziłem, ale musisz przyznać, że to sformułowanie zabrzmiało złowieszczo. Nie mogła się powstrzymać, klepnęła go w ramię i roześmiała się.

- Dobra, masz więcej doświadczenia. A teraz opowiedz nam o swoim domu.

- Jest stary i wymaga remontu, ale jest mój. Rodzice pożyczili mi pieniądze, żebym mógł wpłacić zaliczkę. Płacę im za to dziesięć procent odsetek. Tata powiedział, żebym nie spieszył się z oddawaniem, bo są zadowoleni ze stopy procentowej. Sam zbudowałeś ten dom, Gillette?

Ten pokiwał głową i podszedł do lśniącej chromowanej lodówki.

- Po tym, jak wróciłem z piechoty morskiej...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Jack, wpatrując się w człowieka, który wyglądał raczej jakby przez większość życia zawodowo grał w polo. - Byłeś żołnierzem?

Gillette pokiwał głową.

- Tak, przez dziesięć lat. Dorastałem w Slipper Hollow, chodziłem do szkoły w Parlow i nie mogłem się doczekać, kiedy w końcu wydostanę się stąd do wielkiego, złego świata. Widać dom tak tkwi w naszej świadomości, że kiedy skończyłem z wojskiem, wróciłem tutaj.

Ty i twoja matka mieszkaliście tutaj, a kiedy miałaś mniej więcej dwanaście lat, przeprowadziłyście się do Richmond.

- Tak, pamiętam - powiedziała Rachael i zwróciła się do Jacka: - Moich dziadków zabiła lawina podczas biegu narciarskiego, miałam wtedy osiem lat. Nigdy nie znałam ich zbyt dobrze, cały czas byli w trasie. „Przejdź piechotą cały świat” - to było ich motto.

- Tak, to prawda. Po waszym wyjeździe nie było mi łatwo tutaj samemu, ale nie chciałem się ruszać. Wtedy zburzyłem stary dom i zacząłem budować ten. Trwało to bardzo długo. Skończyłem go jakieś trzy lata temu. Cieszyła mnie każda praca, ciebie też będzie cieszyć, Jack, i nie idź na łatwiznę. Zrobiłem sernik. Kto chce z truskawkami?

Ten szczupły, przystojny mężczyzna, który wyglądał jak włoski hrabia ubrany w bladoniebieski kaszmirowy sweter w serek, białą koszulę, czarne spodnie i miękkie mokasyny, był żołnierzem piechoty morskiej? Potrafił zrobić wegetariańską zupę i sernik, a do tego sam położył na podłodze w kuchni ten niesamowity marmur. I sam zbudował ten dom?

- Moja siostra dałaby się za ciebie pokroić - powiedział Jack po pierwszym kęsie sernika.

- Hm, znaczy, lubi sernik, tak? Jest prawnikiem, tak jak ty?

- Skąd wiesz, że jestem prawnikiem?

- Domyśliłem się po sposobie, w jaki mówisz. Poza tym, jak Rachael do mnie zadzwoniła i powiedziała, jak się nazywasz, poszukałem w Internecie informacji o tobie. Byłeś drugi na roku na uniwersytecie w Chicago. Dobra robota. To ciężki program. Od razu po studiach poszedłeś do FBI?

Jack usiadł wygodnie i splótł ręce.

- Nie, zaczynałem w biurze prokuratora okręgowego w Chicago. Pracowałem tam przez półtora roku, a potem trafiłem do FBI. Moja siostra była najlepsza na roku, też w Chicago, osiem lat przede mną. Jest wegetarianką, tak jak Savich.

- To dziwne - powiedział Gillette, patrząc w stronę laptopa stojącego na kuchennym blacie obok salaterki pełnej zielonych jabłek. - Jak na agenta FBI.

- Tak, większość z nas to drapieżnicy - odparł Jack i pomyślał o Gillette szukającym w Internecie informacji o nim, o swojej prywatności, i wiedział, że każdy średnio biegły w posługiwaniu się Internetem może dowiedzieć się, że na drugim roku dostał czwórkę z przestępstw cywilnych.

O dziesiątej wieczorem Rachael zaprowadziła Jacka do dawnego pokoju swojej matki, który wuj Gillette przygotował dla niego.



- Wiesz, Rachael, zastanawiam się, skąd Gillette bierze pieniądze? To oczywiste, że żyje dostatnio, poza tym zbudował ten dom i to naprawdę wysokiej jakości.

- Zajmuje się usuwaniem usterek w komputerach w dużych międzynarodowych firmach. Ale będziesz musiał sam go zapytać, o co dokładnie chodzi. Pamiętam, że kiedyś zaczął opowiadać o przekrętach podatkowych, które wytropił w Dubaju. Weź tabletkę przeciwbólową, Jack - dodała. Podniosła dłoń i lekko dotknęła jego policzka. - Dziękuję ci, że spadłeś z nieba prosto do moich stóp, a potem zostałeś moim ochroniarzem. Na dodatek remontujesz swój dom i zaraz pomyślę, że jesteś zupełnie wyjątkowy.

- Podoba mi się to - powiedział i zanim wyszła, wpatrywał się w jej niesamowicie seksowny warkoczek. Jack połknął tabletkę, położył się w pachnącą lawendą pościel i zasnął w ciągu kilku minut.

Jeżeli chodziło o Rachael, to po raz pierwszy od piątku poczuła się naprawdę bezpieczna, chociaż wiedziała, że przy odpowiedniej motywacji i przy pewnych umiejętnościach każdy mógłby bez trudu zlokalizować ją w Slipper Hollow.

Leżała na plecach na swoim wąskim, dziecięcym łóżku wpatrzona w sufit, którego nie widziała w ciemności i zastanawiała się, jak zamierzała udowodnić bratu i siostrze Jimmy'ego, że go zamordowali i postanowili pozbyć się także jej.

Najbardziej na świecie chciała, żeby za to zapłacili. Przez nich spędziła z Jimmym tylko parę tygodni. Skoro mowa o cudach, Jimmy był największym cudem w jej życiu i został jej odebrany. Po tak krótkim czasie. Zasnęła z myślą, że Jack też był cudowny.

*Wtorek rano*

*Szpital im. George'a Waszyngtona*

*Waszyngton*

- Doktor MacLean godzinę temu odzyskał przytomność - powiedział doktor Connor Bingham, ordynator oddziału neurologii do Savicha i Sherlock. - Bardzo bolały go złamane żebra i rana na piersi, jest pod wpływem środków przeciwbólowych i jest trochę senny. Może hałas i wpływ podróży helikopterem przyspieszył proces przebudzenia. Ale jak się przekonacie, on nie jest normalnym człowiekiem. Z jego demencją, nigdy nie będzie. Proszę do niego długo nie mówić. Jeżeli potem będziecie mieli pytania, jestem do dyspozycji.

Zgodnie z procedurą Savich i Sherlock pokazali swoje odznaki agentowi pilnującemu sali, w której leżał doktor MacLean, pomimo tego, że się znali.

Agent Tom Tomlin był wysoki i szczupły, a jego ciemne oczy rozpromieniły się na widok Sherlock, kiedy powiedział, nie spuszczać wzroku z jej twarzy:

- Agentko Sherlock, moja mama przysłała mi zdjęcie z San Francisco Chronicle - sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął portfel i rozłożył wycinek z gazety. - O, proszę, tutaj stoi pani przed płonącym domem, z twarzą czarniejszą niż moja, w podartym i brudnym ubraniu i ma pani na sobie kamizelkę z kevlaru. Moja mama kazała mi się z panią umówić. Była naprawdę zawiedziona, kiedy powiedziałem jej, że jest pani mężatką.

- Uśmiechnął się do niej promiennie.

Ojciec przysłał Sherlock tę samą fotografię. Uśmiechnęła się.

- Całą wieczność zajęło mi pozbycie się z twarzy tej sadzy. I zapachu. Ciągłe go czuję. Savich posłał agentowi Tomlinowi przerażający uśmiech, po czym wziął Sherlock za rękę i wprowadził do sali, w której leżał doktor MacLean.

- Hm - jęknął doktor MacLean.

Stanęli po drugiej stronie jego łóżka, patrząc w jego szare, mętne oczy.

- Doktorze MacLean? - Sherlock czekała, aż skupił się na jej twarzy. - Jestem agentka Sherlock, a to jest agent Savich. Jesteśmy z FBI. Pracujemy z Jackiem Crowne. Proszę się o nic nie martwić. Jest pan bezpieczny. Ma pan ochronę. Nikomu nie pozwolimy pana skrzywdzić.

Przyglądał się im uważnie.

- Jesteście przyjaciółmi Jacksona? Chciałbym, żeby ożenił się z moją córką, ale moja żona uważa, że on jest dla niej za stary. W tym roku rozpoczęła studia na Columbi.

- Może lepszy byłby z niego wujek - powiedział Savich.

- Pamiętaj, taka sama różnica wieku była między księciem Karolem i Dianą. I popatrz, co z tego wyszło.

- Może i tak. O rany, nigdy nie brałem takich silnych prochów, nawet na studiach. Mam ochotę natychmiast odlecieć z tej twardej jak kamień namiastki łóżka prosto przez okno, może nawet zadzwonić do Białego Domu. Ładna dziś pogoda?

- Tak, słońce mocno grzeje, temperatura może nawet dojść dziś do trzydziestu stopni.

- Mój bardzo dobry przyjaciel, farmaceuta, świetnie gra w brydża. Kiedy zadzwonię do drzwi jego domu w Chevy Chase, przy odrobinie szczęścia przerwę mu partię brydża. Chyba polecę prosto na zachodnie wybrzeże. Nie chcę wracać do Lexington - moja rodzina to banda zrzęd i katastrofistów.

A moja żona Molly - próbowałem nakłonić ją, żeby posłuchała głosu rozsądku, ale ona nie chciała mnie słuchać. Molly dręczyła mnie, dopóki nie znaleźliśmy się na pokładzie samolotu do Lexington. A potem musiałem znowu tutaj wrócić, ale zaraz, zaraz... właściwie po co? A, już sobie przypominam. Samolot się rozbił, a pilotował go Jackson. Czy z nim wszystko dobrze? Savich dostrzegł jego nagły niepokój i powiedział:

- Jack czuje się już dobrze. Boli go tylko głowa, bo miał wstrząs mózgu i ma ranę ciętą na nodze.

- To dobrze, że z nim wszystko w porządku. Powiem wam, że mimo tych rewelacyjnych tabletek nadal boli mnie całe ciało.

- To zrozumiałe. Mocno się pan poobijał. Na pokładzie cessny była bomba, ale Jackowi udało się wylądować w wąskiej dolinie. Wyciągnął pana z samolotu zanim ten eksplodował. Doznał pan ran na całym ciele.

- Doktorze MacLean, musimy zadać panu parę pytań, żeby lepiej zorientować się w sytuacji - powiedziała Sherlock. MacLean zamknął oczy i wydawało się, że zaraz uśnie, ale odezwał się po chwili:

- Jackson też miał kilka pytań. - Prosił, żebym wymienił mu nazwiska moich pacjentów, którzy mieszkają w okolicy. Chciał, żeby FBI mogła ich przesłuchać. Oczywiście nie mogłem spełnić jego prośby. Moim pacjentom należy się prywatność, nie zasługują na to, żeby ujawniać, że do mnie przychodzą, i na spekulacje, po co to robią. Nie...

- Doktorze MacLean - powiedział Savich, łagodnie przerywając mu monolog. - Faktem jest, że przy pańskiej chorobie - pamięta pan, że cierpi na demencję płata czołowego? Mac Lean pokiwał głową.

- A pan by się cieszył z takiej przypadłości? Choroba rozpoczyna się w płacie

czołowym, potem postępuje głębiej, niszcząc wszystko po drodze. Skończę jak chory na Alzheimera, leżąc w pozycji embrionalnej, będę czekał na śmierć, zupełnie sam. To najbardziej przerażająca wizja, jaką mogę sobie wyobrazić.

To prawda, pomyślał Savich i zastanawiał się, jak on poradziłby sobie z taką chorobą.

- Oczywiście, że bym się nie cieszył. Wie pan, że ta choroba sprawia, że mówi pan niestosowne rzeczy?

- Jestem lekarzem, agencie Savich. Nie jestem głupi, wiem o wszystkim. Po tym, jak zdiagnozowano u mnie tę chorobę, dużo o niej czytałem.

- Czasami pamięta pan, co mówił, a czasami nie - mówił dalej Savich.

- Co proszę?

- Czasami...

- To była próba kiepskiego żartu, agencie Savich - przerwał mu doktor MacLean, uśmiechając. - Ale proszę zrozumieć, że nieważne jak bardzo jest ze mną źle, to gotów jestem przysiąc na grób mojego dziadka, że w żadnym wypadku nie powiedziałbym niczego o moich pacjentach. Moim celem jest im pomagać, a nie szkodzić. - Przerwał i westchnął. - Jednak wiem, że tak zrobiłem. Jackson mi to powiedział.

- Już rozmawiał pan o trzech swoim pacjentach z przyjacielem laikiem. Okazało się, że jeden z pańskich pacjentów dowiedział się o tym i tak pan jego, lub ją, tym wystraszył, że podjął już trzy próby zamachu na pańskie życie. Dwie próby z ucieczką z miejsca wypadku, tutaj i w Lexington, później bomba w samolocie, który wiozł pana do Waszyngtonu. Gdyby nie umiejętności Jacka, obaj bylibyście martwi.

- Cholernie trudno uwierzyć w to, że mógłbym zrobić coś takiego.

- Na pewno - powiedziała Sherlock. - Chcemy, żeby powiedział nam pan o pacjentach, o których rozmawiał pan ze swoim partnerem do gry w tenisa, Arturem Dolanem. Być może będziemy potrzebować nazwisk wszystkich pańskich pacjentów, ale istnieje prawdopodobieństwo, że osoba, która tak pragnie pańskiej śmierci, to jedna z tych trzech, zwłaszcza że wkrótce potem Artur Dolan został zabity w New Jersey.

Mizerna twarz McLeana stała się poważna.

- Przecież to niedorzeczne. Nigdy nie powiedziałem Arturowi niczego o moich pacjentach. Zginął w wypadku samochodowym, zresztą zawsze jeździł za szybko. Molly narobiła krzyku, że to było morderstwo, ale kazałem jej wziąć valium, bo przecież wszyscy mówili, że to wypadek. - Nagle zamilkł, po czym powiedział cicho: - Wiecie, Artur miał świetny bekhend, ale był powolny. Przeważnie z nim wygrywałem. Będzie mi brakowało naszych meczy. To były dla mnie świetne ćwiczenia. W jednym tygodniu on przyjeżdżał

tutaj, a w następnym ja jechałem do Cape May. Grywał też w golfa, był w tym o wiele lepszy niż w tenisie. Artur i ja rozmawialiśmy wyłącznie o sporcie, on nie wiedział o niczym więcej.

A jeżeli chodzi o ten samochód, który prawie potracił mnie w Lexington, wiem, że to był pijany kierowca. Policja to potwierdziła - westchnął. - Biedny Artur. Na szczęście dla niego, to była szybka śmierć.

- A pierwszy wypadek tutaj, w Waszyngtonie? - zapytała Sherlock.

- To były okolice Plank, mnóstwo tam narkomanów. Może to był ktoś pod wpływem heroiny. Facet rozbił się. I mnie spotkałoby to samo, gdybym też był głupi.

- A co z bombą w samolocie? - zapytał Savich, zastanawiając się, czemu doktor wszystkiemu zaprzeczał.

- To oczywiste - powiedział lekceważąco. - Jackson jest agentem FBI, na pewno ma wrogów którzy chcą zemsty. Savich spojrzał na Sherlock, a potem na doktora MacLeana. W jego szarych oczach dostrzegł strach.

- Nie pamięta pan, jak opowiadał o swoich trzech pacjentach Arturowi Dolanowi?

- Co do diabła pan insynuuje? - Spojrzał Savichowi prosto w oczy, twarz pobladła mu z gniewu. - Że opowiadam przyjacielowi o moich pacjentach? Oczywiście, że nie. Czy uważa pan, że brak mi etyki zawodowej? Poza tym, jak już mówiłem, rozmawialiśmy głównie o sporcie.

- Nie, doktorze - powiedział cierpliwie Savich, widząc, że są w punkcie wyjścia. - To nie ma nic wspólnego z etyką, ale z pańską chorobą. Kiedy prowadziliśmy dochodzenie w sprawie pierwszego zamachu na pańskie życie, znaleźliśmy w pańskim klubie golfowym w Chevy Chase barmana, który pana znał i podziwiał od lat. Przypomniał sobie, że słyszał, jak kiedyś rozmawia pan z Arturem Dolanem przy kieliszku martini. Pamiętał, że mówił pan o swoich trzech pacjentach, powszechnie znanych i dlatego zapamiętał tę rozmowę, domyślając się, że coś było nie tak.

Doktor MacLean wyglądał na urażonego, potem nagle złość zniknęła z jego oczu i wybuchnął śmiechem. Od tego śmiechu musiały zabołeć go żebra, bo szybko wciągnął powietrze, przez chwilę lekko oddychał.

- Czy jedną z tych osób był Lomas Clapman? - spytał po chwili.

- Tak - odparł Savich. - Może pan nam o nim opowie. Oczywiście doktora MacLeana rozblęśły, nagle ożywił się i zaczął szybko opowiadać:

- Clapman to idiota, błazen, żyjący w przekonaniu, że jest najmądrzejszy na świecie. Uwielbia samego siebie. Ach, jak on nienawidzi Billa Gatesa. Nazywa go „małym gnojkiem”. Tłumaczyłem mu, że wielu ludzi uważa, że Bill Gates jest nie tylko niezwykle bystry, ale też

że ze swoją organizacją zrobił więcej dobrego dla ludzi niż jakakolwiek z tak zwanych organizacji humanitarnych. Dlaczego nie spróbował prześcignąć fundacji Gatesa? Z pewnością mógł tego dokonać.

Próbowałem go odwieść od obsesji na temat Gatesa, skierować jego energię w pozytywnym kierunku. Ale nic to nie dało - zaczął na mnie krzyżeć. I wiecie co? Rozparłem się na krześle i roześmiałem mu się w twarz. Oburzył się i rzucił we mnie przyciskiem do papieru. - Doktor MacLean potrząsnął głową, nadal się śmiejąc. - Co za prostak bez skrupułów. Po tym więcej go nie widziałem. Nawet nie zadzwonił, żeby odwołać kolejne wizyty.

Sherlock była pewna, że zanim dotknęła go choroba, doktor MacLean nie mógłby mówić o pacjencie tak szyderczym, kpiącym tonem. Czy naprawdę śmiał się ze swojego pacjenta? Wątpiła w to. Zastanawiała się, czy będzie pamiętał to, co mówił do niej i Dillona.

- Czy pan Clapman powiedział panu coś, co - gdyby zostało ujawnione - mogłoby mu zaszkodzić?

- Tak, oczywiście - odparł bez wahania MacLean - swój pierwszy projekt samolotu sprzedał rządowi we wczesnych latach osiemdziesiątych, to był nisko latający samolot taktyczny. Prawda jest taka, że ukradł pomysł swojego przyjaciela i partnera, który był wynalazcą i nawet nie zauważył, kiedy Lomas podpisał patenty własnym nazwiskiem. A umowa spółki nic obejmowała patentów. Biedak zabił się jakieś piętnaście lat temu, kompletnie splukany. Dacie wiarę?

- Czy pan Clapman przychodził do pana, bo czuł się winny tego, co zrobił? - zapytała Sherlock.

- Nie, raczej nie. Uważał, że uczciwie zarobił każdego centa. Przychodził do mnie raz w tygodniu, bo chciał przechwalać się, jaki jest wspaniały, i byłem zmuszony przez pięćdziesiąt minut siedzieć i go słuchać. Zostawiła go żona, i nie dziwię jej się.

- Wyobrażam sobie - powiedział Savich - że gdyby to wyszło na jaw, miałyby negatywny wpływ na samego pana Clapmana i jego firmę, nie wspominając już o procesach wytoczonych przez wdowę po jego partnerze i jego rodzinę.

- Uważacie, że Lomas próbował mnie zabić? O, przepraszam, że próbuje mnie zabić? Chce mnie uciszyć?

- To możliwe - odparł Savich. - Ale wydaje mi się, że to nie jest wystarczający powód. MacLean roześmiał się.

- Lomas fałszował wyniki testów próbnych, manipulował też statystykami, żeby jego myśliwce spełniały rządowe wymagania. Powiedziałem mu, żeby przestał to robić, bo kiedyś

i tak wszystko wyjdzie na jaw. Takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw. Pamiętam, że śmiał się z tego, powiedział, że przecież to dzieje się teraz.

- Bingo - powiedziała Sherlock.

MacLean wpatrywał się w nich rozweselony środkami przeciwbólowymi, a oczy błyszczały mu jak u szaleńcza.

- Myślicie, że stary Lomas próbowałby zabić mnie za to? Powiedział mi wprost, że w Pentagonie wiedzą, że wszyscy to robią i biorą na to poprawkę, mają nawet tabele, które pokazują dopuszczalny przedział odchyień i tym podobne rzeczy. Twierdził, że to wszystko gruba zwierzyna.

- Czy może nam pan powiedzieć, po co dokładnie Lomas Clapman do pana przychodził, doktorze MacLean? - zapytała Sherlock.

- Był impotentem. Po wszystkich badaniach i kilku pudełkach viagry jego lekarz poradził mu wizytę u mnie, żeby sprawdzić, czyjego niemożność osiągnięcia erekcji ma podłoże psychiczne czy emocjonalne.

- Pomógł mu pan? - zapytał Savich.

- Powiem panu, agencie Savich, że Lomas był tak przepełniony zawiścią i arogancją, że tylko sam Bóg mógłby mu pomóc - to mówiąc, doktor MacLean zamknął oczy, położył głowę na poduszce i westchnął.

- Barman, z którym rozmawiał nasz agent, mówił także o Dolores McManus, kongresmence z Georgii - powiedział Savich, chcąc sprawdzić, czy MacLean nadal będzie rozmawiać szczerze i z cynizmem, czy też zmieni się w psychiatrę znanego z dyskrecji.

MacLean na chwilę zamknął oczy, mrużąc coś i ostrożnie zmieniając pozycję, aby odciążyć zebra. Przyglądali się, jak kilkakrotnie naciska przycisk aplikujący mu lekarstwo przeciwbólowe. Na kilka minut zapadła cisza. W końcu MacLean westchnął i powiedział:

- Przepraszam, chciałem na chwilę odpłynąć, to takie przyjemne. Te leki są pierwszorzędne. Ach, Dolores - jeśli pozbawić ją całego blichtru, prestiżu i atrakcyjności, jakie niesie za sobą jej stanowisko, zostaje tylko zwykła prosta istota ludzka, nic specjalnego, bez szczególnych przymiotów umysłu, jeżeli wiecie, co mam na myśli. Chciałem się z nią przespać. Wiedziałem, że mogę sprawić jej przyjemność, ale ona nie była zainteresowana. Sherlock była w szoku.

- Doktorze MacLean, czynił pan niestosowne propozycje pacjentce? - zapytała z niedowierzaniem.

- O nie, tylko o tym myślałem. Mogę powiedzieć, że nie znała mnie od tej strony - westchnął. - Pomimo że jest prawie w moim wieku, jej piersi nadal są zachwycające, ładniejsze niż piersi Molly. Mówi, że po trójce dzieci piersi robią się obwisłe, i żebym dziękował Bogu. Molly zawsze twierdziła, że za wszystko należy dziękować Bogu. I pomimo że coś się ze mną dzieje, nadal twierdzi, że jestem najlepszym, co ją spotkało. Było mi I rudno skupić wzrok na twarzy Dolores i słuchać, jak się przechwala. Była taka dumna, że należała do elity, nie mogła przestać mówić o tych wszystkich gwiazdach, które zwracają się do niej po imieniu. Potem zmieniała temat i po raz enty rozpływała się nad tym, że jej pochodzenie jej nie przytłoczyło. Była gospodynią domową, miała ukończone studia o kierunku telekomunikacja, nigdy nie pracowała, zajmowała się wychowaniem trójki dzieci, ale miała jeden znaczący atut - niewyparzony język. Nigdy nie zawahała się wdawać w polemiki z burmistrzem, gubernatorem, gazetami czy firmami telekomunikacyjnymi. Po swoim pierwszym udanym ataku na Agencję Ochrony Środowiska została wybrana na pierwszą kadencję. Podważyła projekt o lokalnym porządku, którego nie sfinansowali.

Kiedy została wybrana do Parlamentu, zaczęła działać na szerszą skalę. Muszę przyznać, że przyglądanie się, jak staje do walki z każdym, to prawdziwa przyjemność. Potrafiła zmyślać tak niestworzone historie, że człowiek był w stanie we wszystko uwierzyć. To jej jedyny talent, i dzięki niemu jest doskonałym politykiem. Jeżeli chodzi o majątek, to



podejrzewam, że nie różni się w tej materii od swoich innych kolegów po fachu.

- Czy przypomina pan sobie, że powiedział Arturowi Dolanowi o jej przeszłości coś, co mogło jej zaszkodzić, jeżeli zostałyby ujawnione? Coś na tyle poważnego, że mogła czuć się zagrożona? - zapytała Sherlock.

- Nigdy niczego nie mówiłem Arturowi, nie mógłbym. Czy mogła czuć się na tyle zagrożona, że chciałaby mnie zabić? Oczywiście, że nie. W jej przeszłości nie było niczego znaczącego, oprócz tego, że zamordowała swojego męża.

Savich i Sherlock osłupieli. Wpatrywali się w doktora MacLeana, w jego zamglone oczy, w których zgasł szaleńczy błysk. Wyglądał, jakby za chwilę miał zasnąć. Przesadził ze środkami przeciwbólowymi. Ta kongresmenka zamordowała swojego męża? Barman nie wspominał, żeby słyszał o morderstwie.

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi i stanął w nich doktor Bingham. Osłuchał MacLeana, ale nie próbował nawiązywać z nim rozmowy. Stali tak wszyscy przy jego łóżku i patrzyli, jak zapada w sen.

Doktor Bingham pokiwał głową i wyprostował się.

- Ma pan chwilę? - zapytał cicho Savich.

Sherlock wyłączyła mały dyktafon, który miała w torbie, i wyszła z sali.

- Był przytomny? Mówił do rzeczy? - zapytał doktor Bingham, kiedy już znaleźli się na szerokim korytarzu.

Savich zastanawiał się, jak opisać jedno z najdziwniejszych przesłuchań w swojej karierze.

- Owszem, był przytomny, i przez większość czasu mówił bardzo do rzeczy. Ale mówił o swoich pacjentach, rodzinie, partnerze do gry w tenisa bez żadnych zahamowań. Bez ogródek i ze szczegółami opowiadał o swoich pacjentach. Myślę, że jego opisy były bezlitośnie szczerze.

- Ale to jego lekceważenie, pogarda dla pacjentów - wtrąciła zaszokowana Sherlock. - Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że tak myśli o swoich pacjentach. Dillon ma rację. To było niezwykle przesłuchanie.

- Biorąc pod uwagę jego reputację, zgodziłbym się z tym powiedział doktor Bingham.  
- To bardzo smutne, że spotkała go demencja i w następstwie utrata własnego ja. To okropne, naprawdę okropne.

Doktor Bingham pożegnał się z nimi i odszedł z opuszczoną głową, włożywszy ręce do kieszeni białego kitla.

Sherlock mogłaby przysiąc, że słyszała, jak śpiewał pod nosem.

- Myślisz, Dillon, że to możliwe, że doktor MacLean nas nabiera, i że zmyślił większość z tego, co powiedział? - zapytała Sherlock.

Savich pokręcił głową.

- Może tylko trochę przesadził, nie wiem. - Zwrócił się do agenta Tomlina: - Proszę dobrze pilnować doktora MacLeana.

- Nikogo tutaj nie wpuszczę - odparł Tomlin. - Może być pan tego pewny, agencie Savich. Tomlin wpatrywał się w jego żonę, dopóki nie wsiedli do jednej z wind na końcu długiego korytarza.

- Jesteś skłonny uwierzyć w to, że kongresmenka McManus zamordowała swojego męża? - zapytała Sherlock, naciskając guzik z literą „P”.

- Niedługo się tego dowiemy.

- Zastanawiam się, czy dlatego właśnie chodziła do psychoanalityka, bo dręczyły ją złe sny, poczucie winy, wyrzuty sumienia.

- Być może - powiedział Savich, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

*Wtorek Slipper Hollow*

- Jaki piękny dzień - westchnęła Rachael, mrużąc oczy i przyglądając się czystemu letniemu niebu ze smużkami białych chmur. Założyła włosy za uszy i pociągnęła za cienki warkocz. - Aż trudno uwierzyć, że jest tak dużo prawdziwego zła tutaj, w świecie wuja George'a.

- Obawiam się, że zło szerzy się wszędzie - powiedział Jack. - Ale nie tutaj.

- W przeciwieństwie do wuja George'a nigdy nie myślałam o Slipper Hollow jak o odludziu, z którego chciałbym uciekać. Raczej był to dla mnie azyl, schronienie, gdzie mogę być bezpieczna. Oczywiście, byłam wtedy dzieckiem. Kiedy teraz spoglądam w przeszłość, rozumiem niepokój mamy, kiedy chciała stąd wyjechać i rozpocząć nowe życie. Spojrzał na jej warkocz, zapleciony dziś bliżej twarzy. Kiedy przechyliła głowę na bok, oparł się o jej policzek.

- Bardzo podoba mi się ten warkocz.

- Co? A, dziękuję. Jimmy'emu też się podobał - jej głos lekko zadrżał.

- W dużej części - powiedział Jack - zgadzałem się z polityką twojego ojca.

- Ja też się zgadzałam. Uwierzysz, że wuj Gillette uprał i uprasował nasze ubrania?

- Ucałowałbym go za to, ale odsunął się w ostatniej chwili.

- Ja ucałowałam go za nas oboje. Sądzę, że on gromadzi wszystkie wzmianki, które może znaleźć o śmierci Jimmy'ego. Są nawet fragmenty filmu z pogrzebu. Powiedział, że pokaże nam to wszystko dzisiaj po południu. Jack pokiwał głową. Poczul nagłe swędzenie i ból w lewym łokciu, co zdarzało mu się, kiedy coś było nie tak, ale nie miał pojęcia, co to mogło być. Slipper Hollow było azylem, Rachael miała co do tego rację. Było odcięte od świata, bezpieczne. Tu mogli cieszyć się spokojem, zanim skupili się na zbadaniu wszystkich szczegółów tej psychotycznej sytuacji. Psychotycznej? Jack zastanowił się nad tym przez moment. Dziwne, ule przyszło mu do głowy właśnie to słowo. Łokieć nie powinien był go swędzieć, ale tak było. Postanowił to zignorować.

- Nie jesteś mężatką - powiedział po chwili.

- Raz byłam już blisko, ale dowiedziałam się, że narzeczony jest hazardzistą, i było po sprawie. Mój dziadek miał ten problem.

Powiedziałam o nim matce. Myślałam, że go kocham i chciałam wyjść za niego za mąż. Powiedziałam jej, jak odkryłam, że jest hazardzistą i wiesz, co ona na to? Nic a nic. Tylko słuchała.

- Mądra kobieta.

- Tak, dobre rady to ostatnia rzecz, jaką chce usłyszeć dwudziestosiedmioletnia kobieta, której wydaje się, że wie wszystko.

Jack chciał wiedzieć wszystko o tym mężczyźnie, ale teraz nie była na to pora.

- Ile lat ma twój przyrodni brat?

- W zeszłym tygodniu Ben skończył dziesięć lat. To bardzo żywiołowe dziecko, szybkie, zręczne i ma mocny rzut. Jego ojciec uważa, że to następny Joe Montana.

- Kim jesteś z zawodu, Rachael? Studiowałaś? Uniosła podbródek.

- Jestem projektantką wewnątrz.

Czekała, aż zacznie się śmiać, nabijać lub robić złośliwe uwagi.

- Podoba mi się, jak Gillette urządził dom, a szczególnie kuchnię. Kafelki są niesamowite. Pomagałaś przy tym? - zapytał.

Skinęła głową.

- Tak, zrobiłam mu szkic, i to mu się spodobało.

- Musiałaś być najpopularniejszą dziewczyną wśród znajomych. Rachael zaśmiała się.

- Tak, dawno nie byłam wśród przyjaciół, ludzi, którym ufasz i nie musisz uważać na to, co mówisz, kiedy jesteś wśród nich. Ludzi, którzy nie będą mieli ci za złe, kiedy pijesz za dużo i zachowujesz się jak idiota. - Raz jeszcze odgarnęła włosy. - Od czasu, kiedy wyjechałam do Waszyngtonu zobaczyć się z Jimmym, nasze stosunki znacznie się rozluźniły.

- Pracowałaś w Richmond?

- Kiedy ukończyłam studia, podjęłam pracę w biurze projektowym. Byłam jednym z sześciu zatrudnionych tam projektantów. Dużo się tam nauczyłam, nawiązałam wiele kontaktów i otrzymałam od klientów sporo pochlebnych opinii. Uzbierałam kapitał na rozpoczęcie własnej działalności i byłam gotowa przejść na swoje, kiedy matka powiedziała mi o Jimmym. Wzięłam urlop. Potem Jimmy namówił mnie, żebym rzuciła pracę, powiedział, że byłby najszczęśliwszy, gdybym przeprowadziła się do Georgetown. - Przelknęła ślinę. - Był taki podekscytowany, może bardziej niż ja. On... - Odwróciła się i chciała odejść.

Jack złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i przytulił.

- Wszystko będzie dobrze, Rachael.

Odsunęła się i zobaczył, że nie płakała, ale trzęsła się ze złości.

- Sześć tygodni, Jack. Miałam ojca tylko przez sześć tygodni! To nie fair, nie fair. - Uderzyła pięścią w jego ramię. - Chcę ich dopaść. Teraz nawet noszę ich nazwisko, w świetle prawa jestem cholerną Abbott.

- Twój ociec adoptował cię bardzo szybko.

- Właśnie przyzwyczajałam się do przedstawiania się jako Rachael Abbott.

- Zatrzymaj jego nazwisko. Zrób mu ten zaszczyt. To nie wiąże cię z pozostałymi. Dopadniemy ich, Rachael, obiecuję. Zadzwoń do Savicha. Dowiem się, jak długo chce cię trzymać w ukryciu. Poza tym, ty i ja mamy wiele do omówienia. Chcę znać każdy szczegół, Rachael, poczynając od momentu, gdy po raz pierwszy spotkałaś się ze swoim ojcem. Skończyłaś pisać szczegółową relację o wszystkim, tak jak prosił Savich?

- Nie, nawet jeszcze nie zaczęłam.

- Zrobimy to. Chodź, usiądźmy pod tym dębem. Opowiedz mi jeszcze raz o twoim pierwszym spotkaniu z ojcem. Usiadła, opłótła kolana ramionami i zaczęła mówić.

- Wiesz, co powiedział, kiedy pierwszy raz mnie zobaczył? Wykrzyknął: „Mój Boże, człowiek nie może być takim szczęściarzem”. Tak, jak ci powiedziałam, nigdy, nawet przez chwilę nie wątpił, że byłam jego córką. Był niesamowity. Miał najpiękniejszy na świecie uśmiech, który rozświetlał jego twarz i od którego, robiły mu się małe zmarszczki w kąciakach oczu. Rozmawialiśmy całymi godzinami. Opowiedział mi, co się zdarzyło przez te wszystkie lata, jak ojciec zabrał jego i jego przyjaciół do Hiszpanii, żeby zapomniał o mojej matce, ale on nie zapomniał. Powiedziałam mu, co jego ojciec zrobił mojej matce, a on zacisnął usta. Oczywiście powiedziałam mu, że moja matka wyznała mi wszystko, kiedy zmarł jego ojciec, bo wcześniej bała się go.

Rachael wciągnęła świeże, słodkie letnie powietrze i kiedy Jack pokiwał głową, mówiła dalej:

- Powiedział mi, że pierwszy raz w życiu naprawdę samodzielnie podjął decyzję o kandydowaniu do senatu, i że nigdy nie czuł się tak wolny jak wtedy, kiedy kazał swojemu ojcu odpieprzyć się, bo to było jego życie i tego właśnie chciał. Mówił, że przy końcu kampanii, jego ojciec sypał pieniędzmi, prawdopodobnie po to, aby mu pomóc. Śmiał się, potrząsając głową. Zaraz po tym, jak Jimmy objął swoje miejsce w senacie, ojciec obwieścił, że teraz on będzie dyktował warunki. Jimmy opowiadał, że otrzymywał szczegółowe instrukcje, co ma zrobić. Oczywiście nie zwracał na to uwagi. Jego ojciec musiał manipulować i kontrolować wszystko i wszystkich aż do śmierci. Jimmy powiedział, że jego matka prawdopodobnie umarła zbyt młodo, żeby od niego uciec.

- Jak Laurel i Quincy odnosili się swojego ojca? - zapytał Jack.

- Oboje darzyli go szacunkiem i bali się go, jakby był bogiem, jedynym wszechwiedzącym, tym, który mógł się do ciebie uśmiechnąć albo zmiażdżyć cię.

- A jak traktowali ciebie?

- Kiedy po raz pierwszy spotkałam Laurel, jej mąż Steganos Kostas i Quincy byli na

obiedzie w domu Jimmy'ego. Powiedział im tylko, że ma dla nich wielką niespodziankę. - Podniosła wzrok i zobaczyła zającą siedzącego na skraju lasu, wpatrywał się w nich z pozornym zadowoleniem. - Pamiętam, że Laurel patrzyła na mnie, jakbym była robakiem, który właśnie wylazł z dziury. Jej bratanica? Nie mogła w to uwierzyć. Była w stanie tylko gapić się na mnie, a później na Jimmy'ego.

Rachael wciąż pamiętała tamten wieczór.

- *John, co ty właśnie powiedziałeś?*

- *To moja córka, Rachael Janes, wkrótce będzie Rachael Janes Abbott. Adoptuję ją, więc w świetle prawa będzie moją córką, tak jak powinno być od samego początku.*

*Rachael, przedstawiam ci wujka Quincy, ciocię Laurel i mojego szwagra Stefanosa. - I zatarł ręce, tak był szczęśliwy i podekscytowany. Przytulił ją do siebie, pocałował w czoło. Rachael Abbott, jak ładnie brzmi, nie sądzisz? Quincy odchrząknął, spoglądając przez lewe ramię na Rachael.*

- *Ona może jest trochę do ciebie podobna, ale musisz być odpowiedzialny, daj sobie trochę czasu. Musisz zrobić testy DNA, upewnić się, że ona jest tym, za kogo się podaje.*

*A Jimmy po prostu powiedział:*

- *Jest do mnie bardzo podobna. No dalej, Quincy, przyznaj to. Po prostu są pewne rzeczy, które się wyczuwa w głębi duszy. Posłuchajcie mnie - tego wieczoru świętujemy. Mam kolejną córkę, o której istnieniu nie widziałem. Pamiętam jej matkę, Angelę, przez te lata często o niej myślałem. Patrząc na nią, nie miałem wątpliwości co do mojego ojcostwa. A teraz napijmy się szampana.*

*Rachael sączyła francuskie go szampana, przyglądała się duszonym francuskim ślimakom i francuskiej wołowinie w sosie. Jediną francuską rzeczą, jaką lubiła, była bagietka, ale tam nie było żadnych bagietek Laurel i Quincy byli uprzejmi, ale wiedziała, że się nie cieszą, wiedziała, że nie ufają jej, sądzą, że wrabia ich brata. Co do Stefanosa Kostasa, patrzył na nią, jakby za chwilę naga miała mu usiąść na kolanach i zacząć go całować.*

- *Co na to Jacqueline? - zapytał Quincy. Jimmy wzruszył ramionami.*

- *A kogo obchodzi to, co ona myśli? Chciałbym, żeby Rachael poznała swoje przyrodnie siostry. Myślę, że się polubią. - Potem zwrócił się do Rachael: Tak, jak ci już mówiłem, Elaine i Carla mieszkają w Chicago. Obie są zameżne. Jestem podwójnym dziadkiem.*

*To był długi wieczór, pomyślała Rachael, kiedy Jimmy zamknął drzwi za swoim rodzeństwem, a ona w końcu mogła pozbyć się z twarzy wymuszonego uśmiechu.*

*- Przekonają się - powiedział Jimmy, przytulając ją. - Nie martw się. - I pocałował ją.  
- Fakt jest taki, że nie mają wyboru.*

Wydawało się, że to było tak dawno, w innym życiu, ale tak nie było. Poczła ciepłe promienie słońca na twarzy, kiedy spojrzała na Jacka.

- Pamiętam, jak mówił, że możemy po prostu zignorować ich, jeśli mnie nie polubią. Tak długo jak będę żyć, będę pamiętać, że Jimmy nigdy we mnie nie zwątpił. Oczywiście wyglądałam jak on, ale on miał władzę, był bogaty, sławny, a ja byłam nikim.

- A co na to twoja matka? Rachael uśmiechnęła się.

- Była zaskoczona, ponieważ nie sądziła, że ją pamięta. Przestrzegła mnie, że w tym przypadku zasadne będzie zrobienie analizy DNA, nieważne, że wyglądałam jak on. I że nie powinnam się obrażać. - I Rachael raz jeszcze opowiedziała Jackowi o tej nocy, kiedy Jimmy załamał się i opowiedział jej o dziewczynce na rowerze. - Nie sądzę, abym kiedykolwiek jeszcze zobaczyła taką pustkę w czyichś oczach, tak wielką rozpacz...

- Rachael, Jack, chodźcie tu! - usłyszeli krzyk Gillette, stojącego na werandzie.

Jack natychmiast wyciągnął swój pistolet, złapał Rachael za rękę i skuleni pobiegli z powrotem do domu. Wtedy rozległ się odgłos strzału i cała trójka przez otwarte drzwi wpadła do domu.

Kule przeszły przez drzwi, dziurawiąc je jak sito. Piękne, wysokie łukowate okna roztrzaskały się, rozpryskując wszędzie odłamki szkła. Słyszeli, jak kule żłobiły ściany.

- Chronicie głowy - wrzasnął Jack, osłaniając Rachael własnym ciałem. - Gillette, nie podnoś się. Jedna za drugą kule uderzały w dom. Wszystkie szyby od frontu posypały się w drobny mak.

- Wuju, skąd wiedziałeś, że oni tutaj są? - Rachael usiłowała przekrzyczeć strzały.

Gillette wyciągał drewniany odłamek ze swojej ręki.

- Włączył się alarm przy ogrodzeniu. Nikogo się nie spodziewałem, więc wiedziałem, że to oznacza kłopoty. Czasami zdarzają się awarie, ale nie chciałem ryzykować, nie w twojej sytuacji, Rachael.

Chwała Bogu, pomyślał Jack, za alarm. Strzelanina na chwilę ustała.

- Nie ruszajcie się oboje, i nie zbliżajcie do okien i drzwi - rozkazał Jack.

- Na górze mam broń. Pójdę po nią - powiedział Gillette, ruszając na czworakach ku schodom.

- Dobrze, ale bądź ostrożny. Żadnych żołnierskich sztuczek. Gillette roześmiał się. Kiedy był w pobliżu schodów, grad kul wpadł do środka przez okna, rozbijając piękne złoczone lustro.

- Leż nieruchomo, Rachael - krzyknął Jack i przyczołgał się do okna.

Kiedy strzały ustały, wyjrzał na zewnątrz. Dostrzegając ruch pod drzwiami, strzelił w tamtym kierunku. Miał tylko jeden zapasowy magazynek, więc musiał oszczędzać amunicję.

- Oni niszczą ten piękny dom - powiedziała Rachael z żalem.

Gillette wrócił, zgięty w pół, niosąc dwie strzelby. Kucnął między dwoma frontowymi oknami, chcąc namierzyć napastników.

- Gillette, czy strzelasz równie dobrze, jak Rachael? - zapytał Jack.

- Byłem żołnierzem - odparł. - To ja nauczyłem ją strzelać.

- To dobrze. Skupcie się na tym, żeby ich zatrzymać. Jest ich kilku, nie można pozwolić, żeby nas otoczyli. Jest tu jakieś tylne wyjście?

- Tak, w kuchni.

- Nie podnoście się - powiedział Jack i ruszył w stronę kuchni. Czuł świst kul przelatujących nad jego głową i głucho uderzających o ściany. Lustro w złoczonej ramie w końcu roztrzaskało się o podłogę, a wszędzie wokół leżały odłamki szkła i drewna.

Kiedy znalazł się poza linią ognia, wyprostował się i pobiegł korytarzem do kuchni.



Poczuł ostre ukłucie bólu w udzie, ale je zignorował. Wpadł do kuchni w chwili, kiedy tylnymi drzwiami wszedł tam mężczyzna. Jack upadł na kolana i przetoczył się, a cztery kule trafiły w szafki za nim. Usłyszał pojedyncze uderzenie o piękną marmurową posadzkę. To naprawdę go rozwścieczyło. Zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Hej, ty!

Mężczyzna znowu oddał strzał, ale Jack zrobił unik. Jack strzelił dwa razy, ale chybił. Mężczyzna schował się za pralką obok drzwi.

- Co tutaj robisz? - wrzasnął Jack, przekrzykując odgłos strzelaniny dochodzące z zewnątrz domu.

W odpowiedzi mężczyzna oddał kilka strzałów. Jack poczuł ostre ukłucie w lewym ramieniu. Wydał głośny okrzyk bólu i wypuścił swojego kimbera, który trzasnął o podłogę. Sam położył się na podłodze.

Mężczyzna znowu strzelił. Potem powoli wstał i spojrzał ponad kuchennym stołem na miejsce, gdzie leżał Jack.

Zrobił krok, po czym zdał sobie sprawę, że nie widzi broni, ale było już za późno.

Jack postrzelił go.

Mężczyzna złapał się za ramię i upadł na kolana. Jego broń upadła na podłogę i, wpadając w poślizg, odbiła się od ściany. Napastnik przewrócił się, jęcząc. Jack podszedł do niego i rękojeścią pistoletu uderzył go w tył głowy. Jeden załatwiony, ale na zewnątrz musiał być przynajmniej jeszcze jeden. Ktokolwiek był zleceniodawcą, nie miał szans z jednym tylko snajperem. Słyszał dwóch z przodu domu, i prawdopodobnie jeszcze jeden był z tyłu.

Jack wyciągnął portfel z kieszeni kurtki mężczyzny, po czym przez okno spojrzał na zielony trawnik, który ciągnął się kilkanaście metrów aż do gęstego lasu. Szukał jakiegoś ruchu, czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc zlokalizować strzelca.

Lub strzelców. Był cierpliwy. Czekał. W końcu dostrzegł ruch. Mężczyzna próbował prześlizgnąć się pomiędzy dwoma młodymi dębami, ostrożnie, bo usłyszał strzały i krzyki. Musiał już uświadomić sobie, że jego wspólnik dał się trafić.

Mężczyzna trzymał coś w dłoni - ale nie była to broń. Rozmawiał przez krótkofalówkę, pewnie zdawał relacje. Jack dostrzegł jego ciemnoniebieską koszulę, kiedy zbliżył się do domu.

To był duży błąd, pomyślał Jack. Wycelował i strzelił, ale mężczyzna nie był amatorem. W ostatniej chwili rzucił się na ziemię. Kula Jacka trafiła w drzewo.

Nie zamierzał pozwolić napastnikowi przejść do frontu domu i dołączyć do reszty drużyny. Wyciągnął rękę i sięgnął na stół kuchenny, do szklanej miski, w której stały jabłka.

Wycelował na lewo od kontenera na śmieci i z całej siły rzucił jabłkiem. Trafił. Zobaczył, jak mężczyzna nagle odwrócił się, a jego ręka z bronią powoli celuje w kontener.

Jack wycelował i strzelił. Usłyszał krzyk.

- Mam cię - powiedział, patrząc, jak mężczyzna upada na trawę. Usłyszał wystrzały dobiegające od frontu domu i modlił się, żeby Rachael i jej wuj zachowali ostrożność. Czekał, nasłuchując. Był święcie przekonany, że w lesie nie czaiło się więcej snajperów. Tak szybko, jak tylko mógł, przebiegł przez podwórko, tak naładowany adrenaliną, że słyszał bicie własnego serca.

Jak udało im się znaleźć Slipper Hollow? To naprawdę nic trudnego. W dobie Internetu, niczego nie dało się długo utrzymać tajemnicy.

Ukląkł i obejrzał mężczyznę, którego postrzelił. Kula trafiła prosto w serce. Wyjął jego portfel, włożył do kieszeni razem z portfelem tego pierwszego. Podniósł porzuconą krótkofalówkę i wcisnął guzik. Zniżył głos, w lewej dłoni zgniatając liście, aby stworzyć wrażenie zakłóceń i błagalnym głosem powiedział:

- Hej, tutaj nie jest za dobrze. Co mam zrobić?

- Clay, to ty?

Nie spodziewał się kobiecego głosu.

- Tak, to ja - znowu zgniótł trochę liści. - Słabo cię słyszę.

- A co z Donleyem? Mówiłeś, że wszedł do środka, a potem usłyszałeś strzał. Co się stało?

- On... został... trafiony.

- No trudno, niech to szlag, będziemy musieli poczekać, aż się ściemni, wtedy wejdziemy do środka. To prostaki, oczywiście mają broń, prawdopodobnie strzelby myśliwskie, więc atak od frontu odpada. Myślisz, że dasz radę wejść tylnym wejściem?

Potał dłońią słuchawkę.

- Trudno, ja...

- Clay? Hej, zaczekaj, lepiej nie, Clay...

Usłyszał, jak kobieta przeklina, a potem sygnał z krótkofalówki zanikł.

Jack szybko zaczął szerokim łukiem podchodzić do frontu domu, mając nadzieję zajść od tyłu napastników, ale prawdę mówiąc, nie robił sobie wielkich nadziei, że mu się to uda.

Usłyszał kolejną serię strzałów, potem cisza.

Wyobraził sobie tę kobietę i jej pomocnika - byli profesjonalistami, raczej nie spanikują, ale właśnie stali w obliczu prawdziwej klęski na całej linii. Lepiej byłoby dla nich szybko się stąd wycofać. Jakimś sposobem zostali zdemaskowani, a ich ofiara była uzbrojona

i też do nich strzelała. Prawdopodobnie byli przekonani, że to będzie łatwe, chociaż snajper, którego wysłali do Parlow, teraz leżał w szpitalu Franklina. Wiedzieli o tym?

Prawdopodobnie tak. Ale nie mogli wiedzieć, że razem z owymi prostytutkami był tutaj agent FBI. I że jeden z tych prostaków był żołnierzem, a drugi świetnie strzelał. Cóż za miła niespodzianka.

Jeżeli mieli plan awaryjny, to właśnie trafił go szlag. Pobiegł, przykucnął, nie zwracając uwagi na liście smagające mu twarz, nu ból w udzie i krew sącząca się z rany na lewym ramieniu, próbował poruszać się tak szybko i cicho, jak tylko mógł.

Coś usłyszał i zatrzymał się w miejscu. To brzmiało jak odgłos kroków jednej osoby. Promienie słońca przebijały się przez liście nad jego głową. Cisza. Nic. Potem usłyszał odgłos jakiegoś zwierzęcia, prawdopodobnie uciekającego oposa.

Cisza, w pobliżu nie było nikogo. Jak daleko byli?

Znowu usłyszał odgłosy strzałów Gillette i Rachael, ale do nich nikt nie strzelał.

Napastnicy zniknęli.

Pobiegł w stronę skraj u lasu, aż zobaczył front domu. Musiał być blisko ich ostatniej pozycji. Oni mogli wciąż być w pobliżu, mogli widzieć, co zamierzał zrobić i zastrzelić go, jeżeli się pokaże. Jack nie chciał dać się zabić. Prawie dobiegł do ich ostatniej kryjówki zobaczył wygniecioną trawę i łuski po nabojach.

Napastnicy zniknęli.

Pobiegł w stronę drogi. Kiedy wyłonił się z lasu, zobaczył dwie postacie odjeżdżające z piskiem opon najnowszym modelem czarnego forda expedition.

Musieli zostawić swoich towarzyszy. To nie był zbyt dobry pomysł - ale nie mieli wyjścia.

Tak szybko, jak tylko mógł, Jack przybiegł z powrotem.

- To ja, Jack! Odjechali. Nie strzelajcie! Wychodzę! - krzyknął, zanim wybiegł z lasu. Rachael wybiegła przez drzwi.

- Jack! Jesteś cały? Czy oni odjechali?

- Nic mi nie jest. A tobie?

- Mam drobne odłamki szkła w ramieniu i szyi, ale to nic groźnego. Gillette też jest cały. Poszedł sprawdzić tył domu.

- Jeden z nich żyje, zostawiłem go na podłodze w kuchni. Wejźmy do środka - powiedział i, chwytając ją za rękę, pociągnął do środka.

Wtedy z kuchni nadbiegł Gillette.

- Jack, na podłodze w kuchni jest krew, ale facet zniknął. Ale z niego idiota. Powinien

był postrzelić sukinsyna w nogę.

- Daleko nie uciekł - powiedział Jack. - Właściwie było ich dwóch. Jeden z nich leży martwy na podwórku z tyłu domu, niedaleko lasu. Wziąłem ich portfele. Założę się, że ci faceci figurują w kartotece.

- Zadzwoń do szeryfa Hollyfielda, powiem mu, co się stało i ściągnę go tutaj - powiedziała Rachael. - Pójdę rozejrzeć się na zewnątrz.

- Ciało zniknęło - powiedział Jack, kiedy pięć minut później wszedł do kuchni. - Ten ranny musiał je stąd wynieść. Pewnie mieli drugi samochód.

- Szeryf będzie tutaj za pół godziny - oznajmiła Rachael.

- Zapomniałem, że mam dla niego ważne informacje - powiedział Jack, po czym zadzwonił do niego i złapał go dokładnie w chwili, kiedy zamierzał opuścić swoje biuro. Jack podał szeryfowi Hollyfieldowi numer rejestracyjny forda napastników.

Nie zwracając uwagi na ich protesty, Rachael, wzięwszy strzelbę, wraz z Jackiem udała się do lasu w poszukiwaniu mężczyzn. Jack nie był z tego zbyt zadowolony, chociaż wiedział, że ona dobrze strzela.

- Musimy zachowywać się bardzo cicho - szepnęła. Dość szybko udało im się znaleźć ślady krwi.

- Popatrz - powiedział Jack, klękając na ziemi. - Niesie swojego martwego kumpla. Nie mogli ująć daleko. Ślady krwi prowadziły w stronę drogi, jakieś sto metrów od miejsca, z którego odjechał ford.

- Byli na tyle zapobiegliwi, że mieli dwa samochody. Facet, którego postrzeliłem w ramię, natychmiast potrzebował pierwszej pomocy.

Kiedy wrócili do domu, Jack zatelefonował do najbliższego szpitala. Powiedziano mu, że zaalarmował ich już szeryf Hollyfield.

- Gillette, czy w pobliżu są jacyś lekarze, do których mogliby łatwo trafić? Ten pokręcił przecząco głową.

- Nie, chyba że znali jakiegoś osobiście. Albo mieli książkę telefoniczną. Najbliższe miasto to Parlow. Wszystko tutaj jest tak rozproszone, że ktoś nietutejszy się nie połapie.

Na wszelki wypadek Jack zadzwonił też do kliniki do doktora Posta. Siostra Harmon zgodziła się zawiadomić wszystkie szpitale w okolicy. Potem zadzwonił do Savicha.

Rachael słuchała go jednym uchem, zamiatając szkło z rozbitych okien.

- Mieliliśmy dużo szczęścia - mówił Jack do Savicha. - Gdyby nie alarm, który uruchomili snajperzy, kiedy tu weszli, mielibyśmy poważne kłopoty, bo Rachael i ja byliśmy na zewnątrz.

Nie wiedzieli, że tu jestem, ani, że Gillette był żołnierzem, i że Rachael potrafi tak dobrze strzelać. Szeryf Hollyfield niedługo powinien tu być, więc wszystko wydaje się pod kontrolą. - Przez chwilę słuchał, a potem dodał: - Mam portfele obu mężczyzn, do których strzelałem, ale tak, jak w przypadku tego, który strzelał w warsztacie Roya Boba - nie było tam żadnych dokumentów, kart kredytowych, prawdopodobnie zostawili wszystko w samochodach. Mogę pobrać próbkę krwi z podłogi w kuchni i z liści w lesie, może da nam to wynik DNA. No dobrze. - Jack rozłączył się.

- Savich powiedział, że co za dużo, to niezdrowo, i że nigdy nie wierzył, że do trzech razy sztuka. Chciałby, żeby Rachael wróciła do Waszyngtonu. I żebyś ty, Gillette, wziął sobie urlop.

- Tak, jasne, to dopiero będą wakacje - powiedział Gillette. Westchnął i rozejrzał się wokół. Pochylił się i podniósł z podłogi duży kawałek szkła. - Raczej nie mogę tak zostawić mojego domu.

- Pewnie umieszczą mnie w tym samym szpitalu, co doktora MacLeana - zastanawiała się głośno Rachael. - Na razie nie ma o czym mówić. Muszę zadzwonić do matki. Jeżeli bez trudu znaleźli Slipper Hollow, na pewno dotarli też do niej.

- Dzwoniłem do niej, kiedy ty i Jack byliście w lesie - powiedział Gillette. - U niej wszystko w porządku. Nie powiedziałem jej, że masz kłopoty.

- A nie powinniśmy ich ostrzec? - zapytała Rachael. - Może też wezmą urlop? Jack pokręcił głową.

- Ktokolwiek wynajął tych ludzi, nie chciał wyrządzić więcej szkody, niż to konieczne. W Parlow musieli się przestraszyć. Raczej ograniczą ryzyko i nie będą się narażać. Wiedzą, że byłoby czystą głupotą ścigać twoją matkę i jej rodzinę. I dlatego zrobili coś innego.

- Świetnie, ależ z ciebie geniusz - powiedziała Rachael.

- Tylko popatrz, co zrobili? Nie wiedziałam, że ktoś dowie się o Slipper Hollow. Gillette westchnął.

- Tylko pomyśl, Rachael, to wcale nie byłoby trudne.

- Gillette ma rację - przyznał Jack. - To bajecznie proste. Zebrali informacje na twój temat, Rachael i dowiedzieli się o Gillette. Po porażce w Parlow musieli poszukać innego miejsca i znaleźli je.

- Chciałbym, żeby tego miejsca nie było na mapie - powiedział Gillette. - A w dzisiejszych czasach nie ma na to szans. Byłem głupi. - Pokręcił głową. - Przecież są rejestry firm kurierskich, zapisy własności nieruchomości, mogli zapytać w miejscowym urzędzie

pocztowym, gdzie mieszkam, jest mnóstwo sposobów, żeby mnie wytropić.

- Powinienem być zawlec twój tyłek na pustynię w Arizonie - powiedział Jack do Rachael.

Gillette spojrzał na swoje podziurawione kulami drzwi wejściowe, na wszystkie piękne okna, teraz rozbite w drobny mak, na dziury w ścianach i stłuczone lustro w korytarzu.

- Zanim przyjedzie szeryf Hollyfield, zajmijmy się naprawą drzwi i zabijmy okna deskami. Zamówisz dostawę nowych okien przez firmę kurierską? - zapytał Jack.

- Tak, ale tym razem poproszę, żeby usunęli moje dane ze swojej bazy - odparł Gillette.

- Tak mi przykro, wujku Gillette - powiedziała Rachael. To wszystko moja wina.

- Nie wkurzaj mnie, Rachael - obruszył się Gillette i pociągnął ją za warkocz.

Tego samego wieczoru, kiedy było już ciemno, Jack odkrył, że uzbrojeni bandyci znaleźli i zniszczyli samochód Rachael.

*Szpital im. George'a Waszyngtona*

*Waszyngton*

*Środa rano*

Kiedy Sherlock i Savich weszli do szpitalnej sali, Mac Lean był świadomy i żartował z pielęgniarką. Spojrzał na nich i uśmiechnął się.

- Pamiętam was, byliście tutaj wczoraj. Jesteście agentami FBI, pracujecie z Jacksonem. - Wzruszył ramionami. - Jackson powiedział mi, że ta młoda dama, która jest z nim - chyba ma na imię Rachael - uratowała nas, kiedy rozbił się nasz samolot. Wyszli stąd jakieś dziesięć minut temu, powiedzieli, że już tutaj jedziecie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do doktora MacLeana i wyszła.

- Tak - odezwał się Savich. - Spotkaliśmy ich przy wejściu. Powiedzieli, że czuje się pan dziś znacznie lepiej. Neurolog powiedział im, że ta choroba jest nieprzewidywalna i każdy przypadek jest inny. Savich modlił się, żeby doktor MacLean pamiętał ich wczorajszą rozmowę i żeby nie musieli zaczynać wszystkiego od początku.

- Zawsze powtarzałem jego ojcu, że nigdy nie lubiłem zdrobnienia jego imienia, więc dla mnie zawsze będzie Jacksonem. Grałem z nim w futbol, uczyłem go podkręcać piłki i dawałem mu wskazówki, jak poddawać psychoanalizie klientów, którzy kupowali lemoniadę od jego siostry. Ustawił się obok jej stoiska. Liczył sobie tylko dziesięć centów za trzyminutowe czytanie i poradę. Miał wtedy chyba dziesięć lat.

- Jak radził sobie z klientami? - zapytała Sherlock.

- Pewnie mężczyznom patrzył na dłonie, a u kobiet bełtał pozostałości lemoniady na dnie papierowych kubków i analizował ułożenie mięszu.

Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jaką ma intuicję. Jego matka zakazała mu tej działalności, kiedy poradził sąsiadowi, żeby przestał sypiać z panią Hinkley, która mieszkała dwa piętra wyżej. Tego lata on i jego siostra Jennifer zarobili kupę kasy.

Moim zdaniem coś złego przytrafiło się jemu i tej młodej damie, Rachael, ale oni twierdzili, że wszystko jest w porządku, a wszystkie te bandaże to jeszcze po katastrofie naszego samolotu. Powiedziałem mu, że nie odniosłem aż tak poważnych obrażeń, żebym zgłupiał, ale on widocznie tak. Rachael roześmiała się. Jackson powiedział, że ona jest projektantką lub dekoratorką wnętrz. Stwierdziła, że skoro nie zostaje w tej sali na dłużej, nie będzie zmieniała jego kolorystyki. Udało jej się mnie zagadać, a potem sobie poszli, więc pytam was: co się dzieje z Jacksonem? I nie próbujcie mi wmawiać, że chodzi tylko o mnie i

moje problemy. Savich pokiwał głową.

- Ma pan rację, on jest zaangażowany w mocno podejrzone sprawy. Ale pan wie, że jest dobry. Nic mu nie będzie. Proszę się nie martwić. Od pielęgniarki wiemy, że wczoraj wieczorem była u pana żona. Musiał być pan bardzo zadowolony, że przyjechała tutaj aż z Lexington. Czy dziś też do pana przyjdzie?

Patrząc na twarz doktora MacLeana, Sherlock doszła do wniosku, że żona raczej zakłócała jego spokój.

- Powiedziałem Molly, żeby dziś nie przychodziła - odparł rozdrażniony. - Że nigdzie się nie wybieram i że nie ma się czym martwić. Tylko denerwowałaby mnie swoim zrządzeniem, niekończącym się suszeniem mi głowy o znalezienie dla nas domu przy plaży na Bermudach. Na szczęście reszta rodziny została w Lexington. Ta gromada rozniosłaby szpital. Zabroniłem im pod karą śmierci w męczarniach przyjeżdżać tutaj i doprowadzać mnie do szaleństwa. - Uśmiechnął się szeroko. - Chociaż ja już chyba jestem wariatem.

- Doktorze MacLean, pamięta pan, o czym rozmawialiśmy wczoraj? - zapytała po chwili Sherlock.

- Być może mój mózg nie funkcjonuje całkiem normalnie, ale pamiętam naszą wczorajszą rozmowę. Opowiedziałem wam o dwójce moich pacjentów, a tego nie powinienem był robić. Ale jesteście z FBI, więc pewnie nie miałem wyboru, skoro jakiś wariat próbuje mnie zabić. Gdybym musiał, odśpiewałbym to nawet.

Właściwie, opowiadanie wam o tych ludziach było zabawne. Możecie mówić mi Timothy. - Skinęli głowami, a on mówił dalej. - A przy okazji, Tomlin, ten agent, który pilnuje moich drzwi wszedł tutaj, parę razy i powiedział, że mam się nie martwić, bo jemu nigdy nie zdarza się drzemać w pracy i jest byłym kapitanem policji, który swoim skromnym zdaniem rozbił gang w Detroit. - Uśmiechnął się, patrząc na przemian na Savicha i Sherlock. - Powiedział mi też, że parę tygodni temu byliście w San Francisco u jasnowidza. Skoro mowa o dziwnych ludziach.

- Agent Tomlin jest pierwszorzędny - powiedziała Sherlock. Timothy roześmiał się.

- Następnym razem zaproszę go na dłuższą pogawędkę.

- Jak się pan dziś czuje? - zapytała Sherlock.

- Nadal jestem całkowicie rozbity, ale jakieś pięć minut temu wziąłem dawkę środków przeciwbólowych, więc za chwilę powinienem poczuć znaczną ulgę, dziękuję. - Zmarszczył brwi, po czym z niewinnością dziecka dodał: - Pamiętam to bardzo dokładnie. Opowiadałem wam o kongresmence Dolores McManus.

- Tak - przyznał Savich. - I o tym, jak zamordowała swojego pierwszego męża.



Timothy westchnął, po czym uśmiechnął się błogo.

- Wyznała to, będąc pod wpływem hipnozy - nie spodziewałem się tego. Nie mogłem i nie chciałem w to uwierzyć. Na początku myślałem, że mnie nabiera, ale to było niemożliwe, bo była pod wpływem hipnozy.

Żałuję tylko, że zanim ją wybudziłem, nie kazałem zapomnieć o wszystkim, co mi powiedziała, ale tak mnie wytrąciła z równowagi, że zapomniałem.

- Może opowie nam pan dokładnie, co wyznała, żebyśmy mogli to wykorzystać.

Przez chwilę MacLean się wahał. Potem choroba musiała osłabić jego wątpliwości, albo dał o sobie znać jego instynkt samozachowawczy, bo głosem spokojnym, jakby prowadził rozmowę towarzyską, powiedział:

- Jak już mówiłem, Dolores młodo wyszła za męża za kierowcę ciężarówki, urodziła troje dzieci i zanim skończyła dwadzieścia pięć lat, ukończyła studia. Życie toczyło się swoim torem, ale w jej przypadku sprawy przybrały interesujący obrót. Miała niewyparzony język i niczego się nie bała. Zyskała pozycję, która pozwalała jej mierzyć się z grubymi rybami i często nawet ich pograżać. To sprawiło, że zweryfikowała swoje poglądy na to, co i w jaki sposób chce osiągnąć.

Jednak jej mężowi - kierowcy ciężarówki, to nie odpowiadało. Chciał, żeby żona czekała na niego w domu i po jego powrocie podała mu piwo. Groził, że zrobi jej krzywdę i zabierze jej dzieci. Uwierzyła, że jest w stanie ją zabić. Ale co z dziećmi? Ostatnie z nich za pół roku miało wyprowadzić się z domu, więc to nie był problem. Za to on stanowił poważny problem.

Więc Dolores zaczęła myśleć w ten sposób: kto zagłosuje na parlamentarzystkę, która ma za męża kierowcę ciężarówki? Wiedziała, że z tym człowiekiem nie sięgnie gwiazd, na co w swojej opinii zasługiwała. Dla niej oznaczało to objęcie funkcji politycznej, z której miałyby pieniądze. On tylko podkreślałby jej brak jakiegokolwiek doświadczenia zawodowego i jak do tej pory bezużytecznego dyplomu ukończenia studiów.

Wtedy nagle ta kobieta w średnim wieku powiedziała mi, że jej mąż udał się właśnie swoją osiemnastokółową ciężarówką w jedną ze swoich zwykłych tras po Alabamie. Kiedy zatrzymał się w swoim ulubionym zajeździe, aby zjeść kolację, ktoś nagle wyłonił się z cienia i zastrzelił go.

Potem Dolores powiedziała „popatrz na to” i natychmiast sfabrykowała łyzy i powiedziała mi, że tak właśnie się zachowała, kiedy do jej domu przyjechała policja - ona powiedziała coś w stylu: „O nie, to potworne, to musi być jakaś pomyłka, nie mój Lukey, o Boże, co ja teraz zrobię, a co z moimi biednymi dziećmi”. Potem powiedziała, że zemdląca -

no wiecie, była w szoku. Po chwili nagle roześmiała się. Tak zanosila się śmiechem, że omal się nie udusiła. Pomiedzy wybuchami śmiechu powiedziała mi, jak to wynajęła zbira z Savannah, który zabił jej męża, że zapłaciła mu pięćset dolarów i powiedziała, gdzie ma to zrobić. Była z siebie bardzo zadowolona, i powzięła ostateczne postanowienie o kandydowaniu do Kongresu. Byłem tak zaszokowany, że wyprowadziłem ją z hipnozy. Oczywiście dokładnie pamiętała, co mi powiedziała, i nagle znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Zapewniłem ją, że nigdy nie złamię tajemnicy lekarskiej. Jednak nadal była przerażona. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek do mnie przyjdzie. I nie pomyliłem się. Myślicie, że to Dolores próbowała mnie zabić?

- To brzmi bardziej prawdopodobnie niż Lomas Chapman - stwierdził Savich. - A z jakiego powodu ona potrzebowała psychiatry?

- Jej ojczym wykorzystywał ją seksualnie i ostatnio miała w związku tym koszmarne sny. To doprowadzało ją do szaleństwa i dlatego do mnie przyszła. Wprowadzałem ją w stan hipnozy, żeby wywołać wspomnienia i żeby mogła stawić im czoło. A potem to się stało.

Savich pokiwał głową.

- No dobrze, barman mówił, że słyszał, jak opowiadał pan o jeszcze jednym pacjencie, Pierre Barbeau.

- Ach, tak, Pierre. Jest bardzo bystry, zajmuje wysoką pozycję w wywiadzie wojskowym. Od lat znałem jego oraz jego żonę Estelle i ich syna Jeana Davida. Molly i ja graliśmy z nimi w golfa i utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie. Nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale można powiedzieć, że miło spędzaliśmy razem czas.

W każdym razie Pierre jest wysoko postawionym łącznikiem pomiędzy francuską policją i naszym CIA. Jest arogancki i zadufany w sobie, ale można się tego spodziewać, bo jest Francuzem i przez te lata śmiałem się, kiedy w kółko opowiadał o wyższości Francuzów. Drażniłem się z nim wtedy.

Potem, ni z tego, ni z owego zadzwonił do mnie i powiedział, że znalazł się w samym środku zawieruchy - takiego słowa użył - i potrzebował mojej pomocy.

Okazało się, że chodziło o jego syna, który, co dość ciekawe, był obywatelem amerykańskim, bo urodził się trzy tygodnie przed terminem podczas ich pobytu na wakacjach w Cape May. Ma dwadzieścia sześć lat, jest absolwentem Harvardu. Niezwykle bystry, miły facet, może nawet bystrzejszy od swojego staruszka, jest strategicznym analitykiem w CIA, specjalizuje się w sprawach Bliskiego Wschodu. Jakies pół roku temu Jean Dawid związał się z młodą kobietą, która twierdziła, że jest absolwentką i na pół etatu pracuje dla organizacji charytatywnej, która finansuje edukację na Bliskim Wschodzie. Oczywiście ta organizacja

była tylko przykrywką, a tak naprawdę w Stanach zajmowała się zbieraniem pieniędzy dla grup terrorystycznych i werbunkiem do nich. Jean Dawid spadł jej jak z nieba. Jakies półtora miesiąca temu Jean Dawid pokazał jej poufne materiały, bardzo dokładnie określające położenie jednego z naszych tajnych agentów w Pakistanie - prawdopodobnie po to, żeby jej zaimponować. W CIA prawie natychmiast zorientowali się, że coś jest na rzeczy, bo zamordowano dwóch tajnych agentów, i ogłosili stan pełnego pogotowia. Jean David zrozumiał, że ma poważne kłopoty, więc opowiedział ojcu o kobiecie, którą poznał i której dał się oszukać.

- Przypominasz sobie imię tej kobiety, Timothy? - zapytała Sherlock.

- Miała bardzo urocze imię, może Mary, nie, raczej Anna. Nie znałem jej nazwiska, zresztą Pierre też go nie znał. Przyszedł do mnie w zaufaniu jako przyjaciel i zapytał, czy mógłbym bronić jego syna w sądzie jako psychiatrę, argumentując, że chłopak był niepoczytalny i nie wiedział, co robi. Martwił się o zdrowie psychiczne swojego syna. Powiedziałem mu, że w takim przypadku żadna diagnoza psychiatryczna nie uchroni Jeana Davida przed więzieniem. Oczywiście zgodziłem się z nim spotkać, ale pod warunkiem, że Jean David przyzna się władzom do popełnionego przestępstwa. Wielu tajnych agentów wciąż może być w niebezpieczeństwie, więc władze powinny wiedzieć o naruszaniu przepisów. Właściwie powiedziałem Pierre'owi, że w tych okolicznościach to dla mnie etycznie niedopuszczalne trzymać to w tajemnicy i jeżeli Jean David nie powie o wszystkim władzom, ja to zrobię.

- Co było dalej, Timothy? - naciskała Sherlock.

- Powinienem teraz mówić o Jeanie Davidzie w czasie przeszłym. Tak bardzo tego nienawidzę. Wiecie już o jego śmierci, prawda?

- Tak. Powiedz nam, co się stało.

- Dobrze. Tydzień po tym, jak rozmawiałem z Pierre'em, Jean David utonął w wypadku na rzece Potomak. Zła pogoda wywołała szkwał, pewnie o tym słyszeliście. Zapowiadano złą pogodę, ale mimo to Jean David i jego ojciec wypłynęli na połów. Pierre zawsze uważał, że najlepiej łowi się w środku wielkiej burzy. Zamierzali wracać, bo mgła stawała się naprawdę gęsta, kiedy zaczęło nimi mocno kołysać. Zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował za burtę. O dalszych szczegółach niewiele wiadomo. Nadpływająca szybka łódź motorowa najwyraźniej nie widziała ich w tej mgle i deszczu, i uderzyła prosto w nich. Pierre wypadł za burtę. Jean David wskoczył do wody, żeby ratować ojca. Podobnie jak jeden z mężczyzn z drugiej łodzi. Uratowali Pierre'a, ale Jean David utonął. Długo szukali, ale nie mogli znaleźć jego ciała.

Pierre był zrozpaczony, wciąż nurkował i szukał, ale bezskutecznie. Jean David został uznany za zmarłego, a dwa tygodnie temu jego śmierć została uznana za wypadek. Czy to rzeczywiście był wypadek? Wiem, co sobie myślicie, Pierre i Jean David ukartowali to, żeby umożliwić mu zniknięcie z Waszyngtonu. Ale przecież tam była ta motorówka, a ludzie na jej pokładzie wszystko widzieli. Zadzwoiłem do Pierre'a, ale nazwał mnie mordercą i rzucił słuchawkę. Był pogrążony w smutku. Jego syn nie żył, a on obwinił o to mnie. Wątpię, żeby Pierre mógł udawać żal w ten sposób, a przynajmniej nie przede mną. Rozmawiałem z naszymi wspólnymi znajomymi i oni zgodzili się, że oboje, Pierre i Estelle, są w fatalnym stanie. Był ich jedynym dzieckiem, a umarł. Przeze mnie.

- Wie pan, że to niedorzeczne, doktorze MacLean - powiedziała ciepło Sherlock. - Jako psychiatra wie pan, że kiedy ludzie rozpaczają, szczególnie, kiedy stracili ukochaną osobę w wypadku, próbują obarczyć kogoś winą. To naturalne, z pewnością widział to pan niezliczoną ilość razy w swojej praktyce. Jeśli jeszcze raz powie pan coś podobnego, porozmawiam z Molly i już ona się panem zajmie.

Zmarszczył brwi, słysząc jej słowa, ale kiedy usłyszał o swojej żonie, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- No dobrze, chyba zbyt użalam się nad sobą. Cholera, wolałbym, żeby Pierre nigdy nie poprosił mnie o spotkanie. Już wcześniej wpadałem w bagno, ale nigdy w aż tak

głębokie.

- A więc powiedział pan Pierre'owi Barbeau, że Jean David musi przyznać się do tego, co zrobił, albo będzie pan zmuszony do doniesienia na niego na policję? - zapytał Savich.

- Tak. To było jak z księdzem w konfesjonale. Jeśli osoba, która się spowiada, planuje zrobić komuś krzywdę, to czy ksiądz powinien zgłosić to władzom? Czy poszedłbym na policję? Tak naprawdę całkiem zapomniałem o tym, kiedy byłem w Lexington. Mam nadzieję, że teraz oni dokładnie wiedzą, co zrobił Jean David, ale jutro może sprawdzę w CIA, żeby mieć pewność, że nikt więcej nie jest zagrożony.

- Ale nie wie pan na pewno, czy CIA wytropiła wyciek informacji od Jeana Davida? - zapytała Sherlock.

- Nie. Nie rozmawiałem też z Pierre'em ani z Estelle od tamtego popołudnia, kiedy zadzwoniłem do Pierre'a z kondolencjami.

- Ale cokolwiek dowie się CIA, nie pokażą tego w wieczornych wiadomościach. CIA utrzyma to w sekrecie, szczególnie teraz, kiedy Jean David nie żyje.

To oczywiście, że tak robią, Savich to wiedział, ale może powinien dowiedzieć się, co wiedzą, upewnić się dla własnego spokoju, że wszyscy inni tajni agenci byli bezpieczni.

- Taka tragedia zawsze załamuje, Timothy - powiedział Savich. - Może sprawiać, że ludzie postępują w nietypowy sposób. Nie wydaje mi się, żeby Lomas Clapman albo kongresmenka McManus mieli motyw, ale tutaj to jest jasne jak słońce.

Myślisz, że Pierre Barbeau mógł zemścić się na tobie, bo, jak sądzi, to twoja wina? MacLean zamknął oczy i wyszeptał: - To kompletne zagłuszenie swojego ja przez nieukojojony żal, wcześniej widywałem takie przypadki. Ale Pierre? Wątpię.

Coś wam powiem, jeśli ktokolwiek z tej czwórki próbowałby morderstwa, byłyby to Estelle. Ona jedyna mogła chcieć mojej śmierci, nie Pierre. Estelle jest zdolna gołymi rękoma zmienić orzech kokosowy w kulę.

Bardzo dobrze znam się na ludziach i powiem wam, że co wie Pierre, wie także Estelle. Ona jest kierowcą w tym małżeńskim tandemie. Założę się, że Pierre nie powiedział jej o tym, że przyszedł prosić mnie o pomoc. Gdyby jednak jej o tym powiedział, Estelle odebrałaby mnie jako zagrożenie dla nich obojga. Nawet po śmierci Jeana Davida obawiała się, że mogę coś namieszać. I oczywiście jest jeszcze jej rodzina we Francji. Poznałem ich kilka lat temu. I powiem wam, że nie chciałbym mieć ich za wrogów.

Mam wielu innych pacjentów, którzy w przeszłości mieli żenujące incydenty, ale nikt z nich nie jest tak wpływowy, jak tych troje.

- Zablockowałeś nam dostęp do listy swoich pacjentów. Mam nadzieję, że zmieniłeś

zdanie. Naprawdę nie chciałbym, żeby ktoś cię zabił, kiedy jesteś pod moją opieką - ostrzegł Savich.

MacLean kiwnął głową.

- Będziesz miał tę listę tak szybko, jak tylko zdołam posłać do biura moją recepcjonistkę, żeby zgrała ją na dysk. - Słuchali, jak rozmawiał przez telefon. Gdy odłożył słuchawkę, powiedział: - Za kilka godzin przyniesie ją tu. Dziś po południu jeszcze raz spotykam się ze specjalistą z Duke. Nie wiem, po co tutaj przyjeżdża, skoro i tak nie może nic zrobić. Będzie kiwał głową i usiłował wyglądać na mądrego i pełnego współczucia dla mojego stanu. Powie mi, czego spodziewać się w przyszłości. Czy to nie miłe z jego strony? Tak jakbym nie wiedział, że moje życie nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Może potrwać już niedługo, jeśli osoba, która chce mnie zabić, osiągnie swój cel. Może to nie byłoby takie złe. Wtedy ten cały zamęt byłby już przeszłością. Patrząc mu prosto w oczy, Sherlock powiedziała:

- Oto, co myślę na ten temat: nikt z nas nie wie, jakie postępy poczyni medycyna. Jakimikolwiek dziwnymi chorobami się zarazimy, być może da się z nich wyleczyć w następnym tygodniu albo roku. Tego nie wiemy. Miałam przyjaciela, który bardzo potrzebował lepszych leków redukujących odrzuty, bo musiał mieć przeszczep trzustki. Wiem, że on chciał żyć. Miał nadzieję, bezgraniczną nadzieję. Jako lekarz również powinien mieć nadzieję.

Zamilkła na chwilę.

- Zrobimy, co w naszej mocy, żebyś był bezpieczny. Jeżeli ktoś zrobi ci krzywdę po tym, jak stanęliśmy na głowie, żeby utrzymać cię przy życiu, będę wyjątkowo wkurzona, Timothy.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko, ukazując srebrne plomby na swoich tylnych zębach. Kiedy wyszli, uśmiech agenta Tomlina nie został odwzajemniony. Mina zrzedła mu natychmiast, gdy zdał sobie sprawę, że agentka Sherlock była zdenerwowana. Sherlock patrzyła prosto przed siebie, gdy z Dillionem wchodzili do windy.

- Biorąc pod uwagę tę okropną chorobę, i to, że nie ma na nią lekarstwa, i że nie wiadomo, jak się dalej rozwinie, gdybym była nim, chyba bym się zabiła. Wszystko inne nie ma sensu.

- Nie, nie zrobiłabyś tego - powiedział Savich, naciskając przycisk w pustej kabinie. - Wierzysz dokładnie w to, co przed chwilą mu powiedziałaś. Życie czasami potrafi zaskoczyć. Nigdy nie wiesz, nie możesz przewidzieć postępu w nauce, bierzesz to, co ci dają, robisz, co tylko możesz, i masz nadzieję. Oparła się o niego i westchnęła.

- Niektóre rzeczy są takie smutne. Nienawidzę bezsilności.

- Ja też.

Kiedy drzwi do windy otworzyły się, Savich i Sherlock wyszli do holu i zobaczyli Jacka i Rachael zmierzających w ich kierunku.

- Przed chwilą, gdy tu do was szedłem, dzwonił do mnie Ollie - powiedział Jack. - Nie uwierzycie w to. Dziś rano biuro Timothy'ego zostało podpalone. Jego komputer spłonął, razem z twardym dyskiem, a wszystkie jego akta spaliły się na popiół.

Sherlock podniosła oczy ku niebu.

- Dlaczego życie nie może być prostsze? - zapytała, kopiąc dużą ceramiczną doniczkę ze sztucznym czerwonym geranium.

- Nie wydajesz się tym zaniepokojony, Jack - zauważył Savich. - Wiesz coś, czego my nie wiemy?

- Tak się składa, że Molly dała mi jego laptopa i w nim jest lista wszystkich pacjentów.

- Zanotuj to, Rachael. Jack jest królem - powiedział Savich.

- Nie mogłem się już doczekać wspaniałej kanapki z bakłazanem na lunch, a ty mi to umożliwiłeś.

- Bakłazan? - powtórzyła Rachael i spojrzała zdziwiona.

- Kanapka z bakłazanem?

- O tak - powiedziała Sherlock, uśmiechając się. - Grillowany, z odrobiną oliwy z oliwek, dostępny tylko w naszej stołówce na szóstym piętrze budynku Hoovera. Elaine Pomfrey przyrządza najlepsze wegetariańskie kanapki w Waszyngtonie, a tę przygotowuje specjalnie dla Dillona. Dzięki, Jack, że przynosisz takie dobre wieści.

Savich zwrócił się do Rachael.

- Ty i Jack musicie iść do domu senatora Abbota, do twojego domu, zabrać wszystkie twoje rzeczy. Potem umieścimy cię w bezpiecznym miejscu.

Dziewczyna uśmiechnęła się do nich.

- Nie, dla mnie nie ma bezpiecznego miejsca. Powiem wam, co zrobię. Kiedy już skosztuję chrupiącego pieczonego kurczaka w waszej słynnej stołówce, zamierzam dzisiaj popołudniu uciąć sobie miłą pogawędkę z ciotką Laurel i wujkiem Quincy. I nie chcę więcej słyszeć o ukrywaniu się.

- Najwyraźniej muszę być bardziej przekonujący - powiedział Jack do Savicha.

- A tak przy okazji, próbki krwi dwóch snajperów ze Slipper Hollow są w laboratorium. Wkrótce dowiemy się, czy figurują w bazie. Nadal nie mamy informacji od

żadnych służb medycznych o mężczyźnie, którego postrzeliłeś w kuchni Gillette, Jack - powiedziała Sherlock.

- Może obaj nie żyją - stwierdziła Rachael, odgarniając włosy za uszy. - Czy nie byłoby miło? Savich spojrzał na zegarek.

- Jest pierwsza. Umieram z głodu. Porozmawiajmy o tym przy mojej kanapce z bakłazanem. - Zerknął na Rachael. - I twoim pieczonym kurczaku.

- Wiadomo coś o tym facecie, który strzelał do Rachael w warsztacie Roya Boba? O Rodericku Lloydzie? - zapytał Jack.

- Wynajął prawnika i wciąż nie chce powiedzieć nawet słowa - odparła Sherlock. - Nasi agenci przeszukali jego mieszkanie, znaleźli kwity potwierdzające operacje na kartach kredytowych, które mogą być dla nas cenne. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Lloyd cztery lub pięć razy był w restauracji Blue Fox przy Maynard.

- Ostatnie trzy razy Lloyd przychodził z lolitką. Nasz agent dowiedział się tego od jednego z kelnerów, któremu podobno dała numer swojej komórki. Powinniśmy już wiedzieć, kim ona jest. Co do Lloyd, przynajmniej już nikomu nie zagraża.

Kiedy szli na szpitalny parking, Rachael zwróciła się do Sherlock.

- Potrzebuję broni. Możesz mi pożyczyć?

- Posłuchaj, Rachael, wiem, że doskonale strzelasz, że twoje życie jest zagrożone, ale jeśli dam ci broń, złamię prawo.

To nie była dobra wiadomość.

- Dobrze, rozumiem. Założę się, że Jimmy trzymał jakąś w domu.

Savich i Jack już otworzyli usta, żeby coś powiedzieć, ale Sherlock podniosła rękę.

- Nie, panowie, jeśli w domu jest broń, można jej użyć w obronie własnej. Przecież nie jest amatorką i nie postrzeli kogoś, kto na to nie zasługuje.

- Dziękuję, Sherlock.

- Nie podoba mi się to - powiedział Jack. - Naprawdę mi się nie podoba.

- Daj spokój - zganiła go Sherlock i spojrzała na męża. - Ty też bądź cicho.

Zatrzymali się przed Jednostką Dochodzeniową - Śledczą na czwartym piętrze. Przedstawili Rachael wszystkim obecnym agentom. Ollie pokazał jej zdjęcie swojej żony i małego syna. W stołówce, kiedy Savich jadł swoją kanapkę z bakłazanem, a Rachael żuła udo pieczonego kurczaka, zadzwonił telefon Sherlock. Przełknąwszy, odebrała.

Minutę później odłożyła słuchawkę.

- Znamy nazwisko młodej dziewczyny, która była z Lloydem. Numer telefonu komórkowego, który dała kelnerowi, należy do żonatego studenta - doktoranta, który zgodził



się oddać telefon prostytutce w zamian za jej usługi. Podał nam jej nazwisko.

Sherlock uśmiechnęła się promiennie.

- Angel Snodgrass jest w poprawczaku w Fairfax. Dwadzieścia minut później, ona i Savich siedzieli w jego nowym porsche, z piskiem opon wyjeżdżając z garażu budynku Hoovera.

Angel Snodgrass była szesnastolatką o długich, gęstych naturalnych blond włosach, i niebieskich oczach. Na jej twarzy nie było śladu makijażu.

Rzeczywiście wyglądała jak anioł. Tajny funkcjonariusz obyczajówki przyłapał ją na nagabywaniu mężczyzn w okolicach pubu Grove Creek w centrum handlowym Hammerson w Fairfax.

- Angel? Jestem agent specjalny Savich, a to jest agentka Sherlock z FBI. Chcielibyśmy z tobą porozmawiać. Położyła swoje niezwykle blade ręce na stole i wpatrywała się w nie.

- Dlaczego jesteście specjali? Savich uśmiechnął się.

- Z tego, co wiem, zanim Hoover\* przejął władzę w FBI, panował tam wielki chaos - żadnego badania pochodzenia, zero szkoleń, dziedziniec dla przestępców. Hoover to wszystko zmienił, ogłosił, że jego agenci odtąd będą agentami specjalnymi, i od tamtej pory nosimy takie właśnie tytuły. Obecnie jest wielu specjalnych agentów, ale my byliśmy pierwszymi.

Savich nie był pewny, czy to była do końca prawda, ale brzmiało to dość wiarygodnie. Angel zastanowiła się nad tym przez chwilę, wpatrując się w jego twarz.

- A kto to jest Hoover? - zapytała.

- Ach, to było tak dawno temu. Gdzie jest twój dom, Angel? zapytał ją.

- Jakie to ma znaczenie, skoro tam nie wracam?

- Po co były te sztuczki? - zapytała Sherlock. Angel wzruszyła ramionami.

- Miałam ochotę na hamburgera. Do pubu Grove Creek przychodzi wielu biznesmenów, a w centrum handlowym kręci się mnóstwo facetów. Jestem młoda i ładna, więc zwykle dostawałam też duże napiwki. Gdyby ten gliniarz mnie nie przyłapał, mogłabym sobie kupić kilkanaście hamburgerów. A teraz muszę jeść gówniane żarcie w tej dziurze. Czego właściwie chcecie, specjali ludzie? Czy ktoś się nad nią znęcał, zanim uciekła z domu? Savich wiedział, że z tą dziewczyną nie będzie łatwo, że sprowadzenie jej na dobrą drogę będzie wyzwaniem. Sherlock wyprostowała się na krześle.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Angel. Kelner, któremu dałaś numer swojej komórki w restauracji Blue Fox, powiedział nam, że byłaś tam z Roderickiem Lloydem. Proszę, opowiedz nam o nim.

- Dlaczego? Co zrobił Roddy? Savich przyglądał się jej uważnie.

- Cóż, Angel, Roddy to bardzo zły człowiek. W tej chwili jest w szpitalu w zachodniej

---

\*John Edgar Hoover, szef FBI w latach 1924 - 1972 (przyp. tłum.).

Wirginii, bo próbował zamordować kobietę. Na szczęście dla siebie, była sprytniejsza i szybsza od niego, bo złapała strzelbę i postrzeliła go. Angel odrzuciła do tyłu głowę, a piękne blond włosy spłynęły na plecy.

- Cóż, przyznam, że nie jestem tym zaskoczona. Rody zawsze się chełpił, jaki to on jest ważny, że kiedy ktoś ma problem, on może go rozwiązać. Był taki nadęty, kiedy powiedział mi, że musi na kilka dni wyjechać z miasta i opanować sytuację zleconą przez bardzo kogoś bardzo ważnego. Nie zdradził mi jego nazwiska, jeżeli to chcecie wiedzieć.

Zastanawiałam się, dlaczego Roddy do mnie nie zadzwonił, potem zorientowałam się, że moja komórka padła i nie mogę jej naładować, bo mieszkanie Roddy'ego jest zamknięte, a ja nie mam kluczy. Czy on umrze?

- Nie - odparła Sherlock. - Ale nie jest w najlepszym stanie. Na razie ma niesprawne obie ręce.

- Podejrzewałam, że jest płatnym mordercą czy kimś tym stylu - powiedziała Angel, spoglądając przez prawe ramię Savicha i zniżając głos. - Mogę sobie wyobrazić, że zawałił sprawę. Jak się nad tym dobrze zastanowić, to nawet w łóżku zawsze kończył zbyt szybko. Nic dziwnego, że to też schrzanił.

- Opowiedział ci o tej sytuacji, którą musiał rozwiązać? zapytał Savich.

Wyjął z kieszeni paczkę gumy do żucia i poczęstował ją. Wzięła listek gumy, długimi bladymi palcami rozwinęła go z papierka i włożyła sobie do ust.

- To nie jest wprawdzie Big Mac, ale też nieźle. Dziękuję, agencie specjalny.

- Proszę bardzo.

Przez chwilę w miłej atmosferze milczenia żuli sobie gumę, po czym Savich odezwał się:

- Jeżeli chodzi o sytuację, z którą musiał poradzić sobie Roddy, na pewno docenimy, jeżeli powiesz nam dokładnie, co o tym wiesz.

Błysk niepokoju na ułamek sekundy pojawił się w jej oczach.

- Kobiecie, którą próbował zabić - powiedział spokojnie Savich. - A zamiast tego ona postrzeliła jego. Dalej grozi jej niebezpieczeństwo ze strony osób lub osoby, która wynajęła Roddy'ego. Czy mówił ci coś na ten temat?

Angel zaczęła stukać palcami o zniszczony blat. Savich nie był ślepy i zauważył blask w jej niewinnych niebieskich oczach. Ach, więc mieli do czynienia z dobrze zapowiadającym się negocjatorem.

- Nie - zaczęła Angel. - Słowem nie wspomniał i nic nie wiem... Savich przerwał jej łagodnie:

- Jeżeli nam pomożesz, dopilnuję, żebyś została wynagrodzona. Chodzi o... hm, nie jestem pewien, może pięćset dolarów, zależy od informacji.

- Gówno prawda - burknęła Angel.

- No tak - przyznał Savich. - Ale kupiłbym ci dużo Big Maców i nową ładowarkę do twojej komórki.

- Hm - mruknęła Angel. - A skąd mogę wiedzieć, że mogę ci ufać? To znaczy, nieźle z ciebie ciacho, ale to nie zmienia faktu, że jesteś federalnym. Może przyjdzie mi czekać na nagrodę parę tygodni, a może parę lat.

Savich wyciągnął portfel i dostrzegł, że ona nie spuszcza z niego wzroku. Powoli wyciągnął z niego pięć banknotów studolarowych, które dziś rano wyjął z bankomatu.

- Na dowód, że możesz mi zaufać, pokażę ci nagrodę. Jest twoja, jeżeli to, co powiesz, okaże się nam przydatne. Ani na chwilę nie spuściła wzroku z pliku banknotów.

- Pierwszy na zachętę - powiedział Savich i podsunął w jej stronę jeden banknot. - Żeby udowodnić moje dobre intencje.

Angel złapała go i wetknęła do stanika.

- Bardzo panu do twarzy w zielonym - zauważyła, uśmiechając się szeroko. - No, dobrze, coś wam mogę powiedzieć. Po trzech burbonach Roddy zrobił się rozmowny i powiedział mi, że powinien zostać lepiej opłacony za poradzenie sobie z tą sytuacją. Roddy zawsze tak mówił. Twierdził, że płacą mu śmiesznie małe pieniądze za jego talent, i takie tam. Prawie wykrzyczałam mu w twarz: „Jesteś stary i paskudny, kto miałby ci za cokolwiek zapłacić?”, ale dzięki niemu mam gdzie się zatrzymać. Roddy jest mało wymagający i szybko kończy w łóżku, więc trzymałam buzię na kłódkę. Twierdził, że to naprawdę pilna robota. Kiedy wybierał się do tego prowincjonalnego miasteczka, nie miał czasu, żeby zrobić rozeznanie, twierdził, że nie cierpi tak działać w ciemno, ale z tego, co wiem, zawsze tak robił, po prostu jak gdyby nigdy nic gdzieś jechał i liczył na to, że mu się uda. Co za kretyn. Czy to jest przydatne?

- Niezbyt - odparł Savich i dotknął drugiej studolarówki, patrząc jej w twarz. Angel wyciągnęła ręce w stronę banknotu.

- No dobra. Podsluchiwałam, kiedy rozmawiał przez telefon, stąd wiedziałam, że ma robotę. Znał osobę, z którą rozmawiał, zwracał się do niej z szacunkiem, zapewniał, że może załatwić wszystko, że można mu zaufać, i takie tam pierdoły.

- Nie zwracał się do tej osoby po imieniu?

- Nie, tylko uważnie słuchał i powtarzał temu komuś, że wszystkim się zajmie i że nie ma problemu.

- A co powiedział, kiedy odłożył słuchawkę?

- Powiedział, że ma mało czasu i że jutro musi jechać do tego małego miasteczka w Kentucky. Wyjechał w poniedziałek z samego rana. W trakcie tej rozmowy dużo notował. Chyba wskazówki. Potem faksem przyszło to zdjęcie.

Savich podsunął jej kolejną studolarówkę, którą schowała za biustonoszem.

- Tak, ten faks - to było zdjęcie młodej ładnej kobiety, z blond włosami - znowu potrzęsnęła włosami. - Miała taki fajny warkocz. Zapytałam, co zamierzał jej zrobić, a on powiedział, że nic takiego, tylko ją trochę postraszy, i znowu wypił szklanekę burbona.

Kiedy nalewał sobie kolejną, przyjrzałam się jej zdjęciu - pochodziło z jej prawa jazdy i było marnej jakości, ale pomimo to mogłam stwierdzić, że jest bardzo ładna. Kiedy zrobię prawo jazdy, - prześlę się z jakimś dobrym fotografem, który zrobi mi porządne zdjęcie. Savich zaczął rozkładać kolejny - trzeci już banknot.

- Zabrał mi faks i zaczął mówić coś do siebie. Powtarzał w kółko: Potrzebuję do tego magazynku, albo dwóch. Skapi łajdacy.

Łajdacy. Liczba mnoga. Savich pokiwał głową.

- Angel, czy Roddy może przypadkiem używał kiedyś twojej komórki? Zaczęła się nad tym zastanawiać, a Savich dostrzegł jej duży wysiłek umysłowy.

- Może kilka razy.

- A jak dawno ten student - doktorant zapłacił za twoje usługi telefonem komórkowym?

- Pewnie powinnam wam powiedzieć, że poderwałam tego studenta, kiedy byłam już z Roddym.

- I nadal masz swoją komórkę?

- Tak, ale jest tak stara, jak ryba, którą zastrzelił wuj Bobby, kiedy celował do mojego młodszego brata. *Nie*, pomyślał Savich, *nie będę ciągnąć tego tematu.*

- Chciałbym pożyczyć twoją komórkę, Angel. Oddam ci ją. Zapłacę ci za wypożyczenie. Co ty na to? W jej niewinnych oczach pojawiła się chciwość.

- A ile chce mi pan zapłacić? To dobry telefon, ma dużo fajnych funkcji. Ale szczerze mówiąc, niestety chyba nie mam na nim zbyt wielu minut.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł Savich.

- Wie pan, telefon komórkowy jest jak facet: jeżeli co noc me podłączasz go do kontaktu i dobrze nie naładujesz, nie ma z niego żadnego pożytku.

Savich przesunął po stole w jej kierunku dwie studolarówki, a Angel sięgnęła do kieszeni po telefon.

- Przydałaby mi się szminka, ale nie oddadzą mi mojej torebki. Telefonu nie zabrali pewnie dlatego, że padł.

- Nie martw się, kiedy ci go zwrócę, będzie naładowany. - Savich wstał, zostawiając kolejny banknot na stole. - Sherlock, może dasz Angel swoją szminkę? Ma naprawdę ładny odcień. Sprawdź, czy nie chciałaby zarobić kolejnej stowy.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział do Angel. - Myślę że twoje informacje były na tyle cenne, że porozmawiam z odpowiednimi ludźmi i oni wycofają oskarżenia.

Spojrzała na niego zdumiona.

Podniósł rękę, chcąc uciszyć ewentualną reakcję dziewczyny.

- Zaczekaj, Angel, zrobię to, jeżeli przyrzekniesz mi, że zadzwonisz pod ten numer. - Wręczył jej wizytówkę. - Ten facet pomaga takim dzieciakom, jak ty. Zadzwonisz do niego?

Zobaczył kłamstwo w jej oczach. Tak, oczywiście, panie agencie specjalny, natychmiast zadzwonię do... pana Hanratty.

Podał jej rękę i zostawił ją z Sherlock, żeby sprawdziły, czy szminka pasuje. W korytarzu spotkał panią Limber, asystentkę dyrektora tego ośrodka.

- Bardzo dobrze nam poszło - zwrócił się do niej. - Dziękuję, że pozwolili nam państwo porozmawiać z nią na osobności. Sprawdzę, czy może zostać zwolniona.

Pani Limber, łagodna kobieta z wielkimi okularami na nosie, poklepała go po ramieniu.

- Angel ma charakter i głowę na karku, ale ma też złodziejską duszę. Wie pan, niektóre z nich tak mają.

- Tak - odparł. - Wiem, ale...

- Ona jest jak rozpedzony pociąg - nie zatrzyma się. Widzę, że ma pan rozładowany telefon Angel. Pożyczyć panu ładowarkę?

Tymczasem Sherlock uśmiechała się na widok ładnego ciemnoróżowego odcienia szminki na ustach Angel.

- Bardzo ci do twarzy w tym kolorze. Możesz zatrzymać szminkę i lusterko.

- Chcę Big Maca - powiedziała Angel, odrzucając do tyłu włosy. Sherlock pogładziła ostatnią studolarówkę.

- To może opowiesz mi, jak poznałaś Roddy'ego? Sherlock znalazła Savicha siedzącego pod drzewem przed ośrodkiem. Mruczając coś pod nosem, bawił się komórką Angel. Podniósł wzrok.

- Zarobiła ostatnią stowę?

- Tak, i dodatkowo nasz przyszły Donald Trump wszedł w posiadanie mojej szminki,

lusterka i grzebienia. Aha, i powiedziała mi, że możesz zatrzymać jej komórkę. Za tę kasę, którą z ciebie zdarła, kupi sobie nową. Nie może doczekać się, aż w końcu się stąd zerwie. No nie wiem, Dillon, sama nie wiem.

- Czasami trzeba puścić rybę wolno. Nie uwierzysz, co znalazłem w jej komórce.

*Baltimore, Maryland*

*Środa po południu*

- Tak musi wyglądać niebo - zawołała Rachael, rozglądając się wokół dużej recepcji na dwudziestym dziewiątym piętrze budynku Abbott - Cavendish. Jej oddech przyspieszył. - O rany, spójrz, jakie piękne. Jimmy mówił, że Laurel jest ekspertem od mebli w stylu Chippendale i urządziła to miejsce w tym właśnie stylu, ale nigdy mnie tu nie przyprowadził, mówiąc, że nie znosi przepychu. - Przyglądała się stojącym wokół, będącym w idealnym stanie krzesłom i stołom i poczuła, że jej puls przyspiesza.

- Nie miał racji - powiedziała, lekko dotykając palcami oparcia krzesła. - Jak ktokolwiek mógłby tego nienawidzić? One są przepiękne. Dotknij tylko drewna, Jack, jest takie gładkie i doskonałe. To mahoń z Indii Zachodnich. Spójrz tylko na nogi tego krzesła.

Jack popatrzył na elegancko zakrzywioną nogę krzesła, jego wytworne obicie, po czym znowu na nią.

- Widzę, że wiesz wszystko na temat antyków - powiedział powoli.

- Zwłaszcza o stylu Chippendale. Spójrz na tę komódkę z wyszukаныmi rzeźbieniami. Wygląda na osiemnasty wiek. Wiesz, że nigdy nie umieszczali na meblach znaku producenta? Żeby dowieść autentyczności, musiałbyś dotrzeć do oryginalnej faktury.

Co z tą komódką? Czy ona sobie żartuje? Faktura z osiemnastego wieku?

Nie, nie wiedziałem o tym - powiedział Jack.

Słuchał, jak mówiła o tym, że Amerykanie lubią siedzenia w stylu księżnej Anny, że wolą drewno wiśniowe od mahoni. Te fantazyjnie wygięte nogi krzesel zatopione były przynajmniej na dziesięć centymetrów w miękkim, drogim dywanie. Nie trzeba go było przekonywać, żeby usiadł na jednym z nich.

I te trzy obrazy Turnera - Rachael kontynuowała swój wywód. - Jimmy lubił te obrazy. Pamiętam, jak mi o nich opowiadał. Należały do jego matki. - Rozejrzała się wokół po recepcji z pożądaniem w oczach. - Mieć duży budżet na dekorację przestrzeni takiej jak ta, to dopiero byłoby coś! Urządziłam kilka wnętrz firm w Richmond i okolicach.

Musiałam się nieźle namęczyć, żeby być jednocześnie twórczą i tanią.

- Czy twoi klienci doceniali to, co robiłaś?

- Tak, wszyscy, i to było miłe. Tak naprawdę w procesie projektowania wolę wyrażać siebie, jednak tworząc przestrzeń dostosowaną do konkretnego spojrzenia i konkretnej funkcji.



Miałam okazałą listę klientów, zanim poznałam Jimmy'ego.

Usłyszeli za sobą chrząknięcie, obejrzeni się i zobaczyli dwie młode kobiety i dwóch młodych mężczyzn siedzących za wysokim przepierzeniem z błyszczącego mahoni, każdy siedział przy swoim komputerze, wszyscy ładnie ubrani, wszyscy pracownicy stukali w klawiaturę lub ściszym głosem rozmawiali przez telefony. Z wyjątkiem jednej młodej kobiety, która przyglądała im się uważnie.

Jack uśmiechnął się do Rachael i skinął głową w stronę kobiety.

- Pozawracajmy głowę tej młodej, jasnookiej dziewczynie w recepcji i sprawdźmy, gdzie jest nasza ofiara. Młoda dziewczyna, z jej identyfikatora dowiedzieli się, że ma na imię Julia, na początku patrzyła na nich podejrzliwie, ale zaraz potem uległa uśmiechowi Jacka, fenomenowi, który Rachael miała okazję obserwować już kilka razy. Wyglądało na to, że Julia nie mogła mu się oprzeć, poddała się i też się uśmiechnęła.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Jack otworzył portfel, pokazując swoją legitymację. Uśmiech Julii nieco przygasł.

- Chcielibyśmy się spotkać z panią Kostas, Julio.

- Ach, tak, a mogę wiedzieć, o co chodzi?

- Nie - odpowiedział. Po czym jeszcze raz uśmiechnął się tym zabójczym uśmiechem i ścisząc głos, powiedział: - Bezpieczeństwo narodowe.

Julia natychmiast wybrała numer i rozmawiała przyciszonym głosem.

- Zaprowadzę państwa do jej biura - powiedziała.

Szli za nią szerokim korytarzem z obrazami przedstawiającymi konie na ścianach. Po drodze minęli kilka wnęk z ustawionymi zabytkowymi wazonami wypełnionymi bujnym bluszczem, oświetlone przez małe górne światła. Julia delikatnie zapukała w podwójne, mahoniowe drzwi, otworzyła je i weszli do dużego prostokątnego pomieszczenia umeblowanego prostymi, jasnymi skandynawskimi meblami. Nie było tutaj ani jednego antyku. Przez wielkie okna wpadały promienie popołudniowego słońca oraz rozciągał się z nich widok, za który można było umrzeć, jednak w biurze wiało chłodem.

- Pani Kostas, to jest agent specjalny Crowne i... - Julia zawstydzona się, bo nie zapytała Rachael o nazwisko.

- Wiem, kim ona jest, Julio. Możesz nas już zostawić. Jack przeczytał wszystko o Laurel Abbott Kostas w drodze do centrali Abbot Enterprises International w Baltimore. Przystudiował kilka jej niekorzystnych zdjęć. Nie była zbyt piękna. Jednak biorąc pod uwagę jej zamożność, spodziewał się, że jest przynajmniej odrobinę wyjątkowa. Powoli szła w ich stronę, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z Rachael. Jej włosy nie były ani długie, ani

krótkie, szpakowate, ale nie tak wyrafinowane szpakowate jak włosy jego matki. Nie nosiła kolczyków ani makijażu łagodzącego ostre rysy twarzy. Oczy pod szerokimi czarnymi brwiami były zimne, szare, a usta wąskie i ściągnięte. Miała na sobie prosty, szary garnitur i czółenka na niskim obcasie, a jedyną jej biżuterią była obrączka. Wyglądała jak zimna i twarda siostra przełożona albo naczelnik więzienia. Nie uśmiechała się. Wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt jeden lat. Zastanawiał się, jak wyglądała w wieku dwudziestu jeden lat, albo wtedy, kiedy wychodziła za mąż za Stefanosa Kostasa, mając trzydzieści pięć lat.

- Witaj, ciociu Laurel.

Laurel Abbott Kostas patrzyła na Rachael ze wstrętem połączonym z obojętnością. Było coś jeszcze, coś dzikiego w tych jej zimnych jak gład oczach.

- Jesteś bękartem, panno Janes. Jest bardzo prawdopodobne, że nie jesteś nawet niefortunna pomyłką mojego brata. Nie jestem twoją ciotką i nie jesteśmy po imieniu.

- Właściwie nie jestem już bękartem, co oznacza, że jesteś moją ciotką - powiedziała Rachael. - Czy Jimmy nie powiedział tobie i Quincy'emu, że mnie adoptował? Pięć dni przed jego śmiercią stałam się formalnie jego córką. Jego prawnik, pan Cullifer, powiedział, że cały proces zajął tylko pięć tygodni, mniej czasu, niż zajęło mechanikom zreperowanie jego jaguara, a następnie uśmiechnął się i dodał, że pieniądze i wpływy to świetna rzecz.

- Doskonała historyjka, panno Janes. Nie nazywaj senatora tym dziwacznym plebejskim imieniem. On nazywał się John James Abbott Junior.

- Powiedział mi, że do czasu aż przyzwyczaję się do myśli nazywania go tatą, mam nazywać go Jimmy. A teraz nigdy już nie będę miała tej szansy.

Laurel Kostass oparła dłonie na biodrach.

- Zrobił to, żeby się na nas odegrać. - Wzięła głęboki oddech i uspokoiła się.

Jack zobaczył w niej nieidącą na żadne ustępstwa okrutną kobietę, onieśmielającą przeciwniczkę, która przed śniadaniem wyrwie ci serce, albo, jak powiedziała Rachael, mógłby z łatwością wyobrazić sobie ją wysysającą mu krew z tętnic Staruszek Abbott musiał być z niej dumny. Przelotnie i lekceważąco spojrzała na Jacka, po czym znowu przeniosła wzrok na Rachael.

- No dobrze, wtargnęłaś tu. Co to za bzdury z bezpieczeństwem narodowym? Czego naprawdę chcesz?

- Jesteśmy tu w sprawie śmierci Jimmy'ego.

O ile to było możliwe, w jej oczach pojawił się jeszcze większy chłód.

- Co w związku z jego tragiczną śmiercią? - spytała przez zaciśnięte usta.

- Został zamordowany.

- To nonsens. Śmierć senatora Abbotta była tragicznym wypadkiem. Została uznana za wypadek przez policję.

- Greg Nicholas, szef jego doradców, wiedział, że to nie był wypadek.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, panno Janes, tak, będę cię tak nazywać do czasu, aż będę miała dowód, że mówisz prawdę. Gdybyś została oficjalnie adoptowana, Brady Cullifer powiadomiłby zarówno Quincy'ego, jak i mnie. Ostrzegłby nas a nie zrobił tego.

- Może - powiedziała Rachael - pan Cullifer nie powiedział wam, bo uważał to za sprawę poufną.

- W rodzinie nie ma spraw poufnych, panno Janes. Jednak pomimo legalizacji, nigdy nie uznaję cię za członka rodziny. A teraz chcę, żebyś stąd wyszła. Od dziś nigdy więcej nie chcę widzieć twojej twarzy. Zamierzałaś wyciągnąć od mojego brata jego pieniądze i majątek, ten cudowny dom w Chevy Chase gdzie wszyscy dorastaliśmy. Jest teraz w twoich rękach w obcych rękach. Jesteś bękartem, czy nie, tak czy owak wygraj się stąd, zanim wezwę ochronę.

Przyproceedziłam ze sobą ochronę, pani Kostas - powiedziała spokojnie Rachael. - Nie pamięta pani? To jest agent Jackson Crowne z FBI.

Laurel wyciągnęła rękę. Krótkie wypolerowane paznokcie pomalowane były bezbarwnym lakierem, ale paznokcie kciuków były obgryzione do żywego. Jack wręczył jej swoją odznakę, przyglądał się, jak studiowała ją przez chwilę zanim oddała z powrotem.

- A więc - powiedziała. - Tej godnej współczucia dziewczynie udało się namówić FBI do ponownego zbadania tej narodowej tragedii. Czy oskarżyła nas o zamordowanie senatora Abbotta?

- Właściwie mamy wiele pytań, proszę pani, nie tylko związanych ze śmiercią senatora.

- Dość tego - powiedziała Laurel, sięgając po telefon i odwracając się do nich plecami.

Jack miał nadzieję, że nie dzwoni do swojego adwokata. Naprawdę nie chciał tego tak załatwić. Przez lata pracy w FBI Jackowi zdarzało się wiele razy pognębić potwory i pamiętał każdego z nich bardzo dobrze, ale słuchając cichego, suchego głosu tej kobiety, wyczuwał w niej coś w rodzaju mrocznego chłodu.

Celowo odwrócił się i zaprowadził Rachael do olbrzymich okien, które wychodziły na Inner Harbor, gdzie były sklepy pełne turystów i błękitna woda portu usiana statkami wycieczkowymi, promami i łodziami rybackimi. To miejsce na dole tętniło życiem, w przeciwieństwie do tego lodowego świata, wysoko ponad nim.

- Znam małą restaurację w Inner Harbor, do której chciałbym zabrać cię na obiad -

powiedział. Rachael skinęła głową.

Jack nie mógł się doczekać, żeby uciec od tej zimnej i bezwzględnej kobiety. Było bardzo prawdopodobne, że nie zechce z nimi rozmawiać. Czy aż tak droga była jej reputacja rodziny, czy sądziła, że wyznanie jej brata przed światem nie tylko zniszczy jego, ale też wyrządzi szkodę nie do naprawienia rodzinie i firmie Abbottów, że postanowiła zabić własnego brata? Nie mógł sobie tego wyobrazić, to przechodziło jego pojęcie.

Usłyszeli, jak Laurel Kostas odkłada słuchawkę i odwraca się.

Po jej minie nie można było poznać, czego chce. Jack miał ochotę bić brawo, ale tego nie zrobił. Patrzył, jak jej twarz łagodnieje, i wiedział, instynktownie czuł, że kiedy twarz tej kobiety przybierała ten gładki niczym szkło wyraz, oznaczało to, że znowu była panią sytuacji.

Biła od niej moc i złe zamiary.

- Rozmawiałam z moim adwokatem. Powiedział, że skontaktuje się z pana przełożonymi, którzy się panem zajmą, agencie Crowne. Teraz pan wyjdzie. Nie będę z panem rozmawiać.

- Ależ pani Kostas - powiedziała Rachael. - Nie chce się pani dowiedzieć, czy śmierć pani brata rzeczywiście była wypadkiem? Nie obchodzi panią, że ktoś mógł go zamordować? Czy nie kochała pani swojego brata?

Jack zobaczył dziką wściekłość na jej twarzy. Pochyliła się do przodu, oparłszy dłonie o gładką powierzchnię biurka z jasnej brzozy.

- Nieszczęściem mojego brata było picie. Quincy i ja wiele razy prosiliśmy go, by przestał, a przynajmniej, żeby nie prowadził, kiedy wypije zbyt dużo, ale on nas nigdy nie słuchał, ani nikogo innego. Quincy i ja zastanawialiśmy się, dlaczego tyle pije, kiedy jego droga ponoć córka w magiczny sposób wróciła do niego. Oboje zastanawialiśmy się, czy nie zmieni zdania co do ciebie, czy zażąda testów DNA, ale nie miał na to szans, bo umarł. Greg Nichols też twierdzi, że to dziwne, to twoje pojawienie się, śmierć mojego brata.

Powinnaś mi dziękować, że nie naciskaliśmy policji, by rozpoczęła śledztwo w twojej sprawie, szczególnie że jesteś jedyną, która zyskała na jego śmierci. Dlaczego wmieszałaś w to FBI? Myślisz, że nie uważają cię za główną podejrzaną?

Była dobra, pomyślał Jack, bardzo dobra, wprawna manipulatorka. Odwróciła kota ogonem, a to, co powiedziała, miało sens. Dla Jacka było oczywiste, że Rachael nigdy tego nie rozważała. Wyglądała na oszołomioną.

- Pani Kostas, jak rozumiem, pani ojciec był takim despotą, że matka Rachael bała się go do tego stopnia, że nie powiedziała Rachael, kim jest jej prawdziwy ojciec, aż do śmierci Cartera Elaine'a Abbotta - powiedział Jack.

- To nonsens. Absolutny nonsens. Mój ojciec był wielkim człowiekiem, błyskotliwym, o niezwyklej przenikliwości. Proszę się rozejrzeć, to on pięćdziesiąt lat temu założył Abbott Enterprises przy niewielkim centrum handlowym i proszę, czym teraz jest - marką znaną na całym świecie. Nazwisko Abbott jest podziwiane i szanowane, a to wszystko spuścizna mojego ojca.

Dla swojej rodziny był uosobieniem dobroci. Ale powiem wam coś, nie mógł znieść głupców i kłamców, chronił swoje dzieci, opiekował się nimi. Kiedy zobaczył twoją matkę, wiedział, kim była, i uchronił przed nią swojego syna. Pojawiłaś się na progu domu mojego brata, bo twoja matka intrygantka potrzebowała pieniędzy, a ty mogłaś je dla niej zdobyć.

Rachael chciała ją zabić na miejscu, zacisnąć dłonie wokół jej szyi i... ale powiedziała tylko głosem spokojnym, a nawet uprzejmym:

- Doskonale to pani rozegrała, pani Kostas. Zepchnęła mnie pani do pozycji obronnej, a tę umiejętność, jak twierdził mój ojciec, ma pani opanowaną do perfekcji. Ale ja nie chcę być właścicielką firmy, którą pani chciała zagarnąć.

Chodzi o dowiedzenie się prawdy o śmierci mojego ojca, a nie o pani złośliwość czy niechęć wobec mnie. Chodzi o szukanie sprawiedliwości dla wspaniałego człowieka. Laurel uderzyła pięścią w biurko.

- Znam prawdę, jest już wystarczająco okropna i nie ma potrzeby wyciągania wniosków o udziale w tym jeszcze kogoś. Jeśli ty go nie zabiłaś, wygląda na to, że senator był pijany i stracił panowanie nad samochodem.

- Oczywiście wiedziała pani, że pani brat, odkąd osiemnaście miesięcy temu zabił tę dziewczynkę, Melisę Parks, nie wziął do ust alkoholu oraz nie siadał za kierownicą samochodu.

Jadła pani z nim posiłki, widywała na spotkaniach towarzyskich. Oczywiście zauważyła pani, że nigdy nie pił i nie prowadził. Taka jest prawda. Wiem, że to prawda. Zawsze pił tylko wodę sodową. Dlatego nie mógł ani być pijany, ani prowadzić. To był ktoś

inny.

- Nie będę więcej rozmawiać na ten temat.

- Wiem, że Jimmy powiedział pani, pani mężowi i Quincy'emu o tym, co się stało osiemnaście miesięcy temu. Co więcej, wyznał pani, że nie może dłużej żyć z poczuciem winy i że ma zamiar o wszystkim opowiedzieć publicznie. Mówił, że pani i Quincy wpadliście w furję, kiedy powiedział wam, co zamierza zrobić, chociaż tylko jego zrujnowałoby to wyznanie, nie zgodziliście się. Czuliście, że to zniszczy dobre imię rodziny, postawi pytanie o jej honor, sprawi, że partnerzy w interesach zaczną kwestionować uczciwość rodziny Abbott. Powiedział, że pani i Quincy byliście wściekli. Był rozczarowany, ponieważ oczekiwał od was zrozumienia i wsparcia.

Laurel wyprostowała się. Wyglądała na lekko znudzoną.

- Na jakiegokolwiek aberracje cierpiał pod koniec życia mój biedny brat, nie są już one dla nikogo powodem do niepokoju. Bardzo kochałam brata. Podziwiałam go, ale on nie był silnym człowiekiem.

- Nie był silny? Nie znałam go zbyt długo, ale moim zdaniem był jednym z najsilniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam.

- Chcę, żebyście już poszli. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

- Jest coś jeszcze, pani Kostas. Czy pani i pani brat, a może leż pani lubieżny mąż, odurzyliście mnie, przywiązaliście moje stopy do betonowego bloku i wrzuciliście do jeziora Black Rock, ponieważ wiedzieliście, że zamierzałam powiedzieć światu, co zrobił mój ojciec?

- Ty mała suko, nie mieszaj w to mojego męża! Twierdzisz, że ktoś próbował cię zabić? Wrzucił cię do jeziora? - Śmiała się. - Jesteś bardzo melodramatyczna. Myślisz, że ktoś uwierzy komuś takiemu, jak ty? Jesteś niczym więcej jak tylko chwilowym kłopotem. Wynoś się.

- Właściwie jestem czymś więcej niż chwilowym kłopotem, pani Kostas - powiedziała Rachael, odwracając się. - Jestem właścicielką domu Jimmy'ego. Do mnie należy jedna trzecia jego pieniędzy i jedna trzecia jego udziałów w firmie. Mam nadzieję, że zakwestionuje pani jego testament i zażąda testów DNA. Tak, zróbmy to, publicznie, tak jak pani lubi. Dzięki temu będę miała szansę oznajmić światu, jaką zmiłą jest pani i pani brat.

Laurel oparła się o biurko, jej dłonie na blacie zacisnęły się w pięści.

- Wynoście się stąd natychmiast!

- Wiem, że próbowaliście mnie zabić. Baliście się, że ogłoszę to za Jimmy'ego. Próbowaliście trzy razy! Trzy! I wciąż tu jestem, stoję w pani biurze. Śmierć Jimmy'ego nie

była wypadkiem i dobrze pani o tym wie. Proszę wyobrazić sobie te tłumy dziennikarzy koczujące przed pani domem, pani Kostas, kiedy wszyscy poznają prawdę. Ciesz się tym zimnym, bezdusznym biurem póki możesz, ciociu Laurel, bo nie zostaniesz tu już zbyt długo.

- Co tu się dzieje, Laurel? Julia powiedziała mi, że w twoim gabinecie jest FBI. Och, to pani. Co pani tutaj robi, panno Janes?

- Szuka guza, Quincy - powiedział Stefanos Kostas, okrążając szwagra.

Jack i Rachael odwrócili się i zobaczyli Quincy'ego Abbotta i Stefanosa Kostasa. Quincy wyglądał tak, jak Jack się spodziewał, że będzie wyglądał Abbott - bardzo drogi włoski garnitur, czarny w bardzo cienkie czerwone prążki, biała koszula, czerwony krawat. Był elegancki, zadbany i w tej chwili wyglądał na bardziej zdziwionego niż złego. Tylko jedna rzecz tutaj nie pasowała - tupecik, który nosił. Kolor był doskonale dobrany, ale styl niezupełnie pasował do kształtu jego głowy.

Co do Kostasa, Jack pomyślał, że wygląda on jak rozpustny playboy, człowiek, który żyje tylko dla swojej własnej przyjemności i dla swoich kaprysów. Był tak przystojny, jak Jack przypuszczał, wysportowany, dobrze ubrany, ale z nim też było coś nie tak i nie chodziło o tupecik. W tej chwili Jack nie był w stanie powiedzieć co. Rachael odwróciła się i odezwała się uprzejmie:

- Wujku Quincy, to jest agent specjalny Jackson Crowne. Jest tu, żeby dowiedzieć się, co się przydarzyło mojemu ojcu i kto próbował mnie zabić w ostatni piątek, poniedziałek i wczoraj też. Ale jestem przekonana, że o tym wiecie, prawda?

Quincy Abbott zaśmiał się, po czym katem oka spojrzał na siostrę i powiedział:

- Wygląda na to, że jakiś twój były chłopak się wkurzył. Z kim ty sypiałaś? Rachael pomyślała o swoim byłym narzeczonym z Richmond. Straszna porażka. Stefanos nie zwrócił uwagi na jego pytanie.

- O co chodzi z tym zabójstwem?

- Może pan, pani Kostas i pan Abbott zechcą powiedzieć mi, gdzie byli w piątek w nocy? - zapytał uprzejmie Jack Quincy zmarszczył brew.

Byłem u pani Mauriel Longwoeth na powitalnym przyjęciu na cześć nowego włoskiego ambasadora. O ile sobie dobrze przypominam, ty, Stefanos, przyszedłeś później. Stefanos pokiwał głową i spojrzał na piersi Rachael. Nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie - odparła Laurel.

- Wujku Quincy, Jimmy powiedział ci o śmierci tej małej dziewczynki - zwróciła się do niego Rachael.

- Możliwe. Prawdę mówiąc, nie byłem tym zbyt zainteresowany. A jakie to ma

teraz znaczenie? Senator nie żyje i został pochowany. Szkoda tylko, że zostawił ci nasz dom. Co do udziałów, przynajmniej nie masz ich tyle, żeby sprawiać kłopoty. - Rozchmurzył się. - Mówisz, że ktoś próbuje cię zabić? Więc niech ten agent FBI go znajdzie i wsadzi do więzienia. - Quincy Abbott skinął głową do nich obojga, przeciągle spojrzął na siostrę, odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu.

Stefanos oparł się o drzwi, skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do żony:

- Byłem na zakupach. Guido zadzwonił do mnie w sprawie lejj bardzo lekkiej wełny, którą noszę. Jak uważasz? Znowu spojrzął na biust Rachael, wiedząc, że żona go obserwuje. Gdyby była na miejscu Laurel, zastrzeliłaby go. Ale Laurel nic nie powiedziała i nie dała po sobie poznać, że coś jest nie tak.

Wydaje się, że każde z ich trojga żyje na innej planecie, pomyślała Rachael.

Rachael i Jack wyszli z gabinetu.

Ostatnim wspomnieniem Jacka o Laurel Abbott Kostas był chłód i zła wola w jej oczach, jej mąż oparty o drzwi, jak wytwornie ubrana jaszczurka. Jackowi przypomniał się Jakie Hades, właściciel złomowiska w Marlin, w stanie Kentucky, poczciwy staruszek, który jeździł po okolicznych miastach. Zabijał ludzi i umieszczał ich ciała pod starymi wrakami samochodów, pomiędzy stosami opon, albo upychał do bagażników. Powiedział Jackowi, że lubił zapach gnijących ciał. Jack wciąż miewał koszmary o Jukiem i stosie kości, które odkrył pod plandeką narzuconą na stos kierownic. Dziwne, że bogaty grecki playboy przypominał mu Jukiego, ale tak było. Wdychali morskie powietrze, idąc wzdłuż Calver Street do Inner Harbor. Jack zaśmiał się.

- Ona jest przerażająca, Rachael. Napędziła mi stracha. Quincy jej nie lubi, ale wie, że to ona ma władzę. Zastanawiam się, czy się jej boi?

- Muszę wziąć prysznic - powiedziała Rachael. - Stefanos Kostas jest okropnym człowiekiem. A ona nawet nie zauważyła, że patrzył w mój dekolt.

Jack zatrzymał się na środku chodnika, położył dłonie na jej ramionach i powiedział.

- Dałaś radę. Jestem z ciebie dumny.

Rachael stała nieruchomo, świadoma przechodzących obok ludzi, świadoma tego, że czuje się dobrze i tego, co powiedział.

- Dziękuję. Mówisz, że Quincy boi się swojej siostry. Dlaczego? Jack opuścił ręce i dalej szli z tłumem turystów.

- On jest delikatny jak jedwab i zachowuje się, jakby starał się na każdym kroku udowodnić, że jest coś wart. To zupełnie inna liga niż jego siostra. Co do tupeciku, niewiele o nim mówi. To był tylko wstęp do pierwszej bitwy, Rachael.



Rozległ się głos Madonny, śpiewającej „Like a Virgin”. Rachael wyczekująco spojrzała na Jacka, który wyciągnął z kieszeni telefon i odebrał go.

- Halo? - słuchał. Jego dłoń zaciskała się na telefonie. Słuchał bardzo długo. Kiedy włożył telefon z powrotem do kieszeni marynarki, powiedział: - To był Savich. Zidentyfikowali faceta, którego wczoraj postrzeliłem w rękę, tego, którego kobieta z krótkofalówką nazywała Donley. Nazywa się Everest, Donley Everett. Okazało się, że pojechał do Clapperville w Wirginii, poszedł do miejscowego lekarza i zmusił go, żeby go opatrzył. Dzięki Bogu go nie zabił. Najwyraźniej Donley myślał, że lekarz mieszkał sam, więc zostawił go związanego i zakneblowanego w piwnicy. Okazuje się jednak, że żona lekarza była w delegacji. Przyjechała do domu godzinę po tym, jak Everett wyszedł. Zawiadomili policję, która wysłała za nim list gończy.

- A jaki był stan zdrowia Donley a Everetta?

- Lekarz twierdzi, że kiedy się u niego pojawił, miał gorączkę i jeżeli chodziłby z tą kulą w ramieniu przez jeszcze jeden dzień, mógłby umrzeć. Everett zmusił go, żeby wyjął kulę tylko przy miejscowym znieczuleniu, i tak też zrobił. Powiedział Savichowi, że facet nawet nie pisnął.

Lekarz dał mu dawkę antybiotyków wystarczającą na tydzień i bardzo silne środki przeciwbólowe. Powiedział, że Everett przez chwilę mógł czuć się kiepsko, ale jego zdaniem wyjdzie z tego. Savich mówi, że lekarz poczuł ogromną ulgę, kiedy Everett tylko go związał i zostawił w piwnicy.

- A co z tym drugim, z tym, którego zastrzeliłeś?

- Na razie nic nie wiadomo. Savich uważa, i zgadzam się z nim, że Everett zakopał go gdzieś w krzakach. Savich mówi, że przeszukali system pod kątem imienia Clay. Ma przysłać mi na komórkę zdjęcia dwóch mężczyzn, którzy mogą pasować. Jeden z nich jest znanym współpracownikiem Everetta, więc on najbardziej pasuje.

Stali, wpatrując się w ekran telefonu.

Po chwili Jack patrzył na mężczyznę, który nazywał się Clay Clutt. Ale to nie był ten, którego Jack postrzelił na skraju lasu w Slipper Hollow.

Oddzwonił do Savicha.

- To nie Clay Clutt - powiedział do słuchawki.

- No dobra, Clutt był na rozgrzewkę. Zaraz dostaniesz drugie zdjęcie. Kiedyś pracowałam z Everettem. Już ci go wysyłam.

- Bingo - zawołał Jack do Savicha kilka minut później. - Clay Huggins.

Rachael słuchała, jak opowiadał Savichowi o ich spotkaniu z Laurel Kostas, jej

mężem i Quincym Abbottem. Kiedy schował komórkę, powiedział:

- Dane Donleya Everetta i Claya Hugginsa figurują w aktach w Kalamazoo, byli podejrzani o morderstwo. Żaden z nich nie został skazany. Savich wysłał naszych agentów do miejsc zamieszkania obu panów. Powiedział, że razem z Sherlock jadą do mieszkania Everetta, bo prawdopodobnie tam się zasztył, lecz postrzelone ramię i łyka prochy przeciwbólowe. Savich twierdzi, że wygląda na to, że wdepnęliśmy w mrowisko, to dobrze. No dobra, może dość na dziś, Rachael, chodźmy zjeść homara.

*Waszyngton D.C.*

*Środa, późne popołudnie*

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Savich zaparkował swoje porsche niedaleko apartamentowca, w którym mieszkał Donley Everett.

Budynek stał w dzielnicy, gdzie jednopiętrowe domy z lat czterdziestych i pięćdziesiątych stopniowo były odnawiane lub burzone. Na nieszczęście dla nowych dużych domów, podwórka pozostały tak małe, jak dawniej.

Budynek, w którym mieszkał Everett, wyglądał może na dziesięć lat, był dobrze utrzymany, z fasadą z czerwonej cegły.

Sherlock pomachała do Dane'a Carvera i Olliego Hamisha, którzy w towarzystwie dwóch agentów wysiedli z czarnego chryslera.

Savich i Sherlock patrzyli, jak Ollie i Dane zaszli od tyłu budynek i sprawdzili wyjścia. Większość mieszkańców jeszcze nie wróciła z pracy, bo pracowali jako urzędnicy państwowi. Przez otwarte okno na pierwszym piętrze słychać było radośnie gaworzące dziecko, a nowy piosenkarz country Chris Connelly śpiewał o swojej zdradliwej ukochanej, która łamie mu serce. Savich lubił Chrisa Connelly'ego.

Korytarz był mały, na jednej ścianie wisiały zielone skrzynki na listy, obok drugiej, w metalowej doniczce stała żywa palma o pierzastych, szerokich liściach.

Sherlock dwa razy sprawdziła skrzynki pocztowe.

- Tak, D. Everett mieszka w 4C.

Savich spojrzał na dwie windy. Jedna była na parterze, drzwi otworzyły się. Nacisnął przycisk stop. Skorzystali z tej drugiej.

Mieszkanie Everetta znajdowało się w rogu trzeciego piętra. Savich wystukał numer Dane'a i powiedział cicho:

- Mieszkanie 4C jest na wschodnim końcu budynku. Założę się, że jest tam wyjście ewakuacyjne.

- Tak, widzę je - potwierdził Dane. - Jest tylko jedno tylne wyjście. Obstawiliśmy je. Dwóch naszych ludzi jest na zewnątrz pod drzwiami wejściowymi, pilnują korytarza. Jeśli potrzebujesz nas tam na górze, no wiesz, twardej z ciebie, ale możesz potrzebować wsparcia...

- W porządku, Sherlock będzie mnie osłaniać.

Sherlock wyciągnęła z kieszeni listek gumy do żucia, włożyła go do ust i zaczęła żuć.

Savich zajął pozycję obok drzwi. Zapukała w drzwi Everetta i powiedziała, żując gumę.

- Przesyłka do pana Donleya Everetta.

Uśmiechała się prosto do wizjera w drzwiach i dmuchała z gumy duże balony, pozwalając im pękać na jej ustach.

- Odejdź, dziewczynko - odpowiedział cichy męski głos. - Nie spodziewam się niczego od nikogo.

W tym głosie było cierpienie, słyszała to wyraźnie. Twarz Sherlock zniknęła na chwilę, jak gdyby coś sprawdzała.

- Tu na paczce jest napisane, proszę pana, że to z Gun Smith Euro, cokolwiek to jest. To jest trochę ciężkie. Ojej, myśli pan, że to może być broń? Zamówił pan jakąś? Nigdy wcześniej nie widziałam broni. Ale jeżeli pan chce tę paczkę, nie mogę zostawić jej bez podpisu.

- Ale ja nie zamawiałem... zaraz, zaraz, nie dotykaj tego, słyszysz mnie? - Everett otworzył trzy zamki, potem szarpnął drzwi, otwierając je i patrząc na rudowłosą kobietę, której na ustach pękł duży balon z gumy, jaki zrobiła przed chwilą, trzymając się sauera wycelowanego w jego klatkę piersiową.

- FBI, panie Everett. Teraz, powoli i spokojnie, proszę założyć ręce za głowę i zrobić krok do tyłu, jeden krok.

- Co? FBI? Zaraz...

Sherlock wolno opuściła swój pistolet i wycelowała w jego brzuch.

- Postrzał z broni nie jest zbyt przyjemny, ale będzie pasował do rany na ramieniu, panie Everett.

Nagle Everett szybko odwrócił się, po czym rzucił się za czarną skórzaną sofę i wystrzelił. Kula uderzyła w lampę i roztrzaskała ją.

- Ty idioto! - krzyknęła Sherlock i strzeliła mu w stopę, która wystawała zza sofy, o włos chybiając jego duży palec.

- Następną kulą trafi cię w łydkę, kolejna w kolano i przez resztę swojego żalosego życia będziesz się czołgał! Rzuć broń! Natychmiast!

Savich schował się za drugim końcem sofy.

- No już, Everett, albo ona strzeli ci w lewe kolano, a ja w prawe. Natychmiast rzuć broń, albo poczujesz bardzo wielki ból.

Usłyszeli, jak Everett przeklina.

- Rzuć broń, ale już! - krzyknęła Sherlock.

Broń została wyrzucona, prześlizgnęła się po podłodze korytarza. Sherlock

przycisnęła nogą pistolet.

- Zakład, że kiedy porównają kule z domu w Slipper Hollow, będą pasować do tej broni? A teraz, Don, wylaż powoli i grzecznie.

- Nie strzelajcie!

- Jeżeli w ciągu dwóch sekund zobaczę twoją twarz, zastanowię się.

Kiedy wreszcie wyczołgał się zza sofy, posługując się tylko jedną ręką, był spocony i błądy, miał lekko wytrzeszczone oczy, a prawe ramię spoczywało na niebieskim temblaku.

- Wstań!

Udało mu się samemu podnieść i stanąć na nogi. Podniósł zdrową rękę do góry, otwartą dłoń w ich kierunku.

- Kim jesteście? O co chodzi?

- Słuchaj uważnie, panie Everett. Jesteśmy z FBI - powiedział Savich, wyciągnął swoją odznakę i pomachał nią Everetowi przed nosem. - A teraz grzecznie usiądź na tym fotelu. Tylko żadnych głupich ruchów, Don. Nie chcę być zmuszony zabić cię w tak piękny, słoneczny dzień. - Wystukał numer Dane'a i powiedział: - Żadnych problemów. Mamy go. Chodź na górę.

- Wcale nie jest ładny - powiedział Everett. - Jest za gorąco. Człowieku, spójrz tylko na mnie. Spójrz na moje ramię. Jestem chory, naprawdę chory. Czego chcecie? Nic nie zrobiłem. Nic nie wiem o żadnym Slipper Hollow. Sherlock odwróciła się i zobaczyła Dane'a i Ollie stojących w drzwiach, obaj z bronią w pogotowiu.

- Sytuacja opanowana - powiedziała Sherlock. Dane i Ollie zabrali się do przeszukiwania mieszkania.

- Hej, pajace, co wy robicie? To moje mieszkanie. Nie grzebcie w moich szufladach!

- Bądź cicho, bo mogą zacząć grzebać nie tylko w twoich szufladach - ostrzegła Sherlock i popchnęła go na podłogę.

- Szczerze mówiąc, Don, próbowałeś mnie zastrzelić. Tak czy owak lepiej wyglądasz leżąc. - Sherlock spojrzała mu prosto w oczy. - Pamiętasz tego bardzo miłego lekarza, którego odwiedziłeś w Wirginii? Tego, który wyjął kulę i nafaszerował cię lekami przeciwbólowymi i antybiotykami? Nawet mu nie zapłaciłeś. Nie, ty zaciągnąłeś go do piwnicy i związałeś.

- Przecież nie zrobiłem mu nic złego.

- To była właściwa decyzja z twojej strony - powiedziała Sherlock. - Wyszło nam piękne DNA z tej kałuży krwi, którą zostawiłeś na podłodze kuchni w Slipper Hollow. Mamy cię, Don. Twoja żalosna dupa należy do nas, na wieki.

- Jebane DNA - warknął Everett.

- Tym razem wybaczę ci tę łacinę, Don - powiedziała Sherlock. - Przez wzgląd na twoją fatalną sytuację. - Przez chwilę przyglądała się jego szarej twarzy. - Jesteś naprawdę ciężko ranny, prawda? Założę się, że uda mi się namówić mojego szefa, żeby umieścić cię w szpitalu, jeśli powiesz nam prawdę o Slipper Hollow.

Wstał z miejsca i jęknął, gdy Savich posadził go z powrotem na fotelu.

- Nie byłem w żadnym Slipper Hollow. Polowałem na kaczki - powiedział Everett i podniósł wzrok na Savicha. - Dzikie kaczki, jest ich cholernie dużo nad jeziorem Eagle. Słuchajcie, potrzebuję kolejnej tabletki przeciwbólowej, ból jest naprawdę okropny. Szedłem do łazienki, żeby ją wziąć, kiedy zaczęła walić w moje drzwi. - Potrząsnął głową. - Tak mnie boli, że tracę rozsądek. Przyjrzałem ci się bardzo dokładnie, zanim otworzyłem te cholerne drzwi. Skąd mogłem wiedzieć, że taka ładna dziewczyna jak ty jest parszywym psem?

- Hej, Dillon, ten facet uważa, że jestem całkiem ładna jak na parszywego psa. Co o tym myślisz?

- Ta szumowina ma dobry gust.

- A więc jesteśmy zgodni. Może teraz powiesz nam, gdzie zakopałeś Claya Hugginsa? To cię nie obciąża, bo nie ty go zastrzeliłeś. Założę się, że czujesz się źle z powodu jego śmierci. A teraz gnije gdzieś w polu, jakby nie był wystarczająco wartościowy, żeby go złożyć w trumnie.

- Nie wiem, o czym mówicie. Nie znam żadnego Claya Higginsa.

- Claya Hugginsa.

- Wszystko jedno - warknął i spojrzał na Savicha. - Słuchaj, koleś, chcę, żebyście stąd poszli. Zostawcie mnie w spokoju. Nic nie wiem o żadnym lekarzu w piwnicy, ja tylko zgodziłem się na współpracę z wami. Chcę tylko wziąć tabletkę przeciwbólową i wrócić do łóżka. Nie mieliście nawet paczki od Gun Smith Euro, prawda?

- Przykro mi, nie mamy paczki. Ciężko mi z tym, Don, ale czasami w pracy muszę skłamać.

- Dobra, Don, a teraz posłuchaj - powiedział Savich. - Masz do wyboru jedną z tych ciasnych, niewygodnych cel z Big Bubba jako współlokatorem albo przyjemne szpitalne łóżko z czystą pościelą. Wybór należy do ciebie.

- Żądam adwokata.

- Wiesz co, Don - powiedział powoli Savich głosem zimnym jak lód. - Czasami zdarza się, niestety rzadko, że adwokaci naprawdę mogą pomóc. Jednak w tym przypadku adwokat nie pomoże ci wykręcić się z tego. Jeśli adwokat nie jest durniem, poradzi ci współpracować z nami i powiedzieć prawdę, bo mamy twoje DNA. Obaj jesteśmy rozsądni. Chcesz się

dogadać?

- Ja nic nie wiem, ja... - powiedział Everett. Savich uderzył go w twarz. Everett jęknął.

- Hej, a to za co? I tak mnie boli, nie musisz mnie bić.

- Chcę, żebyś teraz się skupił, Don, i spojrzał mi prosto w oczy. O tak. Patrz na mnie. Chcę, żebyś mi powiedział, kto wynajął ciebie i zmarłego Claya Hugginsa. Podaj nazwiska pozostałych osób, mężczyzny i kobiety, którzy byli z tobą, kiedy przyjechaliście do Slipper Hollow, żeby zabić Rachael Janes. Chcę, żebyś mi to powiedział teraz, albo jedyną rzeczą, za jaką rękę, jaką mogę ci obiecać, jest trzydziestoletnia odsiadka w więzieniu Attica. - Savich lekko położył lufę swojego siga na brzegu otwartych ust Everetta. - Nie, nie chcę znowu słuchać tej śpiewki o twojej niewinności. - Pochylił się nad nim, szepcząc mu do ucha: - Z przyjemnością mogę zrobić coś jeszcze, Don, powiedzieć więźniom, że molestujesz dzieci.

Sherlock rzadko widziała na czyjejś twarzy takie przerażenie, jakie teraz zobaczyła u Donleya Everetta. Na chwilę przyćmiło uczucie bólu.

- To nieprawda. Nie zrobisz tego. Savich przystawił broń do ucha Everetta.

- Kiedy oni z tobą skończą, na pewno będziesz żałował, że z nami nie współpracowałeś, Don. Z drugiej strony, powiesz teraz to, co chcemy wiedzieć i ja osobiście dopilnuję, żebyś znalazł się w jednoosobowej celi, a w twoich papierach nie było żadnej wzmianki o molestowaniu dzieci. Co ty na to, Don? Powiedz, że zrozumiałeś wszystkie możliwości.

Everett zaszlochał w swoją sprawną, otwartą dłoń. Sherlock wyprostowała się.

- Jesteś obrzydliwy - i kopnęła go mocno w kolano.

- Za co...?

- Posłuchaj mnie, kretynie - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Zrobiłeś tak dużo złego w swoim żalonym życiu, że można by tym wypełnić dysk komputera. Nigdy nie okazałeś nawet krzty wyrzutów sumienia wobec swoich ofiar, a teraz masz czelność skomleć i płakać? Rzygać mi się chce na twój widok.

A teraz, powiesz nam, kto cię wynajął, ty nędzna, żalona gnido, albo postaram się o jakieś naprawdę przerażające zdjęcia dzieci, które molestowałeś, i wielkimi literami napiszę na nich twoje imię. Naczelnik więzienia rozwiesi je w toaletach i w stołówce. Na pewno będą zakłady, jak długo wytrzymasz. Wyobrazasz sobie wielką kostkę mydła wciśniętą w twoją gębę i twoje zaciśnięte szczęki? Everest przestał płakać. Najwyraźniej ona mówiła poważnie.

- Słyszałem o tym - powiedział, nie mogąc opanować drżenia. - Nie możecie tego zrobić, są zasady, których wy, psy, musicie się trzymać. Jesteście ograniczeni.

- Czy ja wyglądam, jakby coś mnie ograniczało, Don? - zapytał Savich. - Ty chyba niczego nie rozumiesz, prawda? Próbowaliście zabić naszych przyjaciół w Slipper Hollow. Wydaje ci się, że nie wymyślimy o tobie jakiejś bajeczki, że zawahamy się zrobić to, co uważamy za stosowne, żeby dorwać ludzi, którzy byli z tobą?

Don pokiwał głową, potem powiedział:

- Cholera, to nie powinno było się wydarzyć. To miało być łatwe, tylko tam i z powrotem, błyskawiczna akcja, potem szybko do domu, i stać by mnie było na miłe wakacje na Arubie. Ale tam był ten wielki facet, wszedł do kuchni i przestrzelił mi ramię, a potem namierzył biednego Claya i zastrzelił go. Perky zadzwoniła do mnie parę godzin temu i powiedziała, że cieszy się, że dałem sobie radę i że pomimo że daliśmy ciała, wszystko będzie



dobrze, pod warunkiem, że nie zrobię niczego głupiego. Powiedziałem jej, że jestem czysty i że na pewno mnie nie zidentyfikują. Z portfela wyjąłem wszystkie dokumenty - dowód osobisty, prawo jazdy. Musiałem powiedzieć jej o Clayu, że wielki facet go zastrzelił. Kazała mi leżeć i leczyć ranę na ramieniu, i obiecała, że wszystko będzie dobrze.

- Powiedziałeś Perky o kałuży krwi, którą zostawiłeś na podłodze w kuchni? - zapytała Sherlock.

- Pieprzone DNA - wymamrotał, potrząsając głową. Savich schwycił go za podbródek i ścisnął mocno.

- Uważaj na słowa. To było ostatnie ostrzeżenie.

- Kto był czwartym członkiem waszej drużyny? - zapytała Sherlock.

- T - Rex, teraz pewnie jest na Florydzie i surfuje na Palm Beach.

- A jak naprawdę nazywa się ten T - Rex?

- Marion Croop\*. Nic dziwnego, że woli swój pseudonim.

- Bardzo dobrze, Don. A prawdziwe nazwisko Perky?

- Wszyscy nazywają ją Perky\*\*. To jedyne jej imię, jakie znam, słowo honoru. Zawsze uśmiecha się bardzo szeroko i nosi głębokie dekolty, że prawie widać jej cycki, mówi, że są w równie dobrej formie, jak dziesięć lat temu.

- Ile lat ma Perky? - zapytał Savich.

- Około czterdziestki. Jest prawdziwym zawodowcem, bardzo dobrze wie, co robi. Ma burzę długich blond włosów, związanych w kucyk. I zawsze nosi bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne. Nigdy nie widziałem jej oczu.

Ta robota od początku była schrzanią. Perky psioczyła i klęła, na czym świat stoi, bo niczego nie byliśmy pewni, i bardzo mierziło ją, że jedziemy gdzieś na głęboką prowincję, bez żadnych wskazówek i konkretów, kto gdzie jest. Potem powiedziała, że przeliczyła pieniądze i to dało jej do myślenia. Powiedziała, że nas jest czworo, i jest szansa, że ta Rachael Janes będzie sama lub z jednym jeszcze członkiem rodziny, i o to chodziło. Pójdzie łatwo. Po prostu było nas za dużo. Nie byłoby problemu i mielibyśmy więcej pieniędzy. Perky była nieźle wkurwiona. Spojrzał na Sherlock, po czym z jego oczu popłynęły łzy.

- Wszystko poszło nie tak, jak powinno. Tam musiał być z tuzin ludzi i wszyscy umieli strzelać. Mieli więcej broni, niż my. Nie mieliśmy szans. Jak to się mogło stać? Strasznie mnie boli. Mogę dostać moją tabletkę?

- Dam ci nawet dwie tabletki, Don - powiedział Savich. - Jak powiesz mi, kto was

---

\*\*Croop - z ang. oszust (przyp. tłum.).

\*\*\*Perky - z ang. zuchwała (przyp. tłum.).

wynajął i kazał zabić Rachael Janes.

- Cholera, wiedziałem, że o to zapytacie. Nie uwierzycie, ale to prawda: nie wiem. Nie mam pojęcia, kto wynajął Perky i kto jej zapłacił. Ona zawsze dowodzi akcjami, dostaje zlecenia, przekazuje nam instrukcje, nakreśla plany i przydziela zadania. Potem rozstajemy się do następnego razu. Clay nie należał do naszego zwykłego składu, ale Gary zachorował na gripę, więc można było liczyć tylko na naszą trójkę. Założę się, że w tym Slipper Hollow to byli jacyś żołnierze. I wszystko trafił szlag.

- Czy Perky mówiła ci coś o Rachael Janes?

- Tylko tyle, że nie powinna teraz chodzić po ziemi, tylko leżeć martwa na dnie jeziora Black Rock, bo te barbiturany były naprawdę silne. Śmiała się. - Everett wzruszył ramionami, potem jęknął. - Perky twierdziła, że Rachael Janes była jakąś niewydarzoną artystką, która ustawiała meble i malowała ściany, więc nie powinno być problemów z pozbyciem się jej. Ale popatrzcie, co się stało. Ta Rachael Janes musiała być Dawidem Copperfildem, skoro potrafiła się ot tak uwolnić. Perky znowu się wkurwiła.

- Mów dalej, Don, dobrze ci idzie - zachęcił Savich.

- Clay ciągle zadawał jej pytania, bo wcześniej z nią nie pracował. W końcu wygadała się, że Lloyd Roderick, ten marny gnojek z niezdrowym pociąganiem do lolitek, dał się postrzelić, kiedy próbował załatwić Rachael Janes w Parlow. Czy ktoś słyszał o Parlow w Kentucky? Perky powiedziała, że jest w szpitalu, więc teraz nasza kolej. Ta dziewczyna, ukrywała się i myślała, że wielki, zły wilk jej nie dopadnie. Potem Perky warknęła.

Westchnął, podrapał się w policzek, na którym już zaschły łyzy.

- Ta dziewczyna, niech ją szlag, nie była sama. Zaskoczyła nas strzałami. Mało brakowało. Zwiesił głowę i podrapał zranione ramię.

- Po prostu robi się, co jest do zrobienia.

- Co dokładnie się stało? - zapytał Savich.

- Kiedy już przez las dotarliśmy do tego Slipper Hollow, najpierw zobaczyliśmy dziewczynę, ale był z nią ten wielki facet. Perky powiedziała, że w porządku, faceta też załatwimy. Ale zanim podeszliśmy bliżej, z domu wybiegł inny facet i zaczął krzyczeć, żeby weszli do środka.

Oczywiście wiedział, że coś było na rzeczy - nie wiem, skąd to wiedział, ale tak było. Rachael Janes i ten duży facet schowali się do domu, kiedy zaczęliśmy strzelać. Perky kazała nam się rozdzielić. Clay i ja przez las zakradliśmy się na tyły domu, żeby wejść tylnym wejściem i otoczyć ich. Uznałem, że najlepiej będzie, jeżeli Clay zostanie z tyłu, bo jest nowy w drużynie, i będzie mnie ubezpieczał oraz strzelał, jeżeli ktoś będzie próbował wydostać się

tylnym wyjściem.

Wszedłem do kuchni w tej samej chwili, co ten duży facet. Myślałem, że go trafiłem, bo upadł, ale tylko udawał, sukinsyn. Potem trafił mnie w ramię. Uziemił mnie, potem wyszedł na zewnątrz i już wiedziałem, że Clay nie ma szans. I miałem rację.

Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo bolało mnie ramię, kiedy ciągnąłem Claya z powrotem przez las do naszego samochodu, ale wiedziałem, że nie mogę go tam zostawić. Zakopałem go na polu tytoniowym jakieś dwadzieścia kilometrów dalej. Nie jestem pewien, czy będę w stanie go znaleźć, naprawdę.

Everett zaczął płakać. Szlochał. Podniósł wzrok i spojrzał na Savicha.

- Obiecaliście mi tabletki, jeżeli powiem wam wszystko. Powiedziałem. Moje tabletki są w apteczce.

- Dane, przynieś z łazienki pana Everetta tę fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi - zawołał Savich.

Szlochał dotąd, aż Dane wcisnął mu w dłoń fiolkę z tabletkami i postawił na podłokietniku fotela szklanę z wodą. Everett połknął dwie tabletki, wypił całą szklanę wody, część rozlewając na brodę.

Wyglądał nieźle. Sherlock pomyślała obiektywnie, spoglądając na niego z góry, że pewnie był przed czterdziestką, miał gęste jasne włosy, był ładnie zbudowany, ale był nieogolony i bynajmniej nie pachniał, jakby się ostatnio kąpał, co było zrozumiałe, biorąc po uwagę jego ramię. Miał na sobie brudny szary dres, ciemnozielone skarpety z dziurą na dużym palcu. Pomyślała, że wyglądał jak człowiek, który wiele w życiu przeszedł i za młodu siedział w więzieniu.

- A teraz, Don - powiedział Savich - powiedz nam, gdzie szukać Perky.

Everett przygryzł dolną wargę. Był twardy, Savich to wiedział, w końcu chodziło o zdradę najwyższej wagi.

- Pomyśl o swojej przyszłości - ostrzegł Savich głosem łagodnym, spokojnym i przerażającym.

- Mieszka w Georgetown, w stanie Wisconsin, przy M Street, następny blok za sklepem Barnes & Noble. Chyba w małym mieszkaniu nad butikiem. Nie znam nazwy tego butikiu.

- A adres?

- Koleś, nie wiem. Nie...

- No dobra, wierzę ci. Zaprowadzisz nas tam. - To mówiąc, Savich wyciągnął go z fotela i nie zwracając uwagi na jego jęki przekazał go Dane'owi i Olliemu. - Nasz mądrała

zaprowadzi was do mieszkania Perky w Wisconsin. Razem z dwoma innymi agentami będziemy jechać za wami i osłaniać was.

Dziesięć minut później Donley Everett wskazał okno na pierwszym piętrze nad K - Martique, sklepem z ubraniami i akcesoriami w stylu gotyckim. Twierdził, że tam właśnie mieszkała Perky. Dane dał mu kolejną tabletkę, aby utrzymać go w błogim stanie zamroczenia lekami. Gdyby nie czarne koronkowe zasłony i czarne drzwi, z zewnątrz wyglądałby jak zwyczajny sklep. Wszedłszy przez czarne drzwi do K - Martique, Sherlock uśmiechnęła się, skinęła głową do kilku klientów znajdujących się w sklepie i pomiędzy półkami pełnymi czarnej odzieży i bielizny podążyła w stronę lady znajdującej się w odległym kącie sklepu. Lada ustawiona była naprzeciw wielkiego lustra, które bez wątpienia pozwalało ekspedientce na obserwowanie całego sklepu.

- Hej, szukam Perky. Pomożesz mi?

Młoda dziewczyna za ladą miała długie, proste, czarne włosy, trupioblada twarz i cała ubrana była na czarno, jakby należała do rodziny Addamsów, lakier na paznokciach i szminkę na ustach też miała czarną. Sherlock zastanawiała się, jak wyglądałaby bez tych wszystkich akcesoriów i makijażu. Zmierzyła Sherlock od stóp do głów z pogardą.

- Hej, mogę zastąpić to drobnomieszczańskie ubranie, które nosisz, czymś naprawdę odjechanym.

- Nie podoba ci się moja czarna skórzana kurtka?

- Nie jest zła, ale potrzebujesz w niej jakichś długich rozcięć, no wiesz, jak od noża, będziesz przez to wyglądać groźniej. Mam nawet taką, której nie będziesz musiała ciąć.

Sherlock wyglądała najpierw na zainteresowaną, potem na rozżaloną.

- Niestety, nie mam dzisiaj czasu na zakupy - pokazała jej odznakę. - Agentka specjalna Sherlock, FBI. Gdzie jest Perky?

Młoda dziewczyna przelotnie spojrzała na jej dokumenty.

- Perky zniknęła - powiedziała.

- Gdzie zniknęła?

Dziewczyna spojrzała na nią znudzona i wzruszyła ramionami. Jeden ze zwiewnych czarnych rękawów jej bluzki spadł z jej bardzo bladego, kościstego ramienia.

- A ty jak się nazywasz?

- Ja? Jestem Pearl Compton. Po co ci to? Naprawdę powinnaś pozwolić sobie pomóc, twoje ciuchy i włosy wymagają podrasowania. Powinnaś przyjąć moją pomoc, droga pani.

- Posłuchaj, Pearl - powiedziała Sherlock. - Podaj mi prawdziwe nazwisko Perky i powiedz, gdzie mogę ją znaleźć, albo wykapię twoją głowę w wiadrze z zimną wodą.

Pozostałe trzy stałe klientki, wszystkie nastolatki, które najwyraźniej podsłuchiwały ich rozmowę, uciekły. Savich otworzył im drzwi.

- Rozsądna decyzja - powiedział, kiedy wychodziły. Pearl uderzyła bardzo białą ręką o ladę.

- Parzcie, co zrobiliście! Spłoszyliście mi trzy klientki! Sherlock pochyliła się i powiedziała:

- Tak. Jak naprawdę nazywa się Perky? Pearl wzruszyła ramionami.

- A kogo to obchodzi? Maude Coupe. Pochodzi z Montany, mówi, że wychowywała się, pasąc owce.

- Ile ma lat?

- Nie wiem. Coś koło czterdziestki.

- Jak długo mieszkała na górze, Pearl?

- Odkąd zaczęłam pracować w sklepie.

- A dokąd pojechała?

- Nie wiem, naprawdę. Dała mi swój klucz, przykazała podlewać bluszcz, a potem po prostu wstała i wyszła.

- No dobrze. A teraz chcę, żebyś poszła z nami na górę i wpuściła nas do mieszkania Perky - Sherlock odwróciła się i machnęła do Savicha, który stał przy drzwiach.

- Nie, nie mogę tego zrobić. To naruszanie jej prywatności i wiem, że Perky byłaby naprawdę zła, gdybym wpuściła tam kogokolwiek. Ona i właściciel, no wiecie, oni sypiają ze sobą, kiedy on wyrwie się od swojej żony.

Savich podszedł prosto do Pearl i stanął nad nią, nie mówiąc absolutnie nic.

Pearl bębniła swoimi pomalowanymi na czarno paznokciami o ladę, drżała.

Spod lady wyciągnęła klucz, podeszła do drzwi wejściowych, wywiesiła tabliczkę z napisem „zamknięte” i zamknęła drzwi.

- Tędy - przez ramię spoglądała na Savicha. - Wyglądałbyś naprawdę nieźle z naszymi kłami, może jakiś delikatny puder, żeby pokryć tę opalenizną na twojej twarzy.

- Dzięki, nie skorzystam - odparł Savich. Wchodzili za nią na górę po wąskich czarnych schodach o płytkich, drewnianych stopniach. Potem weszli za Pearl do wąskiego, ciemnego korytarza z drzwiami na końcu, do których była przypięta kartka czarnego papieru, na której widniał napis PERKY.

- Jesteśmy. To jej chata.

Przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Savich szybko odsunął ją na bok.

On i Sherlock wyjęli broń, powoli weszli do środka, Savich wyprostowany, Sherlock

skulona. Weszli do małego, ciemnego pomieszczenia, kiedy drzwi za nimi zamknęły się z trzaskiem i usłyszeli dźwięk przekręcanego klucza, tupanie butów na schodach. Savich otworzył kopniakiem drzwi, schylając się nisko, wyszedł na mały korytarz. Gdyby nie był prawie zgięty w pół, zostałby postrzelony w pierś. Kula świsnęła nad jego głową, ledwo chybiając. Padł plackiem na podłogę korytarza i wystrzelił. Jeszcze dwie kule uderzyły w ścianę ponad jego głową, gdy usłyszał, jak ktoś biegnie. Sherlock znalazła się obok niego.

- Nic ci nie jest?

- Nie, zostałem tylko upokorzony.

- No cóż - powiedziała. - Myślę, że właśnie poznaliśmy Perky. Muszę powiedzieć, że jest niezła. Savich wyciągnął swoją komórkę.

- Dane, dziewczyna, cała gotycko czarna, właśnie nam uciekła. To była Perky. Nie, nie, nic nam nie jest. Za chwilę powinna wybiec. Ma broń i umie się nią posługiwać. Niech jeden z was zajdzie od tyłu, na wszelki wypadek. Jeśli już wyszła, idźcie za nią. Tak jak powiedziałem, wszystko gotyckie, długie czarne włosy, czarne ubranie, czarne buty, naprawdę młoda, tak ze dwadzieścia lat. Bądźcie ostrożni. Jest naprawdę groźna.

Słuchał przez chwilę.

- Świetnie, tak, to ona. Wyszła właśnie przez główne drzwi? Pewna siebie ta nasza dziewczyna. Zatrzymaj ją. Naprawdę nazywa się Pearl Compton. Chyba.

Savich usłyszał odgłos kroków, i krzyk Dane'a:

- Zatrzymaj się, Pearl! FBI! Zatrzymaj się natychmiast! Potem padł strzał i Savich śmiertelnie się przeraził.

- Co się stało? Co tam się dzieje? - krzyknął do telefonu. Jeszcze trzy wystrzały. Ludzie krzyczeli.

Savich i Sherlock pędem wybiegli ze sklepu i zobaczyli Olliego i Dane'a znikających za sąsiednim blokiem i wbiegających do księgarni Barnes&Noble.

- Nie jest dobrze - orzekł Savich.

Wybiegli z bloku i zwolnili dopiero, kiedy weszli do Barnes&Noble. Oboje dobrze znali tę księgarnię, wszystkie trzy piętra, na parterze była wielka otwarta przestrzeń, sprzedawcy za ladą biegnącą wzdłuż lewej strony, książki po prawej. W tej chwili, to miejsce w szybkim tempie zamieniało się w dom wariatów. Sprzedawcy i klienci biegali i krzyczeli, niektórzy leżeli na podłodze, kilka regałów było przewróconych, wszędzie porozrzucone książki, a dyrektor Steve Olson krzyczał, żeby wszyscy padli na podłogę. Dane, Ollie i dwóch agentów torowało sobie przejście, przedzierając się pośród krzyków, szukając Perky.

Savich widział ją, jak strzelała do Dane'a z bocznego przejścia, po czym skoczyła w

dół na schody ruchome prowadzące z drugiego poziomu i zaczęła po nich wbiegać na górę, jej czarna spódnica powiewała, buty dudniły głośno, w prawej ręce trzymała broń. Intuicyjnie czuła, że kieruje się na trzeci poziom, do działu dziecięcego, żeby znaleźć sobie idealnego zakładnika.

- Sherlock, wyprowadź stąd wszystkich - zawołał. - Steve, pędź do sali zabaw dla dzieci. Zabierz dzieci do windy, szybko, albo do toalety, po prostu zabierz je z widoku. Niech wszyscy leżą!

Słyszał, jak Steve ciągle krzychał:

- Są z FBI, wszystko będzie dobrze. Nie panikujcie, proszę leżeć!

Kiedy Perky dotarła na szczyt schodów, odwróciła się i przez długą chwilę patrzyła na Savicha. Po czym złapała nastoletnią dziewczynę za długie włosy, a ona wiała się i wrywała.

- Widzisz, co tu mam, panie agencie? - Potrząsała dziewczynką jak szturem. Ale kiedy mówiła, patrzyła na Sherlock, która podchodziła do nich wolno, patrząc na Perky, trzymając się blisko książek. - Pożegnaj się z tą ślicznotką! - wrzasnęła i wystrzeliła, nie do dziewczynki, którą trzymała, ale do Sherlock.

Sherlock umknęła za półkę z książkami. Kulkę dostała powieść Lindy Howard.

Jeszcze trzy strzały, ale to nie Sherlock strzelała, nikt z nich nie mógł tego zrobić, kiedy Perky trzymała przed sobą dziewczynkę.

- Dobra, to jest to, co nazwałabym impasem - powiedziała Perky.

- Poddaj się, Pearl, to koniec - krzyknął Savich. Podniosła broń do góry, szybka jak wąż i strzeliła do Savicha. Rzucił się w bok, nie chcąc wymianą ognia ryzykować trafienia dziewczynki. Ale błada, przerażona nastolatka pochyliła się i ugryzła Perky w rękę. Perky walnęła ją pięścią w głowę, puściła ją, odkręciła się w kierunku Savicha i jeszcze raz wystrzeliła.

- Na ziemię! - krzyknął.

Dziewczynka starała się to zrobić, ale upadła na ruchome schody i zaczęła się po nich staczać w dół. Próbowwała zatrzymać się, ale to był niemożliwe.

- Kiedy spadniesz na dół, uciekaj najszybciej, jak tylko potrafisz! - krzyknął.

Savich słyszał krzyki ludzi, widział rodziców ściskających swoje dzieci, nastolatka podciągającego spodnie i jednocześnie próbującego schować za sobą swojego małego brata. Nastolatka spadła na dół, poderwała się i pobiegła.

Perky stała na szczycie schodów i powoli podnosiła broń, spuszczać wzrok. Tam było mnóstwo osób, miała niezły wybór.

*Nie mam wyjścia, nie mam wyjścia.* Savich przetoczył się i wstał, szybciej niż



nastolatka. Musiał ją zdjąć i zrobi to teraz. Wyciągnął swojego siga.

Usłyszał krzyk Dane'a:

- Perky! Dziewczyno, już mnie nie kochasz?

Perky odwróciła się, a czarne włosy opadły jej na twarz. Zobaczyła Dane'a, który przykucnął parę metrów za Savichem, po jego prawej stronie. Podniosła swój pistolet.

Nagle w pobliżu Savicha znaleźli się dwaj mali chłopcy, którzy zaczęli krzyczeć, nie miał pojęcia, skąd się wzięli. Jeden z nich przewrócił się. Savich przetoczył się nad dzieckiem, by chronić je własnym ciałem, odwrócił się i zobaczył, jak Dane strzela niemal w tej samej chwili, co Perky. Nagle świat zwolnił. Kula, którą wystrzelił Dane, trafiła ją w prawe ramię, przewracając na schody. Perky złapała poręcz schodów, ale jej palce tego nie wytrzymały. Dane patrzył, jak powoli osuwa się na ruchome schody. Podbiegł do niej, złapał zwiewny, czarny rękaw jej sukienki, ale wyrwał się z jego dłoni, jej ciało osunęło się na podłogę, czarna spódnica owinęła się wokół jej szczupłego ciała, a czarna peruka zsunęła się jej z głowy, ukazując długie blond włosy. Leżała nieruchomo. Savich wiedział, że musiała krwawić od odniesionej rany ramienia, ale nie widział śladów krwi. Krew wsiąkła w jej czarne ubrania. Czarne na czarnym. A jej broń, gdzie była jej broń?

- Dane! - wrzasnął Savich. - Nie widzę jej broni! Jest niebezpieczna. Niech nikt się nie rusza!

Dane odwrócił się, ale Perky była szybsza. Błyskawicznie odwróciła się na plecy i strzeliła. Ollie z boku postrzelił ją w dłoń, w której trzymała broń. Pistolet z trzaskiem spadł na podłogę w alejce z fantastyką. Krzyknęła, potem upadła na plecy i zamilkła.

- Dobrze, dobrze - powiedział Savich. - Już po wszystkim. Proszę się nie zbliżać. Sherlock uklękła obok Perky, dotykając rany na jej ramieniu.

- Żyje, ale musimy zatamować krwawienie. Daj mi swój krawat. Perky, tylko nie waż mi się tutaj umrzeć!

- Potrzebne jest wsparcie. Ollie, zajmij się tym. Ja zadzwonię po karetkę, o tak, to był świetny strzał, dzięki za uratowanie mojego bardzo wdzięcznego tyłka - powiedział Dane.

- Spróbuj uspokoić ludzi, pomóż im się stąd wydostać. Dyrektor, Steve Olson, to przyjaciel, można na niego liczyć - powiedział Savich. - Pomóż mu, ale niech to on zdecyduje, jak to ma wyglądać, to pomoże mu się skupić. Zapewnij go, że już naprawdę po wszystkim. Sherlock, dopilnuj, żeby nikt się tutaj nie zbliżał.

Sherlock właśnie zawiązywała krawat Dane'a nad raną na ramieniu Perky.

Jej czarna koszulka była przesiąknięta krwią, krwi było mnóstwo, a ona była taka szczupła. Ile krwi mogło pomieścić takie szczupłe ciało? *Same kości*, pomyślała Sherlock, *jej ciało to skóra i kości*.

Savich odwrócił się i spojrział na Perky. Uświadomił sobie, że dziewczyna, której wiek oceniał może na dwadzieścia, góra dwadzieścia dwa lata, tyle lat miała jakieś dwie dekady temu. To była Perky i miała co najmniej czterdzieści lat.

Ukląkł przy niej i zacisnął krawat nad jej raną. Krwawienie zaczynało ustawać. Ucisnął ranę, chociaż tylko nieznacznie krwawiła. Miała szanse na przeżycie.

Gdzie jest karetka? Wyjdzie z tego, po prostu nie ma wyjścia. Jest jedyną osobą, która może powiedzieć im, kto ją wynajął do zabicia Rachael.

Kiedy dwie minuty później pojawili się sanitariusze, FBI miało klientów księgarni pod względną kontrolą, jednak z całym sprzętem musieli przedzierać się przez tłum ludzi, z których część nagle zaczęła krzyczeć.

Savich starał się nikogo nie dopuszczać w okolice, gdzie leżała ranna Perky, ale część ludzi próbowała się przepychać, żeby zobaczyć krew. No cóż, tacy już byli niektórzy ludzie. Niestety, było tam co oglądać. Opowiedział sanitariuszom ojej obrażeniach.

Starsza, energiczna kobieta, której oddech pachniał cytryną, założyła Perky na nos maskę tlenową. Potem obejrzała ramię Perky, zdjęła zawiązany na nim krawat i owinęła bandażem.

- Nie jest dobrze - powiedziała. - Ale udzieliliście jej pierwszej pomocy i powinna przeżyć. - Podniosła się. - No dobra, chłopaki, ładujemy ją na nosze.

Savich uśmiechnął się, bo załoga sanitariuszy składała się z samych kobiet. Kiedy wspólnie podniosły Perky, jej czarna peruka spadła na podłogę.

Wkrótce sanitariuszki wyszły przez główne wejście z Perky rozłożoną na noszach, jej czarna spódnica zwisała z jednej strony, a czarne ciężkie buty bezwładnie zwisały na białym prześcieradle.

Steve instruował swoich podwładnych, żeby zajęli się klientami. Młoda dziewczyna, która była blada i wyglądała, jakby ciągle znajdowała się w szoku, kręciła się po parterze, zbierała porozrzucone książki i próbowała odkładać je na półki.

Klienci powoli wychodzili z księgarni, która w ciągu najbliższych trzech miesięcy miała stać się bardzo popularna.

Savich podszedł do Steve'a Olsona, ale nie mógł uścisnąć mu dłoni, bo jego ręce były umazane krwią Perky.

Rozejrzał się po księgarni.

- Przykro mi, Steve, że do tego doszło. Bardzo dobrze się spisałeś, dziękuję ci. Sherlock właśnie dzwoni do naszego szefa, który przyśle tutaj ludzi z FBI, żeby poradzili sobie z dziennikarzami. Oto moja wizytówka, gdybyś mnie potrzebował. Opowiedz mediom

jasno i dokładnie, co się stało. Pamiętaj, że nikt nie został ranny ani zabity, a czarny charakter ujęty. A ta dziewczyna, którą wzięła jako zakładniczkę, naprawdę dobrze się spisała, zajmijcie się nią.

- Steve, proszę, zadzwoń do mnie i podaj mi jej nazwisko i adres - powiedziała Sherlock. - Chcemy jej podziękować i porozmawiać z jej rodzicami i powiedzieć im, że prawdziwa z niej bohaterka.

- Ty i Sherlock - mruknął Steve, kiwając głową, kiedy brał od Sherlock wizytówkę. Przycisnął dłoń do piersi. - Próbuję właśnie wszystkich tutaj uspokoić, a moje własne serce zaraz eksploduje. - Jeszcze raz skinął do nich, potem zwrócił się do swojego asystenta, żeby zamówił kawę i herbatę z kawiarni na pierwszym piętrze. Potem krzyknął: - Ciasto czekoladowe dla wszystkich!

- Perky musi mieć ponad czterdzieści lat, tak jak twierdził Donley Everett - powiedział Savich do Sherlock. - To niewiarygodne.

Pochylił się i podniósł jej czarną perukę.

- Była przebrana - zauważyła Sherlock. - Bardzo dobry kamuflaż dla zabójcy. Jest tak cyniczna, jak o niej mówią. Założę się, że działa w tej branży od bardzo dawna. I że figuruje w aktach w dawnej jednostce Jacka. Przynajmniej teraz wypadła z interesu. Coś ci powiem, Dillon, jeżeli ta suka przeżyje, zatłukę ją - przełknęła ślinę, położyła dłoń na jego ramieniu. Perky dwa razy próbowała go zabić. Mało brakowało.

- Myślę, że jeżeli uda jej się z tego wyjść - rzekł Savich, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała - zabierzemy ją do Quantico. Możemy złożyć bardzo miłą wizytę doktorowi Hicksowi, i może on wprowadzi ją w stan hipnozy. Założę się o moją następną wypłatę, że ona nie będzie chciała z nami współpracować, nawet jeżeli proponujemy jej układ.

Na pewno zażąda adwokata i bez niego nie powie ani słowa. Założę się, że na pewno hipnoza nie będzie wchodziła w grę.

- Nie chcę mi się gadać z mediami, Dillon. Zabierajmy się stąd. Dzwoniłam do pana Maitlanda i powiedziałam mu w skrócie, co się stało. Nie był zbyt zadowolony ze strzelaniny w księgarni, ale sam się tym zajmie. Poinformowałam go, że Perky może nam powiedzieć, kto zlecił jej zabicie senatora Abbotta i Rachael. To go ucieszyło. Poprosiłam Dane'a i Olliego, żeby jechali za karetką do szpitala, żeby tam zbadali Donleya Everetta. Pewnie dalej jęczy na tylnym siedzeniu samochodu Ollie'go.

Savich i Sherlock wyszli z księgarni Barnes & Noble i minęli butik K - Martique. Po stromych schodach weszli na górę i przez otwarte drzwi do mieszkania Perky.

- Czekaj, Dillon.

Odwrócił się i uśmiechnął do żony. Przytulił ją do siebie i lekko pociągnął za włosy.

- Kiedy tutaj skończymy, pójdziemy na siłownię - obiecała. - Zanim będziemy musieli sześć razy ze szczegółami opowiedzieć o wszystkim panu Maitlandowi. Pójdziemy na siłownię, żeby się na chwilę od tego wszystkiego oderwać. Bez porządnej dawki wysiłku fizycznego chyba wybuchnę. Lepiej uważaj, bo zamierzam dać ci wycisk.

- Chyba w marzeniach - prychnął, po czym podszedł do biurka Perky i uruchomił jej laptopa. Przez parę minut coś z nim kombinował, mruczając pod nosem, po czym rozparł się na krześle, marszcząc brwi.

- Ma jakieś zabezpieczenia. Zajęłoby mi to trochę czasu, a dla MAX - a to łatwizna. Wyłączył laptopa i położył go na podłodze przy drzwiach wyjściowych.

Przeszukali szuflady biurka i znaleźli książeczkę czekową, stos zapłaconych rachunków, jakieś faktury. Faktury były za naprawy, za dostawy towaru do jej sklepu, a czeki dotyczyły usług komunalnych, nic osobistego, co mogłoby im pomóc.

Znaleźli też kilkanaście katalogów z akcesoriami gotyckimi, niektóre miały zagięte kartki. Oraz kopertę zawierającą pięć tysięcy dolarów w banknotach studolarowych.

- A oto jej zapłata - powiedziała Sherlock, oklejając kopertę i wkładając ją do kieszeni kurtki.

W kuchni znaleźli trzy pudełka płatków śniadaniowych z dodatkiem orzechów i rodzynek, wszystkie opakowania były nietknięte. Poza tym szafki kuchenne były prawie puste. W lodówce było mnóstwo mrożonego pieczywa, poza tym beztłuszczowe serki śmietankowe i pół kartonu mleka sojowego.

W szufladzie nocnej szafki stojącej obok wąskiego, przykrytego czarną narzutą łóżka, znaleźli kolczyki w jaskrawych kolorach, czarny eyeliner do oczu, trzy pary plastikowych zębów i dwie ozdobne buteleczki zawierające ciemnoczerwony płyn, prawdopodobnie imitujący krew. Najlepszym, co udało im się znaleźć, była książka w miękkiej oprawie, zatytułowana „Seks dla uwodzicielek: Przez krew do przyjemności”.

- Hmm - mruknięła Sherlock, biorąc książkę do ręki. - Myślisz, że są tu jakieś obrazki? Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła kartkować książkę.

- Chcesz obejrzyć?

Patrzyli na zdjęcie mężczyzny ubranego w czarne skórzane stringi, z batem w dłoni i w masce przykrywającej usta. Pod nim leżała na brzuchu naga kobieta przywiązana czarnymi rzemieniami do czterech słupów łóżka i przez ramię patrzyła na mężczyznę. Savich spojrzał na Sherlock.

- Czy powinienem ośmielić się przewrócić kartkę?

- Może lepiej nie. W końcu jesteśmy profesjonalistami. Najciekawszą rzeczą, jaką znaleźli w mieszkaniu Pearl Compton, znanej również jako Perky, był notes wypełniony numerami telefonów. Bez nazwisk, tylko z inicjałami zapisanymi obok każdego numeru. Cudownie.

*Siłownia World Gym*

*Georgetown*

*Środa wieczór*

- Mamy aż nadmiar informacji - powiedział Savich, zwiększając prędkość i pochylenie na bieżni.

- Lepsze to, niż nie wiedzieć nic. - Sherlock dostosowała do niego prędkość swojej bieżni, ale nie jej pochylenie. Nie chciała się forsować, zwłaszcza że miała jeszcze w planach rzucenie męża na matę co najmniej dziesięć razy. Nigdy nie uważała księgarni za miejsce niebezpieczne, zwłaszcza Barnes & Noble w Georgetown, ale teraz wszystko się zmieniło. Perky staczająca się w dół ruchomych schodów, łomot czarnych butów, wymachiwanie bronią, wzięcie tej nastolatki jako zakładnika chaos, krzyk - to mogło skończyć się katastrofą. Dillon mógł zginąć. Perky próbowała zastrzelić też ją, trudno było o tym zapomnieć. Ale nie to ją martwiło. Panicznie bała się o Dillona.

Sherlock mocno zwiększyła prędkość, żeby dopasować ją do swojego nastroju: mieszaniny furii i strachu tak panicznego, że aż ją dusił. Oczami wyobraźni znowu zobaczyła Dillona tam, w księgarni. Już ruszył z miejsca, biegł płynnie i pewnie, jego oddech był stabilny, postępował tak, jak ona by się zachowywała, gdyby była na jego miejscu, niech go szlag. Ale nie była na jego miejscu ani nigdzie w pobliżu i to był problem. Zawdzięczała Dane'owi jego życie.

Czasami - tak jak w tej chwili - bycie żoną Savicha śmiertelnie ją przerażało. Ale znacznie bardziej w jej stylu była złość niż strach. Wiedziała, że mogła temu zaradzić jedynie poprzez wyładowanie wściekłości.

Savich zwolnił trochę i zwrócił się do niej:

- Wiemy na pewno, że Donleya Everetta mamy w końcu z głowy. Prokurator zmusił go do podpisania jego zeznań, więc jest po wszystkim. Niestety, ale wierzę mu; on naprawdę nie ma pojęcia, kto wynajął Perky. Ale może poda nam dokładne miejsce, gdzie zakopał ciało Claya Hugginsa.

- Zahipnotyzujmy go.

- No tak, to całkiem dobry pomysł.

Aha, więc nie miał pojęcia, co w tej chwili działo się w jej głowie, w końcu był facetem. Im dłużej o tym słuchała, tym bardziej ten temat ją irytował. I nic nie powiedziała.

*Wszystko w porządku, już po wszystkim. Uspokój się. Przecież wcześniej bywałaś już w*

*takich sytuacjach.*

Odchrząknęła.

- Ciekawe, jak opiekunowie Angel tolerują jej zachowanie w poprawczaku w Fairfax? Myślisz, że już ją wypuścili?

- Pewnie tak. Może Angel wykorzysta swoją szansę. To bystra dziewczyna.

- Tak, zupełnie tak, jak ja. I zobacz, co się ze mną stało. Savich spojrzał na nią zdziwiony. Co to za sarkazm?

- Poślubiłaś swojego szefa - całkiem fajnego gościa - i razem z nim ścigasz przestępców i dbasz o kondycję. Wygląda na to, że masz doskonale życie.

Ale nie rozśmieszyło to jej, jak tego oczekiwał.

- Koszmarna sprawa z tymi numerami telefonów z komórki Angel. Pomyśleć, że zapłaciłaś za nią pięćset dolarów - powiedziała obcesowo.

Tym razem to nie był sarkazm, miała rację. Savich zwiększył nachylenie bieżni i oddychał głęboko i miarowo.

- Tak, miałem nadzieję, że może znajdziemy coś więcej na Rodericka Lloyda, może dzwonił do zleceniodawcy Perky, rozmawiał z nim o zabiciu Rachael w Parlow, ale zamiast tego mamy telefony do pizzerii, z zamówieniem podwójnej pepperoni na grubym cieście.

On nadal nie wyglądał na zmęczonego, pomyślała Sherlock, po plecach której już spływał pot. Za to też miała ochotę mu przywalić.

- I jeszcze trzy telefony do bukmacherów - do trzech różnych - wszystkim wisiał kasę - powiedział. Nagle Elvis zaśpiewał *Blue Suede Shoes*. Savich wyjął swój telefon z futerału przypiętego do pasa.

- Savich, słucham?

Zwolnił kroku i słuchał. Kiedy skończył rozmowę, znowu przyspieszył.

- Dzwonił Dane ze szpitala - powiedział. - Mówi, że Perky nadal jest operowana, ale jest dobrze. Jeżeli nic nieprzewidywalnego się nie wydarzy, wyjdzie z tego. Wtedy może będziemy mogli ubić z nią interes.

- Może minąć nawet tydzień, zanim będzie w na tyle dobrym stanie, że będzie można przewieźć ją do Quantico. Może powinniśmy pójść do niej do szpitala i sprowadzić do niej doktora Hicksa.

- Dobra myśl.

Sherlock zwolniła trochę, nadal w bojowym nastroju.

- Lubię imponować szefowi.

- I robisz to codziennie - powiedział, unosząc czarną brew.



- Jesteś facetem, tobie to bez różnicy - rzuciła i zeszła z bieżni. - Musimy wracać do doktora MacLeana. Znowu rozległ się głos Elvisa.

- Savich, słucham? Cześć, Jack, co tam? - Savich słuchał, zadał kilka pytań, znowu przez dłuższy czas słuchał, a kiedy skończył rozmawiać, wyglądał na zamyślonego.

- I jak? Z nim i Rachael wszystko w porządku?

- Tak. Powiedział mi więcej o Laurel, Quincym i Stefanosie. Mówi, że Laurel jest jak groźny wielki pies, jej mąż jest jak szlam, a Quincy prawdopodobnie ma wrzody na żołądku. Mówi, że Laurel nie znosi Rachael i nawet nie próbuje tego ukryć. Co do Quincy'ego, Jack uważa, że jest trochę bardziej skomplikowany. Ma świetną prezencję - jest efektowny, wygląda prawie jak księżę w swoich pięknych włoskich ciuchach, ale jest tchórzem, daje się zastraszać, bo jest pod wpływem siostry. Poza tym jego tupecik jest pierwszorzędny.

Jack powiedział, że gdybyśmy go szukali, jest z Rachael w jej domu w Chevy Chase.

- Wcale nie jestem pewna, czy podoba mi się to, co usłyszałam - powiedziała Sherlock, przeciągając się. Jego brew znowu się uniosła.

- Na litość boską, nie mówię o seksie. Jestem pewna, że mogliby spać w tym samym łóżku i Jack by jej nie tknął. To pocieszające. Miałam na myśli niebezpieczeństwo.

- Wiesz, że Jack jest dobry. Nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Jest sprytny i przebiegły. Nie martw się, nie pozwoli, by Rachael stało się coś złego. Jutro rano mają spotkanie z szefem doradców senatora Abbotta, Gregiem Nicholsem. Nichols już dowodzi sztabem doradców innego senatora. Jack twierdzi, że już nie może doczekać się spotkania z nim i tego, co ma im do powiedzenia.

- Też chciałabym porozmawiać z tym Nicholsem i wybadać, jak duży wpływ miał na senatora Abbotta. Savich pokiwał głową i westchnął.

- Jack pytał o Timothy'ego MacLeana i czy mógłby jakoś pomóc. Niestety, nie miałem mu nic do powiedzenia. Sherlock także westchnęła, a cały jej słuszny sarkazm przysł w obliczu sytuacji MacLeana. Savich zwolnił kroku.

- Wydaje mi się, że ty i ja powinniśmy raczej skupić się na tych, którzy wydają się mieć najsilniejsze motywy, czyli kongresmenka McManus i Pierre Barbeau. Musimy sprawdzić, czy Jean David Barbeau utonął przed pierwszą próbą zamordowania Timothy'ego. Na wszelki wypadek polecę Dane'owi i Ruth, żeby zajęli się innymi jego pacjentami.

- To brzmi rozsądnie.

- Złożmy najpierw wizytę naszej kongresmence - powiedział Savich. - Sprawdzimy, czy ma jakieś alibi, co właściwie jest bez znaczenia, bo mogła wynająć kogoś, żeby to zrobił. Poproszę Olliego, żeby sprawdził w biurze FBI w Atlancie, kto prowadził sprawę śmierci jej

męża i popytał, czy nie mają jakichś śladów. Może przypadkiem trafimy na ślad zbira, którego wynajęła w Savannah, tak?

- Tak powiedział doktor MacLean.

- Wierzysz, że ona naprawdę kazała zamordować swojego męża, kierowcę ciężarówki, żeby nie przeszkadzał jej w kandydowaniu do Kongresu? - spytała z niedowierzaniem.

- Owszem, wierzę.

Sherlock zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Może i tak. A ja nadal stawiam na Pierre'a Barbeau. Dużo jest w tej sprawie podejrzanych rzeczy.

- Dowiemy się tego. Jak z twoim francuskim? Wybuchnęła śmiechem.

- Nigdy wcześniej nie narzekałeś. Uśmiechnął się, wycierając twarz ręcznikiem.

- Przez ciebie zapomniałem, dlaczego o to pytałem. Sherlock strzeliła palcami.

- Gotowy, żeby pójść ze mną do sali śmierci?

- Tak się to teraz nazywa?

- Tak. Zamierzam dopilnować, żebyś szybko znalazł z nią wspólny język - przechodząc obok, pacnęła go ręcznikiem.

W jej oczach zobaczył żądzę krwi, a że nie był głupcem, pozwolił żonie okładać się pięściami i ogólnie dostał łomot.

Podkładka do kopania, którą dla niej trzymał, też mocno ucierpiała. W końcu pomyślał, że było warto, bo Sherlock śmiała się, kiedy liczył ciosy, które mu wymierzała. Biorąc prysznic, pomyślał, że przemoc wydaje się uspokajać kobietę i przywracać jej dystans. Podczas tego iście królewskiego wycisku, który dostał, kilka razy nawet poprosił o przerwę, żeby dać odpocząć mięśniom i pozwolić Sherlock triumfować.

W drodze powrotnej zatrzymali się na pizzę w Dizzy Dan, wegetariańską dla Savicha i Seana, i pepperoni dla mięsożercy.

Zamówili dwie dodatkowe pizze, kiedy z wizytą przyszli siostra Savicha ze swoim mężem. Twierdzili, że nie zabawią długo, ale Savich i Sherlock w to nie uwierzyli, widząc, jak idą prosto w kierunku Seana z nową grą komputerową Lily była właśnie w piątym miesiącu ciąży i miała już niewielki brzuszek.

- Trening czyni mistrza - powtarzała zawsze Seanowi, kiedy namawiał ją, żeby grała z nim w „Skarby Ninja”.

O północy w końcu zasnęli. Kiedy Savich już śnił, że bierze udział w rajdzie samochodowym Indy 500, Elvis znowu zaśpiewał mu prosto do ucha. Natychmiast się obudził.

- Savich, słucham? Ach, nie. Tak, rozumiem. Tak, mnie też jest przykro - i rozłączył się. Sherlock leżała wsparta na łokciu.

- Kto to był? Coś się stało?

- Dzwonili ze szpitala. Perky nie żyje. Operacja przebiegła pomyślnie. Przez godzinę leżała w sali pooperacyjnej, nadal wszystko było dobrze, więc przewieźli ją z powrotem do jej sali. Nie było potrzeby przewożenia jej na oddział intensywnej terapii. Kiedy pielęgniarka zajrzała do niej może godzinę później, już nie żyła. - Uderzył pięścią w nocną szafkę. - Od jutra miałem zamiar przydzielić jej agenta do ochrony. Jestem idiotą.

- A może umarła wskutek komplikacji chirurgicznych?

- Jutro się tego dowiemy, po sekcji zwłok. A co, jeżeli śmierć nie nastąpiła wskutek nieoczekiwanych komplikacji? Savich przeklął, a robił to na tyle rzadko, że zabrzmiało śmiesznie. Potem wstał z łóżka, włożył spodnie od dresu i, wychodząc z sypialni, powiedział:

- Może uda mi się wymyślić coś, żeby ruszyć sprawę naprzód - mówił raczej do siebie niż do niej. - Tak, i może MAX jakoś odszyfruje te wszystkie inicjały i numery w notesie Perky.

Sherlock nie udało się zasnąć, zanim nie wrócił do łóżka. Nic nie mówiła, po prostu przytuliła się do jego pleców i położyła dłoń na jego sercu. Czowała, jak mocno bije. Poczowała też, jak jego mięśnie stopniowo zaczynają się rozluźniać i wtedy bezwiednie powiedziała:

- Mogłeś zginąć. Tak się bałam dziś popołudniu, kiedy ona próbowała cię zabić, Dillon. I czułam się tak bezradna, bo nie mogłam ci pomóc. Miałam ochotę cię zabić.

Pocałował jej włosy i ucho.

- A myślisz, że ja bałam się mniej, kiedy strzelała do ciebie? I patrzyła na mnie na chwilę przed tym, jak odwróciła się do ciebie z pistoletem.

- Kocham cię, Dillon, kochałam cię nawet w chwili, kiedy skopałam ci tyłek w sali śmierci.

- Będę o tym pamiętał - powiedział, całując ją. - Zajmiemy się tym jutro rano, Sherlock. Teraz śpij.

*Waszyngton*

*Czwartek rano*

Jack i Rachael zbliżali się do biurowca Hart, siedziby głównej Senatu przy Constitution Avenue, gdzie o dziewiątej umówieni byli na spotkanie z Gregiem Nicholsem, który objął już nową funkcję w biurze Jessie Jankela, senatora z Oregonu. Wtedy zadzwonił Ollie.

- Włącz radio, Jack, na pewno będziesz chciał to usłyszeć. Savich wypowiada się na konferencji prasowej FBI.

- Założę się, że padło na niego, bo ma dziś dyżur - powiedział Jack i podkreślił dźwięk w radiu. - Musi wytłumaczyć się z tego gówna, które stało się wczoraj w księgarni Barnes & Noble, ale w końcu to jego pięć minut.

Savich miał plan. Stał obok Jimmy'ego Maitlanda, rozglądając się po sali pełnej dziennikarzy z gazet, radia i telewizji, siedzących na plastikowych krzesłach, większość z nich mu znajomych. Ludzie z telewizji byli pięknie ubrani, kamery były w pogotowiu, reporterzy gazet ubrani w dżinsy bardziej przypominali zwykłych ludzi. Spojrzał na Sherlock, uśmiechnął się do niej i skinął głową. Kiedy pan Maitland go przedstawił, podszedł do mikrofonu i spojrzał na żądne informacji twarze, gotowe zasypywać go niezliczoną ilością pytań, czekające na sensację godną nadania w wieczornych wiadomościach.

- Przypuszczam, że większość z państwa słyszała o zajściach, jakie miały miejsce wczoraj po południu w księgarni Barnes & Noble w Georgetown.

Na sali rozległ się wybuch śmiechu, bo każdy z dziennikarzy kręcił się po Georgetown i wypytywał wszystkich w promieniu co najmniej dziesięciu przecznic od Barnes & Noble. Także Steve Olson, dyrektor, zamknął swoją księgarnię, stanął przed nią i odpowiadał na pytania dziennikarzy.

Był też specjalny, nieco dziwny raport wyemitowany wieczorem pomiędzy zwykłymi programami, niektóre podane w nim informacje były bliskie prawdy.

- Kobieta, którą aresztowaliśmy w Barnes & Noble, około północy umarła w szpitalu w Waszyngtonie - mówił Savich. - Sekcja zwłok planowana jest na dziś rano.

- Agencie Savich, po co sekcja zwłok? Czy ona nie umarła wskutek ran postrzałowych?

- Czy to pan ją zastrzelił?

- Jak dotąd z naszych wstępnych ustaleń wynika, że nie umarła wskutek odniesionych

obrażeń. Jej rany nie były śmiertelne - powiedział Savich.

- Jednak nie żyje. Zaraz, zaraz, myśli pan, że została zamordowana?

- Ile kul dostała?

- Co zrobiła? Kim była?

- Dlaczego uciekła do księgarni?

- Jak się nazywała?

W końcu Savich podniósł rękę.

Sala ucichła.

- Nazywała się Pearl Elaine Compton. Była zabójczynią, z naszych wstępnych informacji wynika, że bardzo skuteczną i od bardzo dawna, biorąc pod uwagę, że w chwili śmierci miała czterdzieści jeden lat.

Miała trzech współników. Jeden z nich nie żyje, drugi leży w szpitalu, a trzeci jest ciągle na wolności. Powtarzam, dziś powinniśmy poznać przyczynę jej śmierci.

Jak zapewne państwo słyszeli, wybuchła panika, co jest zrozumiałe. Jeden z naszych agentów unieruchomił Compton zaraz po tym, jak nastolatka, której używała jako tarczy, ugryzła ją w rękę i uciekła.

Wystarczyły dwa strzały, żeby obezwładnić podejrzaną, w bark i ramię. Potem przewieźliśmy ją do szpitala.

Nikt więcej nie został ranny - nikt z klientów, personelu ani funkcjonariuszy. - Pochylił się do przodu i objął dłońmi mikrofon. - Dyrektorem księgarni Barnes & Noble przy M Street jest Steve Olson, którego znam osobiście. Był bardzo pomocny w uspokajaniu wszystkich tam obecnych. Jednak poskarżył mi się, że dopiero skończyli ustawianie na półkach co najmniej pięciuset nowych książek.

Wybuch śmiechu. Wszyscy pchali się bliżej.

- Chodzi o to, że tym razem uniknęliśmy tragedii. Mam nadzieję, że przy następnym wizycie w księgarni tylko napiję się herbaty i przejrzę najnowsze bestsellery. Kto ma jeszcze jakieś pytania?

Wszyscy podnieśli ręce, w sali znowu zawrzało. Savich rozejrzał się. Skinął w stronę Mercer Jones, długoletniego dziennikarza działu kryminalnego Washington Post. Przez lata Mercer napisał na jego temat kilka historii.

- Agencje Savich - powiedział Mercer niskim, grubym głosem. - Dlaczego FBI bierze udział w strzelaninie w Georgetown? A nie waszyngtońska policja? Co się tutaj właściwie dzieje? Po co ścigaliście tę Pearl Compton?

Mercer był dobry, jak zwykle, i zrobił mu doskonale wprowadzenie.

- Trafne pytania - odparł Savich. - Podam teraz państwu kilka istotnych informacji. - Spojrzał na Jimmy'ego Maitlanda, który skinął głową.

- Jak wiadomo, senator John James Abbott zginął ostatnio w wypadku samochodowym - przerwał na chwilę. - W tej chwili uważamy, że jest możliwe, że Pearl Compton, zabójczyni, która umarła ubiegłej nocy, była zamieszana w jego śmierć. Wznowiliśmy śledztwo w tej sprawie.

Oczywiście Rachael i pan Maitland zgodzili się z tym. W końcu całe to przedstawienie było po to, żeby ją chronić.

Po co ją zabijać, jeżeli FBI już wie wszystko, co ona wiedziała? Media oszalałyby i zaczęłyby węszyć. Dotarłyby do Rachael, ale zajęłoby im to trochę czasu. Jeśli ktoś z rodziny senatora Abbotta za tym stoi, powinien zacząć się bać.

Ze strachu można popełnić błędy. Tak jak oczekiwał, najpierw nastąpiła chwila głuchej ciszy, a potem pandemonium.

Milly Cranshaw, gospodyni programu Night Lights w telewizji PB S, krzyknęła:

- Agencje Savich, oficjalne oświadczenie brzmiało, że senator Abbott jechał pod wpływem alkoholu i stracił panowanie nad samochodem. Pan twierdzi, że ktoś wynajął tę kobietę, żeby zamordował senatora Abbotta? Kto mógł to zrobić? I dlaczego?

Savich uśmiechnął się do niej. Na Milly można było zawsze liczyć: zasypała go pytaniami, spośród których mógł wybierać.

- Czy Pearl Compton została wynajęta, żeby to wyglądało na wypadek? - dodał Thomas Black z CBS, którego siwe, krzaczaste brwi sięgały niemal do linii włosów.

- Chcę tylko powiedzieć, że prowadzimy dochodzenie, czy Pearl Compton była w to zamieszana.

- Ale komu zależałoby na śmierci senatora Abbotta?

- Myśli pan, że to sprawa terrorystów?

- Ale nikt się nie przyznał - krzyknął Mercer.

Savicha znowu zasypano pytaniami. Rozpoznawał wiele głosów, ale wkrótce głosy zamieniły się w kakofonię, a ludzie zaczęli się kłócić między sobą.

Czas to przerwać. Savich uniósł rękę. Sala ucichła.

- Przesłuchujemy wszystkich związanych z senatorem Abbottem, zarówno służbowo, jak i prywatnie.

- Na jakiej podstawie podważa pan fakt, że jego śmierć była wypadkiem? - krzyknął Bert Mintz z telewizji Fox.

- Sądzimy, że senator Abbott nie brał do ust alkoholu przez przynajmniej osiemnaście

miesiący przed swoją śmiercią. Od tamtej pory nie prowadził też samochodu. Mamy dużo informacji w toczącym się śledztwie, ale w tej chwili nie jesteśmy gotowi na ich ujawnienie.

Wiedział, że to, co właśnie powiedział, na pewno usłyszy dziś w wiadomościach.

Wtedy nastąpiły jakieś dwie sekundy przenikliwej ciszy, coś, co Savichowi wydawało się niemożliwe, a potem oczywiście znowu zaczął się krzyżowy ogień pytań.

- Będziemy na bieżąco informować państwa o wynikach śledztwa. Dziękuję.

Savich zszedł z podium pośród kakofonii krzyków, tuż za nim Jimmy Maitland. Jego szef był sprytny. Nie ma mowy, żeby pan Maitland sam miał zamiar stawić czoło tej szalonej bandzie.

Savich, Sherlock i Maitland byli w pogotowiu, żeby słuchać pytań skierowanych bezpośrednio do nich. Dyrektor Mueller jak zwykle zaskoczył ich swoją zwykłą uprzejmą skutecznością.

- W naszych rękach jest wiarygodność FBI, Savich - szepnął Maitland do Savicha. Podrapał się po krótko ostrzyżonych włosach.

- Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że teraz najważniejsze to chronić Rachael i dociec prawdy - odparł. Maitland pokiwał głową, potem roześmiał się.

- Spójrzcie na ich miny. Myślałem, że stary Jerry Webber z Post spadnie z krzesła. To byłaby sensacja. Maitland westchnął.

- Mimo wszystko trudno mi uwierzyć w to, że ktoś zabił Jimmy'ego. Nie zauważyłem, że przestał pić, ale w końcu widywałem go zaledwie co kilka miesięcy. Rachael jest tego zupełnie pewna?

Savich pokiwał głową.

- Wiesz, że media natychmiast się o niej dowiedzą, a teraz mają motywację - powiedział Maitland. - Gotowi koczować na trawniku pod domem Abbottów. Tak, jak powiedziałaś, nasze oświadczenie powinno chronić ją przed dalszymi zamachami na jej życie. Zrób z tym porządek, Savich, i to szybko.

Dyrektor Mueller powtórzył to, co powiedział Maitland:

- Zajmij się tym, Savich. Szybko. Prezydent jest bardzo zaniepokojony. Uśmiechnął się do Sherlock i wyszedł w otoczeniu trzech swoich pracowników. Sherlock zwróciła się do Maitlanda:

- Czy senator Abbott opowiadał panu o swojej córce?

- Tak, był bardzo szczęśliwy, ale nie powiedział mi zbyt wiele o jej pochodzeniu. Wydawał się bardzo podekscytowany tym, że ją odnalazł. Był w dobrym humorze. - Maitland pokiwał głową. - Ale sześć tygodni później zginął. To głębokie, paskudne kłębowisko zmij.

Dyrektor ma rację, trzeba to załatwić raz na zawsze.

- Mam nadzieję, że niedługo to nastąpi - powiedział Savich. - Może przyjdzie pan do nas dziś wieczorem? Pozna pan Rachael Janes Abbott.

- Czemu nie? A co z doktorem MacLeanem? Wiadomo coś nowego? Savich uśmiechnął się.

- Mamy pewne wskazówki. A teraz, zechce nam pan wybaczyć, ale wzywają nas pilne sprawy - powiedział, po czym chwycił rękę Sherlock i odszedł, a Maitland patrzył za nimi, kiwając głową. Nagle przypomniał sobie ojca Savicha, Bucka.

Savich, szalony kowboj, który w życiu złapał więcej przestępców, niż on sam. Przypomniał sobie, jak kiedyś był z Buckiem w barze w Dallas. Wszedł tam brzuchaty facet w czarnej skórze, szukając pretekstu do bójki. I, głupiec, wybrał Bucka. Maitland uśmiechnął się do siebie, kiedy pomyślał o brzuchatym facecie zwijającym się z bólu na podłodze.

Nie mógł doczekać się spotkania z córką Jimmy'ego. Ciekawe, co była żona Jimmy'ego, Jacqueline i jego córki myślały na temat Rachael?



*Biurowiec Hart, siedziba główna Senatu*

*Waszyngton*

Jack uściśnął dłoń Grega Nicholasa i pokazał mu swoją legitymację. Od razu zauważył, że Nichols patrzył na Rachael z przesadnym zainteresowaniem.

- Miło cię znowu widzieć, Rachael - powiedział ciepłym głosem i uśmiechnął się. Kiedy uściśnął jej dłoń, przytrzymał ją.

Tego Jack się nie spodziewał. I nie podobało mu się to. Nicholas odchrząknął i jeszcze raz spojrzął na nią zbyt obcesowo. Był wysoki, wysportowany, Jack nie dostrzegł na nim ani grama tłuszczu. Ciemnoniebieski uszyty na miarę garnitur leżał na nim jak ulał. Jasnobrązowe włosy były ułożone przez bardzo utalentowaną parę rąk, a jego zęby były równie śnieżnobiałe jak jego koszula. Wyglądał na człowieka rozsądnego, silnego, absolutnie godnego zaufania. Rachael też się do niego uśmiechała. Jack wiedział, że ma trzydzieści siedem lat, i jest człowiekiem bardzo wpływowym i poważanym w Kongresie. Ma tak wysoką pozycję, że w ciągu zaledwie dwóch tygodni odszedł z pracy u jednego wysoko postawionego senatora do innego.

- Przepraszam, ale tak jak mówiłem panu podczas rozmowy telefonicznej, agencje Crowne, mam dziś bardzo mało czasu - powiedział Nichols. - Senator Jankel przed południem ma głosowanie i muszę się z nim spotkać. Muszę powiedzieć, że wprawiała mnie w osłupienie konferencja prasowa FBI i spekulacje na temat tragicznej śmierci senatora Abbotta. Czy pan... czy naprawdę uważacie, że senator Abbott został zamordowany, że jego śmierć została upozorowana na wypadek i wszystkie służby lokalne i federalne dały się nabrać?

*A więc chcesz się zabawić, co?*

- Owszem, tak mniej więcej to wygląda - potwierdził Jack.

- Jest mało prawdopodobne, żeby było inaczej.

Nichols usiadł za swoim pięknym, mahoniowym biurkiem. Gestem ręki wskazał im krzesła. Był odwrócony tyłem do okna, oczywiście słońce świeciło prosto w twarze Jacka i Rachael. Jack ustawił bokiem swoje krzesło, Rachael zrobiła to samo. Jack rozejrzał się w koło.

- Ładne miejsce.

- Owszem, to biuro jest jednym z najlepszych. Starszy senator zazwyczaj przez lata staje się na tyle wpływowy, żeby mieć duże biuro. Jako przewodniczący Komisji Budżetowej senator Jankel jest głównym rzecznikiem swojej partii. Jeśli to biuro robi na was wrażenie,

powinniście zobaczyć biuro senatora.

- Lubi pan pociągać za sznurki, panie Nichols? - zapytał Jack. Uniósł brew.

- Pociągać za sznurki, agencie Crowne? Wie pan, że tak naprawdę nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Nie, raczej uważam się za pomocnika, osobę, która dba o to, by wszystko toczyło się właściwym torem, osobę, której senator w zaufaniu może powierzyć realizację własnych pomysłów i która przygotowuje go na każde wyzwanie. Aleja wykonuję tylko jego polecenia. No, ale dość o mnie. Powiedzcie, co mogę dla was zrobić.

- Panie Nichols, prawdopodobnie znał pan senatora Abbotta lepiej niż ktokolwiek inny, włączając w to jego brata, siostrę i Rachael.

- To zrozumiałe, pracowałem z nim przez trzynaście lat, aż do jego śmierci - powiedział Nichols. - Rachael znała go zaledwie kilka tygodni. - Wzruszył ramionami. - Co do jego rodzeństwa... no cóż, przyznam to szczerze, łączyło ich tylko nazwisko. Nie było tam żadnej więzi emocjonalnej, prawdziwej miłości ani troski, tak przynajmniej zawsze mi się wydawało. Ojciec senatora, spotkałem starszka tylko jeden raz, patrzył na mnie jak na głupka. Był władczy, starym złośliwcem o żelaznej ręce. Zmarł pół roku przed śmiercią swojego najstarszego syna. Wiem, że rzadko ze sobą rozmawiali. Senator Abbott powiedział tylko, że on i jego ojciec nie byli zgodni co do wyboru jego zawodu. Myślę, że to było mało powiedziane, że chodziło o wiele więcej.

Uważam, że kiedy niedługo po śmierci ojca w jego życiu pojawiła się Rachael, senator Abbott miał nadzieję, że zacieśni więzy ze swoim rodzeństwem, przez wzgląd na Rachael chciał, żeby wszyscy razem znów stali się rodziną, ale... - Głos uwiązł mu w gardle, oczy na chwilę zaszyły mgłą. Pociągnął nosem. - Przepraszam, to trudne... powoli zacząłem godzić się z jego śmiercią, a teraz, kiedy słyszę, co mówicie, że to nie był wypadek, że jakiś wariat go zabił, ja... - Umilkł, potrząsnął głową, spojrzął na swoje zaciśnięte na białce dłonie.

- Jak znalazł się pan u boku senatora Abbotta, panie Nicholas? Podniósł głowę.

- Proszę mówić mi Greg. Poznałem senatora Abbotta, kiedy byłem świeżo po studiach prawniczych, i nie bardzo wiedziałem, co chcę w życiu robić. Siedziałem w Big Raisin, angielskim pubie i restauracji na Platt Avenue i pijąc piwo zastanawiałem się, co ja robię tutaj, w Waszyngtonie. Dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrałem właśnie to? Nikogo nie znałem, nie miałem żadnych koneksji, a jednak przyjechałem tamtego ranka pociągiem z Nowego Jorku na rozmowę o pracę, sączyłem piwo i myślałem, że jestem strasznym głupkiem.

Senator Abbott wszedł i usiadł obok mnie. Zamówił martini z dwiema oliwkami. Wyglądał znajomo, ale nie wiedziałem, kim był. Wyglądał na miłego, przyjaznego

biznesmena, który czekał, aż przyjdą goście, których zaprosił na lunch. Zapytał mnie, co młody facet z marną fryzurą robi przy barze w ciągu dnia i dlaczego nie buduje mostów albo nie uczy dzieci matematyki.

Zaśmiałem się i powiedziałem mu, że to zbieg okoliczności, że jestem w Waszyngtonie, a szczególnie w tej restauracji, pijąc piwo, które na dodatek jest ciepłe.

Przewrócił oczami i powiedział: „bo jest angielskie”. Rozmawialiśmy dalej, on zadawał mi pytania. Kolejny mężczyzna przyszedł może dwadzieścia minut później, to był kolega, na którego czekał. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale to był przewodniczący Izby Reprezentantów w Kongresie. Senator wstał i wręczył mi swoją wizytówkę. Kiedy zorientowałem się, kim był, mówię wam, nieomal udławiłem się swoim piwem. Nawet uścisnął mi dłoń i przedstawił się. Później powiedział mi, żebym zadzwonił do niego później, po południu, chciał rozmawiać ze mną o możliwości zmiany mojej ścieżki kariery.

Powiedziałem mu, że nie mam żadnej ścieżki kariery.

Roześmiał się i powiedział, że w takim razie przynajmniej mój były pracodawca nie będzie robił problemów, prawda?

Następnego ranka poszedłem się z nim spotkać. Zatrudnił mnie. Przez te wszystkie lata wypełniałem swoje obowiązki, zyskałem jego zaufanie. Zbliżyliśmy się do siebie. - Nichols uśmiechnął się. - Zawsze byłem z nim. - Znowu zamilkł, oczy napełniły mu się łzami. - Przepraszam, ale wiem, że to rozumiesz, Rachael.

- Tak, ja też cierpię - powiedziała. - I ten ból raczej szybko nie minie.

Nichols rzucił okiem na abstrakcyjny obraz na ścianie, wielkie czerwone kwiaty, wyglądające tak, jakby miały eksplodować.

- Nie ulega wątpliwości, że senator Abbott miał charyzmę. To naturalny talent, taki, którego nie można się nauczyć. To nie jest mocna strona senatora Jankela, ale staramy się. - Uśmiechnął się do nich skromnie. - Proszę, nie rozgłaszajcie tego, dobrze? Naprawdę nie chcę teraz zmieniać pracy.

- Oczywiście, że nie - zapewniła Rachael.

Nichols przekrzywił głowę na bok, wyglądał na zamyślonego.

- Od dawna nie miałem takich rozterek. Już zapominałem, jak to jest. Muszę się wiele nauczyć, wierzcie mi. Poglądy i upodobania senatora Jankela są zupełnie różne od poglądów i upodobań senatora Abbotta. Co jeszcze mogę wam powiedzieć, agencie Crowne?

- Wiem, że jesteś bardzo zajęty, Greg, więc przestań pieprzyć głupoty - powiedział Jack. Nichols zerwał się na równe nogi i uderzył dłonią w biurko.

- Co pan sugeruje, agencie Crowne?

- Greg - powiedziała Rachael. - Ty i ja źle zrobiliśmy, że nie powiedzieliśmy śledczym prawdy. Oboje wiedzieliśmy, że Jimmy zabił tę dziewczynkę, bo nam to powiedział. I oboje wiemy, że on przez osiemnaście miesięcy po tym zdarzeniu nie pił alkoholu i nie prowadził samochodu. Oboje milczeliśmy. Żadne z nas nie chciało rujnować jego dobrego imienia. Oczywiście to mogło prowadzić do ukrywania twojego udziału w sprawie, ale teraz z tym już koniec.

Wyznałam wszystkim prawdę. Nadszedł czas, żebyś ty też to zrobił. Powiedz całą prawdę. Usiadł i popatrzył na nich przez swoje smukłe palce.

- Kiedy rozmawiałem ze śledczymi, nie ukrywałem tego, że senator przestał pić i prowadzić. Po prostu zbytnio tego nie podkreślałem policji, bo nie chciałem, żeby wypadek sprzed osiemnastu miesięcy, którego sprawca zbiegł, powrócił teraz, gdy senator Abbott i tak nie żyje.

Najwyraźniej FBI sądzi, że senator został zamordowany, bo przestał pić i prowadzić. Przypuszczam, że to opiera się na tym, co im powiedziałaś, Rachael?

- Tak.

- Szczerze mówiąc, jak dla mnie to brzmi mało przekonująco, na pewno nie dość wiarygodnie, żeby FBI wznowiło śledztwo. Musi być coś jeszcze. - Popatrzył znacząco na Jacka, który tylko potrząsnął głową. Nichols mówił dalej. - Dużo o tym myślałem i nie wierzę, że został zamordowany. Nie, to nie ma sensu. Uważam, że popełnił samobójstwo, oczywiście nie powiedziałem tego nikomu.

A wtedy ty przyszałaś i powiedziałaś mi, że zamierzasz wyznać winę swojego ojca, chciałaś wszystkim o tym opowiedzieć.

- Owszem, właśnie to zamierzałam zrobić, i niewykluczone, że zrobię.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego powiedział mi, że wszystko ujawni, Rachael? - zapytał Nichols. Warkocz na chwilę zakręcił się wokół jej policzka i Nichols patrzył na niego. Potem powiedział powoli:

- Uważam, że senator Abbott powiedział mi o tym, bo chciał, żebym mu to wyperswadował.

- To ciekawa teoria - przyznał Jack. - Co mu pan odpowiedział?

- Powiedziałem mu, że najgorszy błąd, jaki mógłby popełnić, to ujawnić historię o zabiciu dziewczynki, ponieważ media rozszarpałyby go, robiąc z niego potwora. On nie był potworem, ale tak by się to skończyło. Media nie wzięłyby pod uwagę czegoś takiego jak nieskazitelny charakter, troska o każdego człowieka w tym kraju, daleko idące zmiany w

ustawodawstwie, które przeprowadził.

Nie, media zignorowałyby wszystko, co dobre, uważając to za mało istotne. Powiedziałem mu, że zrujnowanie jego kariery będzie tylko pierwszym ciosem, który otrzyma. Potem będą plotki na temat jego rodziny, wysane z palca historie i insynuacje. Zostałyby w to wciągnięte jego córki i ich rodziny.

Co do Abbottów, znaleźliby malkontentów, przeprowadzili wywiad z każdym, kto wystąpiłby przeciw tej rodzinie. Naturalnie partii nie jest potrzebny taki skandal.

- Ale senator Abbott zdawał sobie z tego sprawę - powiedział Jack. - Dokładnie to wszystko przemyślał, długo walczył ze sobą. Wiedział, co może się stać, a mimo to zdecydował się działać, nie zważając na twoje argumenty.

- Być może. Ale może słysząc, jak ktoś, czyli ja, mówi o tym głośno, występując w roli adwokata diabła, zmienił zdanie. Tak, jak powiedziałem, uważam, że naprawdę chciał, żebym go od tego odwiódł. Agencie Crowne, ja też walczyłem z całych sił, zastanawiając się w nieskończoność, czy wiara w senatora Abbotta była właściwą rzeczą, ale widzi pan, znałem człowieka, znałem jego serce.

Wiem też, że śmierć tej małej dziewczynki była okropnym wypadkiem, czymś, czego można było uniknąć gdyby on... cóż, gdyby w tym ułamku sekundy wszystko ułożyło się inaczej, ale tak się nie stało i dziecko umarło niepotrzebnie.

Próbowałem uzmysłwić mu, że to był wypadek, próbowałem uwolnić go z jego prywatnego piekła. Wahał się, pod koniec jego życia nigdy nie byłem pewny tego, co powie następnego dnia.

Będę szczery. Po prostu nie byłem pewny, o czym myślał w chwili śmierci. Przyznam, że posłużyłem się Rachael.

Powiedziałem mu, że media szczególnie będą nękać ciebie, Rachael, twoją matkę i jej rodzinę. Czy to w porządku mieszać cię do tego wszystkiego?

Teraz nie żyje, a my nigdy nie dowiemy się, co zamierzał zrobić - zamilkł, zaczął nerwowo przebierać palcami, stukając nimi o gładko ogolony policzek. - I w końcu, czy naprawdę zrezygnowałby ze stanowiska i wyznał wszystko publicznie? Nie wiem. Kiedy umarł, to stało się dyskusyjne. Nie wiem, co jeszcze mogę panu powiedzieć, agencie Crowne.

- Cóż, właśnie usiłujemy się tego dowiedzieć, Greg - powiedział Jack.

Twarz Nicholisa poczerwieniała z wściekłości.

- Myśli pan, że kłamię? Chcecie zrobić kogoś w to morderstwo i wybraliście mnie? To wariactwo, jesteście stuknięci.

- Faktem jest, Greg, że mamy mały krąg podejrzanych - przerwał mu Jack. - Zgodzisz się, że senator Abbott wtajemniczył tylko ciebie, swoją rodzinę i Rachael. Znasz jeszcze kogoś, komu o tym powiedział?

- Nie, nie znam, ale mogli też być inni. Miał wielu przyjaciół, a wszyscy współpracownicy podsłuchują przez każdą dziurkę od klucza.

Wciąż ciężko oddychał, a jego prawa dłoń zaciśnięta była w pięść.

- Rachael, pamiętasz, tuż po jego pogrzebie powiedziałaś mi, że chcesz spełnić jego życzenie, chciałaś rozgłosić wszem i wobec o spowodowaniu przez niego tragicznej śmierci tej małej dziewczynki?

- Tak, pamiętam - odparła. - Nadal chcę to zrobić. W głębi duszy wierzę, że nie zmienił swojego zdania, nie on, i ktoś zabił go, żeby go uciszyć. Czy to ty, Greg?

- Nie, to nie ja. Posłuchaj, Rachael, żadne z nas nie wie, co twój ojciec myślał w tym ułamku sekundy przed śmiercią, jaką w tamtej chwili podjął decyzję.

- Pamiętam, że tamtego wieczoru Jimmy był bardzo małomówny - powiedziała Rachael. - Pocałował mnie, poklepał po policzku, wezwał swojego kierowcę i wyszedł, nie mówiąc mi, dokąd jedzie. Jego kierowca powiedział policji, że podrzucił Jimmy'ego do restauracji The Globe w Friendship Heights, gdzie miał spotkać się z kolegami.

- Nie miałem nic wspólnego z przygotowaniem do żadnego obiadu i powiedziałem to oficerom śledczym - powiedział Nichols.

Pokiwała głową.

- Ale miał rezerwację na swoje nazwisko, na dwunastą. Goście przyszedli do restauracji, a Jimmy nigdy tam nie dotarł, bo był martwy, za kierownicą swojego samochodu, to powiedzieli mi śledczy, że samochód, białe bmw, był zarejestrowany na senatora Johna Jamesa Abbotta. Nigdy nie widziałam, żeby nim jeździł, zawsze stało w garażu, więc nawet nie mogłam potwierdzić, czy to jego samochód.

Chodzi o to, Greg, że gdyby Jimmy zdecydował się znów prowadzić, dlaczego miałby wrócić do domu, nie mówiąc mi o tym? Dlaczego miałby pójść prosto do garażu, wsiąść do swojego auta i po prostu odjechać? Nie wiem nawet, czy przez ostatnich kilka miesięcy widział choćby kluczyki od samochodu. A jak wrócił po samochód? Śledczym nie udało się

znaleźć taksówki, która wiozłaby go z powrotem.

- To dlatego, że morderca wziął wcześniej bmw, prawdopodobnie wepchnął twojego ojca do samochodu na zewnątrz restauracji. To było dobrze zaplanowane - powiedział Jack.

- A co z kierowcą senatora Abbotta? - zapytał Nichos.

- Rafferty jest czysty - odpowiedział Jack. - Mówi, że kiedy zostawił senatora Abotta pod restauracją, ten dał mu tej nocy wychodne. Ma dobre alibi.

Jack przerwał, przyglądał się uważnie twarzy Nicholasa. Rachael bawiła się swoim warkoczem. Jack nic nie mówił, czekał z oczami utkwionymi w twarzy Nicholasa.

W końcu Nichols powiedział, nie patrząc jej w oczy:

- Tak jak wcześniej powiedziałem, myślę, że twój ojciec mógł sam się zabić. Nie, nie, posłuchajcie, myślę, że on popełnił samobójstwo, bo nie mógł żyć z tym sekretem, ale nie chciał rujnować życia tobie, Rachael, albo swojej rodzinie, więc zabił się. Tak uważam. Myślę, że to był jego prezent dla ciebie. Powiem ci, że poczułem ulgę, kiedy jego śmierć została uznana za wypadek. Nie chciałem nigdy powiedzieć, że senator Abbott zabił się. Przenigdy.

- Samobójstwo? - powtórzyła powoli Rachael. - Naprawdę sądzisz, że Jimmy zabił się sam?

- Mówisz, że się upił, wszedł do swojego bmw i zjechał z klifu? - zapytał Jack. - Gdyby chciał zakończyć życie, jak na moje oko, mógł to zrobić w odrobinę prostszy sposób.

- Jimmy nie popełnił samobójstwa - powiedziała Rachael. - Nie zrobił tego. On po prostu tego nie zrobił.

- Wolisz, myśleć, że ktoś bez skrupułów odebrał mu życie, bo zamierzał się przyznać? Rachael wyprostowała się na krześle, a jej głos stał się mocny.

- Jimmy nie był takim typem człowieka. Greg, znasz Laurel, jej obleśnego męża i Quincy'ego. Nie mów mi, że oni zawahaliby się zabić kogoś, kto mógłby zburzyć ich cudowny świat. Jimmy planował przewrócić go do góry nogami.

- Zaplanowali zabójstwo własnego brata? Żeby położyć temu kres? Nie, moim zdaniem to wyciąganie pochopnych wniosków.

- Mam opowiedzieć ci o sprawach, nad którymi pracowałem, gdzie członkowie rodziny entuzjastycznie wyżylnali się nawzajem? - zapytał Jack.

- Nie mogę się z tym zgodzić, agencie Crowne - zaprotestował Nichols. - Mówi pan o psychopatach, o ludziach ograniczonych umysłowo, którzy mają tylko pięści i wolę ich użycia. Rodzina Abbott taka nie jest. - Podniósł ręce, już ich nie zaciskał. - Wiem, że zna pan przerażające opowieści, agencie Crowne, ale Abbottowie, bez względu na swoje zachowanie,

swoje wady, pozorny brak, hm... ludzkich uczuć, znam ich od bardzo dawna. Oni nie przelewają własnej krwi. Nichols pochylił się do przodu, skupiając całą swoją uwagę na Rachael.

- Czy wciąż zamierzasz powiedzieć światu, co zrobił twój ojciec, Rachael?

- Tak, myślę, że tak. Wiem, uważasz, że to może zniszczyć twoją karierę, Greg, ale ty też nie jesteś bez winy. Popatrzył na nią.

- Co przez to rozumiesz?

- Mówię o twoim udziale w ukrywaniu faktów. Daj spokój, Greg, Jimmy powiedział mi, jak wyperswadowałeś mu telefonowanie na policję po tym, jak potracił tę małą dziewczynkę. Kiedy opowiedziałby o tym publicznie, oczywiście nie wskazałby twojej w tym roli, ale wiedziałeś, że to kiedyś wyszłoby na jaw. Spekulacje o twoich powiązaniach zakończyłyby twoją karierę, wiedziałeś o tym.

- Cokolwiek zaszło pomiędzy senatorem Abbottem i mną, jest poufne, ale powiem to - oświadczył Nichols. - Chociaż wiedziałem o wypadku, nie znałem szczegółów, o których senator Abbott powiedział mi parę dni przed swoją śmiercią. Taka jest prawda. - Wzruszył ramionami i wyglądał na poważnie rozczarowanego.

Jack skinął głową i odezwał się aprobującym głosem:

- Przypuszczam, że nieznajomość szczegółów jest najlepsza. Greg, przecież nikt nie oczekuje, że przyznasz się do bycia współwinnym śmierci w wypadku drogowym. Nikt nie oczekuje, że sam wyślesz się do więzienia. Nichols splótł dłonie przed sobą, a jego głos stał się cichy i ostry.

- Powiedziałem wam prawdę. Więcej nie będę o tym mówił - stwierdził, po czym podniesionym głosem zwrócił się do Rachael: - Kim ty jesteś, żeby niszczyć człowiekowi nazwisko, osądzać go po ułamku życia, po tym, jak przez lata robił wspaniałe rzeczy? To jest coś, czego nie możesz wyrzucić nikomu. A szczególnie jemu. Spędziłaś z nim zaledwie sześć tygodni, Rachael, nie dość czasu nawet, żeby się dowiedzieć, co lubi jeść na śniadanie. Nie znałaś jego myśli ani jego uczuć. Musisz się z tym pogodzić. Jack spojrział na bladą twarz Rachael.

- Gdzie byłeś tej nocy? - zapytał Nicholasa.

- Ja? Dobrze, załóżmy, że jestem podejrzany. Uwierz mi, nie potrzebuję kalendarza. Ta noc zapadła mi w pamięć na zawsze. Miałem zjeść obiad z Susan Wentworth, ona pracuje w Izbie Obrachunkowej. Ale nie spotkaliśmy się, nie pamiętam dlaczego. Więc nie mam alibi na noc śmierci senatora Abotta. - Spojrział na zegarek. - Muszę iść na spotkanie z senatorem Jankelem. Potrzebuje mojego wprowadzenia, zanim odda głos. - Wstał, nie podał im dłoń na



pożegnanie i powiedział do Rachael: - Mam nadzieję, że dobrze to przemyślałaś, Rachael. Bardzo dobrze. Rachael nic nie odpowiedziała. Jack pomyślał, że wygląda na bardzo smutną i zmęczoną.

Po wyjściu z biura senatora Jankela Jack powiedział:

- Spodziewałem się, że powiesz mi o tym, że ktoś próbował cię zabić, ale nie zrobiłaś tego.

- Szczerze mówiąc, Jack, nie widziałam sensu. On jest bardzo bystry, Jack, i bardzo wpływowy. Jego słowo przeciw mojemu i co by to dało? On to wie. - Wzruszyła ramionami. - Tak naprawdę go nie obwiniam. Tylko próbował posprzątać ten bałagan, ale go nie spowodował.

- Jest też kłamcą.

- Owszem, jest.

- Myślisz, że zamordował twojego ojca? - zapytał Jack. Rachael zatrzymała się na chodniku przed biurowcem Hart i wzniosła twarz ku słońcu.

- W końcu, czy znalazłby pracę w Kongresie, gdyby wyszło na jaw, że pomógł mojemu ojcu zatuszować ten wypadek? Och, sama nie wiem. Strasznie boli mnie głowa.

Kiedy Savich zadzwonił do biura kongresmenki McManus, dowiedział się, że jej dziś tam nie będzie. Ustalenie jej adresu nie było trudne. Pojechali prosto do jej domu w Tenleytown, za dzielnicą biurowców ciągnącą się od Wisconsin Avenue do Upton Street.

- Nie zapowiemy się? - zapytała Sherlock.

- Nie. - Savich przecząco pokręcił głową.

- Pewnie jest bardzo zajęta osobą. Mam nadzieję, że jest w domu, że nie wyjechała służbowo.

Dolores McManus była w domu. Jej sekretarka, Nicole Merrill, zmarszczyła ciemne gęste brwi, kiedy Savich przedstawił się, po czym zaprowadziła ich do gabinetu kongresmenki, który znajdował się w głębi sporego, zbudowanego z czerwonej cegły domu w stylu georgiańskim, stojącego z daleka od ruchliwej ulicy, otoczony przez dęby i klony. Lekko zapukała do drzwi, po czym wprowadziła ich do niewielkiego, lecz przyjemnego pokoju. Wypełniony był regałami z książkami, ciężkimi, ciemnymi meblami, które zachęcały, by się w nie zapaść. Jak na gust Sherlock było tu stanowczo zbyt przytulnie.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, kongresmenko McManus - powiedziała Nicole Merrill. - To jest agent Savich i agentka Sherlock z FBI. Chcą porozmawiać o doktorze Timothy MacLeanie.

Taki wstęp wystarczył. Savich zauważył, że dłonie McManus osunęły się z klawiatury komputera i nieomal spadła z krzesła, ale się powstrzymała.

Potem wstała z krzesła, wyprostowała się, wysoko uniosła głowę i spojrzała na nich. Dolores McManus była wspaniała i dobrze ubrana, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, silną budowę ciała i niewiarygodną twarz, z głębokim zmarszczkami po obu stronach ust. Te usta właśnie zamierzały przemówić, a Savich podświadomie wiedział, że ta kobieta uwielbiała się spierać, nieważne, z kim i na jaki temat. Może mógłby się z nią pospierać na tematy polityczne. Pewnie by to zrobił, gdyby nie wynajęła jakiegoś zbira z Savannah, żeby zabił jej męża, kierowcę ciężarówki.

Spojrzał w jej ciemne oczy i dostrzegł w nich poczucie winy. Wiedział, że to zrobiła. Dokładnie to przemyślała, rozważyła wszystkie za i przeciw, przeanalizowała wszelkie scenariusze, potem wszystko precyzyjnie zaplanowała, prawdopodobnie bała się, że facet, którego wynajęła do zabicia swojego męża, ujawni się.

Bardzo chciałby uczestniczyć w jej spotkaniu z Timothyem, ale oczywiście nigdy nie zgodziłaby się na taką propozycję. Jeżeli to ona próbowała zabić MacLeana i rzeczywiście

zabiła jego partnera do tenisa, Artura Dolana, to czy w jakiś sposób udało jej się niepostrzeżenie wymknąć z Waszyngtonu i zrobić to samodzielnie, czy wynajęła kogoś, tak, jak w przypadku męża?

- Kongresmenko - powiedział, podchodząc bliżej, wyciągając dłoń i uśmiechając się życzliwie. - Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać.

McManus podała rękę im obojgu, zmierzyła ich od stóp do głów i zaproponowała wodę do picia, ale oboje odmówili.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałam się państwa - powiedziała. - Jesteście z FBI?

- Zgadza się, proszę pani - odparła Sherlock, uśmiechając się promiennie. - Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani z nami porozmawiać o doktorze Timothy MacLeanie McManus pokręciła głową, spoglądając na rolexa na swoim nadgarstku.

- Nie rozumiem, o co chodzi. To znaczy, co się stało z doktorem MacLeanem? Proszę posłuchać, nie zamierzam podawać go do sądu, więc co państwo tutaj robią? Teraz nie mam czasu, bo ciągle mam spotkania i muszę wyjść... Świadomość i poczucie winy - Savich znowu to widział. Wiedziała, co powiedział o niej MacLean, i właśnie przyznała się, że miała motyw. Wyglądała na wytrąconą z równowagi i mówiła o wiele za dużo. Musiał utrzymać ją w tym stanie.

- Nie zajmimy pani wiele czasu - powiedział beznamiętnie Savich, jego ciemne oczy stały się zimne, zniżył głos. - Mamy nadzieję, że to dla pani dobra, kongresmenko McManus.

- Wizyta FBI dla mojego dobra? Albo cokolwiek związane z doktorem MacLeanem? Ledwie znam tego człowieka.

- Przypuszczam, że pani nie wie, że ktoś doprowadził do katastrofy jego samolotu? Podłożył bombę?

- Co takiego? Bombę? Oczywiście, że nie. To straszne. Czy to był atak terrorystyczny? - Jej głos wyostrzył się, a południowy akcent stał się mniej wyraźny. Otwartymi dłońmi uderzyła o pulpit. - Czy przyszli tutaj państwo, bo uważają, że mogłabym posunąć się do ataku terrorystycznego? Nie wierzycie, że jestem patriotką? I że kocham swój kraj? Czy wierzycie...

- Nie, kongresmenko, nic z tych rzeczy - powiedziała łagodnie Sherlock, głosem niemal o oktawę wyższym, co było dość trudne, nawet przy doświadczeniu Sherlock. - Może pani usiąść?

- Co takiego? Ach, tak, dobrze. Ale tak jak powiedziałam, nie mam wiele czasu. Usiadła i patrzyła na nich zza swojego przepastnego, pokrytego ciemną skórą biurka.

- Doktor MacLean twierdzi, że zamordowała pani swojego męża - powiedziała

Sherlock. - Na pewno pani to pamięta, kongresmenko, że pod wpływem hipnozy powiedziała pani, że wynajęła kogoś, żeby zamordował pani męża na parkingu w Atlancie?

McManus zerwała się na równe nogi. Savich zauważył, że rzeczywiście ma niezłe piersi, tak jak twierdził Timothy. Piękna, jedwabna sukienka doskonale je eksponowała. Cała się trzęsła, a jej twarz nagle poczerwieniała - z wściekłości czy ze strachu?

- Przecież to jakiś nonsens! Proszę natychmiast stąd wyjść. Słyszycie? Nie muszę tego znosić! Savich uniósł dłoń.

- Jeszcze tylko chwilę. Rozumiem, że nie wie pani, dlaczego doktor MacLean nam o tym powiedział, więc proszę pozwolić mi to wyjaśnić. U doktora MacLeana zdiagnozowano demencję płata czołowego, groźną chorobę, która powoduje, że mówi on niestosowne, a nawet niezwykle szkodliwe rzeczy - w pani przypadku naruszając tajemnicę lekarską - ale robi to wszystko niechcący i bez złych zamiarów. - Przerwał na chwilę. - Może pani wie, że były też inne zamachy na życie doktora MacLeana? Że jego biuro spłonęło?

Głos MacManus drżał z wściekłości.

- Przyszliście tutaj oskarżać mnie zamordowanie mojego męża? To nonsens. Jego śmierć, to najokropniejsza rzecz, jaka mogła nas spotkać. Moje dzieci były załamane. Kochałam swojego męża.

Mówicie, że MacLean twierdzi, że powiedziałam mu, że zabiłam własnego męża? A teraz mówicie, że jest obłąkany? I nie powiedział swoim pacjentom, że jest obłąkany? Nienawidzę tego człowieka, to niegodny zaufania marny gnojek. Przestałam do niego chodzić, bo okazał się niekompetentny, ale jak widać, nie tylko.

- Skoro chodziło tylko o niekompetencję, dlaczego rozważała pani podanie go do sądu?

To powstrzymało ją, ale tylko na chwilę. Oparła swoje duże, pełne gracji dłonie o pulpit biurka.

- Posłuchajcie mnie, oboje. Zostałam zgodnie z prawem wybrana do Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych. Rozumiecie? Jestem członkinią Kongresu. My nie zabijamy. Tak się po prostu nie robi. Owszem, przyznam, że słyszałam, że MacLean opowiadał o mnie potworne rzeczy. Ale to nic nie znaczy, rozumiecie?

- Jednak pani mąż został zamordowany, zanim wybrano panią do Kongresu - zauważyła Sherlock. McManus odrzuciła do tyłu głowę, jej głos był niski i drżący, ale patrzyła wyłącznie na Savicha.

- Nie zabiłam mojego męża. Nie wynajęłam też nikogo, by to zrobił. Nie usiłowałam zabić doktora MacLeana ani nie zleciłam jego zabicia. - Mocno trzasnęła dłonią o pulpit i

zmierzyła ich spojrzeniem ostrym jak sztylet. - To szarlatan i kłamca. Zniszczył moje dobre imię, oczywiście powiedział ludziom, że ponoć opowiedziałam mu o tym morderstwie. To oburzające! To oszczerstwo i nadużycie. Ciekawe, co jeszcze, i o kim, wymyślił?

Sherlock podniosła dłoń, uciszając ją.

- Pani McManus, powiem pani o czymś, czego najwyraźniej pani nie wie. Może pani nie pamięta, że doktor MacLean panią zahipnotyzował i wyciągnął od pani tę historię. Ale na pewno pani wie, że żadne wyznanie wypowiedziane pod wpływem hipnozy nie może być dowodem w sądzie, nawet jeżeli zostało nagrane. Więc sama pani widzi, że nie ma powodu zaprzeczać, że doktor MacLean panią zahipnotyzował.

Zapadła głucha cisza. *Cóż, nie udało się*, pomyślała Sherlock. Savich wyjął mały notes i usiadł z powrotem na krześle.

- A więc nic pani nie wie o podłożeniu bomby do cesny, którą leciał doktor MacLean?

- zapytał uprzejmie Savich.

- Nic o tym nie wiem! Nic o zamachach na żalosne życie doktora MacLeana! Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

- A może nam pani powiedzieć, gdzie pani była osiemnastego maja około trzeciej po południu? - zapytał Savich, tym razem bardziej stanowczo. - Wtedy właśnie doktor MacLean omal nie zaginął pod kołami ciemnego sedana tutaj, w Waszyngtonie.

Tym razem nie wybuchła. Nie powiedziała nic, była spokojna. Jej usta poruszały się, jakby bezgłośnie powtarzała mantrę albo odprawiała rytuały, aby odzyskać kontrolę nad sobą. Potem powiedziała powoli i wyraźnie, oddzielając każde słowo, jakby tłumaczyła coś idiotcie:

- Dzwonię do mojego prawnika. Nie mam pojęcia, co sobie myśleliście, kiedy wtargnęliście do domu przedstawiciela Kongresu Stanów Zjednoczonych i zachowujecie się w ten sposób. Dopilnuję, żebyście oboje stracili stanowiska za napastowanie mnie. Jeśli będzie to konieczne, dopilnuję też, żeby wasi przełożeni również stracili pracę. Zrozumieliście?

- Czy może pani sobie wyobrazić, co się stanie z pani karierą, kiedy rozniesie się to, co powiedział doktor MacLean? Albo tylko pogłoski o tym? - zapytała spokojnie Sherlock.

- A teraz macie czelność mi grozić? Chcecie zniszczyć mnie, rozpowszechniając złośliwe plotki?

- Nie, tego byśmy nie zrobili. Ale wie pani tak samo jak my, że tego rodzaju zarzuty, nawet wspomnienie o nich, może błyskawicznie panią zniszczyć.

Chciała coś powiedzieć, ale Savich podniósł rękę.

- Nie znamy prawdy o tych sprawach, ale czuliśmy się w obowiązku poinformować

panią o tych zarzutach. Drzwi otworzyły się i weszła Nicole Merrill. Było jasne, że McManus przywołała ją.

- Proszę, odprowadź państwa, Nicole. - Powoli wstała i patrzyła na nich zimnym wzrokiem zabójcy. - Jeżeli będziecie chcieli ponownie ze mną rozmawiać, może wam się to nie udać. Będziecie rozmawiali z moim adwokatem. Nicole poda wam jej nazwisko. Jeżeli choćby słowo z tej absurdalnej rozmowy wycieknie do mediów, osobiście się wami zajmę. Życzę miłego dnia.

Savich uruchomił swoje porsche i spojrzał na Sherlock. Śmiała się do siebie.

- To było lepsze niż pokonanie cię na strzelnicy. Myślisz, że się przestraszyła? Albo planuje nas zniszczyć?

- Na pewno wzbudziliśmy jej czujność. I na pewno się przestraszyła. Czułam bijące od niej napięcie.

Sherlock oparła głowę o kusząco gładkie, skórzane siedzenie i przymknęła oczy.

- Zjedźmy lunch, a potem złożmy wizytę Pierre'owi Barbeau i jego czarującej żonie - powiedział Savich, skręcając na światłach. - Jak na razie dobrze nam idzie. - Skinął do agenta siedzącego w samochodzie zaparkowanym na końcu ulicy. - Szkoda, że nie założyliśmy jej podsłuchu. Ale przynajmniej będziemy wiedzieli, czy się z kimś spotka. Sherlock uśmiechnęła się, a wiatr rozwał jej włosy, kiedy porsche gwałtownie i z gracją skrzyło, zjeżdżając z drogi wielkiej trąbiącej terenówce.

- Pamiętasz, jak Sean krzyczał i zanosił się płaczem, łapiąc nas za ręce i ciągnąc „w kółeczko” wokół Maypole at DuPont Circle? - zapytała Sherlock.

Savich uśmiechnął się do niej, gdy mijali rondo i gładko skręcił w prawo z New Hampshire Avenue na Eiger Street. Ciągle się uśmiechała, kiedy zajechali pod bardzo zwykowny, nowoczesny apartamentowiec, w którym mieszkali państwo Barbeau.

- Raczej spodziewałem się kolejnego wielkiego domu w stylu georgiańskim, otoczonego pięknym ogrodem. Ale jak się nad tym zastanowić, to może Francuzi mają inne gusta?

Savich roześmiał się parkując porsche pod blokiem obok, niedaleko jednej z południowoamerykańskich ambasad. Uśmiechnął się szeroko do Sherlock, pochylił się i pocałował ją.

- Smakujesz jak ser cheddar z twojego taco. - Delikatnie pogładził palcami jej policzek. Przebiegł palcami po jej splecionych włosach - jego wina, wiele razy mówiła mu, że zawsze, kiedy jedzie z nim w porsche, psuje sobie fryzurę. Oparł się i podziwiał swoje dzieło.

- Jesteś pewny, że nikt nie pomyśli, że jechałam kabrioletem w tunelu aerodynamicznym? - zapytała.

- Nie. Wyglądasz doskonale.

Rozejrzeli się po nieskazitelnym otoczeniu, z kwitnącymi kwiatami rosnącymi w ciężkich ceramicznych doniczkach i drewnianych skrzynkach zdobiących przejścia, wszędzie było czysto, a trawa była równo przystrzyżona. Nad głowami świeciło słońce, Sherlock wydawało się, że petunie i fioletowe rododendrony rozciągają się w górę i dosięgają go. Pomyślała, że jej czerwony rododendron w domu jest bardziej imponujący.

- Może zatrudnisz tego kogoś, kto się zajmuje tym otoczeniem tutaj. Wszystko jest na wysoki połysk. Savich potrząsnął głową.

- Lubię pocić się nad swoją własną kosiarką.

- Odźwierny, teraz to jest modne? Nosi nawet fajny uniform. To na pewno kolory Green Bay.

- Francuskiej policji na pewno nie stać na takie wydatki - stwierdził Savich. - Ma szczęście, że ich domowy budżet jest poważnie zasilany pokazną sumką w euro z konta bankowego pani Barbeau.

- Jej rodzina jest znana z produkcji i konserwacji pociągów w całej Europie - powiedziała Sherlock, gdy szli brukowanym chodnikiem do budynku ze szklaną fasadą. -

Przynajmniej wiemy, że Pierre Barbeau dziś nie pracuje. Myślisz, że jest bardzo przybity?

- Może. Słyszałem, że on i jego żona zbyt często nie wychodzą. Wciąż są zrozpaczeni po śmierci syna - powiedział Savich.

Odźwierny błyszczał w swoim zielono - złotym uniformie. Najwyraźniej był zaskoczony, kiedy Savich pokazał mu odznakę FBI, ale szybko odzyskał rezon.

- Chcecie się spotkać z państwem Barbeau?

- Tak, proszę ich powiadomić - powiedziała Sherlock.

- Wiemy, że oboje są w domu. - Kiedy wysiedli z windy na ósmym, ostatnim piętrze, otoczył ich nieskazitelny złoto - biały marmur. Apartament państwa Barbeau zajmował połowę piętra. Przy drugim dzwonku do drzwi usłyszeli ostry stukot obcasów.

Młoda kobieta, o cerze śniadej jak pirat, ubrana w klasyczny francuski czarno - biały strój pokojówki, otworzyła drzwi. Była lekko zdyszana.

- *Qui?* W czym mogę państwu pomóc?

Sherlock zastanawiała się, czy jest prawdziwą Francuzką, czy to tylko tak się bawiła. Pokazała jej swoją legitymację.

- Jestem pewna, że odźwierny nas zapowiedział. Jak pani widzi, jesteśmy z FBI. Chcielibyśmy się zobaczyć z panem i panią Barbeau.

Młoda kobieta szybko się odwróciła i zniknęła w łukowatym przejściu po lewej. Po chwili wróciła, stukając obcasami po marmurowej posadzce, z wypiekami na twarzy. Przepraszała, że zostawiła ich w drzwiach i wprowadziła do całkiem nowoczesnego, zupełnie białego salonu. Savich nie znosił białego na białym, ale widok w tych wszystkich historycznych rezydencji przez okna od podłogi do sufitu był rzeczywiście bardzo ładny. Zobaczył swoje porsche zaparkowane przy krawężniku, teraz wciśnięte pomiędzy beemki, członek rodziny królewskiej otoczony sługami, pomyślał.

Minęło dobre pięć minut, zanim Pierre Barbeau i jego żona, Estelle, pojawili się w drzwiach, oboje ubrani swobodnie, ale szykownie, co w jej przypadku oznaczało wąskie dżinsy od znanego projektanta, wysadzany klejnotami pasek i bluzkę z jedwabiu, a w przypadku Pierre'a koszulę golfową z krótkimi rękawami, czarne spodnie i włoskie mokasyny. W ręku trzymał puszkę dietetycznej coli. Pani Barbeau wyglądała jak koń czystej krwi, szczupła, z arogancko zadartą głową, stała wyprostowana. Znała swoją wartość, pomyślał Savich, i oczywiście miała wysokie mniemanie o sobie. Przyjrzał jej się uważniej i dostrzegł ból w jej ciemnych oczach, zmarszczki wyrzyte wokół ust. Jak krucho wyglądała w swoim drogim ubraniu. Nie miał wątpliwości, że ta kobieta cierpi.

Pierre Barbeau robił wrażenie wyczerpanego, jakby powoli się wykrwawiał, a życie



uciekało z niego.

Jego czarne oczy były zapadnięte i podkrążone, skóra wisiała mu na twarzy. Nie było takiej możliwości, żeby ten człowiek był w stanie zaplanować i przeprowadzić ucieczkę swojego syna, nie z jego zniszczoną twarzą i martwymi oczami. Pierre Barbeau wyglądał jak starzec, który nie dba już o nic.

- Tommy z dołu powiedział nam, że jest tu dwoje agentów FBI - odezwał się, kiedy stanął w drzwiach. - Nic nie rozumiem. O czym FBI chce z nami rozmawiać? - Ani on, ani pani Barbeau nie chcieli wiedzieć, jak się nazywają, ani ścisnąć im dłoni, co było Savichowi na rękę.

- Sadzę, że obydwójce państwo znacie doktora Timothy MacLeana? - zapytał uprzejmie.

Nie ruszył się z miejsca gdzie stali on i Sherlock, przy narożnym oknie, przez które rozciągał się widok na DuPont Circle ponad dachami zabytkowych budynków.

Twarz Pierre'a Barbeau była strapiona, a kiedy wspomniał nazwisko MacLeana, Savich dostrzegł na niej tylko niewielką zmianę. Wyglądał, jakby chciał splunąć z pogardą, ale nie był w stanie. Zamiast tego uśmiechnął się szyderczo. Co do pani Barbeau, natychmiast w jej oczach pojawiło się zimne jak sztylet okrucieństwo, jej nienawiść do Timothy'ego natychmiast przewyciężyła jej żal. Savich nie chciał, ale wiedział, że powinien podsycić tę nienawiść, jeśli chce jak najszybciej poznać prawdę. Powoli weszli do salonu i usiedli razem na białej sofie. Savich i Sherlock zajęli miejsce naprzeciw nich.

Pierre Barbeau wyciągnął ramiona, podniósł brodę, ale nie w tak arogancki sposób jak jego żona i nadal uśmiechał się szyderczo.

- Doktor MacLean? - powtórzył cicho. - No tak, ja i moja żona od wielu lat znaliśmy Timothy'ego i Molly, ale czy tak naprawdę ich znaliśmy? - Wzruszył ramionami. - Byliśmy przyjaciółmi, wspólnie jedliśmy posiłki, rozmawialiśmy o naszych rodzinach, dzieciach... - Przełknął ślinę, a jego ręka drżała, kiedy podniósł puszkę z colą i potarł nią policzek. A może ukradkiem otarł łzy, które lada chwila mogły popłynąć po twarzy? - Znaliśmy ich dzieci, oni znali Jeana Davida.

Gdyby Sherlock zamknęła oczy i tylko słuchała jak mówił, pomyślałaby, że brzmi bardzo seksownie z tym przepięknym akcentem, nie tak ciężkim, jak w amerykańskich kreskówkach.

Ale parząc na niego, widziała człowieka całkowicie przytłoczonego, jak Atlas, który utrzymuje ciężar świata i w każdej chwili może go upuścić.

- Tak, jesteśmy znajomymi - potwierdziła Estelle, jej akcent był bardziej wyraźny. -

Prawie wszyscy w naszym kręgu są ich znajomymi. Polecę Lissy przynieść kawę.

- Nie, dziękujemy, pani Barbeau - powiedział Savich. Patrzył, jak przysuwają się do siebie, jakby chcieli ochronić się przed kolejnymi złymi wiadomościami.

- A o co chodzi tym razem? - zapytał Pierre. - Co mogę wam powiedzieć o Tim... to znaczy, doktorze MacLeanie?

- Odwiedził pan doktora MacLeana w jego gabinecie i powiedział, że pana syn przekazał poufną informację organizacji terrorystycznej, w następstwie czego zostali zabici dwaj agenci CIA - podpowiedział Savich. - Zapytał go pan, czy przeprowadziłby psychologiczną obronę pana syna. Doktor MacLean powiedział panu, że tego nie zrobi, bo to jest jednocześnie nieetyczne i nielegalne. Poradził, żeby pana syn natychmiast oddał się w ręce policji albo on będzie zmuszony poinformować władze, jako że więcej ludzi jest w niebezpieczeństwie.

Nie chciał pan o tym słyszeć, to zrozumiałe, przecież Jean David był pana synem.

Tydzień później pana syn utonął w Potomaku. Wypłynęliście pomimo złej pogody: wiatru, deszczu i mgły. Kiedy burza się nasiliła, poczuł się pan źle. Jak pan utrzymuje, pan i Jean David zmierzaliście do brzegu, ale tam nie dotarliście. Łódź motorowa staranowała pana łódź, nie widząc was w gęstej mgle. Wpadł pan za burtę, a pana syn skoczył, żeby pana ratować. Ludzie w łodzi motorowej zrobili, co mogli. Pan został uratowany, ale pana syn zginął. Czy tak to się stało, proszę pana?

- Tak, tak właśnie było - powiedział Pierre. - Jego ciało wciąż nie zostało znalezione.

- Wiemy. Bardzo nam przykro. Jesteśmy tu, ponieważ trzykrotnie doszło do próby zamachu na życie doktora MacLeana. Czy to pan odpowiada za te próby, panie Barbeau?

Pierre wyglądał, jakby ktoś kopnął go w żołądek, jego blada twarz oblała się gwałtownym rumieńcem. Poderwał się na równe nogi i zaczął chodzić w tę i z powrotem, obracając w dłoniach puszkę z colą.

- Timothy MacLean to potwór! - krzyknął. - On nigdy nie rozumiał, jak to jest żyć w obcym kraju, gdzie wszystko jest inne, wszystko, co zrobisz, jest kwestionowane i podawane w wątpliwość, każdy myśli inaczej i gardzi tym, co ty myślisz, a wszyscy pospiesznie wydają osady. Nie chciałem uwierzyć, że taki jest, ale to prawda. Timothy był gotów szkalować dobre imię mojego syna, nasze dobre imię! To on powinien trafić do waszego amerykańskiego więzienia, a nie mój syn, nie Jean David, który nie żyje przez tego człowieka, który ponoć był naszym przyjacielem. Zabić go? Chętnie, ale nie zrobiłem tego.

- Panie Barbeau - przerwała mu Sherlock. - Wiemy, że bardzo mocno pan to przeżywa, że pan rozpacza. Zapewniał pan doktora MacLeana, że Jean David w żaden sposób

nie mógł wiedzieć, że ta kobieta była członkinią grupy terrorystycznej, i że przekazała im informację, którą od niego uzyskała.

Z radością powiem państwu, że dwa dni temu Homeland Security aresztowało ją i dwóch jej współpracowników, wspaniały prezent dla naszego kraju, a to dzięki pomocy doktora MacLeana. Przyznała się do uwiedzenia pana syna, do manipulowania nim w celu zdobycia informacji dla swojej grupy terrorystycznej.

- Tak, oczywiście słyszeliśmy o aresztowaniach - powiedziała pani Barbeau lekceważącym tonem. - Ale nie zwracałam na to zbytnej uwagi, bo to nic nie znaczy dla nas, czy dla Francji. To naprawdę bez znaczenia, jakie kłamstwa powiedziała ta kobieta.

Estelle wstała i stanęła obok męża.

- To wszystko nie ma nic wspólnego z Jeanem Davidem, nic, słyszycie? On był niewinnym chłopcem i cokolwiek się stało, to nie była jego wina. Nie była. Nie rozumiecie? Nasz syn nie żyje.

Savich zrozumiał, że do tej pory uważał Pierre'a Barbeau za jednego z głównych podejrzanych o próby zabójstwa MacLeana, ale teraz, po spotkaniu z nim - już nie. Ten człowiek wyglądał, jakby gotowy był pogrzebać się w swoim nieszczęściu.

MacLean miał rację. Jeśli ktokolwiek w tej rodzinie próbował go wykończyć, to była Estelle Barbeau. Jej rozpacz była tak wielka i nieposkromiona, jak rozpacz jej męża, ale w oczach miała przemoc i obietnicę zemsty.

- To dla nas bardzo bolesne. Nie wiem, dlaczego chcecie to wywlekać - powiedziała głosem spokojnym, bardziej pojednawczym. - Mój mąż powiedział panu, że nie mieliśmy nic wspólnego z jakimikolwiek zamachami na życie doktora MacLeana. Więc o co wam chodzi? Czego oczekujecie? Nasz syn nie żyje, jest poza zasięgiem waszego głupiego, amerykańskiego prawa.

- Głupiego? - Sherlock nie wytrzymała. - Zastanawiam się, czy postrzeżałaby pani nasze prawo jako głupie, gdyby grupa terrorystyczna wysadziła w powietrze wieżę Eiffla.

Estelle machnęła ręką.

- Ale to się nie zdarzy. Żyjemy w pokoju z naszymi muzułmańskimi rodakami. No tak, to stwierdzenie nie podlegało dyskusji. Savich odetchnął i powiedział:

- Pani Barbeau, proszę nam powiedzieć, jak spędziła pani te dwa dni - zajął do swojego notesu, żeby potwierdzić daty, kiedy Estelle podbiegła do niego.

- Naszego syna nie dosięgnie już żadna krzywda, jaką chcielibyście mu wyrządzić za jego młodzieńczy błąd. On był tylko chłopcem, idealistą, a ta kobieta złapała go w pułapkę. Oczywiście, że to stara historia, która wciąż się zdarza. Jean David nie żyje. Pozwólcie mu

spoczywać w pokoju. Mam nadzieję, że doktor MacLean umrze. Powiniennem umrzeć, ale żadne z nas, ani ja, ani mój mąż nie odpowiadamy za jakiegokolwiek zamachy na jego bezwartościowe życie. Ile jeszcze razy musimy wam to powtórzyć?

- Ostatnia próba miała miejsce w szpitalu - powiedział Savich.

Pierre wyglądał na oszołomionego, Savich nie miał co do tego wątpliwości.

- Naprawdę wierzycie, że Estelle albo ja mogliśmy próbować zabić Tim... doktora MacLeana? To nonsens, całkowity nonsens. Owszem, obwiniamy go za śmierć Jeana Davida, ale żeby trzy razy próbować go zabić? To absurd. Całe to wasze FBI to absurd.

- Wręcz przeciwnie, jest w tym wiele sensu, proszę pana - powiedziała Sherlock. - Jest pan przekonany o jego odpowiedzialności, a to jest zemsta. A co by było, gdyby doktor MacLean zdecydował się ujawnić działalność państwa syna?

Czy gdyby to wyszło na jaw, utrzymałby pan posadę w ambasadzie tu, w Waszyngtonie? Albo w Nowym Jorku? Co by się stało z pana pracą?

Naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, że mógłby pan ochoczo kontynuować swoją karierę we francuskiej policji. Proszę mi powiedzieć, czy próbował pan sobie wyobrazić, jak by to było wrócić do Francji i stanąć twarzą w twarz ze swoją rodziną i przyjaciółmi, kiedy wszyscy oni wiedzieliby, co zrobił pana syn? Czy wyobraża pan sobie, jak by pan to zniósł? A pańska żona jak by to zniosła?

Sherlock miała świadomość, że przesadziła, i było jej głupio. Jeśli oni byli niewinni, powodowała tylko niepotrzebny ból tych cierpiących rodziców.

Estelle pogroziła im pięścią, a diamenty błyszczały szaleńczo na ogromnym pierścieniu na jej prawej dłoni.

- Posłuchajcie mnie. To, co zrobił nasz syn, albo to, czego nie zrobił, w tej chwili nie ma znaczenia. Jean David nie żyje, słyszycie? Umarł! Wszystkie jego myśli, czyny, przekonania umarły, utopione podczas tragicznego wypadku, a wasza cholerna straż przybrzeżna nie potrafi nawet go znaleźć! Gdyby doktor MacLean milczał, tak jak powinien to robić lekarz, nic takiego by się nie wydarzyło.

Powiem wam coś jeszcze. Lekarze we Francji są dyskretni, nie moralizują. Nie grożą ani nie stawiają ultimatum! A tu? Nie ma żadnej świętości. Etyka waszych amerykańskich lekarzy, no cóż, nie mają jej, a ich zachowanie jest niewybaczalne.

Ktoś dowiedział się, że Timothy rozmawiał ze swoim przyjacielem, Arturem Dorianem, a Dolan właśnie wtedy umarł. Zbieg okoliczności? Savich nie wierzył w zbiegi okoliczności. Ale skąd dowiedział się o tym Barbeau?

- Ma pan rację, że doktor MacLean rozmawiał o pańskim synu z wieloma ludźmi. Czy chcą państwo wiedzieć, dlaczego zdradził wasz sekret? - to mówiąc, Savich obserwował ich twarze. Twarz Estelle zastygła w gniewie, Pierre wyglądał, jakby było mu wszystko jedno, chciał tylko, żeby ziemia się rozstąpiła, a on mógł w niej spocząć.

- Nie interesują nas żadne marne wymówki - powiedziała Estelle. - Brzydymy się tym człowiekiem. A teraz proszę opuścić nasze mieszkanie. Nie mamy nic więcej do powiedzenia.

Wstała z kanapy, ale jej mąż nadal siedział, obracając w dłoniach puszkę dietetycznej coli.

- Ostatnia próba zabójstwa doktora MacLeana to była bomba podłożona w samolocie. Ledwie uszedł z życiem - powiedział Savich.

Estelle wzruszyła ramionami.

- Cóż takiego? Bomba? Nie wiemy nic o żadnej bombie. Nie obchodzi nas, co stało się z tym człowiekiem. - Podniosła ze stolika fotografię w ramce i pomachała nią im przed oczami. - To nasz syn. To jest Jean David. Elegancki, błyskotliwy chłopak, dobry chłopak. Spójrzcie na niego! Nigdy już nie będzie starszy, nigdy się nie ożeni i nie będzie miał dzieci.

Rzeczywiście był przystojnym mężczyzną, pomyślała Sherlock, przyglądając się fotografii. Miał ciemne włosy, opaloną twarz, czarujący i zniewalający uśmiech oraz ciemne, błyszczące oczy, jak u ojca. Cóż za strata, pomyślała. Savich postanowił nie mówić im o chorobie doktora MacLeana. Wiedział, że to niczego by nie zmieniło. A dla nich to było bez znaczenia.

- Panie Barbeau, czytałem pańskie zeznania o tamtym dniu, kiedy pański syn utonął, próbując pana ratować - odezwał się, wiedząc, że stąpa po grząskim gruncie. - W końcu zostało to uznane za tragiczny wypadek. Jednak - zrobił efektowną pauzę - jednak wiem, że tak nie było. Proszę opowiedzieć mi, co naprawdę zaszło tamtego dnia. Pierre zastygł w bezruchu, a Savich pomyślał, że trafił w dziesiątkę. Przeczował, że chodziło o coś innego. Milczał i cierpliwie czekał.

Kiedy Estelle chciała coś powiedzieć, Pierre uniósł dłoń, żeby ją powstrzymać, i wzruszył ramionami.

- A jakie to ma teraz znaczenie? - zapytał. - Tak jak powiedziałem, nic nie jest już

ważne teraz, kiedy on nie żyje. Dlaczego? Zaraz wszystko wam opowiem. Estelle patrzyła z niedowierzaniem na męża.

- Co ty zamierzasz zrobić? Pierre?

- Przykro mi, Estelle, ale wiedziałem, że w końcu to się wyda. A teraz, jak widzisz, jestem już bardzo zmęczony. - Znowu podniósł rękę, kiedy jego żona chciała coś wtrącić, i powtórzył: - To już nie ma znaczenia, Estelle. Agencie Savich, Jean David nie zginął śmiercią tragiczną.

- Proszę opowiedzieć nam, co się stało - poprosił Savich, wyraźnie podekscytowany.

Pierre podniósł głowę, jego twarz była chorobliwie blada, ale głos zadziwiająco silny i opanowany.

- Mój syn przyszedł do mnie, powiedział, co zrobił, i poprosił o pomoc. Wiedział, że jego przełożeni prędzej czy później dowiedzą się, że on za to odpowiada. Nie mogłem w to uwierzyć. Opowiedział mi wszystko ze szczegółami, przekonał mnie. Powiedziałem mu, że muszę się nad tym zastanowić.

Dwa dni później powiedziałem mu, że rozmawiałem z Timothyem i co on nam poradził, oraz powiedziałem Jeanowi Davidowi o jego groźbach. Mój syn patrzył na mnie bardzo długo, nic nie mówił, i to złamało mi serce. Powiedział mi, że też musi się nad tym zastanowić; I wyszedł. Bałem się, że będzie próbował uciec, ale tego nie zrobił. Naprawdę. Nie uciekł.

Dwa dni później, w piątek, zapytał, czy nie wybrałbym się z nim na ryby, pomimo pogarszającej się pogody. No więc łowiliśmy te ryby w Potomacu, coś, co robiliśmy wiele razy, to było jak rytuał, taki czas tylko dla nas, żeby pobyć razem. Ale tym razem było inaczej, przez większość czasu milczeliśmy, obaj przygnębieni. Bałem się, a ultimatum Timothy'ego ciągle chodziło mi po głowie. W końcu przerwałem to milczenie i oznajmiłem mu, że nie mam pojęcia, co zrobić. Kochałem go, ale to, co zrobił... musiałem powiedzieć mu, że nie mieści mi się w głowie, jak mógł do tego stopnia dać się omotać kobiecie. Znowu pokręciłem głową i powiedziałem mu, że nie wiem, co robić.

Jean David pochylił się i pocałował mnie. Potem usiadł z wędką w rękę i powiedział, że wszystko przemyślał i postanowił popełnić samobójstwo, bo to jedyne wyjście z tej sytuacji. I dlatego chciał wybrać się na ryby podczas burzy. Powiedział mi ze łzami w oczach, że nie mógłby żyć z tym, co zrobił. Przyznał mi rację, że ta kobieta go oszukała i to przez nią popełnił niewybaczalne przestępstwo, złamał święte prawo. Był zdrajcą, nie zrobił tego umyślnie, ale to jego wina, że był naiwny. I tylko on był za to odpowiedzialny.

W salonie zapadła martwa cisza, słychać było tylko ciężki oddech Pierre'a. Estelle nie

mówiła nic, tylko spoglądała na męża, który bardzo cierpiał.

W jej oczach nie było współczucia, ale potępienie. Dlaczego? Bo powiedział im prawdę, ujawnił ich tajemnicę. Savich postanowił nie mącić tej ciężkiej atmosfery. Patrzył na drobinki kurzu, które unosiły się w powietrzu i błyszczały w promieniach słońca.

- Powiedziałem mojemu synowi, że tak go nie zostawię - podjął Pierre. - Że wynajmę najlepszych adwokatów, może nawet pomogę mu wyjechać z kraju, ale on tylko kręcił głową i smutno się uśmiechał.

Wiedział, że ta burza będzie koszmarna. Wiatr huczał, mgła zaczęła nas otaczać, a deszcz padał coraz mocniej i był coraz gęściejszy. Ale prawdę mówiąc, nawet tego nie zauważyłem. Fale rozbijały się o naszą łódź, ale to nie miało znaczenia. Jean David powiedział tylko: „Nie mogę, ojcze” i wiedziałem, że on już ode mnie odszedł. Wiatr wzrastał się. A naszą łodzią kołysało coraz silniej. Jean David wstał, a ja wiedziałem, co zamierzał zrobić. Wtedy uderzyła w nas ta motorówka, właśnie kiedy wyskoczył za burtę. Ja skoczyłem za nim. Ludzie, którzy byli w motorówce, próbowali nam pomóc, i uratowali mnie, ale nie Jeana Davida.

Ktoś mnie wyciągnął, a ja krzychałem, że tam jest mój syn, potem przyplłynęła Straż Przybrzeżna i szukali go przez wiele godzin.

Ale on już nie żył, popełnił samobójstwo, tak, jak zapowiedział. Tak naprawdę zdziwiłem się, kiedy uwierzyli w moją wersję wydarzeń, bo była zupełnie niewiarygodna, wręcz głupia, jednak w nią uwierzyli. - Westchnął. - Ale nie pan. Podejrzewam, że inni też ją kwestionują. Pewnie myślą, że zaaranżowaliśmy to tak, żeby Jean David mógł uciec. Ale tego nie zrobił. Zginął, tak jak chciał.

Ale to i tak nie ma znaczenia. Mój syn nie żyje. Zapłacił za swoje przestępstwo. Zapłacił za nie swoim życiem.

Spojrzał na zgniecioną puszkę coli w swoich dłoniach, po czym podniósł głowę.

- Nie znaleźli jego ciała. Chciałbym, żeby je znaleźli. - Łzy płynęły mu po policzkach. Siedział w bezruchu, patrzył gdzieś w przestrzeń. - To stało się tak szybko, tak bardzo szybko, jakby ktoś przyspieszył czas. Mój syn wskoczył do tej zimnej, wzburzonej wody. Nie pływał zbyt dobrze. Kiedy był dzieckiem, próbowałem go tego nauczyć, ale nigdy nie przekonał się do tego. Twierdził, że woda go przeraża, bo ciągle płynęła, była głęboka, bez dna. Zawsze w to wierzył. Mówił, że nie ma dna. Myślałem o tym wiele razy, i widziałem mojego syna, jak znika pod wodą, która wciąga go coraz głębiej i głębiej.

Tamtego dnia mój syn umarł. Sam odebrał sobie życie. Odszedł na zawsze.

Nie powiedziałem o tym policji. Nie mogłem. Burza, wiatr, motorówka we mgle, to

wszystko było prawdziwe. To wszystko pomogło w wymyśleniu mojej historii. Wypadek. Ale powiedziałem wam prawdę i teraz powiem, dlaczego uważam, że mój syn popełnił samobójstwo. Zrobił to, żeby oszczędzić mnie, swoją matkę i resztę rodziny.

Nie chciał patrzeć, jak się wstydzimy, jak jesteśmy napiętnowani i upokarzani z powodu tego, co zrobił. Mój syn zabił się, żeby ratować mój honor.



*Georgetown*

*Czwartek wieczór*

Sherlock otworzyła drzwi wejściowe i wpuściła do domu Rachael i Jacka, za nią podskakiwał Astro, ocierając się głową i merdając ogonem, a za nim Sean. Jack ukląkł i wyciągnął rękę.

- Sean, wszędzie bym cię poznał. Jesteś bardzo podobny do taty. - Sean wyciągnął rączkę, a Jack potrząsnął nią. - Nazywam się Jack Crowne i pracuję w jednostce twojego taty. To jest Rachael Abbott. No, no, wygląda na to, że macie tu jakiegoś groźnego psa.

- To jest Astro - powiedział Sean, patrząc na Jacka oczami swojego ojca. Zwrócił się do Rachael. - Ja jestem Sean. Pani jest ładna. Podoba mi się pani warkocz. Jest pani prawie taka ładna, jak mama.

- Cóż za wspaniały komplement - roześmiała się Rachael. - Dziękuję, Sean. Jack podrapał Astro po głowie.

- Cześć, wielkie psisko, jak leci? Urosłeś?

- Wielkie psisko - powtórzył Sean. - Tato, nie myśleliśmy o takim imieniu. Wielkie psisko. - Zwrócił się do Jacka: - Mieliśmy na podwórku sztuczną trawę i dlatego on jest Astro.

- Może na drugie imię damy mu Wielkie Psisko? - zaproponował jego ojciec.

- Astro Wielkie Psisko Savich - powiedział Sean, złapał Astro w pół, pociągnął i przetoczył się po podłodze. Jack śmiał się i rozrabiał razem z nimi, do rozgardiaszu przyłączyła się Rachael. Po chwili okrzyki i szczekanie wypełniły dom.

Dobrze się bawili.

Kiedy wszyscy usiedli w salonie, Astro wdrapał się na kolana Rachael i lizał jej dłoń.

- Jack powiedział mi, że Sarah Elliot była twoją babcią, Dillon - powiedziała. - Ten obraz nad kominkiem jest wspaniały.

- Dziękuję. Też tak uważam - przyznał Savich. - Zatytułowała go *Chromy mężczyzna na placu*. Mam osiem jej obrazów wystawionych w galerii Corcoran. Zmieniam je jakieś trzy, cztery razy w roku.

- Ja wolałabym mieć je wszystkie przez cały czas przy sobie - odparła Rachael.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Po chwili Dane Carver i Ollie Hamish weszli do salonu. Rachael poznała Dane'a i Olliego, a Wielkie Psisko Astro przewrócił się na grzbiet,

wystawiając do góry łapy i wywieszając język.

- Dzwonił pan Maitland. On nie może tego zrobić - powiedziała Sherlock, stając w drzwiach kuchni. - Najpierw zjedzmy, a później uporządkujemy sprawy.

- Mamo, co będziecie porządkować? - zapytał Sean.

- Chodź, umyj ręce, Sean - powiedział Savich i zaprowadził go do łazienki.

- Gapa ze mnie, Sherlock, może ci w czymś pomóc?

- Rachael natychmiast zerwała się z kanapy. - Mogę coś zrobić?

- Sherlock gotuje? - zapytał Ollie, nie ruszając się z miejsca.

- Powiedz, że ty gotowałeś, Savich - podpowiedział Dane, kiedy wchodził do salonu. -

Prawda?

- Niewdzięcznicy - mruknęła Sherlock.

Savich zaśmiał się, wycierając teraz już czyste ręce syna.

- Tak, ja gotowałem. Mięśne *lasagne* dla barbarzyńców i wegetariańska dla mnie i Seana.

- Ja zrobiłam sałatkę cesarską - pochwaliła się Sherlock.

- Daj jej liść sałaty, a ona sprawi, że zatańczy - powiedział Savich.

Wszyscy wysłuchali szczegółowej relacji z pierwszego meczu futbolowego Seana z trójką dzieci z sąsiedztwa, po dwóch na stronę i jak to on rzucał najlepiej i miał najdłuższe przyłożenie w historii, jak Maggie zderzyła się czołem z Paulem, rozbijając mu wargę i tak dalej, aż do deseru. Sherlock kroїła szarlotkę na równe kawałki, a wszystkie oczy przy stole utkwione były w nożu, który trzymała w ręku. Pomiędzy jedzeniem lodów i ciasta Sean opowiedział im o swojej nowej grze komputerowej *Dora Odkrywczym*.

- Znam już hiszpański, więc to łatwe.

- Rozmawia po hiszpańsku z Gabriellą, swoją nianią - powiedziała Sherlock. - Myślę, że ja i Dillon też powinniśmy uczyć się hiszpańskiego, żeby dotrzymać mu kroku!

Było wiele śmiechu i radości, czegoś, co, jak pomyślała Rachael, ostatnio brakowało w jej życiu. Nie rozmawiali o pracy, aż Sherlock wróciła na dół, po tym jak położyła Seana spać, a Savich wyprowadził Wielkie Psisko Astro na wieczorny spacer.

- No dobra - powiedziała Sherlock. - Bierzmy się do roboty. Rachael wróciła do rzeczywistości.

- Obiad był tak przyjemny, że zapomniałam o całym tym nieszczęściu, ale teraz to wraca.

- To jeszcze nic - powiedział Jack. - Spotkała nas wielka niespodzianka, kiedy wróciliśmy do domu senatora... to znaczy do domu Rachael.

- Co się stało?

- Odwiedził mnie mój były narzeczony - wyjaśniła Rachael. Jack rozparł się wygodnie na sofie i skrzyżował ręce na piersi.

- Rachel stanęła jak wryta, kiedy go zobaczyła, a ja o mało go nie zastrzeliłem, bo z tego, co wiedziałem, próbował ją zabić. Zrobiłem tylko nieznaczny ruch w jego kierunku, a ten mały palant prawie się porzygał.

- Pewnie dlatego, że jego bukmacherzy już go szukali i był przestraszony - powiedziała Rachael. - Musisz przyznać, Jack, że szybko wrócił do siebie.

- Tak, ale tylko dlatego, iż wiedział, że na niego patrzysz, i nie chciał wyjść na tchórza. Ten głupek zachowywał się tak, jakbyś wciąż chciała za niego wyjść. Nawet próbował cię pocałować.

- Ale nie przywaliłeś mu, Jack? - upewnił się Ollie. Jack przez chwilę milczał, marszcząc brwi.

- Muszę przyznać, że przez chwilę było blisko.

- Jak nazywa się ten były narzeczony? - zapytała Sherlock, dolewając doskonałej kawy Savicha do filiżanki Rachael.

- Jerol Springer.

- Zastanawiam się, co to za nazwisko - powiedział Jack.

- To znaczy, on nazywa się prawie jak facet z telewizji. Wiesz, Rachel, nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek zamierzałaś poślubić tego idiotę.

- Do ślubu nigdy nie doszło, i to bynajmniej nie z powodu jego nazwiska - odparła Rachael, sącząc kawę i na chwilę zamykając oczy, aby delektować się jej smakiem. - Kawa Dillona jest równie dobra jak moja.

Wszyscy dyskretnie prychnęli, oczywiście nikt jej nie uwierzył.

- Dlaczego pan Springer jest byłym? - zapytał Ollie. - Nie był wierny?

- O nie, o ile wiem, był wierny jak pies. Ten kretyn był hazardzistą i ja się o tym dowiedziałam. Tak naprawdę jego bukmacher wysłał jednego ze swoich idiotów, żeby spotkał się ze mną i powiedział mi o tym, że tak powiem, bardzo dosadnie. Najwyraźniej Jerol nie był takim zapalonym hazardzistą.

- Grał na wyścigach konnych? - zapytał Dane.

- Konie, psy, futbol, siatkówkę plażową, piłkę nożną, kto pierwszy beknie po wypiciu piwa, zakładał się o wszystko i przegrywał. Więc kiedy Jerol zobaczył Jacka, pomyślał, że przyszedł przestrzelić mu kolana. Kiedy zorientował się, że Jack jest tylko agentem FBI, prawie się popłakał, tak mu ulżyło. Nie widziałam go od jakichś sześciu miesięcy.

- Może przyjechał, bo dowiedział się, że Rachael jest córką zmarłego senatora Abbotta i kasa zaświeciła mu w oczach - podsunął dane.

- Wiecie, co zrobił Jack? - zapytała Rachael. - Udał, że mieszkamy razem, przytulił się do mnie, nawet objął mnie ramieniem, podczas gdy Jerol stał tam, patrząc z nadzieją.

Jack szeroko się uśmiechnął.

- Pokazałem mu, gdzie jego miejsce. - Zrobił srogą minę i zwrócił się do Rachael: - Byłaś dla niego zbyt miła. Rachael sięgnęła do swojej kabury i wyciągnęła pistolet.

- Gdyby mi dokuczał, strzeliłabym mu w stopę. To należało do mojego ojca. Idealnie się do tego nadaje.

- Potem nie mógłby sobie pójść - zauważył Ollie.

- Ojej, masz rację. - Rachael zamilkła, sączyła swoją kawę, patrząc na Astro, który smacznie spał na macie przed kominkiem po solidnej porcji wegetariańskiej *lasagne* z talerza Seana.

Jackowi podoba się pistolet Rachael; celujesz w to, do czego chcesz strzelić, i naciskasz spust, ale...

- Nie podoba mi się, że masz broń. To nie jest zabawka.

- Tak myślisz? Jack, widziałeś jak strzelam. Robię to prawdopodobnie lepiej niż ty. Bądź cicho.

- Odeszliśmy od tematu - zauważył Savich. - Czas nadrobić stratę.

On i Sherlock opowiedzieli im o ich spotkaniach z kongresmenką McManus i państwem Barbeau.

- Chodzi o to - powiedziała Sherlock - że Dillon i ja uważamy, że Pierre Barbeau jest poza wszelkimi podejrzeniami o zamach na życie MacLeana. Co innego pani Barbeau, trzeba się nią zająć. - Wzruszyła ramionami. - Ona bardzo rozpacza, jest tak samo zdruzgotana jak jej mąż, ale jej poziom złości w stosunku do doktora MacLeana... no nie wiem. Po prostu nie wiem.

- A co sądzicie o McManus? - zapytał Ollie. - Myślicie, że zleciła zamordowanie swojego męża? Savich skinął głową.

- Myślę, że byłaby do tego zdolna.

- Jest naprawdę nerwowa - dodała Sherlock. - Ale nauczyła się kontrolować, musiała, pewnie plucie jadem na kolegów z Izby Reprezentantów nie przysporzyłoby jej przyjaciół. Jednak jest silną kobietą. Wolałbym nie mieć w niej wroga. Savich wzruszył ramionami.

- Czy to ona stoi za zamachami na życie Timothy'ego? Cóż, nie wydaje mi się. Nie ma motywu, chyba że była to zemsta za to, że narobił zamieszania, może wywołał skandal, który

mógł ją rozzłościć.

- Myślę, że miałyby zbyt wiele do stracenia - podsumowała Sherlock. - Gdyby nie wiedziała, że wiele rzeczy związanych z morderstwem jej męża nie trzyma się kupy, może obawiała się, że w nowym śledztwie coś zbyt łatwo wyjdzie na jaw.

- Więc co teraz? - zapytała Rachael.

Wielkie Psisko Astro podniósł łeb i raz zaszczekał. Rachael podeszła i usiadła na podłodze przed nim, głaszcząc go dotąd, aż przewrócił się na grzbiet i wystawił w górę cztery łapy.

- Jest jeszcze Lomas Clapman, bogacz, który ukradł pomysł swojego wspólnika i mógł popełnić oszustwo. Ale znowu nie widzę motywu - zastanawiał się Savich.

- Pozostaje pytanie, skąd zabójca wiedział, że MacLean zaczął mówić - wtrącił Ollie. - Barman powiedział, że raczej nikt więcej go nie słuchał, ale nie mógł być tego całkowicie pewny. Twierdzi, że nigdy nikomu tego nie zdradził, więc to pozostaje tajemnicą.

Jack sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej dysk.

- Wszystkie kartoteki Timothy'ego znajdują się na tym dysku. Gdyby ich nie zachował, ogień zniszczyłby wszystkie jego zapiski o pacjentach. Tylko kto podłożył ogień?

- Przeanalizowaliśmy wszystkie akta z naszymi psychiatrami sądowymi - powiedział Ollie. - Było dużo sprawdzania, ale nie ma tam innych pacjentów, którzy mieliby motyw, żeby zabić doktora MacLeana. Owszem, tu i tam jest trochę paskudnych typów, ale morderca? - Ollie potrząsnął głową. - Spójrzmy prawdzie w oczy, kto mógł zabić swojego psychiatrę na podstawie spekulacji, przecież nie wyjawiał światu ich tajemnic, a mógł? To nie ma sensu. Wszyscy przez chwilę zastanawiali się.

- Jutro rano, Jack i ja idziemy spotkać się z adwokatem Jimmy'ego, Bradym Culliferem - odezwała się Rachael. - Jeśli jest jakaś tajemnica, może on coś nam zdradzi.

Savich rozparł się na sofie i splótł palce na brzuchu.

- Rozmawiałem z lekarzem sądowym o zaskakującej śmierci Perky. Wygląda na to, że to nie było morderstwo. Umarła na zatorowość płucną, w jej płucach powstał skrzep. Lekarz sądowy powiedział, że to jedno z głównych powikłań pooperacyjnych. Teraz już to wiecie.

Złożyłem też wizytę naszym dwóm rannym czarnym charakterom z Parlow i Slipper Hollow, Roderickowi Lloydowi i Donleyowi Everettowi. Lloyd wciąż nie chce z nami rozmawiać, a co do Everetta, podpisał pełne zeznania. Niestety nie wiedział, kto wynajął Perky. Myślę, że nie kłamał. - Savich wyprostował się. - Lloyd na pewno wie, że Perky nie żyje. Może uda nam się go przekonać, że ona go sypnęła. Jak myślisz, Sherlock?

- Adwokat Lloyd na pewno wie o jej śmierci, ale warto spróbować. - Nie brzmiało to

zbyt optymistycznie.

- Co z czwartym facetem? - zapytał Jack. - Jak on się nazywa?

- Marion Croop - powiedziała Sherlock. - Wysłaliśmy za nim list gończy, ale jeszcze nic nie wiemy.

*Waszyngton*

*Piątek rano*

Rachael wylała gorącą, gęstą owsiankę na talerz Jacka. Ten popatrzył na papkę, potem na nią.

- O co chodzi? No dalej, jedz, póki gorąca. Dobrze ci zrobi, a musisz wiedzieć, że robię najlepszą owsiankę w Kentucky. O, jeszcze trochę brązowego cukru - i posypała nim owsiankę.

Spojrzał na nią błagalnie.

- A mogę zamiast tego dostać płatki kukurydziane? Rachael pacnęła go w ramię.

- Co to ma znaczyć? To ja poświęcam się i gotuję ci na śniadanie moją specjalność, bo jesteś tutaj, żeby mnie chronić, i chciałam nagrodzić cię za to, że w nocy nie było żadnych włamań, a ty wolisz płatki kukurydziane? Z pudełka?

- Polane beztłuszczowym mlekiem? - poprosił. Rachael wzięła się pod boki.

- A może jeszcze do tego plasterki banana? Parsknęła śmiechem i na chwilę zniknęła w spiżarni.

- Przykro mi, Jack, nie mam płatków kukurydzianych - powiedziała. - Więc masz do wyboru: owsianka lub śmierć głodowa.

Jack podniósł do ust łyżkę z owsianką, przeżuł wolno i połknął.

- No i jak? Może być?

- Szczerze?

- No pewnie. Daj spokój, Jack, zniosę każdą prawdę.

- To musi być najlepsza owsianka w Kentucky.

- No tak. Ale przecież nie jesteśmy w Kentucky, głupku - rzuciła w niego serwetką i zabrała się do jedzenia własnej porcji. - No dobra, postaram się dla ciebie o te płatki kukurydziane.

W pokrzepiającej ciszy jedli owsiankę. To było dziwne uczucie jeść z kimś śniadanie, pomyślała Rachael, patrząc, jak poranne słońce wpada przez kuchenne okno nad zlewozmywakiem. Po śmierci Jimmy'ego dni były takie puste i upływały tak bardzo powoli, zanim wyjechała na Sycylię, że zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek powita ranek z uśmiechem. A potem ktoś próbował ją otruć i wrzucił do jeziora Black Rock.

- Dziękuję, Jack.

Oblizal łyżkę i odstawił pusty talerz.

- Za co?

- Za to, że tu jesteś. I że nie jestem sama. Dobrze spałeś? Jack spał w jednej z wypełnionej antykami sypialni, trzy pokoje od sypialni Rachael. Sypialnia jej ojca znajdowała się na drugim końcu długiego korytarza i od jego śmierci pozostała nietknięta. Właściwie łóżko Jacka było twarde jak skała i tego ranka musiał długo przeciągać się, aby rozprostować kości.

- Wspaniale - odpowiedział.

- Cieszę się. Musi być z ciebie prawdziwy macho. Spałam raz w tym łóżku i myślałam, że połamię sobie plecy, taki ma twardy materac. Cieszę się, że nikt nie próbował się włamać i mnie zabić. - Bez słowa ponownie napełniła jego talerz. - Tak naprawdę nie zmrużyłam oka, bo bałam się, że każdy szmer to bandyta, który przyszedł mnie dopaść, pomimo że wiedziałam, że jesteś blisko i nic mi nie grozi.

- To zrozumiałe.

- Trzymałam broń obok łóżka. Więc owszem, byłam bezpieczna, Jack. Około trzeciej zaczęłam myśleć, że może jakiś idiota zajrzy do mnie przez okno. Tylko - jeżeli strzeliłabym przez podwójną szybę, to czy kula przejdzie na wylot, czy może roztrzaska szybę?

- Przez te okna? Przejdzie na wylot - i dodał bez zastanowienia: - mogłabyś spać ze mną.

To proste zdanie oznajmujące, składające się tylko z czterech słów, powinno było ją uszczęśliwić. Ale tak się nie stało. Rachael popatrzyła mu w oczy.

- Spać z tobą?

- Nie, no, wiesz, w jednym łóżku. Byłbym blisko ciebie, więc nawet kiedy przyszedłby jakiś bandyta, najpierw musiałby poradzić sobie ze mną.

- Oczywiście. Mogłabym wystawić cię w charakterze kozła ofiarnego - powiedziała rzeczowo Rachael.

- Cóż, raczej nie widziałem siebie dokładnie w takiej roli. Może nie kozła. Wiesz... - i zamilkł. Ledwie mu odpuściła. Jego nieruchomy wzrok utkwiony w jej twarzy zdradzał zainteresowanie.

- Dzwoniłam do mamy, powiedziałam, że wszystko jest w porządku. Rozmawiała z wujkiem Gillette i dzięki Bogu, wiedział, że nie należy opowiadać jej o tym, co się stało, i nie puścił pary z ust.

Ale i tak się o mnie martwi, że jestem w domu Jimmy'ego całkiem sama, bez przyjaciół. Myślę, że ona też chciałaby ze mną spać.

Jack zakrztusił się kawą. Wytarł usta grzbietem dłoni.



- Mam nadzieję, że wyperswadowałaś jej przyjazd tutaj. Troje w jednym łóżku to stanowczo za dużo.

- Powiedziałaś jej, że niedługo ją odwiedzę. Ciągle jest w szoku po tym, jak Jimmy został zamordowany, a ja teraz jestem bogata. Nie mogła uwierzyć, kiedy jej powiedziałam, że Jimmy zapisał mi jedną trzecią swojego majątku. Nadal nie skontaktowałam się z moimi siostrami ani ich matka Jacqueline nie skontaktowała się ze mną. Chcę poczekać, aż to wszystko się wyjaśni.

- Sprawdziłem, czy jacyś dziennikarze nie koczują przed domem. Widocznie pomyśleli, że nic ciekawego się tutaj nie zdarzy. Dzięki Bogu.

- Tak, ale musimy być czujni. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś sęp wyłoni się zza kubła ze śmieciami. Pokiwał głową, łyżką nabrał owsianki i skrzywił się. Opuścił łyżkę.

- Dziękuję, więcej już nie dam rady. Staralem się, ale ciągle smakuje tam samo, kęs po kęsie.

- A płatki kukurydziane nie smakują tak samo kęs po kęsie?

- O, nie. Mleko po kolei zmiękcza małe płatki, więc każdy kęs jest niespodzianką.

- Jesteś wariatem - powiedziała, uśmiechając się. - Wyglądasz na całkiem normalnego faceta, który siedzi przy stole i je owsiankę na śniadanie, ale kiedy pomyślę, kim jesteś, czym się zajmujesz i co robiłeś przez cztery lata - Elitarna Jednostka Kryminalna, tak się to nazywa? Pokiwał głową.

- Jak tam było?

Odsunął talerz, starannie złożył serwetkę i wyjrzawszy przez wielkie kuchenne okno, zobaczył na podwórku śliczną białą altanę. Znowu spojrzął na Rachael.

- Tak naprawdę każdy dzień przynosił nowe tragedie, nie sposób było przed nimi uciec. Były z tobą wszędzie, nawet w snach cię prześladowały. Na szczęście teraz moje sny nie są już tak krwawe i obrazowe.

Jest tylu przerażających ludzi, Rachael, i wiesz co? Podanie ci środka odurzającego i przywiązanie betonowego bloku do twoich stóp, po to, żebyś po utonięciu nie wypłynęła na powierzchnię, to zasługuje na rozgłos. Nazywaliśmy ich potworami, złoćcyncami i psychopatami, po to, żeby ich odczłowieczyć. Ale ja ciągle wyobrażałem ich sobie, kiedy byli dziećmi - jak się śmiali, płakali, byli tacy niewinni, i codziennie zastanawiałem się, dlaczego? Co się stało, że niewinne dzieci wyrastają na zabójców, zadają niewyobrażalny ból i sieją grozę? Udało nam się złapać dużą część z nich, większość zabijając, po prostu nie mieliśmy wyjścia. Uratowaliśmy życie kilku osobom.

- Dlaczego stamtąd odszedłeś?

- Bo wiedziałem, że gdybym został, coś by we mnie umarło. Kiedy wstąpiłem do Elitarnej Jednostki Kryminalnej, powiedzieli mi, że człowiek wypala się tam po pięciu latach i dali mi listę objawów, na które należy uważać. Jednym z głównych symptomów było „poczucie śmierci w sobie” i wiedziałem, że osiągnąłem swoją granicę.

Potrzebowałem na to czterech lat. Savich zgarnął mnie, zanim zdążyłem odejść i wrócić do biura prokuratora.

- Cieszysz się, że zostałeś w FBI?

- Tak. Jednostka Savicha jest wyjątkowa, wszyscy agenci są bystrzy, mają bardzo duże doświadczenie, no i zależy im. To dobra jednostka - zgrana, każdy może na każdym polegać. To jasne, że jest jeszcze ta otepiająca biurokracja, idioci, agenci, którzy zachowują się, jakby świat kręcił się wokół nich, ale większość agentów, których znam, wykonuje kawał dobrej roboty. Są bardzo pomocni. Gadam, jakbym chciał cię zwerbować, wybacz.

- W porządku.

Jack wstał od stołu, odniósł swój talerz do zlewu i umył go, po czym ręcznikiem wytarł ręce.

- Teraz chciałbym, żebyśmy pojechali nad jezioro Black Rock. Chcę zobaczyć na własne oczy, gdzie się to wszystko stało. Chcę prześledzić, jak wróciłaś do domu.

Godzinę później stali razem na końcu drewnianego pomostu i patrzyli w dół na błękitną wodę pluskającą łagodnie o pale i mieniącą się słonecznym blaskiem. To był piękny widok i Rachael pomyślała, że mogła być tam na dole przywiązana do tego bloku, jej włosy falowałyby na wodzie, na zawsze martwa.

- Jak widzisz, nie jest tutaj zbyt głęboko - powiedziała. - Jakies trzy, góra cztery metry. Patrzył w dół i czuł taki przyływ wściekłości, że niemal tracił oddech.

Chociaż widział i słyszał chyba o wszystkich rzeczach, które jeden człowiek może zrobić drugiemu, tym razem było inaczej. Tu chodziło o Rachael.

- Dwoje ludzi niosło cię po tym pomoście - rzekł głosem pozbawionym emocji. - Jeden trzymał cię za ręce, drugi za nogi. Mówiłaś, że nie potrafisz powiedzieć, jakiej byli płci. Zastanów się nad tym przez chwilę.

Rachael zamknęła oczy. Zapamiętała ruch, zapamiętała, jak walczyła, żeby wrócić, żeby jej mózg znów zaczął pracować, przypomniała sobie, jak mówili, ale co? Kto?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

- W porządku, chcę, żebyś pomyślała o rozmieszczeniu ciężaru. Możesz sobie wyobrazić, jak cię niosą? Czy jedno z nich trzymało więcej twojego ciężaru niż drugie?

Zastanowiła się nad tym.

- Może - odpowiedziała. - Może ta osoba, która trzymała mnie za ręce, była kobietą, pamiętam, że czułam jakiś zapach, blisko mnie, nie był słodki, ale niewystarczająco ostry jak dla mężczyzny. Ale głowy za to nie dam.

- W porządku. Przynajmniej byłaś wystarczająco świadoma, by udąć, że wciąż jesteś nieprzytomna. Dzięki temu miałaś szansę. - Zamilkł, po czym lekko dotknął ręką jej przedramienia. - To, co zrobiłaś, Rachael, to było zdumiewające. Nie straciłaś głowy, opanowałaś przerażenie i użyłaś mózgu. Jestem z ciebie bardzo dumny.

- Nie myślałam, że dam radę. Ból w klatce piersiowej był niewyobrażalny. Tak bardzo chcesz otworzyć usta, ale wiesz, że kiedy to zrobisz, będzie po tobie. Gdy wystawiłam głowę na powierzchnię... - Zamilkła i przełknęła ślinę. - Wiedziałam, że wciąż tu byli, słyszałam, jak rozmawiali, stali na pomoście, zaledwie kilka metrów ode mnie. Kiedy złapałam dostatecznie dużo powietrza, żeby przekonać samą siebie, że będę żyć, z powrotem zanurkowałam pod wodę, popłynęłam pod pomost i czekałam. Słyszałam, jak się oddalali, słyszałam silnik samochodu. Wynurzyłam się i zobaczyłam tylne światła samochodu.

- Nic sobie nie przypominasz? Wróc myślami do tej chwili - widziałaś sylwetki? Wyglądali na mężczyzn czy kobiety? Możesz opisać kształt samochodu?

- Nie, kiedy wychodziłam z wody, już odjechali.

- Dobrze. Wróćmy do tej restauracji.

Restauracja Mel's była urocza, wyglądała jak z lat pięćdziesiątych, z przodu była cała przeszklona, plastikowe stoliki przykryte były obrusami w biało - czerwonej kratce, na każdym leżało plastikowe menu. Pod oknami były boksy, obite ciemnobrązowym, popękany winylem.

- To nie do wiary - powiedziała Rachael, kiedy weszli do środka. - W ubiegły piątek w nocy była tutaj ta sama kelnerka. Nie ma tu wielkiego ruchu, ludzie tylko przy kilku stolikach, tak jak w piątkową noc. Za ladą w kuchni pogwizduje kucharz.

- Dzień dobry - powiedziała kobieta, ponownie przyglądając się Rachael. - Pamiętam cię. Kiedy widziałam cię ostatnio, wyglądałaś jak zmokła kura. Teraz prezentujesz się znakomicie, jesteś sucha. Wszystko w porządku? To twój mąż?

- On jest moim ochroniarzem - powiedziała Rachael, odczytała jej imię na plakietce i dodała: - Millie. Millie zaczęła gwizdać.

- Znasz kung - fu, jujitsu albo inną zagraniczną sztukę walki?

- Znam wszystkie - pochwalił się Jack. - Masz do czynienia z zawodowcem.

- Tak sobie myślę, że chętnie wynająłabym postawnego ochroniarza, jak ty, żeby trzymać tego szczura, mojego byłego męża, z dala ode mnie. Mógłbyś dać mu kopa w szyję ode mnie? Umiesz kopać tak wysoko?

- A może zamiast tego przywalić mu w nerę? - zaproponował Jack. - To bardziej w moim zakresie.

- Złociutki, możesz kopać, gdzie tylko chcesz.

Zamówili kawę i Rachael zagadnęła Millie o klientów, których miała w ostatni piątek w nocy, a których nie znała. Zatrzymało się tutaj kilkunastu turystów, którzy byli tu przejazdem, ale żaden z nich nie utkwiał jej w pamięci jako dziwny lub okropny. Odeszła na chwilę, aby dolać kawy do filiżanki klientowi. Kiedy wróciła, miała zamyślony wyraz twarzy.

- Myślę, myślę. Ostatni piątek - powiedziała. - Hm... Podała Rachael śmietankę, o którą ta nie prosiła.

- Pamiętam jednego dżentelmena, przyszedł i zamówił dwie kawy na wynos, jedną czarną i jedną z mlekiem i trzema kostkami cukru. Kiedy teraz o tym myślę, wyglądał na zdenerwowanego. Żadnych nerwowych ruchów, nic takiego, ale był niecierpliwy, stukał

palcami o ladę, kiedy nalewalam kawę.

To było może trzydzieści, czterdzieści pięć minut przed tym, jak ty tutaj dotarłaś.

- A jak wyglądał ten człowiek? - zapytał Jack. Millie zacisnęła usta.

- Miał około czterdziestu lat, półdługie czarne włosy, na nosie okulary przeciwsłoneczne, jakby był jakąś gwiazdą albo dupkiem, który chciał wyglądać jak gwiazda. Był niewysoki, raczej szczupły, tak myślę, a ubranie nie najlepiej na nim leżało. - Skrzywiła się na myśl o tym. - To chyba wszystko. Nie przypominam sobie niczego więcej. Ale pamiętam, jak myślałam, że nie było mi żal, kiedy wychodził.

Nalewalam kawę facetowi przy oknie i wyjrzałam na zewnątrz. Widziałam, jak wsiadał na siedzenie pasażera dużego samochodu w ciemnym kolorze, może lincolna, ale nie jestem pewna. Rozmawiał z drugim facetem, pili kawę. Wtedy zawołał mnie mój szef i nic więcej nie widziałam.

- Wyglądali na rozzłoszczonych? - zapytała Rachael. - Albo zadowolonych, gratulowali sobie?

- Moja droga, byłam za daleko i było zbyt ciemno, przykro mi.

Jack zadał Millie jeszcze więcej pytań, potem zapytał o to samo raz jeszcze, używając innych zwrotów, aż wiedział, że wyczerpał temat.

Zanim wyszli, Rachael uściskała ją.

- Dziękuję, Millie, dziękuję ci bardzo.

Millie poklepała ją po plecach. Jeszcze raz zmierzyła Jacka wzrokiem.

- Miej na nią oko i się nią opiekuj, dobrze?

- Tak jest, proszę pani - powiedział Jack i uśmiechnął się do niej. - Millie, myślisz, że rozpoznalabyś tego mężczyznę, który był tu w piątek?

- Zapamiętałam jego twarz. To taki typ, którego nie chcielibyście zobaczyć w koszmarnym śnie.

- Dobrze. Przyniosę ci parę zdjęć. Jakiś facet krzyczał z kuchni.

- Millie! Podaj placki i proszę na trójkę!

- To naleśniki i bekon - powiedziała. - Już idę, Moe! - I puściła oko do Jacka.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Rachael zarzuciła ręce na szyję Jacka i przytuliła go mocno.

- Jesteś genialny. Nic nie mówiłam, ale nigdy nie pomyślałabym, że będzie jakiś sens, żeby tu wracać. Ale Millie tu była i pamiętała mnie. I tego faceta. Jesteś taki mądry, Jack. - Stała na czubkach palców i pocałowała go. - Cieszę się, że wyłożyłam niezłą kasę i zatrudniłam sobie prawdziwego zawodowca.

Śmiał się obejmując ją. Gdzieś tam z tyłu w jego głowie, agent FBI krzyczał, każąc mu się odsunąć.

Agent FBI był głośny i uparty, ale nie udało mu się niczego osiągnąć. Jack nie puścił Rachael.

Odwzajemnił jej pocałunek i poczuł się tak cudownie, że bez chwili wahania oddałby za to nawet bilety na mecz drużyny Redskins, żeby tylko móc trwać w tym pocałunku, a jego dłonie... ale niechciany agent w końcu kopnął go w tyłek. Jack odsunął ją od siebie, bo wiedział, że zaraz wylądują na tylnym siedzeniu samochodu.

Popatrzyła na niego z otwartymi ustami i niedowierzaniem w oczach. Jej oddech był przyspieszony, co agent w nim wymagał, żeby zignorował. Zakryła usta dłonią.

- O mój Boże, Jack, przepraszam, nie chciałam tego zrobić. Ja po prostu... zapomniałam się. Naprawdę jesteś genialny, Jack. Cholera.

- To standardowa procedura, Rachael - powiedział i była to prawda, ale czy nie była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział.

Cofnął się o krok, musiał to zrobić. Wtedy oświetliły ją promienie słońca i zobaczył coś dziwnego. Zobaczył, jak wymachuje kijem bejsbolowym. Odbiła piłkę, a ona leciała i leciała, a on zrozumiał, że to nie była Rachael, ale mała dziewczynka o uśmiechu Rachael i z warkoczykiem...

- Przestań być taki skromny. Powiem Dillonowi, jaki z ciebie bystrzak.

Wtedy z telefonu Jacka rozległy się dźwięki *Great Balls of Fire*. Jack błyskawicznie odebrał.

- Jack Crowne, słucham?

Jack jechał Wisconsin Avenue, po drodze mijając sklep z cygarami i bazar ze starociami. Szukał kancelarii adwokackiej Brady'ego Cullifera. Znajdowała się w świetnie utrzymanym, prostym, starym budynku, dumnie stojącym obok kliniki medycyny niekonwencjonalnej.

Na złotych tabliczkach wejściowych drzwi było wygrawerowanych pięć nazwisk, napis na dwóch z nich głosił „Cullifer”.

Smętny recepcjonista zaprowadził ich do biura adwokata, zapukał do drzwi, zachekał na „proszę”, i otworzył je.

Potem odsunął się dyskretnie, posyłając im udręczone, niemal rozpaczliwe spojrzenie.

Brady Cullifer wyszedł zza wielkiego, zniszczonego biurka, które wyglądało, jakby należało do jego dziadka. Jack pomyślał, że to bardzo prawdopodobne.

- Co jest temu recepcjoniście? Wygląda na wykończonego - powiedział Jack.

- Ach, Rowley to naczelny pesymista w firmie, zawsze, kiedy prowadzimy dużą sprawę, niemal odmawia różaniec. Jeden z naszych prawników właśnie poszedł wysłuchać werdyktu w głośnej sprawie o naruszenie dóbr osobistych, więc Rowley jest w swoim żywiole. Rachael, moja droga, jak się masz? Miło cię widzieć.

Rachael uśmiechnęła się i pozwoliła się uściskać panu Culliferowi. Lubiła go, pewnie dlatego, że zawsze był dla niej miły i zdawał się ją akceptować. Był mniej więcej w wieku Jimmy'ego, miał lekko wystający brzuch, a Jimmy żartował, że powinien spróbować gry w squasha. Był nienagannie ubrany, jak zwykle w szary, wełniany garnitur, jasnoróżową koszulę i ciemnoniebieski krawat, który zadziwiająco dobrze dopełniał całości.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, kiedy już ją puścił.

- Jak chyba wszyscy w mieście, wysłuchałem wczoraj rano konferencji prasowej FBI, podczas której ogłoszono, że śmierć Jimmy'ego została uznana za morderstwo, a nie za wypadek. I że ta kobieta, która strzelała w księgarni, była w to zamieszana. Teraz nie żyje. Wiecie dlaczego?

- Komplikacje po operacji - powiedział Jack.

- A pan jest pewnie agentem Crowne? - Spojrzał na Jacka.

- Tak, proszę pana - odparł Jack i ucisnął mu dłoń. - Dziękujemy, że zechciał pan się z nami spotkać. Cullifer wskazał im skórzaną kanapę, poczęstował ich kawą, i usiadł na krześle naprzeciw nich.

- Rachael, moja droga, powiedz, jak mogę ci pomóc.

- Pamięta pan, jak powiedziałam panu o tym, co zrobił Jimmy, że spowodował wypadek, w którym zginęła ta mała dziewczynka. Zareagował pan tak, jakby o niczym nie wiedział. Pomyślałam, że to nieprawda. Proszę mi powiedzieć, co powiedział panu Jimmy o tej dziewczynce.

Brady usiadł prosto i postukał palcami o blat biurka.

- Dlaczego uważasz, że wiem o tej biednej dziewczynce coś więcej, niż mi powiedziałaś, Rachael? - zapytał w końcu.

- Jest pan prawnikiem - odpowiedział Jack. - I jego długoletnim przyjacielem. - Podniósł rękę, uciszając ewentualne protesty. - Proszę nie powoływać się na dyskrecję w stosunku do klienta. Chyba nie ma już zastosowania. Senator nie żyje, a my prowadzimy oficjalne śledztwo. To jest bardzo ważne, proszę pana.

Cullifer powoli pokiwał głową.

- No dobrze. Na krótko przed swoją śmiercią Jimmy zwierzył mi się, że półtora roku temu potracił i spowodował śmierć tej dziewczynki. - Jego oczy zaszyły mgłą. - Nie mogłem w to uwierzyć, po prostu nie mogłem. Kiedy skończył, a ja nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć, zapytałem, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedział. Odparł, że teraz mówi mi o tym tylko dlatego, że chce mnie uprzedzić, bo ma zamiar wszystko ujawnić. Chciał to zrobić wszem i wobec, mieć to za sobą. Powiedział mi, że o swoich planach poinformował też Rachael, Laurel, Stefanosa, Quincy'ego i Grega Nicholasa. Nie wiedział, czy to będzie miało dla mnie jakieś negatywne skutki, ale mówi mi o tym na wszelki wypadek.

A przed tobą udawałem, że nic nie wiem, Rachael, bo Jimmy był moim długoletnim przyjacielem, i klientem i dlatego też obowiązywała mnie poufność. Myślisz, że wiem coś więcej?

- Chciał, żeby jego najbliżsi byli przygotowani na atak mediów i ewentualne konsekwencje osobiste i biznesowe. Powiedział, że jego rodzina była na niego wściekła - powiedziała Rachael.

- Mało powiedziane - rzekł w zamyśleniu Cullifer. Rozparł się wygodnie na krześle, założył nogę na nogę i splótł dłonie.

- A powiedział Jacqueline i swoim córkom? - dopytywała Rachael.

- Powiedział mi, że tak. Możesz sobie wyobrazić, że były wstrząśnięte. Jacqueline nie chciała, żeby się ujawniały. Wiele razy rozmawiali o tym przez telefon.

- A pan był na niego wściekły? - zapytała Rachael.

- Szczerze mówiąc, byłem zdruzgotany - przyznał po chwili. - Wiedziałem, że z Jimmym jest coś nie tak, przeczuwałem to. Pamiętam, jaki był strapiony, jak z każdym dniem



na jego twarzy pojawiały się nowe zmarszczki - na twarzy, która jeszcze jakiś rok temu wyglądała na młodzieńczą. Ale wiecie, prowadziłem wtedy trudną sprawę i byłem nią tak pochłonięty, że niepokój o Jimmy'ego odsunął się na dalszy plan. A potem było już za późno. Potem ty wróciłaś z Sycylii i powiedziałaś mi, co zamierzasz zrobić, Rachael.

- Poczucie winy zjadało go żywcem. Dlatego zamierzał wszystko wyznać.

- Tak, wiem - odparł Cullifer. - Teraz, jak każdy, kto słyszał konferencję prasową FBI, zastanawiam się, kto mógł chcieć śmierci Jimmy'ego. Kto mógłby podjąć takie ryzyko? A wierzcie mi, zabicie senatora Stanów Zjednoczonych to ciężka sprawa. Rzecz w tym, że nawet po tym, jak agent Savich powiedział, że został on zamordowany, nie mogłem doszukać się niczyjego motywu, ani Laurel czy Quincy'ego, ani jego byłej żony, która jest bardzo zamożna, ani żadnego z jego kolegów. Naprawdę trudno mi wyobrazić sobie, że ktoś z nich mógł zamordować go, żeby uniknąć skandalu. To zbyt grubymi niemi szyte.

Cullifer zamyślił się przez chwilę.

- Uprzedziłem go, że wyznanie tego, co zrobił, będzie oznaczało koniec jego kariery, może wywołać duży skandal, kosztowny proces, który go zrujnuje, a rekiny wynajęte przez rodzinę tej dziewczynki puszcza go z torbami. Ale przede wszystkim powiedziałem mu, że zostanie skazany i uznany za winnego spowodowania śmierci i pójdzie do więzienia.

On oczywiście miał tego świadomość i zdawał sobie sprawę, że jego rodzina też na tym ucierpi - Laurel i Stefanos, Quincy, a także jego współpracownicy, no i ja, bo od zawsze byłem jego prawnikiem.

- Jednak ktoś go uciszył. Rachael jest przekonana, że to sprawka Laurel i Quincy'ego - podsumował Jack.

- Jesteście pewni, że tylko ci ludzie wiedzieli, co on planuje? - zapytał Brady.

- O ile wiemy, to tak - odparł Jack.

- To dlatego Jimmy nie pił i nie prowadził samochodu? Rachael pokiwała głową.

- Odkąd zabił tę dziewczynkę, nie wziął do ust alkoholu i nie usiadł za kierownicą samochodu. Tak mi powiedział, a ja mu uwierzyłam.

- Podczas konferencji prasowej agent Savich wspomniał, że ta kobieta była w to zamieszana.

- Tak nam się wydaje - odpowiedział Jack. - Ale jeszcze nie wiemy, kto ją wynajął.

- A nie myśli pan, że Laurel i Quincy mogli zamordować Jimmy'ego? - zapytała Rachael. Cullifer skrzywił się.

- Laurel? Quincy? Zabili własnego brata? Najwyraźniej ty w to wierzysz. Jeżeli o mnie chodzi, to nie wiem. Motyw nie jest wystarczająco silny. Ja stawiałbym raczej na Grega

Nicholsa, ale tylko dlatego, że zbyt dobrze go nie znam. I on na pewno poszedłby siedzieć, kiedy Jimmy wyznałby prawdę.

Pokręcił głową.

- Prawdziwa zabójczyni, a wy dopadliście ją w księgarni Barnes & Noble w Georgetown! Zdumiewające.

- Jest coś jeszcze, panie Cullifer. Jimmy bardzo chciał wyznać prawdę. Kiedy umarł, zdecydowałam, że ja wyznam ją w jego imieniu, bo on tak chciał i planował. I powiedziałam to tym samym osobom, żeby ich na to przygotować, tak jak panu.

Cullifer milczał, tylko patrzył beznamiętnym spojrzeniem prawnika. Wtedy Rachael wyznała:

- Ktoś próbował mnie zabić - trzy razy.

To był rzadki widok tak zbić z tropu dobrego prawnika. Cullifer zerwał się z miejsca.

- Nie! To nie do wiary! Nie, Rachael, to po prostu...

- Stał jak wryty. - To dlatego jest z tobą agent FBI, żeby cię chronić, tak?

- Tak - odparła.

- Bo zamierzasz opowiedzieć o tym, co zrobił Jimmy, i ktoś próbuje cię powstrzymać.

- Tak. Nie widzę innego powodu.

- I nadal masz zamiar o wszystkim opowiedzieć?

- Nie wiem. Byłam pewna swoich zamiarów, pewna tego, czego chciał Jimmy, ale teraz po prostu nie wiem.

- To poważny dylemat - skwitował Cullifer.

- Kilka osób zwracało mi na to uwagę, że to dylemat natury moralnej - powiedziała Rachael. - Wyznać coś tak druzgocącego, tak całkowicie niszczącego. Obawiam się, że całe życie Jimmy'ego będzie teraz oceniane przez pryzmat tego jednego wypadku, i jestem pewna, że tak właśnie będzie. Nie wiem, co robić, panie Cullifer.

- Czy nadal jesteś pewna, że to właśnie chciał zrobić?

- Tak.

- Więc zrób to, nie zważając na skutki.

Rozmawiali z Bradym Culliferem jeszcze przez dziesięć minut.

- Dziękuję, że zaakceptował mnie pan jako córkę Jimmy'ego, panie Cullifer - powiedziała Rachael, kiedy uściskał ją na pożegnanie. - Dziękuję za pana uprzejmość.

- Początkowo nie chciałem cię zaakceptować, Rachael, pomimo całego entuzjazmu Jimmy'ego. Powinnaś wiedzieć, że wynająłem prywatnego detektywa i on dokładnie sprawdził ciebie i twoją matkę. To mnie przekonało. I nie obciążylem twojego ojca kosztami

za to. - Poglądził ją po policzku. - Teraz nosisz nazwisko Abbott, Rachael, i tylko to się liczy.  
Jeżeli postanowiłaś być jego rzecznikiem, popieram cię w stu procentach.

Zjedli lunch w meksykańskiej restauracji, po czym z plikiem zdjęć udali się do Millie z knajpki nieopodal jeziora Black Rock.

Millie była zajęta, więc czekali. Gdy w końcu usiadła przy ich stoliku, Jack wręczył jej plik czarno - białych ujęć. Uważnie patrzyła na zdjęcie Donleya Everetta, tego, którego Jack postrzelił w kuchni w Slipper Hollow. Potrząsnęła głową i wzięła zdjęcia Claya Hugginsa, mężczyzny, którego zastrzelił w Slipper Hollow, przyglądała mu się przez chwilę, po czym z żalem znów potrząsnęła głową. Tak samo było z Marion Croop. Jack podał jej zdjęcia Rodericka Lloyda, tego, który wszedł do warsztatu Roya Boba w Parlow i zaczął strzelać. Znowu przecząco potrząsnęła głową. Rachael straciła już nadzieję, kiedy Jack rzucił okiem na ostatnie zdjęcie i podał je Millie. Kelnerka przyglądała mu się uważnie, po czym spojrzała na nich.

- Ale numer! Mogłabym przysiąc, że to jest ten sam facet, który nocą w ostatni piątek zamówił dwie kawy, ale to kobieta - postukała palcem w zdjęcie. - Ubrana jak facet.

Jack i Rachael patrzyli na zdjęcie Pearl Compton znanej także jako Perky. Serce Rachael biło jak oszalałe.

- Jesteś pewna, Millie?

- Tak, te blond włosy, jeśli się przyjrzeć i wyobrazić ją sobie z czarnymi włosami, wszystko staje się jasne. Tak, agencie, to ona. Jestem pewna.

Kiedy wracali do Waszyngtonu, padał lekki, letni deszcz.

- A więc to Perky niosła mnie za ramiona do jeziora - powiedziała Rachael. - Kto niósł mnie za nogi? Donley Everett czy Clay Huggins, a może Roderick Lloyd? A może ten czwarty, Marion Croop?

- A jeśli tak, to kto ich wynajął?

- A może to Quincy albo Stefanos nieśli mnie za stopy. Albo Laurel. Wycieraczki powoli poruszały się tam i z powrotem, jak metronom.

- Jestem zmęczona, Jack. Jack zanucił jej kołysankę. Rachael odwróciła się do niego i przyjrzała mu się uważnie.

- Kiedy ostatnio byłeś na randce, Jack? Roześmiał się.

- Cóż, rozstałem się z bardzo miłą kobietą jakiś miesiąc przed tym, zanim poleciałem do Lexington, żeby zabrać Timothy'ego. Wydaje się, że od tamtej pory minęło z dziesięć lat.

- A minął zaledwie tydzień. Zwiększył prędkość pracy wycieraczek. Rachael zaśmiała się.

- Nie wzięłam parasolki.

- Stary Nemo ma wszystko w pudełku na tylnym siedzeniu. Parasolkę też.

- Nemo?

Jack pogładził deskę rozdzielczą.

- Nazwałem go tak, gdy pewnego razu wjechałem w bagno. Pomyślałem, że już po nim, ale nie doceniałem go - wrócił na drogę. Kocham Nemo, jest ze mną od ośmiu lat, wciąż jeździ szybciej, niż ucieka mój tata, kiedy mama goni go z patelnią.

Rachael wyobraziła sobie jak toyota corolla wygrzebuje się z bagna, i roześmiała się, potem oparła się na fotelu i zamknęła oczy.

- Co my teraz zrobimy?

- Może odpoczniemy kilka godzin, zdrzemniemy się, na przykład na jednej z tych sof w salonie, wszystko, tylko nie to twarde jak kamień łóżko, na którym położyłaś mnie ostatniej nocy.

Nie odpowiedziała, bo zasnęła. Powoli osunęła się, a jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Jackowi udało się wyciągnąć komórkę, nie budząc Rachael i wybrał numer Savicha. Opowiedział mu o tym, że Millie zidentyfikowała Perky jako jedną z dwóch osób, które w piątkową noc były w restauracji Mel's, jakieś dziesięć minut drogi od jeziora Black Rock. Savich przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- Fakty zaczynają układać się w całość. Po tym, co mi powiedziałeś o Laurel i Quincym, jakoś nie wierzę, że mogliby własnoręcznie zabić senatora Abbotta i Rachael. To dla nich zbyt brudna robota. Choć z drugiej strony, kto wie? Dobra robota, Jack. To nie potrwa już długo.

Jack miał nadzieję, że Savich ma rację, bo on nie widział jeszcze światła w tunelu. *Kto cię wynajął, Perky?* - zastanawiał się, jadąc pośród gęstego letniego deszczu.

*Georgetown*

*Piątek wieczór*

Savich zamknął na klucz drzwi wejściowe i uzbroił alarm. Był zmęczony i odrętwiały, do tego zły, bo było już za późno, żeby pójść na siłownię. Poruszał szyją we wszystkie strony, marząc o tym, żeby w końcu wyciągnąć się w swoim łóżku i zasnąć głęboko, bez snów, i zapomnieć o obu śledztwach. Odwrócił się i zobaczył żonę wchodzącą po schodach, patrzącą na niego przez ramię i powoli zsuwającą z siebie białą koszulę. Nagle zamarł. Z kompletnie wykończonego zmienił się w bardzo otwartego i natychmiast zapragnął posmakować jej pięknych posągowo białych ramion. Czy naprawdę wydawało mu się, że jest tak zmęczony, że prawie martwy? To było bardzo krótkowzroczne z jego strony. Może i był w stanie śmierci mózgowej, ale cała jego reszta nie spała.

Nie poruszył się, tylko skrzyżował ramiona na piersi z uśmiechem na ustach i oglądał przedstawienie. Sherlock milczała, bo co tu było do powiedzenia? Oblizwała językiem dolną wargę i rozpięła przedni zatrzask w staniku. Chwilę odczekała, po czym powoli poruszyła ramionami, odwracając się do niego bokiem. Przez ramię rzuciła mu uśmiech, wykonując powolne i pełne gracji ruchy i zostawiając niewiele dla wyobraźni. Zdjęła stanik, oba ramiączka jednocześnie, i rzuciła przez ramię w jego stronę, ale wylądował metr przed nim.

- Waga lekka - powiedział, śmiejąc się.

- Masz rację, koronka niewiele waży - odpowiedziała i znowu odwróciła się do niego bokiem. Savich podszedł do niej powoli, nie spuszczać wzroku z jej dłoni zajętych suwakiem spodni. Potem powoli zsunęła spodnie. Błyskawicznie podbiegł do niej, niemal przewracając się o jej buty porzucone na pierwszym stopniu schodów. Uwielbiał jej piękne stopy.

Savich wykazał się dużą siłą woli i zatrzymał się trzy stopnie niżej, czekając, co ona dalej zrobi. Podejrzywał, że jeżeli nie będzie ostrożny, odgryzie sobie język, zwłaszcza teraz, kiedy pozbyła się spodni. Drażniła się z nim, wykonując powolne ruchy i bardzo wczuwała się w swoją rolę.

Kiedy zobaczył wspaniały zarys jej bioder odzianych w białe, koronkowe, wysoko wycięte majtki idealnie dobrane do stanika, doprowadziło go to do szaleństwa. Podbiegł do niej, porwał w ramiona, a ona całowała go, zanurzając palce w jego włosach. Miał ochotę śmiać się ze szczerzej radości, ale musiał skoncentrować się na tym, żeby trafić do sypialni, nie potykając się, bo w tym stanie nie był pewny, czy temu podola.

A naprawdę miał na to ochotę.

Zawsze, kiedy się z nią kochał, wydawało mu się, że czas przyspieszał niczym huragan i jednocześnie niemożliwie zwalniał.

Kiedy w końcu znalazła się nad nim, a jej silne nogi obejmowały go w pasie, jej dłonie opierały się na jego piersi, jak zwykle zachwyił się posagową bledością jej ciała kontrastującą z jego śniadymi obejmującymi ją rękami. Uśmiechnęła się do niego.

- To było przyjemne, Dillon.

- O, tak.

Popatrzył na jej ukochaną twarz, w jej oczy zamglone z rozkoszy, palcami dotknął jej ognistych włosów, dziko rozwianych wokół twarzy.

- Za rzadko ci to powtarzam. Jesteś moim życiem. Należał do niej, pomyślała, ale słowa poszły w zapomnienie, kiedy był już w niej, a ona całowała go, szepcząc mu do ucha. Nie wytrzymał tak długo jak chciał, ale ona była z nim i to było najważniejsze.

Został powalony i do tego stopnia zrelaksowany, że nawet gdyby Sean zaczął teraz skakać po nim, nie byłby w stanie się poruszyć. Jego oddech w końcu uspokoił się, przynajmniej na tyle, że mógł myśleć. Jednak jego mizerne myśli szybko rozproszyły się, kiedy zaczęła przesuwać się w dół jego zadowolonego, na wpół żywego ciała. Kiedy poczuł jej język na swoim brzuchu, chwycił ją rękami za włosy, uniósł biodra i mruknął z zadowoleniem.

- Muzyka dla moich uszu - wyszeptała.

Zasnęła wtulona w niego, z włosami na jego ustach. Nawet nie poczuł, jak go łaskotały, bo zasnął kamiennym snem. Kiedy jego komórka zaczęła wygrywać melodię z programu telewizyjnego Monday Night Football, natychmiast się obudził i z odrazą spojrzął na telefon wystający z kieszeni spodni porzuconych na podłodze obok łóżka. Leżąca na nim Sherlock też się obudziła. Nie chciał jej ruszać, ale telefon dzwoniący w piątek późnym wieczorem nie wróżył niczego dobrego. Wyciągnął rękę i chwycił komórkę.

- Tak?

Słuchał, jednocześnie gładząc brzuch Sherlock. Nie miała ochoty odrywać się od jego ciepłej dłoni, jednak podniosła się i usiadła na łóżku.

- Co się stało, Dillon? Coś złego?

- Ktoś właśnie próbował zabić doktora MacLeana. Zostawili śpiącego Seana pod opieką Lily i Simona i piętnaście minut później byli już w szpitalu.

W godzinie duchów szpital powinien być miejscem cichym i prawdę mówiąc, nie spodziewali się tam jakiegoś zamieszania, jednak usłyszeli podniesione głosy i zobaczyli

dwóch ludzi wbiegających po schodach. Ku ich zaskoczeniu winda była pusta. Kiedy dotarli na piętro, na którym leżał doktor MacLean, musieli ominąć nosze, dwa wózki inwalidzkie pozostawione na środku korytarza, i kilka biegających, krzyczących lub zamarłych w bezruchu osób z personelu szpitalnego. Przy drzwiach zebrano się wielu pacjentów, jakiś mężczyzna trzymał w ręku torebkę z kroplówką, a jeden z sanitariuszy próbował nakłonić go do powrotu do łóżka, ale ten nie dawał się przekonać.

- Agent Tomlin, gdzie on jest? - Sherlock usiłowała dowiedzieć się od jednej z pielęgniarek.

- Zajmują się nim. Ktoś wszedł do środka i wbił mu strzykawkę w szyję, ale nie wstrzyknął całej zawartości. Louise zauważyła, że coś jest nie tak, bo zaczął się szamotać, wtedy zawołała go, ale nie odpowiadał. - Pielęgniarka niemal straciła oddech. - Louise podbiegła do niego. Nie mam pojęcia, co się stało, Louise zniknęła, i słychać było strzał. Nie wiedziałam, że może być taki głośny. To było jak wybuch, a wszyscy zaczęli krzyczeć i panikować. Sherlock przymknęła oczy i modliła się, żeby Tomowi Tomlinowi nic się nie stało. Szła tuż za Savichem, który właśnie otworzył drzwi do sali doktora MacLeana.

Wokół jego łóżka kłębiło się kilka osób, wszyscy mówili naraz, żywo gestykulowali.

Kiedy Savich przecisnął się przez ten tłum, ujrzał leżącego na podniesionym łóżku doktora MacLeana, z głową spoczywającą na poduszce. Uśmiechał się do otaczających go ludzi niczym patriarcha otoczony rodziną.

- Timothy - powiedział Savich, przyglądając mu się uważnie. - Nic ci nie jest?

- Jestem w doskonałej formie. - Maclean uśmiechnął się obłudnie. - I po co to całe zamieszanie, proszę mi tu puścić jakąś skoczną muzykę, a odtańczę taniec zwycięstwa z Louise. Szkoda, że jej nie widziałeś, Savich. Wpadła tutaj i bam! Postrzeliła napastnika w ramię.

- W które ramię, Timothy? - zapytał Savich.

- Hm, niech no się zastanowię, które to było? Chyba prawe, tak, to było jego prawe ramię. Upuścił strzykawkę.

- To pan jest agent Savich? Jestem szefem ochrony, William Hayward, to ja do pana dzwoniłem. Savich pospiesznie uściśnął mu dłoń.

- Dziękuję, że mnie pan zawiadomił.

Hayward był niewysokim, starszym, dobrze zbudowanym mężczyzną o bystrym spojrzeniu. Miał na sobie porządnie wyprasowane spodnie. Savich sklasyfikował go jako emerytowanego glinę.

- Potworna sprawa - powiedział Hayward, kręcąc głową. - Chyba powinienem



sprawdzić zyciorysy pielęgniarek. To nie do wiary, że jedna z naszych pielęgniarek postrzeliła człowieka.

Savich odwrócił się do MacLeana. Słyszał, jak Sherlock przedstawiła się Haywardowi, a ten po cichu opowiedział jej, co tutaj zaszło.

- Opowiedz mi, co się stało, Timothy - poprosił Savich.

- No cóż, ja spałem. Potem coś zaczęło świecić mi prosto w oczy. Drzwi otworzyły się, światło dochodziło z korytarza. Ten facet wszedł tutaj, nigdy wcześniej go nie widziałem. Powoli podchodził do mnie, uśmiechał się, a kiedy zobaczył, że nie śpię, przeprosił, że mnie zbudził, i powiedział, że jest neurochirurgiem i mój lekarz poprosił go, żeby do mnie zajrzał.

Cały ubrany był na zielono, w taki strój do operacji, na twarzy miał maskę, na szyi zawieszony stetoskop, a na stopach papierowe ochraniacze. Przyznam, że na początku nie wzbudzał moich podejrzeń, tyle tu wokół białych i zielonych fartuchów, przychodzą i wychodzą, zupełnie jak na lotnisku.

Podszedł do mnie, cały czas mówił, powtarzał wszystko w kółko, jakbym nie był lekarzem i nie rozumiał, o czym on do mnie mówi. Powtórzył nawet, że mój lekarz poprosił, żeby mnie zbadał, i przeprosza, że tak późno, ale właśnie skończył operację, jakiś ciężki przypadek i nawet nie miał czasu się przebrać. A ja zapytałem, po co mi neurochirurg i co z tą maską.

Facet zamarł i mógłbym przysiąc, że zasyczał jak wąż. Wyciągnął strzykawkę i natychmiast zorientowałem się, że nie wróży to dla mnie niczego dobrego. Zawolałem agenta Tomlina, ale on nie odpowiedział. Ten mężczyzna powiedział mi, że szczęśliwy ze mnie sukinsyn, ale dość już tego. I znowu syknął, to zdumiewające, nigdy wcześniej czegoś podobnego nie słyszałem.

Z zewnątrz usłyszałem głos Louise, a potem drzwi nagle otworzyły się i stanęła w nich Louise z pistoletem w ręku, a ten facet rzucił się w jej stronę i niech ją Bóg błogosławi, nie zawahała się i strzeliła do niego. Facet znowu zasyczał, upuścił igłę, złapał się za ramię i wrzasnął do mnie, że już jestem trupem, i rzucił się do drzwi. Po drodze przewrócił Louise, a ja krzyknąłem za nim, żeby się zatrzymał. Louise znowu do niego strzeliła, ale trafiła w drzwi toalety.

- Tak - mruknął Hayward. - Świetny strzał. Drzwi padły martwe.

- Nie był taki zły, szefie - odparł MacLean, uśmiechając się.

- Mam tę strzykawkę - powiedział Hayward. Strzykawkę, w której nadal coś było, ostrożnie owinał w chusteczkę i wręczył Sherlock.

- A rozpoznałeś jego głos, Timothy? - zapytał Savich.

- Nie, maska na twarzy tłumiała jego głos.

- To był mężczyzna?

MacLean znów spojrzał na Sherlock.

- Raczej nie kobieta, ale to wszystko wydarzyło się tak szybko... nie, to był mężczyzna.

- Stary czy młody? MacLean spojrzał na Sherlock.

- Mówiłem, że miał maskę na twarzy, na ustach też. Nie wiem.

- No dobrze, Timothy - powiedział Savich. - Opowiedz nam jeszcze raz, co zaszło.

Wszystko po kolei. Sherlock zauważyła, że z MacLeana zaczyna opadać adrenalina, i pogłaskała jego przedramię.

- Powiem wam, że to było szaleństwo. Louise krzyczała: Wezwijcie ochronę! I zaraz potem przybiegła tutaj do mnie. Była zdyszana, patrzyła na mnie i cała się trzęsła, jakby przed chwilą ledwie uszła z życiem. Potem splotła ręce na piersiach i patrzyła na broń agenta Tomlina, którą ciągle trzymała w prawej dłoni i zaczęła jednocześnie płakać i śmiać się. Potem bardzo ostrożnie położyła pistolet na stole.

Wtedy zaczęła mi się przyglądać, badać mnie, tak, jak ją poprosiłem, a kiedy skończyła, nasłuchiwała, co się dzieje za drzwiami. Był tam chyba cały personel szpitalny i wszyscy pochyleni byli nad agentem Tomlinem. Był straszny harmider. Poprosiłem ją, żeby zadzwoniła do pana, agencie Savich, a ona powiedziała mi, że lepiej poprosi pana Haywarda, żeby to zrobił.

Była taka wstrząśnięta, taka przejęta, i tak jej ulżyło, że nic mi się nie stało. Przytuliła mnie, naprawdę mocno, tak, że zabołały mnie żebra, ale ja też ją przytuliłem. Naprawdę świetnie się spisała. Uratowała mi życie.

- Z pewnością - zgodziła się z nim Sherlock.

- Nikt mnie jeszcze w życiu tak nie wystraszył - powiedziała siostra Louise Wingo, stając w drzwiach. Spojrzała na zegarek.

- Minęła pierwsza w nocy, doktorze MacLean. Powinien pan odpocząć.

- Odpocząć? Po co, pytam? Tylko mi nie mów, że to poprawi jakość mojego życia. Jeśli chcesz, możesz tu przychodzić, Louise, możesz też jeszcze mnie przytulić. Szkoda, że jej nie widziałeś, Savich. Wbiegła, trzymając pistolet i strzeliła do napastnika, szybko i sprawnie. Nie, Louise, nie zwracaj mi głowy, mówiąc, że potrzebuję odpoczynku. Mój mózg pracuje na wysokich obrotach i mam się dobrze. - I rozpromienił się.

- Od bardzo dawna nie dostałem tak wielkiego kopa adrenaliny.

- Ja pewnie dostałam większego niż on - rzekła Louise. Machnęła ręką i uśmiechnęła się. - To było niesamowite! Mój mąż nigdy w życiu mi nie uwierzy. On myśli, że nocna zmiana jest nudna. No to mu opowiem, co się dzisiaj wydarzyło. Na szczęście jest pan cały, doktorze MacLean. Czuję ulgę na myśl, że pani MacLean tu nie było. Wyszła około jedenastej.

- Co do tego masz rację - powiedział MacLean. - Molly rzuciłaby się na niego, a on mógłby ją skrzywdzić. Dziękuję ci również w jej imieniu, Louise.

- Jack mówił nam, że Molly bardzo troszczy się o swoich - powiedziała Sherlock. - Gdyby zobaczyła, że ktokolwiek próbuje skrzywdzić kogoś z jej rodziny, wpadłaby w szal.

- To prawda - przyznał MacLean. - Zazwyczaj to ja jestem tym złym. Louise, bądź przygotowana na to, że ona przyniesie ci zapas ciastek na cały rok.

- Właściwie pani MacLean już przyniosła nam różne domowe smakołyki - powiedziała Louise. - Szydełkowała, siedząc z doktorem MacLean. Może zostać tak długo, jak zechce.

- Molly awanturuje się i zrzędzi - rzekł MacLean. - Ciągłe pyta mnie, jak się czuję, co myślę, jakby to mogło powstrzymać postęp demencji. W końcu namówiłem ją, żeby poszła do domu. Zgodziła się, powiedziała, że do jutra ktoś inny będzie mnie znosił, i pocałowała na pożegnanie. - MacLean zamknął oczy i przełknął ślinę. - Gdyby tu była, ten sukinsyn nie wahałby się zabić i jej. - Spojrzał na Louise. - Dziękuję, Louise. Jeżeli któryś z tych prymitywnych lekarzy będzie ci robił wymówki, tylko mi powiedz. Ja to załatwię.

- Rano zadzwonię do Molly i powiem jej, że czujesz się dobrze - powiedziała Sherlock. - Nie ma sensu niepokoić jej w nocy.

- Ostrożnie, doktorze MacLean - wtrąciła Louise. - Prawie wyrwał pan kroplówkę.

Sherlock zauważyła, że jej ruchy były pewne, jakby była przyzwyczajona do pracy w niebezpieczeństwie. Wyprostowała się, lekko podtrzymując go za przedramię.

- Proszę spróbować się uspokoić i odpocząć.

- Tak, tak, po śmierci będę miał dość czasu, żeby odpoczywać - odparł MacLean. - A jak się miewa biedny agent Tomlin?

- Słyszałam, jak jeden z lekarzy mówił, że najprawdopodobniej dostał w szyję zastrzyk ze środkiem usypiającym, ale skoro on już zaczyna z tego wychodzić, to znaczy, że nie był silny, albo wyrwał się i nie dostał całej dawki. Jego stan jest stabilny, ale wciąż jest bardzo senny. Nic mu nie będzie. To wszystko, co w tej chwili wiemy. Sherlock zauważyła, że Dillon rozmawia z panem Haywardem. Spojrzał na nią i powiedział:

- Pan Harward kazał ochronie szpitala przeszukać budynek i teren szpitala, ale nie mógł wysłać więcej ludzi. Zadzwoń do Bena Ravena, obudź go. Ściągnie tu więcej gliniarzy, żeby pomóc ludziom z ochrony. Nie uda im się znaleźć tego mężczyzny, pomyślała Sherlock, i nienawidziła tej pewności. To było dobrze zaplanowane, on wiedział, jak wejść i jak wyjść. Ale może...

- A co z nagraniami z kamer? - zapytała.

- Poleciałem to sprawdzić - odparł Hayward.

Sherlock pochyliła się i szepnęła do ucha MacLeana:

- Ogólnie rzecz biorąc, nikt z nas nie ma powodu do narzekań.

- Biedny agent Tomlin, ma - powiedział MacLean. Dziesięć minut później Savich i Sherlock weszli do małego pomieszczenia szpitalnej ochrony, znajdującego się obok głównego wejścia. Było tam dwanaście monitorów, dziesięć z nich pokazywało na żywo obraz z kamer umieszczonych wewnątrz szpitala.

- Mamy kamerę przed wejściem do szpitala, i po jednej kamerze na każdym piętrze - powiedział Hayward. - Poprosiłem Fritza, żeby przyniósł dwie taśmy z drogą, którą napastnik mógł iść do sali doktora MacLeana.

- Nie mogę ustalić, którydy wszedł do szpitala - rzekł Fritz. - Będę musiał przejrzeć wcześniejsze taśmy. Ta jest z piętra doktora MacLeana.

Wszyscy patrzyli na ekran. Hayward zawołał w pewnej chwili:

- Zatrzymaj. Patrzcie, to musi być on, ten facet w stroju chirurga, z maską na twarzy i czepek na głowie. Gdyby to było w ciągu dnia, ktoś mógłby się zastanawiać, kim on do diabła jest, przecież nikt nie nosi maski na korytarzu. Nie ma takiej potrzeby. Nałożył też chirurgiczne rękawiczki, a więc nie mamy odcisków jego palców. Niestety, film ma słabą jakość, ale powinniśmy być w stanie go rozpoznać.

Patrzyli, jak mężczyzna idzie w kierunku kamery. Skręcił na rogu obok pokoju pielęgniarek i zniknął.

- Dobra - powiedział Hayward. - Przewiń na podglądzie, Fritz.

- Zatrzymaj, tu jest - polecił Savich po chwili. Fritz zatrzymał obraz.

- Nie minęły trzy minuty i oto jest nasz bohater - powiedziała Sherlock. Szybko się uwinął, pomyślała. W ciągu trzech minut Timothy mógł zostać zabity. Chodzi naprawdę szybko i trzyma się za ramię. Po jego palcach spływa krew. Spuścił głowę. Mogę powiedzieć o nim tylko tyle, że nie jest gruby.

- Wciąż ma na sobie maskę i czepek - zauważył Fritz.

- Szlag by go trafił. Patrzyli na niego, aż zniknął.

- No dobrze, sprawdźmy, czy wyszedł od frontu - powiedział Hayward. - Włóż następną taśmę, Fritz. - Film przyspieszył, po czym Fritz zwolnił go do rzeczywistej prędkości.

- Zatrzymaj, Fritz, mamy go. Myślę, że to on, czas pasuje, minęło pięć minut. Jest tego samego wzrostu, tej samej budowy i ma luźne ubranie.

Mężczyzna na filmie miał na sobie czapkę z daszkiem mocno nasuniętą na czoło, aż do oprawek ciemnych okularów przeciwsłonecznych. Ubrany był w luźne dżinsy, szeroką jasnoniebieską koszulę, luźno opadającą na spodnie, obszerną jasną marynarkę i mokasyny. Przez chwilę patrzyli prosto w jego twarz, tyle że nie widzieli go wyraźnie.

- Nadal idzie powoli i widać, że trzyma się za ramię, na pewno boli go jak diabli - stwierdził Hayward. - Jeden z moich ludzi znalazł kilka kropli krwi na korytarzu piętra doktora MacLeana i oznaczył dla was to miejsce. To nie musi być krew tego faceta, ale to prawdopodobne.

- Jego krew go wyda, kiedy go złapiemy - powiedział Savich. - Zaryzykował, idąc prosto do agenta Tomlina i wbijając mu igłę w szyję, wiedząc, że pokój pielęgniarek był zaledwie parę metrów dalej. Moim zdaniem ma silną motywację, jest zdeterminowany, może naprawdę wściekły.

Patrzyli, jak głównym wejściem wychodzi ze szpitala.

- Nie nagraliśmy go wchodzącego do szpitala - powiedział Hayward. - Musiał wyjść poza zasięg kamer, znać rozkład szpitala, wszystkie szczegóły. Nie jest głupi. Przyszedł późno, o najlepszej porze. Niestety nie mamy kamer na zewnątrz.

- To już coś - odezwała się Sherlock. - Dziękujemy, panie Hayward. Moim zdaniem to coś więcej niż motywacja, więcej niż złość. Powiedziałabym, że to obsesja.

- Damy panu kilka zdjęć naszych podejrzanych, żeby pana ludzie mogli o nich

popytać - obiecał Savich. - Może będziemy mieli szczęście. Hayward skinął głową, ale nie wyglądał, jakby miał nadzieję.

- Ten facet jest ostrożny. Ale może ktoś widział go w okolicach sali operacyjnej. Z całą pewnością mogę tylko powiedzieć, że jest przeciętnego wzrostu, średniej budowy ciała i ubiera się w bardzo luźne ubrania.

- Fritz, możesz jeszcze raz cofnąć? - poprosiła Sherlock. Kiedy to zrobił, powiedziała:

- Wystarczy, a teraz patrzcie. Uważam, że jest młody. Spójrzcie, jak chodzi, w jaki sposób porusza się.

- Zrób stopklatkę, Fritz - poleciła Hayward. - Parzcie, jakby się garbił. Oczywiście, jest ranny, musi boleć go ręka, ale nie jestem tego do końca pewien.

- Jeśli jest młody - powiedział Savich - to prawdopodobnie ktoś go wynajął. Sherlock potrząsnęła głową.

- To mi nie pasuje. Z tego, co mówił Timothy, wynika, że to było coś osobistego, nie tak bezosobowego, jak wynajęty morderca.

- Masz rację - przyznał Savich, przeczesując włosy palcami. - Mój mózg przestał już działać - Spojrzał na zegarek z Myszka Miki. Dochodziła trzecia rano.

Savich spojrzał na Sherlock i powiedział:

- Sprawdźmy, co z Tomlinem, i jedźmy do domu.

*Waszyngton*

*Sobota przedpołudnie*

Pierre Barbeau otworzył drzwi wejściowe, popatrzył na nich zrezygnowany i cofnął się.

- Tommy zadzwonił do mnie z dołu. Czego chcecie tym razem?

- Chcemy porozmawiać z panem i pana żoną, panie Barbeau - powiedział Savich, patrząc na prawe ramię Pierre'a. Miał na sobie stary, niebieski, aksamitny płaszcz kąpielowy z grubymi luźnymi rękawami, które łatwo mogły zakrywać bandaż. Wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Wydawał się zmęczony, zdruzgotany, a może po prostu się bał. Ale jak na oko Savicha, po prostu nie wyglądał, jakby ktoś go postrzelił w ramię.

- Nie wiem o czym - odparł Pierre. - Proszę posłuchać, Estelle i ja próbujemy jakoś sobie z tym wszystkim radzić. Powiedzieliśmy panu wszystko. Moja żona nie chce z panem rozmawiać, z żadnym z was. Mówię wam to i uwierzcie mi, ona zazwyczaj osiąga to, czego chce.

Sherlock chciała mu powiedzieć, że ona też zazwyczaj osiąga to, czego chce, ale jedynie uśmiechnęła się do niego, a Dillon odezwał się:

- Sprawdziliśmy u waszego dozorca. Powiedział, że oboje wyszliście około dziesiątej i wróciliście koło drugiej nad ranem. Gdzie byliście?

- A jakie to ma znaczenie?

W odpowiedzi poczuł na sobie dwa ciężkie spojrzenia, aż cofnął się o krok.

- Widzę, że w międzyczasie coś jeszcze się wydarzyło, tak? Myślicie, że to my za tym stoimy, cokolwiek to jest, zdarzyło się ostatniej nocy. O to chodzi?

- Proszę powiedzieć nam, gdzie byliście, panie Barbeau - powiedziała Sherlock.

- Proszę bardzo. Nie przypuszczam, żeby to miało jakieś znaczenie. Moja żona i ja nie mogliśmy znieść cierpienia, więc poszliśmy na spacer. Minionej nocy było przyjemnie. Księżyc był prawie w pełni, więc poszliśmy do High Banks Park. Zajęło nam to może godzinę. Poszliśmy do galerii, w której była specjalna wystawa otwarta do późna. Byliśmy tam do północy, a później wstąpiliśmy do baru. Upiliśmy się, ale to nie pomogło. Wróciliśmy do domu. Nie wiem, która była godzina. Poszliśmy spać. Wstałem, kiedy kilka minut temu zadzwonił Tommy.

- Jak nazywała się ta galeria, panie Barbeau? - zapytała Sherlock, trzymając pióro nad swoim małym, czarnym notesem.

- The Penyon Galery on Wisconsin.

- Co to była za specjalna wystawa?

- Amerykańscy artyści, sztuka nowoczesna, no wiecie, zawijasy i plamy grubej farby, coś podobnego robił Jean David w wieku lat trzech, tylko że on nie używał farb. - Uśmiechnął się przelotnie i upiornie, jego głos uwiązł na imieniu jego syna. Podniósł lewą rękę i krótko przycisnął palce do czoła. Z całą pewnością na tej ręce nie było rany po kuli.

Sherlock odczekała chwilę, po czym zapytała:

- Jak się nazywał bar?

- A kto pamięta nazwy barów? Ja na pewno nie. Nigdy wcześniej tam nie byliśmy. Pamiętam, że to było niedaleko galerii.

Sherlock pochyliła się w jego stronę.

- O czym rozmawialiście z żoną, panie Barbeau?

- O niczym szczególnym. Niczym ważnym. Jesteśmy zbyt nieszczęśliwi, żeby cokolwiek robić, oprócz istnienia. Chociaż, jeśli mam być szczery, ponieważ najwyraźniej nie potrafimy sobie pomóc, czasami rozmawiamy o naszym synu, rozmawialiśmy o nim podczas wczorajszego spaceru po parku, o tym, jak bardzo go kochaliśmy, że to nie powinno być się wydarzyć, że to niesprawiedliwe, i to przez groźby takich ludzi jak wy, nasz syn nie żyje. Savich zmarszczył brew.

- Groźby?

Znowu wzruszył ramionami.

- Doszłoby do gróźb, gdyby Jean David przed śmiercią trafił w ręce władz. Zagroziliby, że nas deportują, zablokowaliby nam wszystkie konta bankowe i wtrąciliby go do więzienia, gdyby odmówił podpisania zeznań, w których przyznaje się do wszystkiego, nawet do rzeczy, o których nie wiedział.

- To tylko pana wyobraźnia, panie Barbeau - powiedziała łagodnie Sherlock. - A fakty są takie, że nic takiego nie miało miejsca. Występki pana syna umarły razem z nim. Wątpię, żeby CIA kiedykolwiek dowiedziała się, jak wiele i co dokładnie pana syn przekazał terrorystom.

- On nie pomagał terrorystom! Może czegoś się od niego dowiedzieli, ale rzecz w tym, że on nie zdawał sobie z tego sprawy... To wszystko wina tej kobiety. Uwiodła go i oszukała.

- Zamilkł i potrząsnął głową. - Jean David był taki młody, niewinny, zanim ona nim zawładnęła. Jean David Barbeau miał dwadzieścia sześć lat, kiedy utonął. Savich i Sherlock milczeli.

- Przynajmniej wczoraj nie padało - powiedział Pierre.



- Okropną tu macie pogodę, po prostu koszmarną.

- Doskonale mówi pan po angielsku, panie Barbeau - zauważyła Sherlock.

- Nie mogło być inaczej. Kiedy mój ojciec przyjeżdżał tu, do Stanów, zawsze ciągnął ze sobą mnie i moją matkę. Pracował dla Amtrak\*, więc to oczywiste, że mieszkaliśmy tu długo. Chodziłem do prywatnych amerykańskich szkół, przez dwa lata studiowałem na Harvardzie, potem wróciłem do Francji i tam dokończyłem studia.

- A pana żona?

- Ona też dużo podróżowała ze swoją rodziną. Jest jedną z tych osób, które uczą się języków ot, tak. - Strzelił palcami i spojrzał na nich cierpko. - Mówi pięcioma językami. Pięcioma. Zawsze myślałem, że trzy języki wystarczą, ale pięć? Uważam, że to przesada.

Savich, który mówił tylko po angielsku, powiedział:

- To dlatego Jean David urodził się w New Jersey. Jesteście podróżnikami, tak jak wasi rodzice.

- Jeśli chce pan wiedzieć, odwiedzaliśmy akurat przyjaciół w ich letnim domu w Cape May. Jean David urodził się trzy tygodnie przed czasem i dlatego jest obywatelem amerykańskim. Nie dlatego, że to planowaliśmy czy tego chcieliśmy.

Po tej poważnej zniewadze Sherlock powiedziała:

- Jak się okazało, byłoby lepiej, gdyby Jean David nie urodził się tutaj. CIA byłaby zadowolona, gdyby tak jak jego ojciec wstąpił do francuskiej policji, panie Barbeau.

Jego oddech przyspieszył. Patrzył na Sherlock, jakby chciał ją uderzyć. Nagle gniew zgasł w jego oczach. Nie, pomyślał Savich, to jego oczy zgasły. Przypomnił sobie ukochaną twarz Seana i nie mógł sobie wyobrazić bólu po stracie swojego syna.

- Chcielibyśmy porozmawiać z pana żoną.

Barbeau zaczęła protestować, ale po chwili odwrócił się i zawołał:

- Estelle!

Pani Barbeau, od stóp do głów otulona w biały gruby szlafrok, stanęła na końcu korytarza. Włosy miała owinięte w biały ręcznik. Oczywiście wiedziała, że tam byli, dlatego nie weszła dalej.

- Odejdźcie - zawołała. - Jestem nieubrana. Poza tym jest sobota rano. Zostawcie nas w spokoju. Nie mamy wam nic więcej do powiedzenia.

- Wiem, że pani i pani mąż byliście wczoraj w Penyon Galery - zawołała Sherlock. - Jak podobała się pani ta specjalna ekspozycja?

- Była żalсна. Nie widzieliśmy nic, co mogłoby nas zainteresować. Nie czuję się

---

\*Antrak - amerykańska kolej pasażerska (przyp. tłum.).

najlepiej. Nie podejść bliżej, nie chcę was niczym zarazić.

- Pani choroba pojawiła się nader szybko - powiedziała Sherlock. - Ostatniej nocy chodziła pani po mieście.

- Rzeczywiście, pojawiła się szybko. Idźcie sobie.

Savich zbliżył się do Pierre'a, otoczył ramieniem jego prawe ramię i zacisnął dłoń, żeby raz na zawsze sprawdzić, czy to nie jego postrzeliła siostra Louise. Przez gruby materiał nie poczuł bandaża. Pierre nie wrywał się, ale powoli wyswobodził się. Nawet się nie obruszył. Savich poczuł napięcie jego mięśni. Być może to była powierzchowna rana, pomyślał Savich, jeżeli to Pierre był tym mężczyzną, którego postrzeliła siostra Louise. Dlaczego to wszystko nie mogło być proste?

- Więc nie lubi pani artystów? - zawołała Sherlock.

- Nieszczerólnie - odparła Estelle. - Nazywam to komercyjną sieczką, nieciekawą i pozbawioną treści. Odejdźcie. Zostawcie nas w spokoju. Jestem chora.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pani Barbeau, może dołączy pani do nas w salonie? - zaproponował grzecznie Savich. - Będziemy się streszczać i obiecuję nie zbliżać się do pani na mniej niż metr, więc może się pani nie przejmować aresztowaniem za zarażenie agentów.

Estelle nie udawała uprzejmości. Przyszła i stanęła w drzwiach salonu, ale nie bliżej. Istotnie, nie wyglądała najlepiej. Miała przekrwione oczy i była bardzo blada. Sherlock przyszło do głowy, że ten szlafrok był o wiele za gruby jak na czerwiec.

Czy na taśmach ze szpitala mogła być kobieta?

Estelle powtórzyła to, co powiedział im jej mąż, pewnie dlatego, że słyszała ich rozmowę, pomyślała cynicznie Sherlock.

- Powiecie nam, co się stało? - zapytał w końcu Pierre.

- Ubiegłej nocy, około północy, mężczyzna przebrany za lekarza próbował zabić doktora MacLeana - oznajmił Savich, patrząc Pierre'owi prosto w oczy.

Po chwili milczenia Estelle wzruszyła ramionami.

- Jaka szkoda, że mu się nie udało. - Ach tak. Rozumiem. Myślicie, że to mój mąż próbował zabić tę żalosną namiastkę lekarza? I przyjaciela? Coś wam powiem, to nie on. Byliśmy razem przez całą noc. A teraz proszę wyjść.

Sherlock przyjrzała się prawemu ramieniu Estelle. Pod jej szlafrokiem z łatwością mógł się zmieścić bandaż. Nie, z pewnością na nagraniach widać mężczyznę, ten chód, postawa, z pewnością, ale miał na sobie luźne ubranie. Estelle była prawie tak wysoka jak jej mąż.

Savich chciał wrócić do łóżka i zdrzemnąć się przez kilka godzin albo żeby Sherlock jeszcze raz go uwiodła. W zasadzie jedno i drugie.

Na Wisconsin był niewielki ruch. Savich mocno wcisnął pedał gazu porsche. Westchnął, lekko odpuścił i znowu westchnął.

- Chcesz wiedzieć, o czym myślę?

Dotknęła jego dłoni, poczuła, jak jego palce powoli rozluźniają uścisk.

- Powiedz.

- Ta zawziętość, czy obsesja, jak powiedziałaś. Po prostu nikt, z kim rozmawialiśmy nie wydaje się aż tak zawzięty, tak zdeterminowany do zabicia doktora MacLeana. Może powinniśmy porozmawiać z Lomasem Clapmanem, może on zamordował kilkanaście osób, a doktor MacLean zapomniał o tym.

- Myślę, że nasz zabójca jest tuż obok nas. Coś przeoczyliśmy, dlatego że jesteśmy zmęczeni. To był wyczerpujący tydzień, Dillon. Powinniśmy poświęcić trochę czasu na uporządkowanie wszystkiego, co wiemy, i przeanalizowanie tego.

Savich pomyślał, że żona ma rację.

- Myślę, że dziś wieczorem możemy zaaranżować małe przyjęcie z udziałem ciotki i wujka Rachael i może Stefanosa - powiedziała. - Dzięki temu będziemy mieli okazję z nimi porozmawiać. Myślisz, że przyjmą zaproszenie do starej posiadłości rodzinnej, jeśli Rachael naprawdę ładnie ich poprosi?

Savich roześmiał się.

- Tak, chyba że z zaproszeniem pošlemy tam brygadę antyterrorystyczną. A jeśli wezwiemy ich na przesłuchanie, przyjdą z kilkoma prawnikami, odmówią odpowiedzi na pytania i zażądata, żeby ich aresztować albo uwolnić. A po tym próbowaliby pozwać FBI.

- Wtedy chyba potrzebowalibyśmy porządnego dowodu albo z czternastu naocznych świadków - westchnęła Sherlock.

- I tak by nas pozwali. Myślę o innej możliwości spotkania z nimi wszystkimi, specjalnym zaproszeniu, które mogliby zaakceptować. Dam ci znać, jak coś wymyślę.

Telefon komórkowy Savicha głośno zagrał piosenkę *Camptown Race*. Kiedy się rozłączył, powiedział:

- Pamiętasz Rodericka Lloyda, radosnego prostaka z bronią z warsztatu Roya Boba w Parlow? Ollie mówi, że pójdzie na współpracę. Zezna, że to Perky powiedziała mu, co ma robić.

- Wszystko pięknie - mruknęła Sherlock. - Ale czy on wie, kto wynajął Perky?

- Nie.

- To bardzo sprytnie pomyślane.

- Adwokat Lloyd pomyślał, że Perky go nie wyroluje, bo nie żyje, więc dlaczego nie współpracować? Widok prawnika przy pracy zawsze cieszy moje serce - powiedział Savich.

Uśmiechnęła się szeroko i oparła głowę o zagłówek. Poczula wiatr we włosach i na twarzy. Spojrzała na męża i powiedziała:

- Jest sobota. Weźmy Seana i chodźmy pograć w futbol do High Banks Park.

- Sean radzi sobie coraz lepiej. - Już nie próbuje wskakiwać nam na plecy. W sumie seks i drzemka mogły poczekać.

- High Banks Park? Czemu nie?

Rachael i Jack stali w drzwiach, Jack pożądlawie spoglądał na porsche Savicha, którym właśnie wyjeżdżał na ulicę. Rozejrzył się po dobrze oświetlonej dzielnicy.

Było cicho i spokojnie. Jednak...

- Idę się rozejrzeć, dobrze? Rachael pokiwała głową.

- Idź. Ja tutaj posprzątam. Bądź ostrożny, Jack.

Skinął głową i podążył w stronę boku domu. Ona wróciła do salonu, podniosła dwie poduszki z angielskiego jedwabiu i ostrożnie odłożyła je na sofę. Rozejrzała się po tym wspaniałym pokoju. *Ten dom jest teraz mój*, pomyślała, nadal do końca w to nie wierząc. Ale nie mogła zapomnieć, ile ją to kosztowało. Miała tylko sześć tygodni z Jimmym. Ze swoim ojcem. Właśnie upychała pudełka po pizzy do kosza na kartony w spiżarni, kiedy usłyszała głos Jacka:

- Wygląda na to, że teren jest czysty.

- Tu jestem!

- Wiesz - powiedział, wchodząc do kuchni. Po chwili zatrzymał się, po raz kolejny urzeczony warkoczem Rachael, opadającym na policzek. - Było miło gościć tutaj Savicha i Sherlock. Widzę Seana, czepiającego się swojej matki, żeby powalić ją na ziemię...

- ... i zapewniającego ją, że musiał to zrobić, bo nie pomyślał, że dotyk ją powstrzyma...

- ... a Savich stoi nad nimi i zanosi się od śmiechu. Rachael zaparzyła herbatę, podczas gdy Jack włożył naczynia do zmywarki.

- Wiesz, co właśnie przyszło mi do głowy? Zastanawiałam się, jak wyglądałaby Laurel, gdyby zmieniła styl ubierania się, ufarbowała włosy i zaczęła się malować.

- To się raczej nie stanie, dopóki jest żoną Stefanosa - powiedział Jack. - Mnie się wydaje, że ten facet był dupkiem od samego początku.

- Zastanawiam się, dlaczego dotąd go nie wykopała? Nie rozwiodła się z nim i nie odesłała z powrotem do Grecji? Jack wzruszył ramionami.

- Może zrobi to teraz, kiedy jej ojciec zmarł. Może to on zmuszał ją do tego, żeby z nim była. Rachael podała Jackowi dwie czyste szklanki.

- Naprawdę myślisz, że to staruszek Abbott kazał jej trwać w małżeństwie z Kostasem?

- A z jakiego innego powodu miałyby go znosić? Poza groźbami ojca?

- Cóż - zastanowiła się Rachael. - Jej ojciec skutecznie odizolował mojego ojca od

mojej matki i zastraszył ją, kiedy przysłał ten przeklęty czek. - Rachael zauważyła, że jej głos zaczął drżeć. Staruszek, wielkie nieba, przecież był jej dziadkiem, nie żył, jego najstarszy syn również. Nic nie mogło tego zmienić. A ona mieszkała w ich domu, sama, w domu, o którym do niedawna nawet nie wiedziała. - Pamiętam, że Jimmy powiedział mi, że kiedy Laurel poznała Stefanosa, naprawdę się w nim zakochała i nie dostrzegła, że jest zepsuty.

Jack odwrócił się od zmywarki.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że staruszek dokładnie go nie sprawdził i nie zauważył, że coś z nim nie tak. Dlaczego pozwolił Stefanosowi poślubić swoją córkę?

- Dobre pytanie. Jimmy twierdził, że Stefanos był w tarapatach i potrzebował sporej ilości pieniędzy. Laurel była rozwiązaniem jego problemów. A ona najwyraźniej była na niego bardzo napalona. Miała już trzydzieści pięć lat, jej zegar biologiczny tykał.

Rachael podniosła dwie serwetki, które Jack wyrzucił do prania, i zaczęła je uparcie składać i rozkładać. Przyglądał się jej przez chwilę.

- One są brudne, Rachael - powiedział.

- Co takiego? Aha, serwetki. Są takie piękne, tak misternie wykonane i... Zagapiłam się. Jutro je upiorę. Ręcznie. - Ułożyła je delikatnie na kuchennym blacie. - Jimmy pokazywał mi zdjęcie Laurel, kiedy była młoda. Nie była zbyt ładna, ale była taka uśmiechnięta, pełna nadziei. Powiedział mi, że małżeństwo ze Stefanosem sprawiło, że jest taka, jak teraz. To smutne.

- Smutne? - Jack uniósł ciemną brew. - Daj jej jakiś ostry przedmiot, a bez skrupułów poderżnie ci nim gardło, Rachael.

- Tak, wiem. Wiem też, że jest zdolna do zabójstwa w afekcie, bo raz już zdążyłam odczuć jej wściekłość na własnej skórze. Nic przyjemnego. Jestem w stanie wyobrazić sobie, jak wpada we wściekłość, kiedy Jimmy oznajmia jej, że ma zamiar publicznie opowiedzieć o tym, co zrobił.

- Mogła go zabić - dla siebie, dla swojej rodziny, dla dobra firmy albo z tych wszystkich powodów. Ale jej mąż? Pewnie nawet się tym nie przejął. Czy go to w ogóle obchodzi? A Quincy? Wydaje mi się, że w jego głowie roi się od dziwnych rzeczy, ale żeby był zdolny zabić własnego brata? Nie sądzę.

- Gdyby to Laurel była prowodyrem, to na pewno chciałyby pozbyć się też mnie. Mogłabym powiedzieć jej i Quincy'emu, że nie mam zamiaru ujawnić tego, co zrobił Jimmy, ale... - Rachael wzruszyła ramionami. - Na razie sama nie wiem, co zrobię. Pewnie mogłabym ich okłamać, że się rozmyśliłam. Nie jestem w tym zbyt dobra, ale mogłabym ćwiczyć dotąd, aż uda mi się przekonać siebie. Za to wuj Gillette jest w tym mistrzem. Mógłby wyłgać się

nawet, że nie jadł mięsa, podczas gdy tłuszcz z bekonu ściekałby mu po brodzie.

Jack uśmiechnął się.

- Przez tyle lat pracy w FBI nauczyłem się, że często ludzie nie są tym, kim się wydają. Zobaczymy. Nie zapominaj, że dwoje ludzi cię niosło i wrzuciło do jeziora. Wiemy na pewno, że jedną z nich była Perky. A kim była druga? - zastanawiał się, otwierając lodówkę i wyjmując z niej parmezan.

- Na środkowej półce są krakersy - Rachael wskazała jedną z kuchennych szafek.

Położywszy na krakersie plaster sera, wręczył go jej, potem zrobił sobie taki sam. Oparł się o kuchenny blat.

- Savich powiedział, że nawet MAX nie jest w stanie odszyfrować tych inicjałów i numerów z notesu Perky. Kto wie, co to wszystko znaczy? Rachael ugryzła krakersa.

- Tak się zastanawiałem, Rachael - zaczął Jack.

- Nad czym?

Otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć, ale zrezygnował, po czym zrobił sobie kolejnego krakersa z serem.

- Nad czym, Jack?

- Nad niczym. Jestem zmęczony. Wydaje mi się, że dziś w nocy oboje będziemy dobrze spać.

- A co będziemy robić jutro?

- Ja wrócę do nudnej, rutynowej pracy śledczej, czyli szczegółowo prześwietlę wszystkich związanych ze sprawą i znowu przyjrzę się Perky i całej jej wesołej drużynie.

Rachael umyła ręce i wytarła je ręcznikiem. Odwróciła się twarzą do kuchennego okna i spuściła głowę.

- Przykro mi.

Przyciągnął ją do siebie, ciągle odwróconą do niego plecami.

- Nie bądź głuptasem. Masz prawo być wkurzona. Wiedział, że to był błąd, jednak to zrobił - powoli odwrócił ją twarzą do siebie i potrząsnął lekko. Był zaskoczony tym, jak bardzo do niego pasowała, jakby została dla niego stworzona. Ale to było głupie. Nie powinien był tego robić. Nie myślał racjonalnie. Po prostu chciał ją pocie - szyć, i nie było w tym nic złego. Być może on też go potrzebowała.

- Nie wzbraniaj się, Rachael. Jestem twoim przyjacielem, a przyjaciele sobie pomagają. Pamiętasz, jak pomogłaś mi i Timothy'emu, kiedy rozbił się nasz samolot? Wtedy nawet nie wiedziałas, jaki świetny facet ze mnie; uratowałaś nas, dzięki tobie nie spłoneliśmy żywcem.

Roześmiała się i pocałowała go w szyję, po czym potem zamarła.

- O rany, Jack, przepraszam. Nie chciałam tego zrobić. To się po prostu stało. To znaczy, jesteś tutaj, żeby mnie chronić, a nie się angażować... - wyszeptała słabym głosem.

- Raczej nie - odparł Jack.

Wiedział, że wyczuwała, jak bardzo chciał być zaangażowany, właściwie to miał ochotę zupełnie się z nią zapomnieć, może nawet na tym pięknym dębowym kuchennym stole.

Pocałował ją, a ona - a niech ją! - odwzajemniła pocałunek. Smakowała krakersami i parmezanem i jeszcze czymś, słodkim i trudnym do określenia. Potem nagle odepchnęła go, kładąc dłonie na jego klatce piersiowej.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę ot tak narażać cię. Jesteś agentem FBI. Na pewno w stosunku do ludzi, których ochraniaś, obowiązują jakieś zasady, prawda?

- Nie.

Znowu przyciągnął ją do siebie i oparł czoło o jej czoło.

- Nie ma żadnych szczególnych zasad poza zdrowym rozsądkiem, co w każdej sytuacji może oznaczać coś innego, prawda? Hej, jesteś całkiem wysoka. To dobrze.

- Jestem całkiem wysoka. A jak włożę buty na wysokich obcasach, będę mogła całować twoje brwi. Zaraz, czy ja powiedziałam to na głos?

Zaśmiał się głęboko.

- Owszem, powiedziałaś. Możesz to robić, kiedy tylko zechcesz.

Pogładziła go po policzku, a on poczuł jej dotyk w głębi ciała. Wiedział, że powinien w tej chwili ją puścić, jednak nie zamierzał tego zrobić. Znowu dotknął czołem jej czoła.

- Nie jestem nastolatkiem, któremu buzują hormony. Masz rację, to nie jest najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy w tej chwili zrobić.

Zaklął siarczyście pod nosem. Imponujące, pomyślała, i uśmiechnęła się. To było w stylu wujka Gillette. Przypomniała sobie, jak przeklinał zające, które dostały się do jego skrzynek z pomidorami i dokopały się aż do dna, i jak jej mama krzyczała na niego, że niektóre małe dziewczynki mają bardzo dobrą pamięć. Rachael cofnęła się powoli.

- Cieszę się, że nie jesteś hazardzistą - szepnęła. Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Odprowadził ją do sypialni, potem przez chwilę przyglądał się jej ustom.

- Cieszę się, że zauważyłaś, że w niczym nie przypominam tego kretyna, twojego byłego narzeczonego. Dobranoc, Rachael, padam z nóg.

- Jesteś zupełnie inny niż on. Ja też jestem zmęczona. Wyciągnął rękę, opuścił ją i cofnął się.



- Do zobaczenia rano, Rachael. Spij dobrze.

Ku jej zaskoczeniu i rozczarowaniu, wyszedł i zamknął drzwi. Była tak podekscytowana, gotowa zapomnieć się z nim - że wątpiła, czy uda jej się zasnąć. Jednak w przeciągu dziesięciu minut zapadła w sen.

*Ciemna woda zamknęła się ponad jej głową, coś ciągnęło ją w dół, nie mogła się zatrzymać, aż uderzyła o dno, mącąc szlam, który oślepił ją, aż powoli opadł z powrotem na dno. Wiedziała, że umrze, nieistotne, czy uda jej się wstrzymać oddech na dziesięć minut czy dłużej, i tak umrze. Nie, nie chciała umierać, nie chciała...*

Zerwała się i usiadła na łóżku, oddychając ciężko i głośno. Ale nie była na dnie jeziora Black Rock. Nie tonęła. Była tutaj, w domu Jimmy'ego, w swoim łóżku, ale... Co ją zbudziło? Cokolwiek to było, była za to wdzięczna. Ale co to było? Musiała usłyszeć coś, czego nie powinno tutaj być, coś, co nie było częścią konstrukcji domu. Zamarła, nasłuchując.

To był Jack, pomyślała, próbował zachowywać się cicho, żeby jej nie obudzić. Pewnie sprawdzał alarm, zamki w drzwiach, albo może lepiej mu się myślało, kiedy chodził.

Rozluźniła mięśnie, ale nadal nasłuchiwała. Zrozumiała, że od czasu jej na szczęście krótkiej podróży na dno Black Rock, nie mogła poczuć się zupełnie bezpieczna, nawet z Jackiem w pobliżu. Jej mózg nieustannie pracował, analizował, oceniał, chcąc wiedzieć, czy ktoś nie próbuje jej zabić.

Nagle złapała się na tym, że wstrzymywała oddech, zupełnie tak, jak wtedy, gdy leżała na dnie jeziora. Wstała z łóżka i postanowiła iść do Jacka, żeby... co? Żeby ochronił ją przed jej własnymi lękami, czy kochał się z nią i żeby nie była w stanie myśleć? Zamarła nagle i znowu zaczęła nasłuchiwać.

Na korytarzu było cicho. Nocne letnie powietrze było słodkie i nieruchome. Jej koszmarne sen wywołał złe duchy, były tak blisko, że ją obudziły. Wyjrzała przez okno. Księżyc rozświetlał niebo. Patrzyła na ten księżyc i nasłuchiwała. Przez minutę, potem kolejną.

Nic. Położyła się z powrotem do łóżka i próbowała się odprężyć. Czekala. Oddychała głęboko, ale ciągle dręczyło ją pytanie - *Kto próbował mnie zabić?* Jej myśli krążyły wokół tego, aż w końcu jej oddech uspokoił się, a głowa opadła na bok.

Usłyszała jakiś hałas, słaby odgłos kroków. Czy Jack stał przed jej drzwiami z dłonią na klamce, chciał tu wejść i kochać się z nią? Cóż, to była całkiem przyjemna myśl.

To nie był Jack. Wiedziała, że to nie był Jack. Pochyliła się i powoli odsunęła szufladę w nocnej szafce. Narobiła tyle hałasu, że obudziłaby zmarłego. Spokojnie, tylko spokojnie. Sięgnęła do szuflady i wymacała tam chłodną broń Jimmy'ego i podniosła ją.

Czy znowu słyszała kroki, tym razem oddalające się? Nie, niczego nie słyszała. Wydawało jej się. Musiała wziąć się w garść, uspokoić się, pomyśleć, nie pozwolić się zastraszyć. Znowu coś usłyszała. Przełknęła ślinę i powstrzymała krzyk. Jeżeli teraz zaczęłaby krzyczeć, wiedziała, że Jack natychmiast przybiegłby do niej. Czy zdążyłby zabrać ze sobą broń? A co z tą osobą, która teraz prawdopodobnie stoi pod jej drzwiami i nasłuchuje? A może odwróci się i strzeli do Jacka? Nie, nie będzie go w ten sposób narażała.

Leżała i czekała. Rozluźniła uścisk na pistolecie. Zamarła. *Gdzie jesteś, sukinsynu?* Zaraz, może on wcale nie był pod jej drzwiami, może... Odwróciła głowę i znowu spojrzała w stronę okna, na jasny księżyc i przesłaniające go ciemne chmury. Coś się poruszyło, coś za oknem, obok wielkiego dębu, może ktoś siedział na tym drzewie, zbliżał się do niej, chciał ją zabić. Nie miała swojego pistoletu. Gdzie go zostawiła? Jak miała się obronić bez pistoletu? Wyjęła go z szuflady w nocnej szafce i trzymała w dłoni, ale w tej chwili go nie miała.

Nie mogła znaleźć swojego pistoletu. Może odłożyła go z powrotem do szuflady? Gwałtownie sięgnęła do szuflady, ale nie mogła jej znaleźć, nie było tam nic oprócz ciemności, która ogarniała ją, przenikając przez zamknięte okno. Krzyknęła.

- Rachael! Obudź się! Do cholery, obudź się!

Straciła panowanie nad sobą, krzyknęła jeszcze raz. Jack poklepał ją po policzku i potrząsnął nią.

- Obudź się, Rachael! No dalej. - Dławiła się, patrzyła na niego spanikowanymi oczami. - Oddychaj, do cholery, oddychaj!

Gwałtownie zaczerpnęła powietrze. Oparła się o niego.

- Już dobrze kochana, już dobrze.

Wtulila się w niego zaciskając ręce na jego plecach. Nie było mowy, żeby go puściła, nawet jeśli nazwał ją kochana.

- Kochana? - wyszeptała w jego ramię. Jego nagie ramię. Rękami obejmowała jego nagie plecy. Nagle „pstryk” i włączyła się rzeczywistość.

- Tak, kochana brzmi dobrze, prawda?

- Nie masz na sobie koszuli, Jack.

- Nie, tylko bokserki. A i one są dość kuse. Pocałował jej skroń.

- Rachael, miałaś koszmarne sen. Możesz mi o nim opowiedzieć?

- Daj mi chwilę, jeszcze chwilę - powiedziała i odetchnęła głęboko.

Cały czas trzymał ją w ramionach, gładząc plecy. Po chwili odezwała się ciągle wtulona w jego ramię:

- Usłyszałam go po drugiej stronie okna. Wiedziałam, że tu przyjdzie, a ja nie mogłam znaleźć pistoletu, nocna szafka nie stała na swoim miejscu, nie było tutaj nic, tylko ciemność i ja zostałam w nią wciągnięta, nic nie widziałam, ale wiedziałam, że on przyszedł żeby mnie zabić, cholera, wpadłam w histerię i sen się urwał. Nigdy wcześniej nie histeryzowałam. Zawsze kpiłam z ludzi, którzy wpadają w histerię.

- Histeria nie zawsze jest zła. Miałaś sen. Oddychaj spokojnie, nic nie mów. Oddychaj powoli, wdech i wydech. Dobra dziewczynka.

Skupiła się na oddychaniu, nie myśląc o tym, co zdarzyło się w koszmarze, ale było tak realny, że nadal go czuła.

- O właśnie - powiedział jej do ucha. - Skup się na sobie, wiesz, jak to zrobić. Ja naprawdę jestem tutaj z tobą, to już nie jest ten cholerny sen.

- Tak. Jesteś prawdziwy.

Uśmiechnął się, kołysząc ją lekko i wyjrzał przez okno. Noc była cicha, wiał jedynie lekki wiatr, nic poza tym. Ale nagle wiatr wzmógł się, pochylając gałęzie drzew w stronę

domu. Może to liście uderzyły o szybę. Włączył się alarm, wyjąc długo i przeciągle. Rachael odwróciła się gwałtownie, a jej warkocz uderzył go w policzek.

- Ktoś jest w domu. Jack, musimy się pospieszyć, ktoś jest w domu.

- Uspokój się, Rachael. Po prostu wyłącz alarm.

Jack wyszedł z sypialni, zanim ona wyskoczyła z łóżka i podbiegła do panelu znajdującego się na ścianie sypialni.

- Nie ruszaj się! - usłyszała jego krzyk.

Nie mogła zmusić palców do pracy. Spróbowała raz jeszcze, wystukując pięć cyfr. Alarm natychmiast ucichł. Słyszała, jak biegnie. Potem cisza. Stała w sypialni, w dłoni trzymając pistolet Jimmy'ego, aż nie mogła dłużej tego wytrzymać. Wciągnęła dzinsy pod koszulę nocną i zbiegła na pierwsze piętro, pochylona, z bronią gotową do wystrzału. Światła przy wejściu na korytarz były zapalone. Drzwi wejściowe otwarte. Zbiegając po schodach zapalała wszystkie światła, mierząc pistoletem wokół siebie, tak jak to widziała w telewizji. Poczła krople potu na czole. Bała się tak bardzo, że nieomal się dusiła. *Uspokój się.* Podbiegła do drzwi wejściowych i wyjrzała na zewnątrz. Nad jej głową świecił księżyc, wiatr nasilił się, wirując pośród liści i mierzwiąc jej włosy. Zobaczyła światło w domu państwa Danver po drugiej stronie ulicy. Światło zgasło. Pewnie obudził ich alarm, ale domyślili się, że nic się nie stało, i wrócili do łóżek. Stała na stopniach domu, pod stopami czuła chłód kamiennych płyt, nie ruszała się.

- Jack? Gdzie jesteś?

- Tutaj - powiedział, stając obok niej, aż się przestraszyła. Rozejrzała się wokół i miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Jak to zrobiłeś? Nie słyszałam cię. Nic ci nie jest? Widziałeś kogoś?

- Uciekł, zanim wybiegłem na zewnątrz. Zastąpiłem otwarte okno w gościnnej sypialni na końcu korytarza. Domyślałem się, że tam nie ma alarmu, bo to nie jest wejście. Obok okna jest wielki dąb, po którym mógł się wspinać. Kiedy krzyczałaś, on był już w domu. Zbiegł głównymi schodami i wybiegł przez drzwi wejściowe i to uruchomiło alarm. Rano poszukam śladów, zwłaszcza w pobliżu dębu. Mógł rozerwać sobie ubranie, może zostawił jakieś nici albo materiał na gałęzi. Może coś znajdziemy. Rachael?

Cała drżała.

- Co?

- Wejdz do środka. Zmarzłaś.

- Nie zmarzłam. Noc jest ciepła. Nawet się spociłam. Zaczęła dygotać. Jack wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem do domu.

- Podaj mi kod do alarmu.

Zamknął drzwi wejściowe i wstukał kod, reaktywując alarm. Potem zwrócił się do niej:

- Cieszę się, że wpadłaś w histerię, i że krzyczałaś. Usłyszałaś go. Podeszła do kredensu i nalała im obojgu brandy.

- Proszę. Oboje wypili.

Chwilę później w salonie zadzwonił telefon.

- Słucham. Mówi Rachael Abbott.

- Rachael? Tu Dillon Savich. Nic wam nie jest?

- Skąd wiesz, że coś się stało? - Spojrzała na telefon.

Na moment zapadła cisza, po czym Savich powiedział spokojnie:

- Przeczucie, po prostu czułem coś w kościach. Opowiadaj. Opowiedziała mu, co się wydarzyło, a później oddała telefon Jackowi.

- Co ci powiedziało twoje przeczucie, Savich? - zapytał Jack na wstępie.

- Powiedziało mi, że biegasz w samych gaciach wokół domu Rachael.

O godzinie dziesiątej w niedzielny poranek, zespół FBI do zabezpieczania dowodów spotkał się w domu Rachael i rozłożył swój kram wokół wielkiego dębu, na który wychodzi okno z gościnnej sypialni. Grupą kierował agent Clive Howard.

Savich, Sherlock i Sean siedzieli przy kuchennym stole, Sean obok swojej matki, pił kakao i jadł babeczkę waniliową.

- On jest zupełnie jak ty, Dillon, łakomy na babeczki - powiedziała Sherlock. Duża porcja dżemu spadła na stół, Sherlock zebrała ją szybko. Zwróciła się Rachael i Jacka: - Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, właśnie wypuszczali Tomlina. Powiedzieli, że ma się dobrze, on też tak twierdził. Twardziel z tego Tommy'ego, powinien odpocząć parę dni, ale bardzo chciał wrócić i pilnować doktora MacLeana.

- Biedna Sherlock - westchnął Savich. - Tomlin już nie patrzy na nią z taką czułością. Teraz to siostra Louise przyciąga jego spojrzenie. Ciągłe mówi o tym, jaka była szybka.

Wysłałem go, by zmienił agenta pilnującego Timothy'ego. Mogę się założyć, że Tomlin nie pozwoli personelowi szpitala, którego nie zna, choćby zbliżyć się do sali MacLeana.

- Niestety nie przyjrzał się facetowi, który wbił mu igłę w kark i nie mógł zidentyfikować zdjęć, które mu pokazaliśmy - dodała Sherlock.

- Tomlin to twardziel, nie mogę sobie wybaczyć, że coś takiego się stało - powiedział Jack. - Niewiele brakowało. Obu niewiele brakowało. Szkoda, że do mnie nie zadzwoniłeś, Savich.

- Myślałem o tym, ale nie mogłeś nic zrobić, Jack, więc zapomnij o tym.

- Nie mogę uwierzyć - wtrąciła się Rachael. - Że ktoś napada na doktora MacLeana w szpitalu. To szaleństwo. - Zamarła, uśmiechając się sztucznie. - Chyba ostatnio wokół jest mnóstwo szaleństwa.

Sherlock pokiwała głową.

- Po godzinach przesłuchań w szpitalu nadal nie mamy wiarygodnego świadka. - Wzięła babeczkę i ugryzła kawałek. Przewróciła oczami. - Hm, to jest przepyszne. Hej Sean, możesz podać mi dżem?

- Z piekarni GoodLight na Elm Street - poinformowała ją Rachael. - Jack je odkrył i przyciągnął do domu jakieś pięćdziesiąt tysięcy kalorii.

Savich kątem oka spojrzał na Seana i zobaczył, że jest skupiony na próbie złapania w pułapkę złego króla Zhor w „Lesie, z którego nie ma ucieczki”.

- Facet, który włamał się do twojego domu ostatniej nocy, dużo ryzykował, to było dla niego niebezpieczne, i to naprawdę mnie martwi - powiedział po chwili.

- Dillon ma rację - przytaknęła Sherlock. - Jeśli nie będziemy w stanie przewidzieć, co zrobi, nie będziemy mogli skutecznie cię chronić, a to oznacza, że potrzebujemy nowego planu.

- Twój krzyk, Rachael - powiedział Jack. - Z oczywistych względów musiał napędzić mu stracha. To doskonała pora na koszmary senne. Mnie też napędził stracha.

Rachael usiadła prosto, dłonie miała zaciśnięte tak mocno, że zbiały jej kostki.

- Może postaramy się o nakaz rewizji w zapisach księgowych Abbottów? Może natrafimy na dowód zapłaty Perky i jej zbirom. To pewnie były duże wypłaty gotówki, może i daty by pasowały.

- Przykro mi, Rachael, ale nie mamy wystarczających dowodów, żeby przeszukać choćby basen Abbottów - stwierdził Savich. - Kiedy wkraczasz na ścieżkę wojenną z ludźmi o ich pozycji, musisz być przygotowana na wszystko.

To oznacza, że musimy zmienić strategię, znaleźć inną drogę rozwiązania problemu. Oto, co proponuję. Zanim przyszedł tu dzisiaj rano, dostałem pozwolenie na rozmowę z wiceprezydentem. Powiedziałem mu, że wiemy o tym, że wszyscy członkowie Kongresu i prezydent są zaniepokojeni niedawnym stwierdzeniem, że senator został zamordowany. Roześmiał się i powiedział, że mam rację. Zapewniłem go, jak chcę to rozwiązać. Zdecydował się nam pomóc.

Wiceprezydent zgodził się zmienić jutrzejszy program wieczornego spotkania Jefferson Club i zmienić temat spotkania.

To będzie wyraz pamięci i uznania dla twojego ojca, Rachael. Niektórzy senatorowie będą zabierać głos. Jeśli chcesz, też możesz wystąpić. Kiedy mu powiedziałem, że nalegam, by Abbottowie byli obecni, nie rzekł nawet słowa. Wiceprezydent zgodził się wysłać im zaproszenia. To jest to, o co nam chodziło.

To wczorajsze włamanie, mimo twojej ochrony, pokazuje, że zabójca wydaje się zapominać o rozsądku. Nie wydawał się przejmować wysokim ryzykiem, które podjął. Tak, jak powiedziałem, on działa pochopnie i przez to jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Albo sobie z tym poradzimy, albo ukryjemy cię, obejmując programem ochrony świadków, Rachael. Stworzymy zabójcy kolejną okazję, ale w kontrolowanych przez nas okolicznościach. Może podejrzewać, że to pułapka, ale równie dobrze może dać się na to złapać. To, co wydarzyło się tutaj, skłania mnie do myślenia, iż pomimo że nasz zabójca idzie na całość, kieruje nim coś nieopanowanego.

Jeśli zgadzasz się jutro wieczorem zabrać głos w Jefferson Club, zawiadomimy media o kolacji poświęconej pamięci twojego ojca i o tym, że tam będziesz i przemówisz.

Media już się tobą interesują i ostrzą sobie zęby z każdym dniem, bo jak dotąd Jackowi udało się trzymać cię od nich z daleka.

A więc, Rachael, pytanie jest takie, czy jesteś skłonna podjąć ten, miejmy nadzieję, ostateczny krok? Jesteś skłonna zostać przynętą?

- Kiedy oznajmisz, że będę przemawiać, Abbottowie pomyślą, że zamierzam opowiedzieć o tym, co on zrobił - odparła Rachael. - Wtedy na pewno spróbują jeszcze raz, prawda? Czy to nie za mało czasu, nawet jak dla nich?

- Nie - odparł Jack. - Jeśli mają kontakty. Choć Perky i jej drużyna nie wchodzi w grę. Czy wymyślą coś do jutra wieczór? Wkrótce się przekonamy.

- Nie wierzycie, że nadal próbują mnie uciszyć, prawda? - zapytała Rachael. - To już nie ma znaczenia.

- Jesteśmy zgodni co do tego, że możliwość twojego „wyznania” nie stanowi już większego zagrożenia - stwierdził Savich. - Teraz, kiedy wiemy już wszystko, co ty wiesz, zabicie ciebie sprawiłoby, że twoja wersja wydarzeń stanie się bardzo prawdopodobna. Jeżeli utrzymanie tej historii w tajemnicy jest motywem zabójcy, jego ostatnią deską ratunku jest to, że nie wyjawisz tajemnicy swojego ojca, a FBI nigdy nie zdobędzie wystarczających dowodów, żeby kogokolwiek oskarżyć. I mogą mieć rację.

- Więc dlaczego ktoś nadal próbuje mnie zabić? - zapytała Rachael z rozpaczą.

- Biorąc pod uwagę jego wczorajsze zachowanie, uważam, że jeszcze nie jest pewny swojego prawdziwego motywu - powiedział Savich.

- Może i to ma sens, rozsądek mi to podpowiada, ale powiem wam, że cała ta sytuacja mnie przeraża. Jasne, że lepiej zająć pozycję obronną. Przynajmniej człowiek coś robi. Ale, Rachael, nadal jesteś w niebezpieczeństwie.

- Po tym, co się stało w nocy - wyznała Rachael - jestem gotowa na wszystko. Rano znalazłam siwy włos w moim warkocz. Powiedzcie tylko, co mam robić.

Jack uśmiechnął się do niej i pociągnął za warkocz. Savich miał coś powiedzieć, ale zobaczył, że Sean dochodzi do końca swojej gry komputerowej, podnosi do góry ręce i naciska dwa guziki. Potem rozległy się trzy gwizdy, coś dwa razy zatrąbiło i przeciągle zadzwoniło. Sean podskoczył na krześle.

- Zobacz, tato! Zhor wbiegł prosto do magicznego więzienia w „Lesie, z którego nie ma ucieczki”. Jest załatwiony.

- Ale może stamtąd uciec, jest sprytny i przebiegły, więc uważaj - ostrzegł Savich i



szeptem zwrócił się do Rachael:

- Jeżeli Laurel czy ktokolwiek inny nie znajdzie cię jutro w ciągu dnia, a na pewno spróbuje, będzie musiała zaatakować jutro w nocy. Może przed twoim wystąpieniem? Nie wiem.

- Mogę mieć w torebce pistolet Jimmy'ego?

- Jeżeli o mnie chodzi, to możesz mieć nawet maczetę - odparł Jack. - Jeżeli pistolet sprawi, że poczujesz się bezpieczniej, ja go wezmę, bo przy wejściu na pewno będą robić rewizję.

- No, to wszystko ustalone - powiedział Savich. - Mam przeczucie, że Abbottowie będą działać, Rachael. Rachael ugryzła kolejną babeczkę, i słysząc triumfalny krzyk Seana, któremu udało się wrzucić Zhora do bagna, miała nadzieję, że uda jej się doczekać wtorku rano.

Wstała i oparła dłonie na blacie kuchennego stołu.

- Późno się zrobiło, a ja mam przemówienie do napisania. Muszę wykombinować, jak tu nie spanikować przed tymi wszystkimi grubymi rybami.

Wtedy ktoś zapukał do tylnych drzwi.

Jack podszedł do drzwi, wyrzwał przez wizjer i otworzył je.

- Hej, Clive, masz coś?

W drzwiach stanął Clive Howard, prawdziwy weteran, od dwudziestu lat w FBI, jeden z najlepszych ekspertów medycyny sądowej. Miał prawie dwa metry wzrostu, był chudy i miał szeroki uśmiech.

- Oczywiście, że coś mam - powiedział z najsilniejszym południowym akcentem, jaki Rachael kiedykolwiek słyszała.

- Spójrz na to. - Clive wręczył mu mały, poszarpany skrawek materiału. - Nasz delikwent powinien był bardziej uważać, kiedy wspinał się po tym dębie. Jeżeli zauważył już rozdarcie w swojej kurtce, pewnie się jej pozbył, a jeżeli nie, pomoże ona nam go zidentyfikować. Myślę, że ten skrawek pochodzi z lekkiej kurtki, i to ma sens, bo noc była raczej ciepła. Włókno syntetyczne, bez dodatku bawełny.

- Wiem, że to mały kawałek, ale czy ten materiał wygląda na nowy, Clive? - zapytała Sherlock.

- Jak na moje niezbyt wprawne oko - uśmiechnął się do Sherlock - powiedziałbym, że jest dość nowy. Sprawdzimy to, ale idę o zakład, że nie był prany chemicznie. Nie nadaje się do noszenia zimą, więc to prawdopodobnie wiosenny zakup, może sprzed trzech, czterech miesięcy.

- Dzięki niebiosom za ciebie, Clive - powiedział Savich, w geście toastu unosząc filiżankę z zieloną herbatą. Clive rozpromienił się.

- Wiemy też, że nasz chłopiec naprawdę jest chłopcem - nosi buty rozmiar dziesięć, chodzi z naciskiem na pięty, to kawał chłopca, waży jakieś osiemdziesiąt kilogramów, ale nie jest zbyt wysoki - tak twierdzi Mendoza, który jest w stanie określić rozmiar stopy goryla dyndającego na drzewie w lesie.

- Las? - wtrącił nagle Sean. - Czy ktoś jeszcze jest uwięziony w „Lesie, z którego nie ma ucieczki”?

Rachael pomyślała, że życie toczyło się dalej, i roześmiała się, a Savich szybko wyjaśnił Clive'owi, o co chodzi w grze komputerowej Seana.

- Wiesz, Sean - powiedział Clive. - Moja mała córeczka uwielbia Zhora i „Las, z którego nie ma ucieczki” i próbuje go zniszczyć za każdym razem, kiedy uda jej się zjeść swoją porcję warzyw.

Sean westchnął.

- Tata musiał mi trochę pomóc.

- W porządku, ja też czasami pomagam mojej córeczce.

- Nie jest taka duża jak ja?

- Tak, jest duża. Właśnie skończyła osiemnaście lat. Sean zachichotał. Savich wstał i mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Podziękuj wszystkim, że zechcieli tutaj przyjść w niedzielę rano, Clive.

- Wszystko dla dobra sprawy - odparł Clive, skinął do wszystkich, a do Seana powiedział: - Hej, szkrabie, powodzenia w pokonaniu Zhora. I wyszedł.

- Mogę zobaczyć ten materiał? - zapytała Rachael. Savich podał go jej. Był to ciemnobrązowy, gładki materiał, szykowny, pomyślała Rachael.

- Materiał syntetyczny czy nie, facet, który go nosi, ubiera się elegancko - zawyrokowała. Komórka Savicha zadzwoniła, wygrywając melodię z Harry'ego Pottera.

- Savich, słucham? Co takiego? Słuchaj, Tommy, odprowadź doktora MacLeana do jego sali i upewnij się, że tam zostanie. Trzymaj tego dziennikarza z daleka od niego, i nie wpuszczaj go, dopóki nie przyjadę. Tak, dobrze, rozumiem. Tak, już jedziemy.

Savich spojrzął na pozostałych zrezygnowany.

- Doktor MacLean opowiedział dziennikarzowi o tym, że kongresmenka Dolores McManus zamordowała swojego męża.

*Szpital im. George'a Waszyngtona*

Zostawili Seana u jego babci, która natychmiast wyciągnęła go do kościoła, szepcząc mu do ucha, że zrobiła dla niego sałatkę ziemniaczaną. Wtedy Sean rozpromienił się i obiecał jej z przejęciem:

- Nauczę cię, jak złapać Zhora, babciu. Musisz zaprowadzić go do „Lasu, z którego nie ma ucieczki” i okręcić wokół jego szyi małpią winorośl.

- Zapowiada się wspaniały dzień - podsumowała babcia. Dochodziło południe, kiedy stanęli przy szpitalnej windzie.

Sześć osób w środku przesunęło się w głąb windy, robiąc im miejsce. Naciskając guzik, Savich powiedział cicho:

- Ollie przegląda zakupy Laurel, Quincy'ego, Brady'ego Cullifera, Grega Nicholasa i jeszcze trzech byłych pracowników senatora. Zobaczymy, czy wśród nich nie ma ładnej, brązowej kurtki.

- To mógł być wynajęty bandyta, Dillon.

Kiedy winda zatrzymała się na ich piętrze, wysiedli.

- Porozmawiam z doktorem MacLeanem, Dillon, a ty zajmij się dziennikarzem - poprosiła Sherlock. - Postrasż go porządnie, dobrze?

- Nie ma sprawy.

Dziennikarzem okazał się Jumbo Hardy z Washington Post, cwany, dobrze odżywiony dupek o wymiarach zapaśnika sumo. Był bystry i miał gadane. Zawsze wyglądał na śniętego i wczorajszego, jakby nie spał przez tydzień - Savich doskonale znał ten stan.

Jumbo uśmiechnął się szeroko, machając do niego swoją wielką dłonią.

- Widzę, że wytoczyliście ciężkie działa.

- Jestem zaskoczony, widząc cię ponownie tak szybko, Jumbo - powiedział łagodnie Savich. - Czy ty w ogóle sypiasz?

- Więcej od ciebie - odparł Jumbo. - Nie wydaje mi się, żebyś przebił swoją konferencję prasową, ale zobaczyć, jak osobiście przyjeżdżasz, żeby się mnie pozbyć... co tu się dzieje, Savich?

- Witaj, Jumbo. Tak, zwróciłeś moją uwagę. Cieszę się, że mogłeś zostać.

- Wasz chłopak nie dał mi wyboru, powiedział, że aresztuje moje dupsko i zaniknie w schowku na szczotki na czwartym piętrze budynku Hoovera. Dodał, że znajdą mnie dopiero za miesiąc. - Jumbo uśmiechnął się do Savicha, szczerząc zęby. - Właśnie sprawdzałem

kongresmenkę McManus. - Poklepał swojego laptopa. - Wprawdzie to nie MAX, ale wciąż mogę znaleźć w nim mnóstwo informacji, takich, jak szczegóły śmierci jej męża. Słyszałem od jej zaufanego psychiatry, że zapłaciła jakiemuś zbirowi z Savannah, żeby sprzątnął jej starego. To jest sensacja, agencie Savich, wielka sensacja.

- Wiem, że nie napiszesz o tym, dopóki nie będziesz miał stuprocentowej pewności. A wiesz, że nigdy takiej pewności nie zdobędziesz. Posłuchaj Jumbo masz świadomość, że doktor MacLean cierpi na demencję, i z powodu choroby mówi o rzeczach, o których mówić nie powinien, nawet o takich, które nie miały miejsca. Wiesz również, że były zamachy na jego życie...

- Tyle zamachów, że my, biedni reprezentanci narodu, nie nadążamy za nim - powiedział Jumbo. - Ta historia z wczorajszej nocy to dla was porażka, chłopaki, chodzi mi o to, że agent FBI dostał zastrzyk odurzający, nie wspominając o pozostałym gównie. I ratująca sytuację pielęgniarka. O co tu chodzi?

- Hamuj, Jumbo. Już złożyliśmy oświadczenie.

- Ludzie mają prawo wiedzieć, Savich, zawsze to powtarzam. Słyszałem pogłoski o jego chorobie, ale nikt nigdy ich nie potwierdził. Prawdę mówiąc, to dlatego nie miałem nic przeciwko temu, żeby zostać. Wiem, że on jest poważnie chory, i że to, co on mówi, jest prawdopodobnie nieprawdziwe i nie kontroluje siebie. Porozmawiaj ze mną, powiedz mi, co się stało.

- Nieoficjalnie?

- Jeśli się zgodzę, kiedy będę mógł to wykorzystać?

- Kiedy wszystko się skończy. No dobra, Jumbo, potrzebuję twojej pomocy. Jumbo zagwizdał, założył ręce za głowę i skrzyżował nogi.

- Jak to? Ty potrzebujesz mojej pomocy? Świat się kończy. W życiu bym nie zgadł, o co w tym chodzi.

Sherlock znalazła doktora dąsającego się w swoim pokoju. Neurolog, doktor Shockley, sprawdzał odruchy MacLeana, mrucząc coś pod nosem. MacLean ignorował go. Zmrużył oczy, kiedy Sherlock weszła do pokoju. Wyglądało na to, że miał zamiar użalać się nad sobą. Doktor Shockley wyprostował się.

- Wszystko w porządku, doktorze MacLean, pomimo emocji - powiedział.

Sherlock przedstawiła się, poczekała, aż wyszedł z sali i przeciągle spojrzała na MacLeana. Zanim zdążył ją zaatakować, Sherlock zwróciła się do niego tak, jak do Astro:

- Niedobry piesek MacLean, bardzo niedobry piesek.

- Niedobry piesek? - powtórzył powoli MacLean. - Niedobry piesek? To nawet zabawne, agentko Sherlock, ale dokładnie o to chodzi. Nie jestem pani cholernym psem. Jeśli chcę rozmawiać z dziennikarzami, FBI nie ma nic do gadania. To jest tylko rozmowa, krótka rozmowa z inną czującą istotą ludzką, on jest dziennikarzem, a ja byłem gotów wszystko powiedzieć.

- Hej, to też było całkiem zabawne. Skończyłeś? - Kiedy chciał mówić dalej, Sherlock uciszyła go ruchem dłoni. - Rozumiem cię, Timothy, naprawdę rozumiem. Ale musisz mi uwierzyć - to był błąd. Złamałeś tajemnicę lekarską, opowiadając o tym dziennikarzowi. Postaraj się zastanowić nad tym przez chwilę. Właśnie dlatego ktoś próbuje cię zabić. Rozumiesz, że twoja rozmowa z Jumbo była nie na miejscu?

MacLean wzruszył ramionami. Wyglądał na rozdrażnionego. Należało więc przyjąć inną taktykę. Sherlock puknęła go w ramię.

- Słyszałam, że twoja żona mocno zdenerwowała się tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Nie chciała zostawić cię samego.

- Ach, tak. Ta głupia Molly, ciągle się tu kręci, sprawdza mi puls, gałki oczne, ogląda moje cholerne nogi. Mówi, że trzeba mi przyciąć paznokcie u stóp. Nie zasługuję na to, nic nie zrobiłem, no prawie nic, przynajmniej nic istotnego.

- Kazał jej pan znaleźć kochanka, bo uważa pan, że jest odrażająca. Wzruszył ramionami.

- No cóż, faktem jest, że dziwnie pachnie *Spadaj na drzewo*, pomyślała Sherlock.

- Ona cię kocha.

Bardzo długo milczał, po czym odparł:

- Nie, nie kocha.

- Co masz na myśli?

MacLean położył głowę na poduszce i zamknął oczy.

- Kiedy dowiedziała się, co się dzieje z ludźmi cierpiącymi na tę chorobę, prawie mnie zostawiła. Wszyscy uważają, że taka z niej święta, bo sterczy tu nade mną, ale ja znam prawdę. Wiem, że wyprowadziła wszystkie pieniądze z naszych wspólnych kont bankowych. Wiem, że ma kochanka. Problem w tym, że nie bardzo może zostawić mnie w tym podłym stanie, tak? - Zamilkł i wzruszył ramionami. - Za tym nie stoi Pierre ani Dolores. Nie. To Molly próbuje mnie zabić.

- To największa bzdura, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałam, Tim, i wiesz o tym. I Bóg mi świadkiem, że usłyszałam już od ciebie dość kłamstw!

Molly MacLean stała w drzwiach z rękami założonymi na biodra. Jej twarz była purpurowa ze złości.

- Pani MacLean - powiedziała Sherlock, uśmiechając się do niej. - Wyjdzie pani ze mną na chwilkę?

- Jeśli zostanę w jednym pokoju z tym... osobnikiem, mogę go zabić! - krzyknęła Molly i pogroziła mężowi pięścią.

- Wychodzimy, agentko Sherlock. Proszę mnie stąd zabrać, bo nie ręczę za siebie.

Savich znalazł Sherlock i płaczącą Molly w pokoju pielęgniarek. Sherlock spojrzała na niego.

- Cześć, Dillon. Myślę, że powinniśmy spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Prawda, pani MacLean? Molly przetarła oczy.

- Tak, jeszcze raz zebrałam wszystko do kupy. Tak łatwo można zapomnieć, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi, i nie pojmuję, jak jego słowa mogą ranić. A kiedy usłyszałam, w jaki sposób mówi o mnie do pani... przepraszam. O Boże, jest taki chory, tak niepodobny do siebie. Czasami nie mogę tego znieść. - Molly zasłoniła twarz dłońmi i zaszlochała.

Sherlock wstała i przytuliła ją, szepcząc jej do ucha, że to nonsens. To ją uspokoiło. Molly uwolniła się z objęć Sherlock, wytarła nos i oczy.

- Przepraszam za moje zachowanie. Zamoczyłam pani bluzkę. Przez tę sytuację jestem nieszczęśliwa, ale wiem i rozumiem, że on nie może nic na to poradzić.

- Trzyma się pani nadzwyczaj dobrze, zważywszy na okoliczności, pani MacLean - powiedział Savich i naprawdę tak myślał.

- Z jakichś powodów doktor MacLean był dziś zdenerwowany - zauważyła Sherlock. - Zadzwoił do dziennikarza i zaatakował panią słownie, prawdopodobnie dlatego, że ja i Dillon popsuliśmy mu zabawę. Przykro nam. - Sherlock uściśnęła Molly. - Robi pani

wszystko, co tylko może.

Westchnęła i podeszła do okna. Objęła się za ramiona.

- Tak, robię, co mogę. Biedny Tim, znalazł się w potrzasku, i przez większość czasu nawet nie orientuje się, co się z nim dzieje. Rozmawiałam z jego lekarzem w Duke, zobaczcie, co mi dali. To naprawdę nie jest nic przyjemnego. Trzydzieści minut później, kiedy Savich wyjeżdżał swoim porsche ze szpitalnego parkingu, powiedział.

- Jumbo Hardy zgodził się trzymać to w tajemnicy. Natychmiast zamieści oświadczenie Rachael w Washington Post.

- Co mu obiecałeś? Uśmiechnął się do niej.

- Bardzo szybko oprzytomniał, kiedy wyjaśniłem mu, na co choruje Timothy. Wiedział również, że nie ma źródła, które mógł zacytować. Jednakże obiecałem mu wyłączność, za zgodą FBI, oczywiście, kiedy złapiemy tego, kto próbował zabić Timothy'ego.

- Zabrałam telefon z pokoju Timothy'ego. Od teraz będzie musiał poprosić pielęgniarkę, żeby wybrała za niego numer. Pielęgniarki będą musiały być czujne.

- Chcesz powiedzieć kongresmence McManus, że ledwie udało jej się uciec spod topora? - zapytał Savich.

- Jest szansa, że ci podziękuje - pogładziła go po ramieniu. - To niedługo się skończy, Dillon, obie sprawy. Ale mam na ten temat własne teorie i chcę je sprawdzić.

- Chcesz się nimi podzielić? Przecząco pokręciła głową.



Rachael była niespokojna, i, musiała to przyznać, strach opanował jej umysł, nienawidziła tego uczucia, bo było takie wyniszczające, uczucie, które towarzyszyło jej od ponad tygodnia, od czasu, kiedy wrzucono ją do jeziora Black Rock, żeby utonąła. Zapamiętała szorstką, moką strukturę i sztywność liny, kiedy rozwiązywała ją. Na chwilę zamknęła oczy. Najgorsze było to, że zaczynała przyzwyczajać się do strachu, do powolnego brzęczenia w głowie, które sprawiało, że jej mięśnie naprężały się. Powinna cieszyć się, że przeżyła, ale tak nie było. Głęboko odetchnęła i rozejrzała się wokół. Przynajmniej nie siedziała skulona na sofie sparaliżowana przez strach. Nie, dokładnie posprzątała duże mieszkanie Jacka, choć musiała przyznać, że nie było takiej potrzeby.

Zanim Jack wyszedł, miał czelność powiedzieć jej, żeby się wyluzowała, posłuchała jego płyt i coś zjadła, bo chudła z dnia na dzień, może zdrzemnęła się. Pocałował ją szybko i wyszedł bez słowa.

Włączyła telewizor i słuchała lokalnych wiadomości, w międzyczasie podlała kwiaty, pięć azalii i jeden bluszcz. Zamarła, kiedy usłyszała zapowiedź relacji z kolacji poświęconej pamięci senatora Johna Abbotta w Jefferson Club, dzisiejszego wieczoru. Patrzyła w telewizor, kiedy pośród senatorów, którzy tam będą, wymieniono rodzinę Jimmy'ego, a zakończono słowami:

- Jest jeszcze coś. Głos zabierze Rachael Janes Abbott, ostatnio odnaleziona córka senatora Abbotta.

Na lokalnym programie rozpoczęła się prognoza pogody. Letni deszcz, nic nowego. Rachael wyłączyła telewizor i zaczęła przechadzać się po bardzo ładnym salonie Jacka. Żadnych antyków, ale mnóstwo dużych wyściełanych mebli w brązach i złocie, zdobionych turkusem. Potrzeba tu było kilku błyszczących poduszek, oka projektanta, czegoś w centralnym punkcie i pokój byłby doskonały. Musiała przyznać, że miał dobry gust i to „coś”, czego większość ludzi nie ma. I niezwykle dobrze całował, co też zauważyła.

Spacerowała po sporej kuchni Jacka, nowoczesnej z urządzeniami błyszczącymi jak należy, po tym, jak własnoręcznie wypolerowała je miękką szmatką, pogrążając się w krainie marzeń. Ściany były pomalowane na kolor jasnożółty, drewniane szafki też, co w rezultacie dawało wrażenie jasności i ciepła. Weszła do przedpokoju, tym razem zatrzymując się, żeby przyjrzeć się czarno - białym fotografiom, które zrobił własnoręcznie, zdjęcia południowo - zachodnich parków narodowych, surowych i dzikich, zbliżenie dwóch gigantycznych, walczących łosi. Były też zdjęcia ludzi, od niemowląt po starców, o twarzach gładkich lub

pełnych zmarszczek, ciałach sprawnych i powykręcanych. Jej ulubione przedstawiało nastolatkę śmiejącą się histerycznie, z odrzuconą do tyłu głową, długimi włosami rozwianymi silną bryzą, ze słuchawkami iPoda w uszach i starca w obszernym tweedowym ubraniu, z głową łysą jak kolano, siedzącego na ławce z hamburgerem w dłoni, uśmiechającego się do słońca, z kroplą ketchupu na ustach.

Świat Jacka był eklektyczny, ale był jego światem.

Oto świetny agent FBI, który również jest doskonałym fotografem, artystą. Znowu to samo. Spotkała kogoś, tak jak wiele razy wcześniej, kiedy wydawało jej się, że kogoś znała, ale tak naprawdę nie miała o nim pojęcia. Jak na przykład ten sukinsyn hazardzista, jej dawny narzeczony. Szydziła z siebie, że była idiotką. Jerol Springer.

Wzdrygnęła się.

Wróciła do salonu, podeszła do jednego z dużych okien wykuszowych. Budynek był z 1930 roku, dobrze utrzymany, przesycony atmosferą i stylem. Do tego ze wspaniałym widokiem, pomyślała, patrząc w stronę pomnika Lincolna.

Na ścianie obok okna wisiało kilka fotografii pomnika, jedna zrobiona zimą z zalegającym wszędzie śniegiem, z dwoma zdesperowanymi turystami, dzielnie wspinającymi się po schodach do pomnika, z pochylonymi z powodu silnego wiatru głowami. Zastanawiała się, czy zrobił te ujęcia teleobiektywem z okna swojego salonu.

*Gdzie on się podziewał?*

Rachael weszła do gościnnej sypialni, pokoju, który lekko odkurzyła, choć nie było takiej potrzeby. Było to małe, schludne, oszczędnie urządzone pomieszczenie z podwójnym łóżkiem, na którym leżał śpiwór. Przeszła do sypialni Jacka ze wspaniałym wysokim sufitem i gzymsami w stylu art deco. Przyglądała się wiszącym na białej ścianie fotografiom Diane Arbus i Ansel Adams, najwyraźniej to byli jego idole.

Podwójne łóżko było ładnie udekorowane, pokryte granatowo - białą narzutą, na niej, pomiędzy mnóstwem granatowych poduszek, leżały dwie jaskrawoczerwone, ozdobione cekinami. Ciekawe kto wstawił tutaj te błyskotki?

Jego była dziewczyna? Dlaczego stylu tej osoby nie widać w salonie? Może zbyt długo nie zagrzała tutaj miejsca?

*Dość tego. Kimkolwiek ona jest, doskonale porozumiałaby się z moim byłym.*

Rachael usiadła na skraju łóżka i zadrzała. Zaczynała wariować, ale nic nie mogła na to poradzić. Wyobraźnia przeniosła ją w to miejsce, gdzie niemal utonąła, do tej ciemnej wody jeziora Black Rock. Potem warsztat Roya Boba, i ten mężczyzna strzelający do nich. W końcu Slipper Hollow, grad kul, śmierć, prerażenie na ich twarzach.

Gdyby nie umiejętności Jacka, mogło się to skończyć o wiele gorzej. Ale w warsztacie Roya Boba przeżyła dzięki swoim umiejętnościom, i na tym właśnie planowała się skupić, zamierzała powtarzać sobie, że nie jest bezbronną ofiarą. Przeżyła wszystkie trzy próby zabicia jej. Pomyślała, że incydent, który miał miejsce ubiegłej nocy w domu, nie liczył się, ponieważ nie przerażał jej tak, jak poprzednie. Ale teraz była bezpieczna, ktokolwiek chciał jej śmierci, nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Niemniej jednak czuła się niepewnie.

Wzrok Rachael powędrował w stronę zdjęcia stojącego na komodzie. Byli na nim jego rodzice, czwórka rodzeństwa i całe mnóstwo dzieci.

Rachael odchyliła wzorzystą narzutę, pod którą odkryła pościel w biało - niebieskie paski. Była wytworna i elegancka. Wszystko bardzo ładnie dobrane. Była dziewczyna? Czy matka?

*Gdzie on się do diabła podziewał?*

Położyła się i przymknęła oczy. Zadzwoiła do wujka Gillette i opowiedziała o nowym planie, którego nie skomentował. Potem, ciągle leżąc, wykręciła numer matki. Jej przyrodni brat Ben opowiadał, jak to nie może się już doczekać zbliżającego się sezonu futbolowego. Życie nie toczyło się spokojnie dalej, pomyślała zdumiona, ono po prostu gnało. Przypomniała sobie, jak niedawno ośmioletni Ben rzucał do niej frisbee i taczał się po trawie z psem.

Kiedy ostatni raz go widziała, łowił ryby ze swoim tatą nad jeziorem Lark Creek.

Tymczasem jej własne życie wcale nie gnało jak szalone. Zamknęła oczy i wtedy jej umysł znowu zaczął szaleć:

- To nie przyniesie ci żadnej korzyści, jeżeli zakomunikujesz im, że zdecydowałaś nie mówić o tym, co zrobił twój ojciec, Rachael - niedawno powiedział Dillon, a Jack się z nim zgodził. - Nikt ci nie uwierzy, bo zawsze jest możliwość, że możesz zmienić zdanie. Tu już chyba nie o to chodzi. Nie mamy wyjścia, musimy posuwać się naprzód.

Naprzód, pomyślała. Nie było innej możliwości. Była naprawdę wdzięczna, że to wszystko mogło skończyć się już jutro w Jefferson Club. Modliła się o to.

*Gdzie jest Jack?*

Wtedy na jej komórkę zadzwonił Greg Nichols.

- Witaj, Rachael. Gdzie jesteś? Przejeżdżałem obok domu senatora, ale nikogo tam nie zastałem. Parę osób z FBI kręciło się po ogrodzie, ale niczego się od nich nie dowiedziałem. Co się dzieje? Nie mogę cię znaleźć. Gdzie jesteś? Martwię się.

- Przygotowuję swoje wystąpienie na jutrzejszy wieczór w Jefferson Club. Mam nadzieję, że tam będziesz, Greg. Wiem, że dla mojego ojca to by wiele znaczyło.

- A Jacqueline i twoje siostry?

- Niestety, nie mogą przyjechać.

Kiedy Jack wrócił godzinę później do domu, zastał ją głęboko śpiącą na jego łóżku. Uśmiechała się lekko przez sen.

Warkocz spoczywał na policzku.

Usiadł obok niej i pocałował ją.

Nawet nie drgnęła, tylko zwróciła głowę w jego stronę i powoli otworzyła oczy.

- Cieszę się, że nie jesteś zabójcą - odezwała się i wyciągnęła rękę, żeby pogładzić jego włosy. - W przeciwnym razie miałabym kłopoty.

- Kiedy byłem mały - powiedział, lekko ciągnąc ją za kosmyk włosów - zawsze w zabawie chciałem być złodziejem, czarnym charakterem. Ale mój starszy brat powiedział, że nie umiem dość dobrze kombinować, kłamać i głośno krzyczeć, więc musiałem się z tym pogodzić i zostać gliną. Chyba przywykłem do tego - znowu ją pocałował. - A to oznacza, że mogę wybawić cię z kłopotów.

- Gdzie byłeś?

- Zajmowałem się nudną policyjną robotą, o której ci mówiłem, i rozmawiałem z różnymi ludźmi. Po drodze wstąpiłem do Feng Nian i przyniosłem nam chińszczyznę.

Dostrzegł w jej oczach przeblysł paniki.

- Ale absolutnie nikt nie wie, że jesteś tutaj ze mną. I nikt za mną nie jechał, uwierz mi, sprawdzałem kilka razy. Jesteś bezpieczna. Jutro wieczorem będzie po wszystkim.

Czy aby na pewno? To było zbyt łatwe i proste, zbyt zaplanowane. Wiedziała, że Laurel nie była prosta. Co do Quincy'ego i Stafanosa nie miała pewności.

Rachael uśmiechnęła się, kiedy odwrócił się, żeby poprawić narzutę. Jej mama powiedziałaby, że jest porządnym człowiekiem.

- Masz piękne mieszkanie.

- Dziękuję. Mama pomagała mi je urządzać. Wstawienie tutaj tych błyskotek przez matkę było do zaakceptowania.

- Ale zdjęcia zrobiłeś sam.

- Owszem - odparł.

- Robisz znakomite zdjęcia, jesteś artystą.

- Bez przesady... ale dziękuję. Powinnaś zobaczyć zdjęcia Savicha. Bije mnie na głowę. Po obiedzie poprosił, żeby przeczytała mu swoje przemówienie, ale nie chciała.

- Ciągle coś skreślałam i dopisuję - tłumaczyła się.

- Bardzo dobrze. W końcu to wielki zaszczyt. Westchnęła.

- Tak, wiem.

W tej chwili zadzwoniła komórka Jacka.

*Jefferson Club*

*Waszyngton*

*Poniedziałek wieczorem*

Kiedy sytuacja robi się naprawdę poważna, otaczasz się profesjonalistami i powierzasz im odpowiednie zadania.

Jeśli nie jesteś w stanie tego zrobić, czas odejść. Sześciu tajnych agentów FBI rozmieszczonych na dużej sali było w pełnej gotowości.

Savich zauważył dyrektora Muellera, który stał obok Rachael. Jack sprawdzał dodatkowy personel gastronomiczny sprowadzony specjalnie na tę okazję. Uzgodnił już kontrolę kelnerów, których klub sprowadził na dzisiejsze przyjęcie, oraz kontrolę stałego personelu lokalu.

Savich poczuł zapach łagodnych, leśnych perfum, odwrócił się i zobaczył Laurel Abbott Kostas zmierzającą w jego kierunku z lampką szampana w dłoni. Miała na sobie niewątpliwie bardzo drogą czarną sukienkę, w której nie było jej do twarzy. To dziwne, widział ją po raz pierwszy a miał wrażenie, że znał ją od dawna.

Nie była ubrana w długą suknię, jak większość kobiet tutaj. Na nogach miała potencjalnie seksowne kabaretki i czółenka na płaskim obcasie, co dawało efekt daleki od seksownego. Jej gęste, siwiejące włosy zaczesane były do tyłu i upięte na karku, na jej twarzy nie było śladu makijażu, z wyjątkiem ust lekko pociągniętych szminką.

Za to diamenty - miała je wszędzie: w uszach, na szyi, na palcach i nadgarstku. Wyglądała, jakby opróżniła witrynę w sklepie jubilerskim. De Beers musiał ją uwielbiać.

Towarzyszył jej mąż, Stefanos, kolejna postać, której charakter Savich prawdopodobnie bardzo dobrze rozumiał.

Ubrany był w drogi smoking, jego czarne gładkie włosy zaczesane były do tyłu, eksponując jego ciężką, śniadą twarz, ładną, rozpustną twarz, której Savich nie ufał. Kostas błędził wzrokiem po sali. Wyglądał na niespokojnego. W ręku trzymał szklanekę whisky i pod tym pretekstem nie podał Savichowi ręki, kiedy ten się przedstawił.

- Panie Kostas - rzucił tylko Savich, świadomy tego, że Laurel mierzyła go wzrokiem. Kiedy na nią spojrział, zobaczył w jej zimnych oczach przeblysłk zainteresowania. O co tutaj chodziło?

- Wiem, kim pan jest. Widziałam pana w telewizji, prowadził pan tę absurdalną konferencję prasową FBI - powiedziała lekceważąco Laurel.

Uśmiechnął się do niej.

- Jestem agent Dillon Savich. Pani Laurel Kostas, prawda? Skinęła głową.

- Ma pan na sobie drogi smoking, agencie Savich. To chyba zaskakujące, zważywszy, gdzie pan pracuje. Stefanos patrzył w dekolt pewnej kobiety. Jego oczy prześlizgnęły się po Savichu w stronę jego żony.

- Ta whisky jest rozwodniona - powiedział głosem pełnym znużonej pogardy.

Potem odwrócił się na pięcie i zaczął przedzierać się przez tłum w stronę baru, gdzie stała wydekoltowana kobieta.

- Przypuszczam, że jest pan tutaj z powodu Rachael - powiedziała Laurel. - Ona chyba nie zamierza powiedzieć wszystkim, co zrobił senator, prawda?

- Musi ją pani o to zapytać, pani Kostas. Naprawdę nie wiem.

Gestem przywołał kelnera, który trzymał srebrną tacę z kieliszkami napelnionymi szampanem. Na jej skiniecie wręczył jej pełny kieliszek i zabrał pusty.

- Gdzie jest Quincy Abbott? - zapytał Savich.

- Rozmawia z wiceprezydentem o walce o dominację pomiędzy Francją i Niemcami. Tak naprawdę chyba od dawna nic się w tej sprawie nie zmienia. Nauczyłam się, że w biznesie, jak na wojnie, najlepiej jest skłonić ich do walki między sobą. A gdzie jest Rachael? Nie widzę jej. Może zdecydowała, że nie będzie robiła z siebie widowiska i narażała nas wszystkich na złośliwe plotki?

Savich zaprezentował swój bezwzględny uśmiech, który zdaniem Sherlock mógł zmrozić serce, ale widocznie na Laurel nie działał.

- Jeżeli spojrzysz pani w lewo, zobaczysz pani, jak rozmawia z senatorem Markiem Evansem. W sobotę w nocy było włamanie do jej domu. Jednak intruz był nieostrożny i zostawił nam pewien dowód.

Zesztywniała, a jej zimne oczy spoczęły na jego twarzy, a on mógł przysiąc, że wiedział, o czym ona myśli. Wiedział, że miała potężny umysł i nie było łatwo ją zaskoczyć.

- Dowód? - zapytała znużonym głosem. - No, czas najwyższy, żebyście coś znaleźli, tak czy nie? Cóż to takiego?

- Przykro mi, ale nie mogę pani powiedzieć.

- Dlaczego? W końcu kogo to obchodzi? - W jej głosie słychać było strach. Zbliżyła się, a diamenty, które miała na sobie, szaleńczo zamigotały.

On też się zbliżył.

- Czy wie pani, kto wspiał się po dębie i przez okno na pierwszym piętrze wszedł do mieszkania Rachael, pani Kostas? Czy odstraszył go jej krzyk? Czy alarm był wyłączony?

Szybko cofnęła się i wzrokiem poszukała swojego męża, który właśnie rozmawiał z senatorem z Arizony. Odwróciła się i przez ramię rzuciła:

- Czy naprawdę wyobraża pan sobie któreś z nas wspinające się po drzewie, agencie Savich? Nie wydaje mi się. Ale wygląda na to, że szczęście Rachael musiało się kiedyś skończyć.

- To dotyczy każdego - powiedział Savich. - Pani także. A oto agentka Sherlock i pani bratanica.

- Ona nie jest... - wycodziła Laurel i zamilkła, co, jak pomyślała Sherlock, nie zdarzało się często i nie przychodziło jej łatwo. Ale była na tyle sprytna, że przygotowała sobie pole, zanim przystąpiła do bitwy.

Sherlock została przedstawiona Laurel, która zignorowała ją i przystąpiła do ataku na Rachael.

- No proszę - powiedziała, mierząc Rachael od stóp do głów. - Teraz musi pilnować cię agent?

- Tak. Doszłam do wniosku, że to mi odpowiada - odparła Rachael.

Dołączyli do nich Quincy i Stefanos, pewnie dlatego, pomyślał Savich, że uważali, iż Laurel potrzebuje wsparcia. Ta niechętnie dokonała prezentacji.

Sherlock podała mężczyznom dłonie. Stefanos zatrzymał jej rękę dłużej niż powinien. Spojrzała na niego z ukosa.

- Ma pani piękne włosy, agentko Sherlock - powiedział uwodzicielskim tonem. - W moim kraju nie spotyka się kobiet o rudych włosach. Są cudowne.

Uśmiechnęła się do niego z przymusem.

Quincy Abbott wyglądał, jakby miał ochotę uciec, ale wrodzona uprzejmość zwyciężyła i podał rękę Savichowi. Nieznacznie skinął głową do Jacka, który stał obok Rachael. Kiedy podał rękę Sherlock, jego oczy rozbłysły. A to ciekawe. Jednak to nie było pożądanie, to była zupełnie inna reakcja niż Stefanosa. Więc co to było? Gniew? Czyjego spojrzenie mówiło, że nie znosił kobiet policjantów? Słyszała, jak Rachael twierdziła, że jest mizoginem. Spojrzała na Dillona. Jego twarz wyglądała na niewzruszoną.

- Wygląda pani wspaniale - powiedział Stefanos. - Jak piosenkarka kabaretowa z lat trzydziestych, agentko Sherlock.

- Dziękuję - odpowiedziała Sherlock.

Savich w duchu zgodził się ze Stefanosem. Sherlock miała na sobie długą, czarną spódnicę i czarną odsłaniającą ramiona bluzkę. Włosy opadały jej na ramiona, okalając twarz niczym promienie zachodzącego słońca i były luźno podpięte dwiema czarnymi spinkami.



Wyglądała zachwycająco, pomyślał Savich, kiedy wychodzili z domu i miał ochotę natychmiast zaciągnąć ją z powrotem na górę. Nawet Sean był nią zachwycony.

- Nie poznałbym cię, mamó, gdyby nie twoje włosy. Roześmiała się i dała mu głośnego buziaka. Savich miał nadzieję, że nie pocałuje Stefanosa Kostasa.

- Naprawdę jest pani agentką FBI? - zapytał Stefanos.

- A wziął mnie pan za modelkę?

- To nie byłoby takie bezpodstawne.

- Agent Savich i agentka Sherlock są małżeństwem. I mają małego synka - wtrąciła Rachael.

- Co? - zdziwił się Stefanos. - Naprawdę jest pani jego żoną? Aleja... Laurel wzruszyła ramionami.

- Małżeństwem? Nigdy dotąd nie słyszałam o małżeństwie między dwoma agentami FBI, ale pewnie nasz rząd nie ma nic przeciwko temu.

- Niespecjalnie - odparła Sherlock.

- Mam dwóch synów - mówiła dalej Laurel. - Starszy jest już prawie dorosły. W Nowym Jorku poznał dziewczynę i jest przekonany, że się z nią ożeni.

- Ile ma lat? - zapytał Jack, chociaż znał odpowiedź.

- Damian ma szesnaście lat.

- Stefanos nie jest tym zbyt zachwycony - powiedział Quincy. - Chociaż to zapewne tylko młodzieńcza miłość, prawda?

Stefanos wzruszył ramionami.

- Niech się zabawi. Mam tylko nadzieję, że nie zarazi się od niej jakąś chorobą.

- Jesteś ksenofobem na obczyźnie, Stefanos. Chciałbyś, żeby obaj twoi synowie poślubili dziewczęta z tradycyjnych greckich rodzin - powiedział Quincy.

Stefanos uśmiechnął się do szwagra i leniwie pociągnął łyk whisky.

- Co sądzi pani o konferencji prasowej FBI? - Jack zwrócił się do Laurel. Jej twarz zamarła.

- Jak już powiedziałam agentowi Savichowi, uważam, że była absurdalna. Dla mnie trąci to spiskową teorią dziejów, a to nonsens. To tak jak twierdzenie, że Komisja Warrena\* kłamała. Jak możecie podważać to, co oczywiste? Podejrzewam, że FBI dalej będzie drażnić i grzebać, denerwując nas, aż naślemy na was naszych prawników.

- Zgadzam się z pani zdaniem na temat spiskowej teorii dziejów - powiedział

---

\*Komisja powołana w 1963 roku przez Lyndona B. Johnsona do zbadania okoliczności zabójstwa prezydenta J.F. Kennedy'ego (przyp. tłum.).

uprzejmie Savich. - Czy jednak naprawdę wierzy pani w to, że pani brat znowu zaczął pić i po osiemnastu miesiącach przerwy usiadł za kierownicą samochodu, pani Kostas?

- Może senator rozważał ograniczenie picia alkoholu i może chciał przez jakiś czas nie prowadzić samochodu, ale w końcu zrobił jedno i drugie. Chyba nie ma co do tego wątpliwości. Stefanos, Quincy, zgodzicie się ze mną?

Jej mąż wyglądał na znudzonego. Quincy dyskretnie poprawił tupecik.

- Bez względu na to, co mówił senator - kontynuowała Laurel. - Nie zwołałby konferencji prasowej, żeby wyznać swoją winę. Wiedział, że gdyby to zrobił, straciłby wszystko - prestiż i władzę, wszystkie przywileje bycia znanym, bogatym i podziwianym.

- I ostatnie, o ile nie najważniejsze: prawdopodobnie poszedłby do więzienia za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym - dodał Jack.

- To raczej mało prawdopodobne. Senator miał świetnych prawników - powiedział Stefanos. - Nie spędziłby ani dnia w więzieniu.

Sherlock pomyślała, że mógł mieć rację.

- Nieważne - powiedziała Laurel. - Senator nie lubił przegrywać. Tamtej nocy, kiedy zginął, zdarzył się wypadek. Wszystkie te teorie brzmią równie absurdalnie, co spiskowa teoria dziejów.

- Jimmy powiedział mi, że ma zamiar to zrobić - wtrąciła się Rachael. - Nie było powodu, żeby mówić wam, co postanowił - *Czy tak było? Gdyby powiedziec to prosto z mostu, brzmiało tak sensownie , prosto.* - Poza waszą trójką wyznał jeszcze Gregowi Nicholsowi. Jednak wciąż w to wątpicie, nawet jeżeli Jimmy opowiedział wam o tej tragedii, z którą żył od osiemnastu miesięcy?

- Powtórzę to po raz kolejny - powiedział lekceważąco Quincy To był tylko pewien etap. Senator nie miał umiaru. Był bardzo pamiętliwy: w interesach, polityce, pamiętał każdą odrzuconą ustawę, i przez którego senatora jej nie przegłosowano, każdego współpracownika, który nadepnął mu na odcisk.

- Jestem jednak pewna, że bardzo żałował tego, co stało się tej dziewczynce, w końcu miał sumienie Na twarzy Laurel pojawiła się nienawiść, a jej pełne chłodnej wściekłości spojrzenie wymierzone było w Rachael.

- Jeżeli udało ci się przekonać tych oto trzech agentów FBI, że zamordowaliśmy własnego brata, wyrządziłaś poważną krzywdę nie tylko senatorowi i całej naszej rodzinie, Jacqueline ! jej córkom, ale też całemu krajowi. Zasługuje pani na pogardę panno Janes. I nie, nie będę nazywać cię Abbott, dla nas nigdy nie będziesz częścią rodziny. Po czym, odwróciwszy się na pięcie, odeszła, a Quincy i Stefanos, rzuciwszy Sherlock ostatnie tęskne

spojrzenie, podążyli za nią.

- Nie spodziewałem się, że będą mówić tak swobodnie - zauważył Savich, patrząc, jak wielką salę przemierzają wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, którego ego było większe niż jego mózg, zaniedbana kobieta o bezwzględnym spojrzeniu, obwieszona diamentami. I Quincy, który wyglądał na pięknie ubrany królewski dodatek.

- Ta trójka ma jedną wspólną cechę - powiedziała Sherlock. - Każde z nich emanuje wpływami. Patrzcie, podchodzi do nich senator z New Hampshire.

- To grube ryby - oceniła Rachael. - Amerykańska śmietanka, cieszą się dużym zaufaniem i są przyzwyczajeni, że dostają to, czego chcą.

- Podobają mi się twoje kolczyki - mruknął Savich do żony, dotykając palcami jej ucha.

- No pewnie, w końcu ty mi je kupiłeś.

- No tak - powiedział powoli. - Kupiłem.

- Wyglądasz bosko - zwróciła się Sherlock do Rachael. - To był dobry wybór: klasyczna elegancja z charakterem. Sherlock miała rację, pomyślał Jack. Rachael miała na sobie długą, czarną suknię, jak wiele kobiet na tej sali. Jednak w przeciwieństwie do nich, suknia Rachael nie odsłaniała zbyt wiele ciała, a eksponowała to, co najpiękniejsze. Wyglądała pięknie, posągowo i dostojnie.

Jack zobaczył, jak Laurel i Stefanos rozmawiają z wiceprezydentem. Kiedy jedno z nich mówiło, wiceprezydent poważnie kiwał głową. Kilka razy nachylał się, żeby coś powiedzieć.

Savich zauważył wkraczającego do sali Grega Nicholasa w towarzystwie trzech kobiet i dwóch mężczyzn, byłych współpracowników senatora. Ubrany był w smoking, powinien wyglądać elegancko i dostojnie, ale nie wyglądał.

Coś było nie tak. Poruszał się powoli i niezgrabnie. Nichols rozejrzał się i w drugim końcu sali napotkał spojrzenie Savicha. Zobaczył też Jacku i skinął do niego. Potem potarł się po brzuchu. Co się tutaj działo?

Grega Nicholasa bolał żołądek. Wziął kolejną tabletkę i dyskretnie włożył ją do ust. Ile zażył ich do tej pory? Sześć?

Siedem? Miał nadzieję, że to tylko nerwy. Nerwy, z którymi sobie radził, bo miał w tym doświadczenie. Nie, i będzie musiał sobie z tym poradzić, to było coś innego, prawdopodobnie ta ryba, którą zjadł na późny lunch - to był błąd. Lindsay, jego sekretarka, odradzała mu ją, a w połączeniu z zamieszaniem z powodu tego oto wydarzenia, jego żołądek tak właśnie zareagował. No dobra, ta ryba nie była świeża, przekonał się o tym po kilku

kęsach i przestał jeść. Niestety Lindsay miała rację.

Już miał silną biegunkę i dwa razy wymiotował. Wydawało mu się, że widział ślady krwi, modlił się, żeby mu się przywidziało, bo to było przerażające.

Ale chyba czuł się już trochę lepiej. Nie, było do bani. Przez chwilę patrzył na agenta FBI, Dillona Savicha, tego samego, który prowadził konferencję prasową FBI, i sięgnął po kolejną tabletkę. I ten cholerny agent Jack Crowne, który łąził za Rachael jak cień. Nichols wiedział, że miał go na oku i jeśli do tej pory nie wiedział o nim wszystkiego, to wkrótce się dowie. Dowie się wszystkiego o nich wszystkich. To nie było fair.

Rozejrzał się pośród tego tłumu wpływowych ludzi, żon wiszących na ramionach senatorów. Tyle władzy stłoczonej w tym jednym miejscu - erotyczny sen terrorysty. Natychmiast rozpoznał tajnych agentów: lata praktyki. Byli wszędzie. Musieli być tutaj też agenci FBI, ale ci lepiej wtapiali się w tło.

Zrozumiał, że już nie obchodziło go, czy Rachael coś powie, czy nie. Był prawnikiem i wiedział, jak to działało. Jego kariera u boku senatora Abbotta była skończona, ale jakie to miało znaczenie, skoro on nie żył. Zrobiłby aplikację adwokacką i rozpoczął praktykę w Boise. Nie potrzebował tego zamieszania, które wkrótce urośnie do rozmiarów gównianej burzy. Czas się stąd zmywać.

Zobaczył, jak Laurel Kostas rozmawia z sędziwym senatorem z Kansas, a obok niej, od czasu od czasu kiwając głową na to, co mówiła jego siostra, stał Quincy, bezużyteczny maruda, którego senator tolerował wyłącznie z litości.

Ciągle bolał go żołądek, ale skurcze trochę się zmniejszyły.

Od przechodzącego obok kelnera wziął z tacy szklankę wody gazowanej i wypił łyk. Jego matka twierdziła, że to pomaga na problemy z żołądkiem. Zauważył też swojego szefa, senatora Jankela, całego rozbawionego, zerkającego na żonę innego senatora. Stary głupiec. Cholera, nie był w stanie myśleć, jego żołądek płonął.

Kątem oka Savich zobaczył niewysokiego mężczyznę, ubranego w uniform kelnera, wychylającego się zza grupy odzianych w czarne suknie kobiet i mężczyzn we frakach.

Savich działał szybko i miał nadzieję, że dyskretnie. Ale ubiegł go Jack, który złapał mężczyznę za ramię i prowadził go w kierunku kuchni.

Świetnie. Jack się z nim uporał.

Wieczór toczył się dalej. Dystyngowany mężczyzna, którego Savich znał, ale nie wiedział skąd, ubrany w czarny, idealnie skrojony smoking, który tuszował jego wystający brzuch, stanął na podium. Wyregulował mikrofon, powitał gości i zaprosił na kolację. Wszyscy zajęli miejsca przy stolikach i przez kilka minut Savich nie mógł rozpoznać nikogo w tym tłumie. O, przyszedł dyrektor Mueller. Podeszedł do Rachael, podał jej ramię i poprowadził do stolika z przodu sali. Zajął miejsce po jej prawej stronie. Jack miał siedzieć po lewej, ale jeszcze nie zajął swojego miejsca.

Co się działo w kuchni?

Savich już miał zamiar się tam udać, kiedy Jack wyszedł przez obrotowe drzwi obite ciemnymi panelami, i, poprawiając smoking, zmierzał do swojego stolika. Szepnął coś dyrektorowi Muellerowi i usiadł obok Rachael.

Savich i Sherlock jeszcze przez chwilę stali obok drzwi do wielkiego, wyłożonego ciemnym drewnem pomieszczenia, gdzie od dziewiętnastego wieku mieścił się klub dla panów, który pod koniec lat pięćdziesiątych stał się koedukacyjny. Ciekawe, że nadal czuć tu było tradycyjny, słodki zapach cygar, których niezliczoną ilość wypalono tutaj przez lata.

Savich usiadł przy jednym z przednich stolików razem z Laurel, Quincym i Stefanosem, odseparowany od nich przez cztery inne pary. Sherlock zajęła miejsce z tyłu przy stoliku z Gregiem Nicholsem. Jimmy Maitland natomiast usiadł obok Brady'ego Cullifera.

Savich słuchał toczących się wokół niego politycznych konwersacji i nie mógł doczekać się, kiedy na stół wjedzie kolacja. Zastanawiał się, czy podadzą mu danie wegetariańskie.

Ku swojemu zaskoczeniu dostał lazagne ze szpinakiem, do tego sałatę z pomidorami i fasolę szparagową z odrobiną cebuli. Wszystko razem wyglądało pysznie.

Dla mięsożerców podano coś, co wyglądało jak pełny obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

Mężczyzna przy mikrofonie powiedział, że obiad z okazji Święta Dziękczynienia był ulubionym posiłkiem senatora Abbotta. Po sali rozległ się szmer uznania. Jeszcze większe

uznanie wywołała zapowiedź, że na deser będą lody, bo przygotowanie tartinek z gruszkami dla ponad dwustu osób nastęczałoby pewnych problemów.

Czterdzieści pięć minut później wiceprezydent wszedł na podium i wyregulował mikrofon. Opowiadał o swojej długoletniej przyjaźni z senatorem Johnem Jamesem Abbottem, o jego umiejętnościach dyplomatycznych. Jego wystąpienie wywołało ciche komentarze pośród zgromadzonych, potem wiceprezydent opowiedział kilka golfowych dowcipów i oddał głos senatorowi z Missouri.

Odtąd każdy z przemawiających dodawał jakąś anegdotę na temat senatora Abbotta.

Kiedy wszyscy byli już dość rozluźnieni po wypiciu znacznej ilości alkoholu, który serwowali kelnerzy, wiceprezydent powiedział:

- Chciałbym przedstawić państwu córkę Jimmy'ego. Jak zapewne państwo wiedzą, nie wiedział o jej istnieniu, aż pewnego dnia zapukała do jego drzwi. Przez ostatnie sześć tygodni życia promieniał szczęściem. Kiedyś powiedział mi, że ona jest cudowna. Niektórzy z was mieli okazję rozmawiać dziś z Rachael i przekonać się o jej życzliwości, poczuciu humoru, uroku osobistym, niewątpliwie odziedziczonym po ojcu. Oto panna Rachael Abbott.

Kiedy Rachael weszła na podium, uściskała ją.

*Żyję. Indyk był smaczny, żurawina pyszna i domowej roboty, a co najważniejsze, nikt nie próbował rzucić się na mnie z nożem. Nikt nie próbował zwabić mnie do męskiej toalety.*

Spojrzała na salę wypełnioną mężczyznami i kobietami, którzy rządzą tym światem. Wiedziała, że rozmazał jej się tusz na rzęsach, bo uroniła kilka łez, słysząc opowieści kolegów jej ojca.

Patrzyła na ludzi, którzy wiele przeżyli, na ich twarze, które skrywały wiedzę i tajemnice, i w tej chwili było w nich wiele życzliwości. Widziała też wyraźnie ich poczucie zadowolenia z siebie, to było namacalne, jakby wisiało w powietrzu.

Światło w sali było przytłumione, a zapachy stonowanych perfum mieszały się z silnym aromatem niedawno zjedzonego posiłku.

Napotkała wzrok Grega Nicholasa, skinęła do niego głową i uśmiechnęła się niepewnie. To dziwne, wyglądał jakby zastygł w bezruchu.

- Znałam mojego ojca zaledwie przez sześć tygodni, zanim został zamordowany - powiedziała do mikrofonu. - Jak państwo wiedzą, jego śmierć została początkowo uznana za wypadek. Teraz są co do tego poważne wątpliwości. Jednak dziś zebraliśmy się tutaj, żeby mówić o jego życiu.

Zanim zaczęła mówić dalej, na sali zapanowało lekkie poruszenie.

Greg Nichols pociągnął kolejny łyk wody i zorientował się że ma już tabletek.

Wszyscy jego współpracownicy patrzyli' na mego, jakby za chwilę miał eksplodować. Agentka Sherlock rozmawiała z nim podczas długiego posiłku i wielokrotnie pytała go, czy dobrze się czuje. Powiedział jej, że to tylko niezbyt żołądka, od czegoś, co zjadł.

Uśmiechnął się lekko i zapewnił ja że czuje się lepiej.

Musiało być lepiej, w końcu zatrucie pokarmowe trwało tylko kilka godzin, prawda? Przypomniał sobie sałatkę ziemniaczaną, którą zatrul się jako nastolatek, a później związał się z bólu na podłodze w łazience, wymiotując przez osiem godzin. Potem było po wszystkim. Czy to niedługo minie? Cholera przecież zjadł niewiele tej przeklętej ryby.

Znowu wstrząsnął mm gwałtowny skurcz, zginając go w pół. Skrzywił się z bólu. Było coraz gorzej, w końcu myślał, że za chwilę umrze. Nie był w stanie dłużej ukryć bólu. Słyszał głosy, ale nie rozpoznawał żadnych słów, tak mocno zawładnął nim ból. Zerwał się z miejsca, i związając się z bólu, pobiegł w stronę drzwi.

- Panie Nichols, proszę zaczekać!

To była agentka Sherlock, ale on nawet jej nie zauważył. Nie był w stanie, cała jego uwaga skupiona była na tym okrutnym bólu, rozrywającym jego żołądek.

Słyszał głos Rachael, dziwnie odległy i głęboki, jakby dochodził z dna studni:

- Senator Robertson mówił o jego gotowości skłaniania zwaśnionych stron do kompromisu, jego zdolności do przekonywania...

Podchodzili do niego ludzie, mężczyźni w czarnych garniturach, FBI, tajni agenci, jego przyjaciele, ale to było bez znaczenia. I tak zwymiotuje, i tak...

Światła wydawały się gasnąć wokół niego, zamieniając wielką salę w ciemną otchłań.

Potknął się i upadł.

Wiedział, że pochylają się nad nim ludzie, dotykają go, mówią do niego, ale on wił się w męczarniach i nie był w stanie wykrztusić ani słowa, mógł tylko jęczeć, a łzy spływały mu po twarzy. Wiedział, że z jego ciała wyciekała krew. Dlaczego ktoś krzyczał?

Podniósł się, a wtedy krew trysnęła z jego wykrzywionych ust, nosa, a łzy tryskające z jego oczu zabarwione były na czerwono.

- Dillon! Chodź tutaj! - krzyknęła Sherlock.

Savich zobaczył, jak tajni agenci otoczyli wiceprezydenta i odizolowali go od tłumu. Czterech agentów FBI otoczyło Rachael stojącą na podium. Było tam stłoczonych jeszcze kilku agentów i kilkanaście innych osób. Działo się coś niedobrego.

Savich przecisnął się przez tłum i zobaczył Grega Nicholasa leżącego na podłodze, a z jego otwartych ust płynęła krew. Krew była wszędzie. Sherlock klęczała obok niego.

- Pogotowie już tutaj jedzie. Bardzo z nim źle, Dillon. Stracił dużo krwi. Wiedziałaam,

że coś złego się z nim dzieje, wiedziałam.

- Myśleliśmy, że udaje - powiedział tajny agent, pochylając się nad leżącym Nicholsem. - Ale nie, jest w naprawdę złym stanie.

- Wygląda na zatrucie - ocenił Savich. - Jest cały we krwi. Bo co innego?

- Tak, ma pan rację, wygląda na kumarynę, to taka trutka na szczury - powiedział tajny agent.

- Pewnie tak - odparł Savich i sprawdził tętno Nicholasa. Sherlock podniosła się i zobaczyła Lindsay Culley, sekretarkę Nicholasa.

Nerwowo zaciskała rękę, a jej twarz była blada jak koszula Savicha.

- Mówiłam mu, żeby nie jadł tej ryby, bo wieczorem będzie jadł obfitą kolację, ale on zjadł, tylko trochę. Musiała być nieświeża. Naprawdę, dużo nie zjadł. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle, cały czas utrzymywał, że czuje się dobrze.

I wybuchła płaczem. Sherlock pogładziła ją po ramieniu.

Po chwili odezwała się Grace Garvey, dawna sekretarka senatora Abbotta:

- Nie wiedziałam, że źle się czuł. Rozmawialiśmy o dzisiejszym wieczorze i powiedziałam mu, jak miło by było, i jak się cieszymy, że oni robią to dla senatora Abbotta. On i senator byli ze sobą bardzo blisko. - Objęła ramieniem Lindsay.

- Tętno jest słabe, ledwie wyczuwalne - powiedział Savich. - Nie wydaje mi się, że uda mu się z tego wyjść. Tajny agent otworzył drzwi i weszli sanitariusze z noszami. Savich słyszał, jak Sherlock opowiadała im o jego stanie, kiedy pochylili się nad nim.

- Spójrzcie tylko, ile krwi! - powiedział jakiś starszy mężczyzna. Szybko ułożyli go na noszach, a białe płótno natychmiast nasiąkło krwią. Potem w towarzystwie dwóch agentów FBI opuścili salę.

- Informujcie mnie na bieżąco - polecił Savich, a kiedy się odwrócił, ponad tłumem ludzi zobaczył wiceprezydenta, który patrzył na niego i kiwał głową.

Kolejne kilka minut później cała sala znowu skupiła się na wystąpieniu Rachael, która ponownie stanęła na podium. Wiceprezydent skinął do Rachael.

- Jak już wszyscy państwo wiedzą, ktoś się rozchorował. Jak mnie poinformowano, to Greg Nichols, dawny szef doradców senatora Abbotta. Zabrało go pogotowie i mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Panno Abbott, czy po tym całym zamieszaniu ma pani ochotę kontynuować?

Skinęła głową i weszła na podium. *Greg, co się stało?*



Rozejrzała się po sali i napotkała zimne, złośliwe spojrzenie Laurel i niemal się wzdrygnęła.

Laurel uśmiechnęła się z wyższością, tak to właśnie wyglądało, była z siebie niezwykle zadowolona. Siostra jej ojca - jak to możliwe?

Rzut oka na salę i podjęła przemowę:

- Bardzo mi przykro, że szef doradców mojego ojca, Greg Nichols, poczuł się źle. Mam nadzieję, że niedługo dojdzie do siebie i że to przejściowe problemy.

Mój ojciec kochał stolicę naszego kraju, i niepokoiło go, że poza pięknymi granitowymi budynkami, połączeniami perfekcyjnie utrzymanych parków, strzelistych pomników, istnieje też nędza i ubóstwo, zakorzeniona bardzo głęboko od wielu lat. To go złościło i zawstydzalo. Dlatego na jego cześć założę i będę wspierać finansowo Fundację im. Johna Jamesa Abbotta, która będzie zajmowała się przede wszystkim problemami mieszkańców naszego miasta. Jesteście naszymi ustawodawcami, ludźmi czynu. Będę wdzięczna za wszelką pomoc, fachową pomoc. Razem jesteśmy w stanie zmienić świat na lepszy, w jego imieniu. Jestem pewna, że damy radę. Podniosła swoją szklankę z wodą.

- Chciałabym wznieść toast za senatora Johna Jamesa Abbotta, człowieka o wielkim sercu i wspaniałego ojca. - Podniosła szklankę do ust, a reszta sali poszła za jej przykładem. - Za zmiany na lepsze!

Przez chwilę, kiedy wszyscy spełniali toast, na sali panowała cisza, potem senatorowie wstali i zaczęli klaskać, kiwając z uznaniem głowami.

Kiedy wróciła do stolika, Jack powiedział:

- Nie wiedziałem, co masz zamiar powiedzieć, ale to wspaniały pomysł z tą fundacją, Rachael.

- Nie mogłam tego zrobić - powiedziała szeptem, ściskając jego dłoń. - Długo nad tym myślałam, Jack. Spierałam się sama ze sobą, ciągle zmieniałam decyzję. W końcu stwierdziłam, że miałeś rację. To, co zrobiłby, lub czego by nie zrobił mój ojciec, poddawano dyskusji, odkąd on nie żyje. To była jego decyzja i tylko jego, nikogo innego. To byłoby z mojej strony nie fair wpływać na to, jak oceni go historia. Nie mam do tego prawa i nie mogę podjąć takiej odpowiedzialności. Tylko on mógł.

*Szpital im. George'a Waszyngtona*

*Poniedziałek w nocy*

Pełniący dyżur na izbie przyjęć doktor Frederick Bentley zwrócił zmęczone spojrzenie na zegar wiszący na ścianie w poczekalni. Jego zielona koszula była cała umazana we krwi.

- Czy to nie dziwne? - powiedział bardziej do siebie niż do otaczających go ludzi. - Jest dokładnie dziesiąta. Zawsze dokładnie o dziesiątej dzieje się jakaś tragedia. Można by pomyśleć, że takie rzeczy powinny dziać się o północy, w godzinie duchów, ale nie. No dobrze, mogę wam powiedzieć, że Greg Nichols żyje, ale wątpię, czy przeżyje. Podaliśmy mu krew, osocze i kroplówkę, żeby go reanimować. Jego FT - to znaczy krzepliwość krwi, nie mieści się w normie, to znaczy, jego krew nie krzepnie, a hematokryt nie wskazuje na to, że pożyje zbyt długo.

Ciągle jest nieprzytomny. Intubowaliśmy go, to znaczy przez nos umieściliśmy w jego tchawicy rurkę i podłączyliśmy go do respiratora. Za chwilę przeniesiemy go na oddział intensywnej terapii.

Na razie nie jesteśmy pewni, dlaczego jego krew nie krzepnie, ale podejrzewam otrucie albo przedawkowanie. Najprawdopodobniej jest to kumaryna, albo coś o podobnym składzie chemicznym, używane jako trutka na szczury. To musiała być ogromna dawka.

Pobraliśmy do analizy krew i próbkę z żołądka, zobaczymy, czym zatruty jest jego organizm i jak dawno zażył truciznę. Na wyniki trzeba będzie jednak trochę poczekać.

Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że nadal żyje. Nawet jeżeli odzyska przytomność, prawdopodobnie nie będzie w stanie mówić. Jego mózg zapewne uległ uszkodzeniu w wyniku niedotlenienia krwi. Czy ktoś z państwa chciałby go zobaczyć?

Savich poszedł za doktorem Bentleyem do oddzielonej szklaną ścianą sali izby przyjęć.

- Pan jest szefem?

- Tak, mnie to przypadło w udziale.

- Powodzenia.

Nichols leżał nieruchomo w oddzielonej kotarą części izby przyjęć. Nie było tam nikogo oprócz niego. Jego twarz była blada jak ściana. Krew i wymiociny zaschły mu wokół ust, miał zamknięte oczy, a powieki wyglądały na posiniaczone, jakby ktoś go uderzył. W nadgarstkach tkwiły dwie kroplówki. Panowała tu głucha cisza, którą przerywał jedynie okropny świst respiratora. Savich pochylił się nad nim.

- Panie Nichols - powiedział.

Savich usłyszał, jak za jego plecami doktor Bentley gwałtownie odetchnął, kiedy Nichols otworzył oczy. Savich wiedział, że Greg Nichols nie pożyje długo.

- Wie pan, kto pana otruł, panie Nichols? - zapytał Savich, wiedział, że traci z nim kontakt. Jego oczy zaszyły mgłą. Głos Savicha był niecierpliwy, wiedział, że to ostatnia chwila. - Więc kto, panie Nichols?

Usiłował złapać oddech, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołał. Jego oczy znieruchomiały. Nie żył.

Nichols nie żył, a Savich miał ochotę wyć. Aparatura zaczęła głośno piszczeć, na monitorze obrazującym akcję serca pojawiła się linia ciągła. Doktor Bentley wbiegł do kabiny, za nim dwie pielęgniarki. Savich wycofał się i wrócił do poczekalni. Siedziała tam para starszych czarnoskórych ludzi, oboje wyraźnie w szoku, obejmowali się nawzajem.

- Chodźcie za mną - powiedział Savich do Jacka i Rachael. Wziął za rękę Sherlock i poprowadził ich do długiego, pustego korytarza, z daleka od izby przyjęć i otepiałej ciszy poczekalni. - Nie żyje. Odzyskał przytomność, ale tylko na chwilę.

- Oni go zabili, Dillon.

- Tak, Rachael, myślę, że to oni. I zrobili to w sposób dramatyczny, który wydaje mi się, że zaspokoił ich próżność.

- Ale dlaczego?

- Przykro mi, Rachael, ale wydaje mi się, że Greg Nichols był z nimi w zмовie. Może po tym, jak ty i Jack byliście u niego, rozmawiał z nimi. Cokolwiek im powiedział, na pewno pomyśleli, że jest najsłabszym ogniwem, że złamie się i dlatego go zabili. Na pewno dowiemy się od pracowników Grega, jak do niego dotarli.

Komórka Savicha zagrała melodię *Raindrops Keep Falling on my Head*. Odebrał.

- Savich, słucham? - Kręcił głową i prawie krzyczał do słuchawki: - Nie, to nie do wiary, niemożliwe. Tak, już tam idziemy. Jesteśmy na izbie przyjęć.

Skończył rozmowę i spojrzał na nich tępo.

- To był agent Tomlin. Musimy iść do sali doktora MacLeana.

Jego głos był beznamiętny, a oczy wytrzeszczone, jakby doznał szoku. Sherlock była przerażona. Potrząsnęła nim.

- Dillon! Co tym razem się stało? Czy znowu ktoś próbował zabić doktora MacLeana? Savich spojrzał gdzieś ponad nią i powiedział:

- Timothy MacLean nie żyje.

Na oddziale panował chaos, personel szpitala krążył jakby bez celu, na korytarzu

tłoczyła się ochrona szpitala, a nad tym wszystkim próbował zapanować niski głos Tomlina, próbującego zaprowadzić jakiś porządek. Spojrzał w górę, prawie wykrzyknął z ulgą na widok Savicha. Sherlock złapała go za ramię.

- Co się stało, Tom?

- Wygląda na to, że doktor MacLean miał pistolet. Przyłożył go do skroni i pociągnął za spust. W środku pan Howard i personel medyczny próbują ustalić, jak to do tego doszło. - Tomlin przełknął ślinę. - To się stało zaraz po tym, jak wyszła pani MacLean. Po chwili wróciła, nie wiem dlaczego.

- Rachael, zostań tu - powiedział Jack. - Nie wchodź tam, słyszysz?

Skinęła głową i zobaczyła Molly MacLean opartą o ścianę naprzeciw pokoju pielęgniarzek, ukrywającą twarz w dłoniach i szlochającą.

- Molly?

Molly podniosła głowę, przez łzy zobaczyła Rachael. Poznała ją.

- Tak bardzo mi przykro - powiedziała Rachael, obejmując ją. Rozpacz Molly udzieliła się Rachel, pograżając ją w dobrze znanym uczuciu żalu, z którym żyła od czasu, gdy jej ojciec został zamordowany. Przyszło jej do głowy, że to był najgorsza rzecz, z którą człowiek musiał sobie poradzić. Znała swojego ojca tak krótko, zaledwie chwilę w długiej skali normalnego życia, ale ból nie malał i wciąż w niej pulsował, jak bijące serce. Nie mogła wyobrazić sobie bólu Molly. Żyła ze swoim mężem przez ponad dwadzieścia pięć lat. Musiała czuć się tak, jakby ktoś pozbawił ją części jej ciała.

Zbliżał się do nich Jack i Rachael zdała sobie sprawę, że toczy walkę ze swoim własnym żalem. Podziwiała go niezwykle w tej chwili, przyjrzała mu się, pozbierał się i glina w nim przejął kontrolę. Skinął do Rachael. Po czym delikatnie dotknął ramienia Molly.

- Molly? To ja, Jack. Bardzo mi przykro.

Gdy Rachael wypuściła ją z objęć, Molly odwróciła się i padła w jego ramiona. Oplotła go rękami, mocno przycisnęła i szlochała w kołnierz. Przytulił ją, szepcząc jakieś słowa bez znaczenia, mając nadzieję, że to ją pocieszy, choć szczerze w to wątpił. Nic nie było w stanie w magiczny sposób zabić śmiertelnej rany.

- Chodźmy do poczekalni, Molly - szepnął.

Tak, jak się spodziewał, poczekalnia była pusta. Całe zamieszanie przeniosło się w głąb korytarza. Zamknął drzwi, posadził Rachel na krześle, a Molly podprowadził do niewielkiej sofy Usiadł obok niej, przytulił, gładził po plecach i mówił do niej cicho.

Gdy zaczęła histerycznie łkać, Jack uścisnął ją i podał chusteczkę higieniczną z pudełka na stole. Rachael przyniosła kubek wody z dystrybutora stojącego w rogu. W

milczeniu czekali, aż się pozbiera.

Molly podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Jacka.

- Na pewno już wiesz, co się wydarzyło. - Na chwilę zamknęła oczy, i kolejna łza spłynęła jej po policzku. Otworzyła oczy, dłonią wytarła policzki. Odetchnęła głęboko. - Dziś po południu, kiedy tylko weszłam do jego pokoju, Tim poprosił mnie, żebym przyniosła mu jego pistolet. Od lat leżał w stoliku nocnym, na szczęście nigdy nie musiał go użyć. Patrzyłam na niego, przerażona tym, co zamierzał powiedzieć, ale kiedy zapytałam go, po co mu ten pistolet, spojrzał na mnie jak na idiotkę. Powiedział, że właśnie ktoś próbował go zabić i gdyby nie siostra Louise, to jego szczątki spoczywałyby już w pięknej, srebrnej urnie. Twierdził, że sam chce się bronić i jeśli naprawdę mi na nim zależy, powinnam przynieść mu broń. Kiedy nadal nie chciałam tego zrobić, wzruszył ramionami, spojrzał na mnie i powiedział, że może byłoby lepiej, gdyby ten facet wrócił i jeszcze raz spróbował. Przecież i tak skończy jako warzywo, więc dlaczego nie oszczędzić mu upokorzenia i nie zaprosić go tutaj, może nawet narysować mu na czole punkt, w który ma strzelić. To i tak bez znaczenia, bo dla niego nie było już nadziei na poprawę.

Klepnęłam go po ramieniu i nazwałam idiotą. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, tak mu powiedziałam, nie wiadomo, kiedy medycyna wynajdzie nowy lek, żeby mu pomóc. Posłuchał mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Potem spojrzał na mnie i powiedział: „Przynies i pistolet, Molly, pozwól mi samemu o siebie zadbać. Nie chcę czuć się bezradny”.

W końcu się zgodziłam. Pojechałam do domu i wróciłam jakąś godzinę później. Patrzyłam, jak sprawdza broń, po czym chowa ją pod poduszkę i uśmiecha się do mnie. „Dziękuję, mała, teraz czuję się lepiej” powiedział. Przez chwilę milczał. Potem mówił o naszej rodzinie, swoich rodzicach, naszych dzieciach, jego pacjentach, mówił o rzeczach złych, bolesnych, ale kiedy wyszłam, pomyślałam, że wydawał się bardziej zrównoważony, bardziej jak dawny Tim, pogodny i zabawny.

Gwałtownie otarła łzy.

- Och, Jack, nikt go nie dopadł, nikt go nie zamordował. Zrobił to sam i to ja przyniosłam mu broń, żeby mógł to zrobić.

Jej słowa odbiły się głośnym echem w pustym pomieszczeniu. W końcu Jack powiedział:

- Molly, jeszcze wrócimy do tego. Powiedziałaś, że znów był taki, jak dawny Tim. Myślałaś o czymś szczególnym, co mogło być katalizatorem jego samobójstwa?

Podniosła bladą twarz, łzy pociekły jej po policzkach.

- Tak, właśnie zdałam sobie sprawę, że to byłam ja. Ja go do tego popchnęłam, Jack - powiedziała. Miała zamglone oczy i łkała. - Ja go do tego popchnęłam.

- Opowiedz mi o tym.

Jack wiedział, że Savich i Sherlock weszli do pokoju. Nic nie mówili, stanęli pod ścianą.

- Tim zaczął mówić o swoich pacjentach - ciągnęła Molly. - Tych samych, o których opowiadał Arturowi Dolanowi, swojemu przyjacielowi i partnerowi z kortu, wiecie, temu biednemu człowiekowi, który został zamordowany przez tego szaleńca w New Jersey.

- Tak, wiem.

- Tim powiedział: „Molly, ja nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nie powinienem tego mówić. To wszystko po prostu wyszło z moich ust, wszystko, każdy poufny szczegół i wyśpiewałem wszystko, szczęśliwy jak skowronek. Pogwałciłem cały kodeks etyczny, którego przestrzegałem przez całe moje życie zawodowe. Zawiodłem zaufanie moich pacjentów.

Popatrz, co się stało z Jeanem Davidem, ukochanym synem Pierre'a, Molly, oboje z Estelle ubóstwiali Jeana Davida.

Był ich jedynym dzieckiem, oddaliby za niego życie, a ja bawiłem się, mówiąc Arturowi - co podsłuchał barman - o tym, co zrobił Jean David.

A teraz Jean David utonął, a Pierre szaleje z bólu i żalu nienawidzi mnie. Jeśli to Pierre próbował mnie zabić, mam nadzieję, że osiągnie cel. Zmusiłem go do tego. Odpowiadam za tę tragedię, Molly, nikt inny, tylko ja.

Zamilkł i patrzył tępo przed siebie, jak gdyby był sam, jakby nic już go nie obchodziło.

Molly spojrzała na swoje drżące dłonie i ścisnęła je mocno razem.

Jack położył swoją dłoń na jej dłoniach. Po chwili mówiła dalej.

- Powiedziałam Timowi, że to nie on postanowił zdradzić swój kraj. Tylko pokręcił głową, a jego głos był taki... pogodzony. Powiedział do mnie: „Tak, Molly, to prawda, ale nie o to chodzi. Moja choroba - może być tylko gorzej, wiesz to równie dobrze jak ja, ale mnie prawdopodobnie ominie to, co najgorsze, bo będę nieświadomy rzeczywistości, tego, co się ze mną dzieje. Nie będę poznawał własnych dzieci, ciebie i nie będę wiedział, że na zawsze jesteś moją żoną i moją miłością, nie będę pamiętał wszystkiego, co przeżyłem, bólu, radości, nawet tego, że nic nie pamiętam. Nie mogę znieść myśli, że przejdę przez to, Molly, ponieważ wciąż mam świadomość. Nie mogę znieść myśli, że nie będę mieć jakiegokolwiek równowagi w umyśle, nawet nie będę zdawał sobie sprawy z tego, że to, co mówię, może

kogoś zniszczyć”.

Rozpoznałam ten wyraz jego twarzy. Powiedział: „Wiesz, że opowiedziałem tu jednemu z lekarzy o twoim romansie z Arturem sprzed lat? Nie pamiętałem, że to wszystko mówiłem, ale lekarz mi o tym powiedział. Dziękuję Bogu, że zostawił mi momenty świadomości, tak, że mogę pamiętać całą krzywdę, którą wyrządziłem, i zdecydować, co z tym zrobić”.

Tak naprawdę przespałam się z Arturem parę razy, wieki temu - powiedziała Molly do Jacka zdławionym głosem. - Nawet nie wiedziałam, że Tim o tym wiedział. Nigdy mu o tym nie mówiłam. Zabawne było to, że zarówno ja, jak i Artur postanowiliśmy milczeć, bo tak naprawdę wszyscy troje byliśmy przyjaciółmi, bardzo dobrymi przyjaciółmi, od ponad dwudziestu lat.

Ale Tim odebrał to, co powiedział, jako zdradę, wyjawianie osobistych tajemnic obcym ludziom.

Ciągle myślałam o tej broni pod jego poduszką. Zapytałam go, co chce zrobić i byłam przerażona jego odpowiedzią.

Ale on uśmiechnął się do mnie tak jak dawniej, powiedział, że przemyśli to, zastanowi się nad tym, do czego to prowadzi i jakie są tego konsekwencje. Zamierzał myśleć tak długo, jak będzie w stanie, prawdopodobnie przez kolejne trzydzieści minut, tak powiedział, ale kto o tym wiedział oprócz Boga?

Zanim od niego wyszłam, jedna z pielęgniarek przyniosła mu pucharek lodów pistacjowych, jego ulubionych.

Uśmiechnął się do mnie, zanurzając w nich łyżeczkę. Wyglądał spokojnie. Powiedział że mnie kocha, uśmiechnął się do mnie i zaproponował trochę lodów. Spróbowałem troszkę, ale on nalegał, żebym wzięła jeszcze. Śmiałyśmy się, ścisnęłam jego ramię i powiedziałam mu, że będziemy razem jeszcze długo, i bez względu na to, co przyniesie życie, zaakceptujemy to. A on powiedział, że się ze mną zgadza i że podoba mu się to, co mówię. Molly przerwała i spojrzała na Jacka.

- Pocałował mnie, Jack, to był najśłodszy pocałunek, jaki sobie możesz wyobrazić. Wciąż czuję smak lodów pistacjowych na ustach.

Zamilkła na chwilę, wpatrzona w swoje trzęsące się ręce. Po czym skinęła w kierunku Savicha i Sherlock, uśmiechnęła się do Rachael i powiedziała:

- Byłam już na dole, kiedy przypominałam sobie, że zapomniałam mu powiedzieć, że jutro są urodziny Kelly. Chciałam, żeby wiedział, co damy jej w prezencie. Może by zapamiętał, kiedy przyszlaby go odwiedzić.

Kiedy wyszłam z windy, usłyszałam krzyki. - Zamilkła, spojrzała na reprodukcję lilii wodnych Moneta wiszącą na ścianie. - Wiedziałam, Jack, od razu wiedziałam, co zrobił, co mu umożliwiłam. - Ukryła twarz w dłoniach i płakała. W pomieszczeniu było cicho, słychać było tylko płacz Molly. Podniosła głowę. - Wiecie, że podpisałam kartę urodzinową za nas oboje, tak jak zawsze? To zabawna kartka, napisane na niej jest, że potrzebuje kogoś do łóżka, bo jej miś jest już zużyty. Jack dotknął jej twarzy. Chciał jej powiedzieć, że może to lepiej, że tak się stało, ale jego serce nie akceptowało tego.

- Ktokolwiek próbował zabić Timothy'ego, teraz już nie musi się fatygować - powiedziała.

- Jeśli zabił Artura, zapłaci za to, Molly. Próbował zabić Tima, w sumie cztery razy, tak? Za to też zapłaci - obiecał jej Jack.

- A co ze mną, Jack? - zapytała Molly. - Chciałam mu wierzyć, widzisz, on wiedział, że chciałam wierzyć w to, że pistolet jest dla jego bezpieczeństwa. Dał mi wyjście. - Zrobiła pauzę i Jack mógł poczuć jej żal i ogromne poczucie winy. Położyła otwartą dłoń na piersi. - Ale w głębi serca wiedziałam, że zamierza się zabić. Wiedziałam to. Tylko ja odpowiadam za jego śmierć, nie ten szaleniec. Savich podszedł do niej i usiadł obok. Ujął jej dłonie.

- Molly, posłuchaj mnie. To, co masz w sercu, musi tam pozostać. Twoja rodzina nie poradziłaby sobie z tym ciężarem.

Savich wstał.

- Nie mogłaś tego wiedzieć na pewno. To, co zrobił Timothy, było jego własną decyzją. Ty mu tylko pomogłaś, to wszystko. Kiedy wyjdę przez te drzwi, Molly, śledztwo w sprawie śmierci doktora MacLeana zostanie zamknięte.



*Wtorek po południu*

Rachael weszła do gabinetu Jimmy'ego i stanęła pośrodku pokoju. Ciemnobrązowe zasłony były częściowo zasłonięte, wpuszczając tylko odrobinę popołudniowego słońca. Ciągłe pachniało tu Jimmym - aromat tureckich cygaretek i silny zapach jego brandy. Opadła na bordową, skórzaną sofę, oparła głowę i patrzyła na półkę z książkami za jego biurkiem. Zauważyła, że zaczyna zbierać się na nich kurz. Książki mogą być zakurzone, pomyślała, ale mieszkasz z nimi po to, żeby utrzymać je w czystości i należytej formie.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta. Jack powinien wrócić przed szóstą, tak powiedział, a ona wiedziała, że nie znoślił zostawiać jej samej, nawet w gorące, słoneczne popołudnie.

Jeszcze raz spojrzała na biurko Jimmy'ego, nieliczne kartki papieru były starannie ułożone w stosy, ekran komputera ciemny i cichy. Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do zajęcia miejsca w cudownie wygodnym fotelu z bordowej skóry z wysokim oparciem. Wyprostowała się przy biurku.

Miała czas. To było coś, co musiało zostać zrobione. Otworzyła górną szufladę i zaczęła sortować papiery.

Podzieliła je na sterty: te, które musiały być zrobione, kiedy jego testament zostanie zatwierdzony, faktury do zapłaty, kilka katalogów.

Posortowała już prawie wszystkie papiery w biurku, kiedy otworzyła dolną szufladę i znalazła pięknie rzeźbiony piórnik z drzewa bubinga. Otworzyła go ostrożnie. W środku było kilkanaście piór, niektóre z nich pochodziły z obcych krajów, były podarunkami od ambasadorów, których odwiedził podczas swoich podróży. Na dnie pudełka był zwitek papieru z zapisanymi trzema parami cyfr. Kombinacja cyfr do sejfu.

Rachael nawet nie pomyślała o sejfie. Rozejrzała się wokół, ale nie zauważyła go. Gdyby miała sejf, umieściłaby go w pokoju, w którym spędza większość czasu. Przeszukała półki z książkami, zajrzała pod dywan, i kiedy uniosła obraz, pejzaż namalowany przez irlandzkiego malarza, znalazła sejf wbudowany w ścianę. Wystukała cyfry, sejf otworzył się z łatwością.

W środku znalazła kartonową aktówkę wypełnioną dokumentami ubezpieczeniowymi i zeszłoroczny notatnik, w którym były zapisane jego wszystkie spotkania z ostatnich dwunastu miesięcy. Za okładką znalazła kopertę podpisaną „Wola i testament Johna Jamesa Abbotta”.

Jego testament. Nie pomyślała o tym, że gdzieś ma kopię. Jimmy powiedział jej, że odziedziczy jedną trzecią jego majątku. Teraz przypomniała sobie, że kiedyś powiedział jej, że po jego zaprzysiężeniu w senacie oddał Laurel swoje prawo głosu w zarządzie firmy, żeby podczas pełnienia urzędu odsunąć się od spraw finansowych.

Zaczęła czytać.

To nie mogła być prawda.

Przeczytała to ponownie. I jeszcze raz.

W wizytowniku Jimmy'ego znalazła numer Brady'ego Cullifera i wybrała numer. Właśnie wrócił z sądu.

- Brady, właśnie przeczytałam testament Jimmy'ego. Coś tu jest nie tak.

Godzinę później usłyszała, jak na podjazd wjeżdża samochód. To nie był samochód Jacka, za wcześnie na niego. To był Brady, po kamiennej ścieżce szybko szedł do drzwi wejściowych. Wyszła mu na spotkanie.

- Rachael, nie mogłem w to uwierzyć, kiedy do mnie zadzwoniłaś. To musi być jakaś pomyłka, na pewno. Przyniosłem oryginał testamentu. Porównamy je, dobrze? Jacka nie ma?

- Wkrótce wróci. Jest na spotkaniu w FBI.

Rachael rozłożyła testament, który znalazła w biurku Jimmy'ego. Brady położył obok drugi.

- Zobaczmy, co tu mamy - powiedział i oboje pochylili się nad kartkami papieru.

- Rachael? Gdzie jesteś?

Rachael wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Tu jestem, Sherlock. Wejdz - krzyknęła. Sherlock weszła do gabinetu. - Co cię sprowadza?

- Jack prosił mnie, żebym przyjechała. O, dzień dobry, panie Cullifer.

- Agentka Sherlock, tak?

Sherlock uśmiechnęła się do niego i skinęła głową. Rachael złapała Sherlock za ramię.

- Znalazłam testament Jimmy'ego, ale nie jest w nim napisane to, czego się spodziewałam. Zadzwoniłam do Brady'ego, a on przywiózł oryginał, więc możemy je porównać.

- Fałszerstwo, panie Cullifer?

- Nie wiem, agentko Sherlock. Dopiero zaczęliśmy je analizować.

Cała trójka pochyliła się nad biurkiem, porównując testamenty. Sherlock przeczytała pierwszą stronę i spojrzała na nich.

- Są różne, panie Cullifer. Jeden z nich jest fałszywy. - Potrząsnęła głową - Nie



*Budynek Hoovera*

Savich zmarszczył brwi, delikatnie stukając palcami o telefon komórkowy.

- Coś nie tak? - zapytał szeptem Jack, pochylając się, przez chwilę zagłuszając melodyjny głos prokuratora federalnego Dickiego Franksa.

- Sherlock nie odbiera telefonu. Umówiliśmy się, że jeśli kiedykolwiek któreś z nas dzwoni do drugiego, zawsze odbieramy, nieważne, czy jesteśmy pod prysznicem albo w pracy. Ma włączony telefon, więc powinna odebrać. Dzwoniłem już dwa razy.

Już miał stracić cierpliwość, kiedy Faith Hill zaśpiewała *The Way You Love Me*.

- Sherlock? No, czas najwyższy, gdzie... doktor Bentley? Wszystkie oczy przy konferencyjnym stole zwróciły się w stronę Savicha.

Kiedy odłożył komórkę, powiedział:

- To był doktor Bentley. Greg Nicholas został otruty ogromną dawką trutki na szczury. Doktor Bentley powiedział, że wciąż ma jej dużo w jelitach, więc mógł ją przyjąć z niedawnym posiłkiem, może z tą rybą, o której mówili. Jack i ja musimy wyjść i dowiedzieć się, kto wczoraj podawał mu lunch.

Trzech prokuratorów federalnych ponownie rozpoczęło dyskusję o możliwych alternatywach.

- Myślę, że już czas, żebyśmy ściągnęli tu tyłki Abbottów - powiedział Dickie. - Poradzimy sobie z ich prawnikami. Janice Arden, najstarsza z ich trójki, powstrzymała ich.

- A może poczekamy, czy Savichowi uda się ustalić, kto otrul Nicholasa. Savich ich nie słuchał. Za bardzo się przejmował.

- Jack, spróbuj zadzwonić do Rachael.

- Już próbowałem. Nie odbiera.

- Spróbuj na stacjonarny.

Nikt nie odbierał. Savich bez słowa wybrał swój własny numer stacjonarny. I znów nikt nie odbierał.

- Sherlock powiedziała, że może pojedzie i zobaczy, co robi Rachael, kiedy jej powiedziałem, że ty i ja prawdopodobnie spóźnimy się. Nie chciałem, żeby Rachael była sama, nawet za dnia. Miałem nadzieję, że zabierze ją do naszego domu. - Bębnił palcami o stół konferencyjny. - Najwyraźniej tak się nie stało.

Sherlock nie chciała otwierać oczu. Wiedziała, że jeżeli to zrobi, będzie jej się chciało wymiotować, albo znowu zemdleje od tego okropnego bólu, albo jedno i drugie.

*Świetna robota, szkrabie, dałaś się wkręcić temu miłemu prawnikowi w ten blef z testamentem. A więc był to prawnik. Kto ją uderzył? Może Kostas, pomyślała - albo Quincy - ale w pamięci utkwiła jej twarz Stefanosa Kostasa. Jakimś cudem wiedziała, że to był on, jak przez mgłę słyszała jego głos. Kiedyś już dostała w głowę, dawno temu, ale ten ból był dziwnie znajomy, powrócił jak dawny wróg. Natychmiast go rozpoznała. Był potworny. Me otwieraj oczu, niech jeszcze przez chwilę będzie ciemno. Nie otwieraj oczu.*

- Sherlock?

To był głos Rachael, dochodził z daleka, był niewyraźny i rozmyty. Żyła, dzięki Bogu. Sherlock chciała zapomnieć, że ją usłyszała, ale cichy głos znowu przemówił. Tym razem usłyszała w nim strach.

- Sherlock, proszę, obudź się. Powiedz coś. Sherlock z bólem otworzyła jedno oko.

- Wybacz, ale za długo byłaś nieprzytomna. Proszę cię, obudź się.

- No dobrze - szepnęła Sherlock i otworzyła też drugie oko. Okropny ból przeszył jej głowę, i podchodząca do gardła żółć zaczęła ją dusić. Przełknęła ślinę, nadal chciało jej się wymiotować, i jeszcze raz.

- Też mnie mdliło, ale teraz jest lepiej - rzekła Rachael. - Przynajmniej mogę nad nimi zapanować. Tobie też się uda.

- Rachael?

Czy to był jej głos? Ten cichy, cienki głos?

- Tak, jestem przy tobie. Ocknęłam się jakieś pięć minut temu. Wszystko w porządku?

A to świetny żart.

- Tak, ale daj mi jeszcze chwilę.

- Jesteśmy związane.

- Tak.

Sherlock poczuła, jak gruba lina wbija się w jej nadgarstki, kostki też miała związane, ale nieco luźniej, więc była jakaś szansa.

- Brady Cullifer - powiedziała. - To on pociąga za sznurki - całe to zainteresowanie testamentem twojego ojca. Zorganizował to jak zawodowiec, a ja dałam się nabrać jak jakaś pierwsza lepsza amatorka. Przykro mi, Rachael, że nie udało mi się uchronić ani ciebie, ani nawet siebie.

- Stefanos Kostas cię uderzył.

- Wiem, nie byłam wystarczająco szybka.

- To ja byłam naiwna. Całkowicie zaufałam Brady'emu - powiedziała Rachael. - Wydawało mi się, że od początku mnie polubił, no i pracował dla Jimmy'ego przynajmniej przez dwadzieścia lat. Jimmy mu ufał, myślał, że jest wobec niego lojalny. - Westchnęła. - Ani przez chwilę nie pomyślałam, że mógłby mieć z tym coś wspólnego, ani w to, że zatrute wino to jego sprawka. Tak bardzo go lubiłam, on podnosił mnie na duchu, rozumiał mnie. Wygląda na to, że każda osoba, którą przedstawił mi Jimmy, jest w to zamieszana. W szczególności Brady Cullifer.

- Jacka też udało mu się nabrać.

- Nie tylko jego, ale nas wszystkich. Ciekawe, gdzie jesteśmy?

- Na chwilę się ocknęłam. Zanim znowu straciłam przytomność, uświadomiłam sobie, że jedziemy samochodem. Chyba jechałyśmy w bagażniku. W tym pomieszczeniu jest za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, więc nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Brady przywiózł nas do swojego biura? A może do domu?

Sherlock usłyszała głosy.

- Cicho. Udawaj nieprzytomną.

Drzwi otworzyły się i wpadło przez nie światło.

- Nadal wyglądają na nieprzytomne - odezwał się Stefanos i uklęknął. Sprawdził tętno im obu. - Żyją.

- No dobra - powiedziała Laurel. - Obie żyją, nie mają ran, ani innych obrażeń, możemy dalej realizować plan. To będzie wypadek samochodowy. Szkoda tylko, że teraz musimy też zrobić coś z tą cholerną agentką FBI.

- Nie miałem wyjścia - usprawiedliwiał się Stefanos. - Ale przecież jesteśmy w tym dobrzy. Postąpimy tak samo, jak ja i Greg z Jimmym.

- Ja nie jestem mordercą - powiedział poważnie Cullifer. - Stefanos uderzył je obie w głowę, ja tylko pomogłem je tutaj przywieźć, tak, jak prosiłaś. Zróbcie z nimi, co chcecie.

Laurel wybuchnęła śmiechem.

- Siedzisz w tym po uszy, odkąd dodałeś barbiturany do wina Rachael. Nie wiedziałeś, że powinna od tego umrzeć? Jesteś w to tak samo zamieszany, jak my wszyscy, Brady, i nie zapominaj o tym. Jesteś pewny, że testament senatora jest teraz w jego dokumentach?

- Tak, wszystko jest na swoim miejscu.

- Może nie wyszło idealnie. Ale przynajmniej nie będzie niezbitego dowodu, kiedy FBI odkryje, że Rachael i ta agentka zginęły w wypadku samochodowym.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że w końcu znalazła wersję testamentu napisaną przez Jimmy'ego, a nie naszą - powiedział Quincy. - Po tym wszystkim, co się stało, nie musimy już niczego udawać, mamy przewagę. Uważam, że powinniśmy zostawić naszą wersję jego testamentu. Dlaczego nie? To znaczy, mogą powstać podejrzenia, dlaczego niczego nie zapisał swojej niedawno poznanej córce, ale cóż zrobić?

- Już to omówiliśmy - przypomniał Brady. - Na każdym kroku podkreślałem, że największym pragnieniem jego ojca było, żeby firma pozostała w rękach jego dzieci. Ale teraz...

- Ale teraz - powiedziała niecierpliwie Laurel. - Ujawnienie tego testamentu byłoby jak machanie do FBI czerwoną flagą i przyznanie się do winy. Posłuchaj, Quincy, wszystkie udziały trafią w ręce naszych dwóch bratanic i rodziny Rachael. Tak, to straszna tragedia musieć mieć do czynienia z takimi ludźmi, ale może uda nam się ich wykupić. Wprawdzie będzie nas to kosztowało, ale przynajmniej testament, który na pewno znajdzie FBI, to nie będzie nasz falsyfikat. Nie są w stanie udowodnić nam, że mamy coś wspólnego ze śmiercią senatora. Ani Grega Nicholasa. Jeżeli chodzi o Rachael, mieliśmy niebываłe szczęście. Będą nas dręczyć, ale nie wydaje mi się, żeby mogli postawić nas w stan oskarżenia.

Ogarniemy ten bajzel. Rachael nam to wspaniale umożliwiła, a my wykorzystamy okazję. A potem zostawimy za sobą ten koszmar i będziemy mogli wrócić do normalnego życia.

*To nie miało nic wspólnego z przyznaniem się mojego ojca do winy. Sherlock miała rację, przez cały czas chodziło wyłącznie o pieniądze i kontrolę nad firmą. Na nieszczęście dla nich, ja ciągle żyję. Kiedy pokazałam się w towarzystwie FBI, wiedzieli, że mają duże kłopoty.*

Rachael nie poruszyła się, kiedy ktoś nogą trącił ją w zębra. Z góry dobiegł ją głos Quincy'ego.

- Nie wierzę, że ta przeklęta dziewczyna przeżyła. Powiem wam, że kiedy przyszła w towarzystwie FBI, myślałem, że już po wszystkim.

*Nie ruszaj się, do cholery, nie ruszaj się. Ale to się nie uda, nie uda... Rachael kichnęła.*

- No, proszę, ktoś tutaj udaje nieprzytomnego - powiedział Quincy. - Z ciebie też taka cwaniara? - Mocno kopnął Sherlock w bok. Gwałtownie wciągnęła powietrze. - No dalej, agentko Sherlock, pobudka, jak mawiała moja niania. Jeszcze raz potrącił ją stopą.

- Zostaw ją - krzyknęła Rachael, usiłując usiąść. - Przestań, Quincy. Laurel spojrzała na nią z góry.

- Nie utonęłaś. Widziałam te porządne liny, betonowy blok, a jednak zdołałaś się uwolnić, nawet odurzona barbituranami. Wyobraź sobie zaskoczenie Quincy'ego, kiedy poszedł do domu senatora, żeby upewnić się, że wszystko jest jak należy. Szkoda, że nie zdążył tam dotrzeć, zanim odjechałaś.

- Ty i Perky schrzaniłyście robotę, czy ktokolwiek z was był tam z nią. Ale to nie ma większego znaczenia, prawda?

- zapytała Rachael. - Szybko mnie znaleźliście.

- To wymagało trochę zachodu, żeby dotrzeć do tego zapadłego miasteczka Parlow, ale tam też ci się udało - powiedziała Laurel.

- Greg Nichols nie przeżył. Ty chyba lepiej radzisz sobie z zatruciami. - Quincy kopnął ją w żebra. Rachael zauważyła, że Cullifer cofnął się i stanął przy drzwiach. Czyżby przestraszył się tego, co zrobił? Laurel pochyliła się nad Rachael, złapała ją za długie włosy, owinęła je wokół nadgarstka i pociągnęła w górę.

- Jak wydostałaś się z jeziora Black Rock? Dlaczego by jej nie powiedzieć? To i tak bez znaczenia.

- Stefanos i Perky nie związali mi rąk, tylko obwiązali liną tułów. I nie zadali sobie tyle trudu, żeby sprawdzić, Laurel. Byłam przytomna, a potrafię bardzo długo wstrzymywać oddech.

Laurel odchyliła się do tyłu, i kosmyk włosów opadł jej na policzek. Odgarnęła go, potrząsając głową.

- Pech, po prostu pech.

- I pech, że dwóch z zabójców, których za mną wysłaliście, nie żyje, a dwóch innych, kiedy tylko wyjdą ze szpitala, trafi prosto do więzienia. Chyba nie chciałabym dla ciebie pracować, Laurel, nawet z dobrą polisą na życie. Laurel uderzyła Rachael w twarz. Poczuela, że ma rozcięte usta i krew spłynęła jej po brodzie.

- Zamknij się! - wrzasnęła Laurel. - Popatrz na mnie, ty żalosny bachorze! Niech cię szlag, patrzysz dokładnie tak, jak mój brat. Jak mu się podobał ten kretyński warkocz, który nosisz. Wyglądasz z nim jak nastoletnia dziwka. - Popchnęła Rachael na plecy i wstała.

Stafanos wziął ją za ramię.

- Nie pozwól jej się sprowokować, Laurel - powiedział ściszym głosem. - Nie musimy się nią już przejmować. Jej szczęście w końcu się wyczerpało.

Komórka Sherlock zaczęła wibrować w kieszeni jej kurtki. Zesztywniała, ale nie poruszyła się. Gdyby mogła jakoś otworzyć komórkę, ale nie mogła. Jeszcze nie. Czy to był Dillon? Czy dzwonił wcześniej, kiedy była nieprzytomna? Jeżeli tak, musiał się martwić.



- Możesz zabrać je do salonu, Stef. Przygotuj się. Quincy, upewnij się, że okna są zamknięte, a zasłony zasłonięte.

- Powiedz mi, Stefanos, kiedy ostatnio korzystałeś ze swojego tajnego burdelu? - zapytał Quincy.

- Jakiś tydzień temu, Quincy - odparł Stefanos, wyraźnie rozbawiony. - Podobał ci się wystrój, nie wstydz się tego. Wleczenie przez jakieś dziesięć metrów po podłodze do salonu bolało, ale nie to było najgorsze. Rachael bolał brzuch od kopnięcia Quincy'ego.

Spojrzała na Sherlock, która leżała na plecach, miała zamknięte oczy i Rachael miała wrażenie, że ledwie oddychała.

Potem Sherlock otworzyła oczy i zaczęła mrugać od jasnego światła. Nie były ani w biurze Cullifera, ani w jego domu. Były w bungalowu, który przypominał burdel, zupełnie, jak powiedział Quincy - czy to była kryjówka Stefanosa Kostasa i jego licznych kochanek?

Ściany w salonie były pokryte grubą aksamitną czerwoną tapetą, nad oknami udekorowaną złotymi draperiami.

Leżały na perskim dywanie obok czterech szeszlonych i wielkich głębokich krzeseł.

Rachael pomyślała, że wystrój jest tandetny.

- Chce mi się pić. Mogę dostać szklankę wody? - zawołała. Nikt nie zareagował.

- To wy otruliście Grega Nicholasa? Przestaliście mu ufać? - zapytała Sherlock. Stefanos odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Przez cały czas byłaś przytomna, prawda? Nichols zaplanował, jak zabić swojego szefa. To on zagadnął nas o senatorze. Bardzo chciał się wkupić, bo nie chciał iść do więzienia razem z senatorem i zrujnować sobie życia. Nichols już wiedział, co musiał zrobić, żeby to wyglądało na wypadek. Potem ten głupiec przestraszył się, kiedy agent Crowne i ty, Rachael, pojawiliście się u niego. Musieliście napędzić mu niezłego stracha. Biadolił, jak wszystko się wali i że jest przekonany, że wszyscy wylądujemy w więzieniu. Chciał wyjechać z miasta. Chciał od nas pieniędzy, uwierzysz? No cóż, w końcu można powiedzieć, że opuścił miasto, prawda? Laurel podeszła do swojego męża, objęła go ramionami i pocałowała w policzek.

- Świetna robota, Stef.

Stef? Laurel zwracała się do swojego uganiającego się za spódniczkami męża Stef? On też ją objął.

- Wszystko będzie dobrze, *matia mou* - powiedział Stefanos, całując jej włosy. - Zawsze wyrywam chwasty.

- Dlaczego nie? - zapytała Laurel, patrząc na nich niecierpliwie. - Czy wszyscy się

zgadzają? Nie możemy dopuścić do zniknięcia agentki FBI. Savich nigdy by nam tego nie darował, nigdy. Zniknięcie Rachael też może być kłopotliwe. Jedyne rozwiązanie to wypadek samochodowy, pasuje idealnie, zwłaszcza do Rachael.

Quincy pokiwał głową.

Stafanos wypuścił z objęć żonę i z kieszeni kurtki wyciągnął małą trzydziestkę ósemkę o opływowych kształtach.

- Szanowne panie, a teraz rozwiążemy wam nogi, a wy wstaniecie i grzecznie przejdziecie do samochodu agentki Sherlock. Nie musicie martwić się o nic więcej. - Zwrócił się do żony: - Myślę, że pojedziemy do tych klifów, gdzie zginął ojciec Rachael. Nie ma tam wielkiego ruchu, nawet o tej porze dnia.

- Tak zrobimy. Pozwólmy działać Brady'emu - powiedziała Laurel.

Dillon zamknął MAX - a i wstał.

- Proszę wybaczyć, ale agent Crowne i ja musimy iść. Jest problem - powiedział.

On i Jack byli w połowie drogi do drzwi sali konferencyjnej, kiedy pan Maitland zawołał:

- Savich, dokąd idziecie? Co się stało?

- Sherlock jest w niebezpieczeństwie - rzucił przez ramię Savich, nie zwalniając kroku. - MAX pomógł mi namierzyć współrzędne jej telefonu.

- Ale skąd wiesz, że jest w niebezpieczeństwie?

Jednak nie usłyszał odpowiedzi na to pytanie, bo Savich i Jack wybiegli. Savich wyjechał z rykiem z garażu budynku Hoovera i natrafił na popołudniowy korek na Pennsylvania Avenue. Ale Savich potrafił meandrować pomiędzy innymi samochodami, wciskać się tam, gdzie pojawiła się jakaś szansa przejazdu. Zbyt duży ruch, pomyślał i skręcił w Seventh Street i przyspieszył, gdy minęli National Mail. Jeszcze raz wjechał na Pennsylvania Avenue, kierując się w stronę Potomaku i w żółwym tempie wjechał na most, ale wkrótce pędził drogą 295, na Baltimore - Washington Parkway wciąż było niewielu dojeżdżających.

- Zobacz, jak szybko dotarliśmy do Hailstone - powiedział Savich. - Osiemnaście minut, w korku, stojąc na światłach i z patrolem drogówki przy drodze.

- Nie mogę uwierzyć, że ona i Rachael są w posiadłości Stefanosa. Dlaczego? Jak dostały się z domu Rachael do Hailstone w Maryland?

- Dowiemy się tego. Jack, niech jeden z naszych ludzi sprawdzi dom Rachael. Dowiemy się, czy jej charger i volvo Sherlock tam są. Zapiąłś pasy? - Chwilowo nie było korka i Savich pozwolił porsche mknąć sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Jack pokiwał głową.

Droga przed nimi była czysta. Savich mocniej przycisnął pedał gazu. Porsche gnało sto osiemdziesiąt na godzinę, mijając pędzącego cadillaca. Savichowi mignęły tylko blade twarze pasażerów.

Czarne ferrari ścigało się z nimi przez kilometr czy dwa, po czym odpuściło, a Savich sprawnie je wyprzedził.

Zaskoczony kierowca posłał Savichowi zdziwione spojrzenie i gest uznania.

Ruch uliczny zwiększył się i z powrotem zwolnił do dziewięćdziesiątki.

- Mają je obie, Rachael i Sherlock, Savich, wiesz o tym. Ale jak to się stało? Sherlock

jest ostrożniejsza niż James Bond. - *Co oni im zrobią?* Ale nie powiedział tego głośno. - Dlaczego teraz? W środku dnia? To ogromne ryzyko. Co ich do tego skłoniło?

Porsche przemierzało kolejne kilometry.

- Jack, nigdy bym nie pomyślał, że ktoś pokroju Laurel Kostas zawahałby się popełnić morderstwo pod wpływem silnych emocji - powiedział Savich. - To wszystko stało się tak szybko, nawet nie zdążyliśmy się nad tym zastanowić. Nie kupuję tej wersji, że zamordowali senatora dlatego, że zamierzał wyznać swój czyn, jeszcze trudniej uwierzyć w to, że próbowali zamordować Rachael, bo zamierzała wyznać, co zrobił jej ojciec. Za słaby motyw. Choćby dlatego, że ona jest z nami, a więc oni wiedzą, że my na pewno wszystko wiemy i wciąż próbują dobrać się do niej. To nie ma sensu.

- No tak, ale jeśli facet, który włamał się do jej domu, nie zamierzał jej zabić, po co tam przyszedł? - zapytał powoli Jack.

- Po pieniądze - powiedział Savich.

- Dobra, to ma coś wspólnego z pieniędzmi. Ale co? - zastanawiał się Jack z oczyma utkwionymi w autostradzie przed nimi i rozmywających się samochodach.

- Mam wrażenie, że zaraz się tego dowiemy. Seksowny kobiecy głos GPS - u w porsche powiedział im, że zjazd na Hailstone będzie za pięć kilometrów.

- Świetnie - powiedział Savich. - Już prawie jesteśmy. Za kilka minut będziemy na miejscu.

Savich precyzyjnym, kontrolowanym ruchem, skręcił w drogę zjazdową. Potem znowu skręcił w prawo na Nimere Avenue w mieście Hailstone.

- Rachael powiedziała, że jej ojciec zapisał jej jedną trzecią swojego majątku, włączając w to udziały w firmie oraz dom - powiedział Savich i trzasnął dłonią o kierownicę.

- Dlaczego dla nich to jest aż tyle warte?

- Może chodzi o kontrolę nad imperium Abbottów - podpowiedział Jack. Porsche gładko skręciło w lewo na Clapton Road.

- Czekaj, właśnie po prawej minęliśmy rezydencję Kostasów - powiedział Jack. - Dokąd jedziemy? GPS wskazywał, że ich cel jest kilometr przed nimi.

- Nie wiem - mruknął Savich.

Stary, szary chrysler wytoczył się na drogę wprost przed porsche.

- Chwileczkę, Stef - powiedziała Laurel i spojrzała w dół na Rachael. - Powiedz mi, dlaczego nie wyznałaś winy senatora wczoraj wieczorem, kiedy miałaś ku temu doskonałą okazję.

- Przecież to jasne, Laurel - odparł Quincy. - W końcu zrozumiała, że będą ją uważać za zdrajczynię ojca, a pomysł z tą przeklętą fundacją, którą chciała powołać, legnie w gruzach.

Podtrzymuj rozmowę - Rachael wyczytała to w oczach Sherlock, więc powiedziała:

- Nie, nic z tych rzeczy. Tak naprawdę, stwierdziłam, że tylko Jimmy mógł wyznać publicznie fakt o tak poważnych konsekwencjach. To jego decyzja, nikogo innego.

- Mówisz prawdę? - zapytał Quincy.

- Leżę u twoich stóp. Dlaczego miałabym kłamać? Nagle w oczach Laurel pojawiły się łzy. Strażniczka więzienna nagle okazała skruchę z powodu zamordowania swojego brata? Łzy? Rachael patrzyła na nią. Co się z nią dzieje?

- To znaczy, że nie zawiodłam - powiedziała Laurel. A wiesz, że już pogodziłam się z tym, że tak jest?

Tak bardzo tobą gardziłam, Rachael. Tatuś nigdy by mi nie wybaczył, gdybyś jednak to powiedziała. Nigdy On uważał, że nie ma żadnego usprawiedliwienia dla niepowodzeń.

Tatuś? Jej ojciec? Ten bluźnierczy starzec, który rozłączył mojego ojca i moją matkę? Ale on nie żył, umarł kilka miesięcy temu, zmarł, zanim oni zamordowali Jimmy'ego.

- Ten stary drań - wybuchnął Quincy. - Skąd dowiedział się co zrobił Jimmy? Ja nie miałem o tym pojęcia, dopóki Jimmy nam nie powiedział. - Quincy uderzył pięścią w otwartą dłoń - Do diabła, powinien być mi też powiedzieć. Byłem lojalnym synem. Ja zostałem, nie odszedłem do tego przeklętego Senatu Byłem synem, który robił wszystko, o co on poprosił. Cholerny stary drań.

Rachael i Sherlock ledwie oddychały.

- Uspokój się, Quincy. Ojciec nigdy mi nie powiedział jak się o tym dowiedział - przerwała mu Laurel. - Wiem że od czasu do czasu kazał go śledzić, wynajmował detektywów żeby go sprawdzili. Lubił wiedzieć, gdzie są wszystkie pionki na szachownicy, zawsze taki był.

- Przestań skomleć, Quincy - warknął Stefanos - To naprawdę nie wygląda najlepiej i nie pasuje do twojego arystokratycznego wizerunku.

- Zamknij mordę, skurwielu... Stefanos roześmiał się.

- Czyżbym słyszał zazdrość?

- Zazdrość, o co? - krzyknął Quincy. - Że ten starzec przerobił cię po swojemu dla własnych celów i oczekiwań, a ty mu na to pozwoliłeś?

- Zawsze uważałem, że to był jeden z lepszych pomysłów waszego ojca - odparł Stefanos.

Tymczasem Sherlock próbowała rozwiązać węzły na swoich nadgarstkach. *Proszę, niech oni dalej mówią, niech wyrzucą to wszystko z siebie, niech rzucą się sobie do gardeł, tylko tego chcę. Jeszcze tylko trzy minuty, tyle powinno wystarczyć.* Sherlock poruszała nadgarstkami, poczuła pieczenie i wilgoć, to była jej krew, ale to nie miało znaczenia. Znaleźli na jej kostce kaburę i zabrali jej Lady Colt, ale nie przeszukali wewnętrznych kieszeni marynarki, gdzie miała chusteczkę i scyzoryk.

- Tak, i przez piętnaście lat robił z Laurel idiotkę - powiedział Quincy. - Nigdy mi się to nie podobało, wiedziałem, co ludzie mówią za twoimi plecami. Ale ojciec zawsze śmiał się, kiedy słyszał plotki o twoich kochankach, o przesiadywaniu w barach, o zabawach z prostytutkami w tym małym domku, oddalonym ledwie pięć minut drogi od domu, w którym mieszkałeś z moją siostrą. Ty też się z tego śmiałaś, Laurel?

- Zawsze uwielbiałam teatr - powiedziała lekkim tonem. Sherlock znów poczuła, jak jej komórka wibruje. Dillon, to musiał być Dillon. Jest blisko, wiedziała, że po nią przyjdzie.

Stefanos zwrócił się do Rachael, uśmiechając się do niej.

- Nie masz pojęcia, o czym on mówi, prawda?

- Wiem tylko, że jesteś idiotą, który ugania się za spódniczkami.

- Przypuszczam, że wszyscy w to uwierzyli - powiedziała Laurel - Wizerunek Stefanosa jako kobieciarza - to był pomysł mojego ojca. Naprawdę się postarał dla mojego drogiego Stefa.

Ten podchwycił temat:

- To działało na naszą korzyść, bo wszyscy partnerzy w interesach uważali, że byłem tylko ograniczonym playboyem, którego kupił dla Laurel. Wielu z tych starych osłów zapraszało mnie do swoich weekendowych willi, gdzie afiszowali się swoimi kochankami, chwalili się, kogo ostatnio przelecieli, swobodnie opowiadali o swoich sprawach biznesowych. Nawet nie przyszło im do głowy, że stanowałem dla nich zagrożenie, nie doceniali mnie. Ten cały seks, alkohol głupie intrygi! Kiedy ci wszyscy staruszkowie przyjeżdżali tutaj, do mojej małej kryjówki, wszystko nagrywałem. Uwielbiali czerwony aksamit. Nigdy nie zauważyli kamer. Staruszek był bardzo zadowolony. Cieszył się, oglądając filmy, które nakręciłem.

- A interesy szły coraz lepiej. - Laurel uśmiechnęła się znacząco.

- Odkąd staruszek nie żyje, tak bardzo się już nie przykładam - przyznał Stefanos. - To stało się męczące.

- Zanim tatuś naprawdę się rozchorował, powiedział mi co zrobił Jimmy - podjęła Laurel. - Chciał, żebym mu obiecała' ze dopilnuję, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Niepokoił się bo twierdził, że Jimmy jest wrażliwy jak dziecko i ma tendencję do wyrzutów sumienia. Niechętnie o tym mówił bo Jimmy był jego najstarszym synem, ale taka była prawda. Wychował słabeusza. Jimmy był podobny do naszej matki. To go zawstydzalo.

- Cholera, Laurel, nasz stary był stuknięty. I wiesz, co jeszcze? Myślę, że zainteresował się Jimmym, kiedy ten zdecydował się kandydować do Senatu. Wiesz dlaczego? Bo to był pomysł Jimmy'ego, a nie jego. Nienawidził tego, że nie może go kontrolować.

- Teraz to nie ma znaczenia - stwierdziła Laurel. - Kiedy umierał, jeszcze raz poprosił, żebym mu obiecała, że to jest mój obowiązek. Zrobiłam to.

- I zobacz, do czego to doprowadziło - warknął Quincy. Jimmy nie żyje. Greg Nichols nie żyje. Te dwie suki wkrótce umrą, a my tu walczymy o nasze życie.

*Masz na sumieniu wiele ciał, prawda, Laurel?* Rachael zamarła. Stefanos spojrział na bladą twarz żony.

- Obietnica, którą złożyłaś ojcu, była honorowa, Laurel. Tak, jak powiedziałaś, to, jaki naprawdę był, nie ma już znaczenia. Tylko my się liczymy i zrobimy to, co musimy zrobić żeby przeżyć. Żeby wygrać.

- Tatuś był ważny. Znaczył więcej niż ktokolwiek inny - powiedziała Laurel z namietnością w głosie. Podeszła do Rachael i uklękła obok niej. - Po śmierci tatusia twoja matka pomyślała, że może w końcu coś zyskać, więc wysłała cię do senatora, a ten żalorny głupiec uznał, że jesteś darem niebios.

- Adoptował tę czarownicę! - krzyknął Quincy. - Nie mogłem uwierzyć, że to zrobił i do tego tak szybko.

- Tak, Jimmy nigdy nie troszczył się o pieniądze, prawda?

- Spojrzała na brata. - Koniec końców nie troszczył się też o rodzinę. Stał się dla nas zagrożeniem. - Dotknęła palcami policzka Rachael. - A teraz ty zginiesz w wypadku samochodowym, zupełnie jak on, a my przeżyjemy. Laurel powoli wstała, zmierzała w kierunku Stefanosa, który stał obok kominka.

Bez butów wyglądała na znacznie niższą, ubraną bez gustu, krępa matroną w kabaretkach. Wyglądała na zmęczoną, starą, a jej szminka dawno się starła, a kosmyk

szorstkich włosów opadał na policzek. Stefanos chwycił ją za rękę i pocałował, po czym dotknął kciukami jej brwi.

- Wszystko będzie dobrze, *matia mon*. Quincy i ja zapakujemy panie do samochodu agentki i wyślemy w ich ostatnia podróż. W FBI podniesie się raban, ale cóż będą mogli zrobić? Nie mają przeciwko nam dowodów. Mają przypuszczenia, pobożne życzenia, ale z tym już poradzą sobie nasi prawnicy.

Stefanos odwrócił wzrok w stronę Rachael i Sherlock. Jego ciemna brew uniosła się.

- Czas sprawdzić, czy istnieje życie wieczne, moje panie - powiedział i wyjął swoją trzydziestkę ósemkę.



Savich zobaczył śmiertelnie bladą twarz kobiety chwilę przed tym, kiedy już miał uderzyć w bok chryslera. Mocno szarpnął kierownicą w lewo, nacisnął hamulec i dodał trochę gazu, a wspaniała maszyna zagregowała perfekcyjnie, ale droga po prostu nie była dostatecznie szeroka.

Porsche zatrzymało się. Przednie koła wisiały nad rowem. Wiekowy chrysler pojechał dalej w swoją stronę. Salich obejrzał się i zobaczył, że kobieta pokazuje mu środkowy palec.

Musiał się roześmiać. Jack, przeklinając, otworzył drzwi i spojrzał w dół.

- ten cholerny rów ma tylko dwa metry głębokości. Musimy szybko zabrać stąd porsche, Savich. Ten ostrożnie otworzył drzwi kierowcy i wyjrzał na zewnątrz.

- Zostań tam, Jack, trochę się chwiejemy. - Wybrał numer 112 prosząc o pilną pomoc. Potem zadzwonił do Sherlock. Ciągle nie odpowiadała. Rozejrzał się wokół, zobaczył jak obok przejechało kilka samochodów, ludzie na nich patrzyli, ale nikt się nie zatrzymał. Savich podniósł głowę.

- Gdzie jest policja? Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni.

Czas, pomyślał Jack, czas ucieka. Savich jeszcze raz wybrał numer Sherlock. Nie odbierała.

- Jest coś, czego nie rozumiem - powiedziała Rachael.

- Kiedy włamaliście się do mojego domu, nie weszliście tam, żeby mnie zabić, prawda? To znaczy, nie mieliście żadnego powodu. Dużo ryzykowaliście.

- Musieliśmy zamienić testament, który spisał senator i o którym ci powiedział, na naszą wersję - wyjaśnił Stefanos.

- Byliśmy przekonani, że na zawsze spoczęłaś na dnie jeziora Black Rock, sprawa byłaby wtedy o wiele prostsza. Fałszywy testament znalazł się na swoim miejscu, bez wzmianki o tobie. Resztę już wiesz. Musieliśmy ratować, co mogliśmy. Chroniliśmy siebie. Ale nie udało się, prawda? Po jaką cholere krzyczałaś? Byłem daleko od ciebie.

- Bo przez was miałam koszmarne sny - odparła Rachael.

Sznury puściły. Nadgarstki Sherlock bolały, ręce były zdrętwiałe. Nie patrzyła na Rachael. Wszystko zależało od niej, tylko od niej.

- Dobra, koniec gadania - uciął Stefanos. - Quincy, kończmy to. Zabieramy je do samochodu. Nie ruszaj się, agentko, albo zginiesz na miejscu.

I podniósł swoją trzydziestkę ósemkę. Kiedy schylił się, żeby schwycić Sherlock za stopy, mocno go kopnęła w klatkę piersiową.

Nie mógł krzyknąć, stracił oddech. Przewrócił się do tyłu, trzymając się za tors, a trzydziestka ósemka wypadła mu z dłoni. Sherlock otworzyła swój szwajcarski scyzoryk i jednym ruchem przecięła sznury na kostkach.

Słyszała, jak trzydziestka ósemka pada na dywan, ale nie wiedziała, gdzie leży. Było mało czasu. Quincy rzucił się na nią, krzycząc, bijąc i ściskając ją za szyję. Uderzyła go ręką w grdykę. Upadł, dławiąc się i trzymając się kurczowo za gardło. Sherlock przetoczyła się do Rachael, przecięła sznur na jej kostkach, a potem na nadgarstkach. Laurel zaczęła uciekać, ale Sherlock nie mogła pozwolić jej uciec.

- Dość już tego.

Rachael w końcu była wolna. Obie spojrzały na Laurel trzymającą pistolet Stefanosa.

- Uciekaj stad! Juz! - krzyknęła Sherlock do Rachael, pochyliła się do przodu i rzuciła nożem w Laurel. Nóż wbił się głęboko w ramię kobiety, która zaczęła krzyczeć.

- Ty suko. - Łzy spłynęły jej po policzku jak krew po piersi. Laurel wydała dziki okrzyk i pociągnęła za spust.

Sherlock poczuła ostre ukłucie kuli. Pragnęła wyciągnąć nóż z ramienia Laurel i wbić go w jej złe serce. Ale wiedziała że nie może tego zrobić. Patrząc na Laurel, przewróciła się

na bok. Czy to Rachael krzyczy? Na Laurel?

- Ty przekłeta dziwko! Zrobię to samo z tobą słyszysz mnie? - W oddali usłyszała trzaśnięcie drzwiami, szybkie kroki, odgłosy walki i krzyk Rachael. - Mam pistolet! Quincy, Stefanos, nie ruszajcie się! Nie, obaj na podłogę, twarzą do ziemi! Dranie, zamordowaliście mojego ojca!

Choć nie mogła się ruszać, Sherlock słyszała męski głos, potem krzyk Quincy'ego.

Sherlock uśmiechnęła się. Jeden z męskich głosów to był głos Dillona. Nie spieszył się, ale w końcu przyjechał. Nareszcie tu był. Usłyszała krzyk Rachael, i cichy głos Dillona, był tuż przy niej. Teraz już wszystko będzie dobrze. Nagle zrobiło jej się zimno, ale to było nieistotne. Dillon się wszystkim zajmie. Zamknęła oczy i pozwoliła się wyłączyć swojemu umysłowi.

Savich lekko pogładził palcami jej dłoń. Szkoda, że jej piękna ręka była bezwładna, a skóra sucha. Na szczęście posmarował jej dłonie kremem i skóra na nich stała się miękka.

*Minęły już dwa dni, dwa długie dni, odkąd ta wariatka cię postrzeliła. Dwa dni, ale przynajmniej żyjesz. Modliłem się tak bardzo, że na pewno Bóg już ma mnie dość. Wiesz, jak niewiele brakowało, żeby Laurel cię zabiła? Jack tak mocno ścisnął ci bok, że nadal masz siniaki.*

Savich podniósł wzrok i w drzwiach szpitalnej sali zobaczył pana Maitlanda.

- Bardzo ją bolało, więc podali jej więcej morfiny - powiedział Savich. - Teraz odpoczywa. Zanim zasnęła, zapytała mnie, czy udało jej się zranić Stefanosa w żebra. Powiedziałem jej, że cała trójka trafiła do aresztu i że on bardzo cierpiał. Narzekała, że swoim szwajcarskim scyzorykiem nie trafiła dokładnie w cel - to małe чудо, jest stworzony do rzucania. Powiedziałem jej, że Laurel też nie czuje się zbyt dobrze, jej stanu dodatkowo nie polepsza fakt, że stanie przed sądem i wszystko straci.

Potem powiedziała, że właściwie może żyć bez śledziona. Zgodziłem się z nią. W końcu, czym jest śledziona w obliczu wszystkich problemów tego świata? Zanim zdążyła się roześmiać, zasnęła.

- Brady Cullifer siedzi w swojej milusiej celi ubrany w elegancki pomarańczowy strój - powiedział Maitland po chwili. - Chce pójść na współpracę, gotowy i chętny opowiedzieć o wszystkim, co zrobili Quincy, Stefanos i Laurel, bo twierdzi, że nigdy nikogo nie zabił. Prokuratorzy - szczególnie Dicky - chcą porządnie go wymaglować, zanim coś mu zaproponują.

Savich westchnął i powiedział:

- Po tej strzelaninie, którą mieliśmy w księgarni Barnes & Noble w Georgetown,

Sherlock była na mnie bardzo zła, bo mało brakowało, a Perky mogła mnie zabić. Żeby ratować moje małżeństwo, dałem jej się pokonać na sali gimnastycznej. A teraz, proszę na nią spojrzeć. Leży na łóżku, bez śledziona, a ja jestem załamany.

- Już po wszystkim, nikt nie umarł, a wszyscy twoi agenci uwijają się, żeby nadrobić wasze śledztwa. Kontrolerzy przejrzeni księgi rachunkowe Abbottów. Powinieneś zobaczyć, co znaleźliśmy.

Savich pomyślał o tym przez chwilę, po czym powiedział:

- Jest coś, co powinien pan wiedzieć o senatorze Abbotcie - i opowiedział ze szczegółami o zajściu sprzed osiemnastu miesięcy.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Savich - westchnął Maitland. - Nikt z nas tego nie chce, ale to i tak prędzej czy później się wyda podczas procesu. Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pielęgniarka zajrzała do środka.

- Agencie Savich? Pańska teściowa błagała mnie, bym pana stąd wyciągnęła, żeby ona mogła tutaj przyjść i zobaczyć córkę.

Savich pocałował Sherlock w usta, wyprostował się i powiedział:

- No dobra, dam jej pięć minut. Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Wszyscy tutaj są - rzekł Maitland. - Twoja matka, syn, siostra i teściowie z San Francisco i połowa jednostki. Zastanawiam się, kiedy przyjdzie dyrektor Mueller. Mamy tu nawet jakieś media. Nie martw się, poradzimy sobie z nimi, kiedy przyjdzie czas.

Maitland położył swoją wielką dłoń na ramieniu Savicha.

- Kiedy Sherlock się obudzi, powinieneś przyprowadzić do niej Seana. Jest przerażony, ale dobrze się trzyma.

Jeszcze raz spojrzął na Sherlock. Jej błyszczące, rude włosy były rozrzucone na białej poduszce, ale jej twarz nadal była blada, zbyt blada.

Zastanawiał się, kiedy ma powiedzieć Sherlock, że terier Seana pogryzł jej najlepszą i najdroższą, właściwie jedyną parę szpilek, tę, którą miała na sobie podczas przyjęcia w Jefferson Club.

*Jamajka*

*Cztery dni później*

Savich i Jack przeszli wzdłuż wapiennych klifów do wąskiego cypla, gdzie mężczyzna ubrany w obszerne bermudy, tenisówki i koszulkę Redskins siedział pod drzewem mango i patrzył gdzieś w dal.

To nie było miejsce cywilizowane i oblegane przez turystów, jak Negril, najbliższe miasto. Powietrze pachniało dzikością, wiatr wiał gwałtownie, ziemia była gorąca i sucha, a klify wznosiły się jakieś dwadzieścia metrów nad lazurową wodą, która rozbryzgiwała się o czarne kamienie, tworząc spienione fale, których szum działał hipnotyzująco.

Mężczyzna nie ruszał się, nic nie mówił, nie zauważył ich, kiedy Savich usiadł po jego jednej stronie, a Jack po drugiej, chociaż obaj wiedzieli, że słyszał, jak nadchodzą.

- Zastanawiałem się, kiedy ktoś po mnie przyjedzie - powiedział. - Jesteście z CIA?

- Ja jestem agent Savich z FBI, a to jest agent Jack Crowne. Mężczyzna dalej się nie ruszał.

- Tutaj turyści nie skaczą do wody z klifów, tak jak w Negril. Te wszystkie skały wystają z wody jak czarne zęby, a jeszcze więcej jest ich pod powierzchnią wody. Mogą rozerwać ciało na strzępy.

Savich spojrzał na profil młodego mężczyzny, ciemną karnację, gęste, proste, czarne włosy. To był miły, zdrowo wyglądający mężczyzna, bardzo podobny do swojego ojca, ale nie mógł być tego zupełnie pewny, ponieważ dotąd nie widzieli go *en face*.

- Nie powiedzieliśmy jeszcze twoim rodzicom, że żyjesz, masz się dobrze i mieszkasz na Jamajce - powiedział Savich.

Jean David Barbeau w końcu odwrócił się do nich twarz. Rzeczywiście był bardzo podobny do ojca, ale w przeciwieństwie do niego, nie był potwornie blady z żalu i zgryzoty, a jego czarne oczy nie były smutne i puste. Wyglądał na spokojnego, prawie obojętnego, jakby nie obchodziło go, że oni tutaj byli i że dla niego wszystko było skończone.

- Jak mnie znaleźliście? - zapytał.

- Twojego ciała nigdy nie odnaleziono - odpowiedział Jack. - Więc zacząłem zastanawiać się, skąd wzięła się ta motorówka, która uderzyła w łódź, w której byłeś ze swoim ojcem, i dlaczego właściwie tam się znalazła? W raporcie było napisane, że łódź nazywała się *Wodna Bestia*. Sprawdziłem ją i odkryłem, że jej właściciel miał siostrzeńca, który studiował razem z tobą na Harvardzie. Nie myśl, że od razu cię wydał. Zabraliśmy

młodego analityka finansowego Davida Caldicotta na czwarte piętro budynku FBI, napędziliśmy mu niezłego stracha i w końcu przyznał, że pomógł ci zainscenizować samobójstwo.

- David zadzwonił do mnie wczoraj w nocy - powiedział Jean David. - Opowiedział mi, że groziliście jemu i jego rodzicom i powiedział, że musiał, że nie miał wyboru. Przepraszał mnie.

- Wiem. Sami daliśmy mu telefon. Jean David ożywił się.

- Dlaczego?

- Żeby cię zlokalizować. Chcieliśmy sprawdzić, czy naprawdę jesteś tam, gdzie Caldicott twierdził, że byłeś.

- Dowiedzieliśmy się, że posługujesz się paszportem na panięskie nazwisko swojej matki. Użyłeś go, kiedy przyjechałeś tutaj po tym, jak próbowałeś zabić doktora MacLeana w szpitalu w Waszyngtonie.

- Obawiałem się, że oskarżycie o to mojego ojca.

- Nie pasował - wyjaśnił Savich. - Twój ojciec jest starszy, a jego ruchy nie przypominają ruchów młodego mężczyzny, jakie obserwowaliśmy na nagraniach ze szpitalnych kamer, twoich ruchów. Przez chwilę udało ci się wodzić nas za nos i kręciliśmy się w kółko, ale w końcu jesteś studentem strategii, prawda Jean David? Roześmiał się ironicznie.

- Tak, jestem ekspertem do spraw strategicznych. Zawsze byłem bystry, słyszałem to od ludzi w szkole i w CIA. Moi szefowie podkreślali, jaki niesamowity jest mój mózg, ale powiem wam, że jeżeli chodzi o mnie, to mózg nie ma większego znaczenia.

- Mówisz o Annie Radcliff - zauważył Savich.

- Tak, o Annie.

- Naprawdę nazywa się Halimah Rahman, a nie Anna - powiedział Savich.

- Nieprawda, ma na imię Anna. Ten sukinsyn MacLean powiedział wam, jak się nazywa, tak? I tak do niej dotarliście.

- Doktor MacLean powiedział, że twój ojciec wspominał coś o Annie - rzekł Savich. - Nie było trudno znaleźć ją i kilku jej przyjaciół terrorystów.

- Gdyby tylko mnie posłuchała - głos Jeana Davida zadrżał lekko. - Mówiłem jej, że doktor MacLean wszystko o nas wygadał, i że powinna wyjechać z kraju. Przysięgłem, że do niej dołączę, ale ona nie wyjechała.

Spojrzał w dal przed siebie, ale na pewno nie podziwiał karaibskich widoków.

- Wiecie, że nadal myślę o niej jako o Annie - powiedział Jean Dawid. - Tak mi się

przedstawiła w tej kawiarni w Cambridge. - Roześmiał się, wskazując na fulmara, ptaka nurkującego do wody. - Wiem, że naprawdę ma na imię Halimah. Ale dla mnie zawsze będzie Anną.

Ufała mi, chwaliła mnie, była mnie ciekawa, ciekawa tego, co myślałem i miałem do powiedzenia. I była tak nieziemsko piękna. Zakochałem się w niej, po prostu przepadłem z kretesem. Było nam świetnie w łóżku, ale ważniejszy był sposób, w jaki do mnie mówiła, jak mnie słuchała, śmiała się ze mną, podziwiała wszystko, co mówiłem. Zupełnie oszalałem z miłości do niej.

Patrzył, jak ogromny kormoran szybował nad powierzchnią wody niedaleko fulmara, leniwie poszukując czegoś do jedzenia. Bacznie obserwował rybę, pływającą tuż pod powierzchnią wody oraz gołębia.

- Już wcześniej go obserwowałem - powiedział Jean Dawid. - Jest naprawdę szybki i sprytny. Patrzcie, jaką rybę złowił. On nigdy nie chybia.

- Twoi rodzice są zrozpaczeni - rzekł Savich. - Jak mówił agent Crowne, nie powiedzieliśmy im, że żyjesz.

- Tak, zrobiłem, co mogłem, prawda? Ojciec zamierzał mnie gdzieś ukryć, Bóg jeden wie gdzie. Cały czas mnie usprawiedliwiał, mówił, że to nie była moja wina, tylko tej złej kobiety. I jakie to miało znaczenie, skoro ucierpiała tylko odrobina amerykańskiej inteligencji. Ja jestem Francuzem, kogo to obchodzi?

Ale znam moich rodziców, zwłaszcza matkę. Wiem, że ten wstyd byłby dla niej nie do zniesienia. Do diabła, ja też nie mógłbym z tym żyć - wzruszył ramionami.

- Twierdzisz, że próbowałeś zabić doktora MacLeana, żeby nie powiedział prawdy o Annie? - zapytał Jack. Jean David roześmiał się.

- Niczego nie rozumiecie. Te dwa tajemnicze zamachy na jego życie i bomba w samolocie - ja tego nie zrobiłem. Nie znam się na tym. To robota współpracowników Anny. Tak, jak powiedziałem, Anna nie wyjechała z kraju. Ona i jej przyjaciele dobrze sobie tutaj radzili. Sądzili, że mogą zapobiec wyciekowi informacji, więc zaczęli od zabicia tego przyjaciela doktora MacLeana. Dowiedzieli się o nim, ponieważ śledzili doktora MacLeana.

- Anna ci to powiedziała? - zapytał Savich.

- Wszystko mi powiedziała. Potem ją aresztowaliście, i więcej jej nie widziałem. Myślałem, że oszaleję. Oni mieli trzy szanse, żeby zlikwidować MacLeana, i nawalili. Ja nie zamierzałem nawalić. Ale mnie też się nie udało. Nie mogłem uwierzyć, że ta pielęgniarka mnie postrzeliła.

Ale do tego czasu zdążyłem zorganizować swoje samobójstwo, które oczywiście

uprościło życie CIA, moim rodzicom i mnie. Wszyscy byli zadowoleni. Jedynym słabym punktem planu było użycie motorówki Caldicotta, ale nie miałem wyjścia. Musiałem mieć nadzieję, że władze uwierzą w samobójstwo i nie będą niczego podejrzewać. I nie podejrzewali. Ale wy tak.

- Powiedzenie twojemu ojcu, że zamierzasz popełnić samobójstwo, to był doskonały ruch. Ty zniknąłeś, twoi rodzice byli bezpieczni.

Na twarzy Jeana Davida pojawiło się zdziwienie.

- Skłonił pan mojego ojca do wyznania, że popełniłem samobójstwo? Myślałem, że zabierze tę tajemnicę do grobu. Savich pokiwał głową.

- Był załamany, nic go już nie obchodziło, bo jego jedyny syn nie żył. Nie widział powodu, żeby mi o tym nie powiedzieć. Twoja matka nie chciała, żeby to robił.

Jean David wzruszył ramionami.

- Łatwiej im było znieść moją śmierć niż występowanie w procesie jako zdrajca. Naprawdę. A dla mnie życie skończyło się, odkąd schwytaliście Annę. To jedyna kobieta, jaką w życiu kochałem. Na pewno zamknęliście ją w więzieniu i przesłuchujecie, traktując jak jakąś terrorystkę.

- Ona jest terrorystką - zaakcentował Jack. - Tym lepiej, bo wraz z nią złapaliśmy całą grupę.

- Tak, kochałem ją. Chciałem tylko zabić faceta, który za to odpowiadał, ale nawet to mi się nie udało. Uratowałem siebie, ale nie zdołałem uratować jej. - Jean Dawid zamilkł i patrzył, jak za kormoranem przyleciały dwa pelikany. W końcu powiedział: - Rozumiem, że gdyby nie pan, agencie Crowne, MacLean już by nie żył, roztrzaskałby się na tysiąc kawałków gdzieś w Appalachach.

- Obaj byśmy nie żyli - przypomniał mu Jack. Jean Dawid odwrócił głowę, by na nich spojrzeć.

- Do cholery, przecież moi rodzice byli jego przyjaciółmi. Zdradził nas wszystkich. - Zaśmiał się gorzko i rzucił kamieniem w stronę klifu. - To ja powinienem był go wyeliminować, ale tego nie zrobiłem, powiedziałem nawet Annie, że chciałem go zabić, ale uznała, że nie jestem przeszkolony i nie dam rady. Jakby szkolenie robiło jakąś różnicę, kiedy jej przyjaciele próbowali go zabić.

Ale miała rację. I popatrzcie tylko, co się stało - ten zdemoralizowany sukinsyn sam się zabił. Zastanawiam się, czy dostrzegł w tym jakąś ironię. W końcu był przekonany, że ja popełniłem samobójstwo. Jean David splunął na kamień tuż obok swojej stopy.

- Znał mnie prawie przez całe moje życie. Niech go szlag, a ja tak go lubiłem. Wiecie,



że nawet odwiedził mnie, kiedy byłem na pierwszym roku studiów? Tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie radzę. - Zaciśnął dłoń w pięść. - On zasłużył na śmierć, zasłużył na nią. Ta moja wyprawa do szpitala, żeby go zabić - wiedziałem, że to było szaleństwo. Wiedziałem to nawet, kiedy to robiłem, chciałem zawrócić, kiedy wchodziłem po schodach na jego piętro. Ale w pamięci miałem twarz Anny i wiedziałem, że i tak to zrobię. - Kopnął kamień. - Okazało się, że zemsta nie wyglądała tak, jak się zapowiadała.

- Wiesz, dlaczego doktor MacLean się zabił? - zapytał Savich.

Jean David podniósł z ziemi kamień i przerzucał go z ręki do ręki. Zleciało się więcej kormoranów w poszukiwaniu ryb.

- One lubią większe ryby, ale wargaczami też nie pogardzą. Podejrzewam, że doktor MacLean zabił się dlatego, że w końcu zrozumiał, że to on był winny całemu temu nieszczęściu i zrozumiał, że nie zasługuje na to, by dalej żyć. Był całkiem blisko prawdy, pomyślał Jack. Po co marnować czas na opowiadanie mu o chorobie, która tak odmieniła i zniszczyła doktora MacLeana? Jean David niewątpliwie już o tym wiedział i albo w to nie wierzył, albo go to nie obchodziło.

Savich wyciągnął rękę i złapał go za ramię. Gdy ten się skrzywił, Savich cofnął rękę.

- Wdała się infekcja, ale teraz jest już lepiej. Byłeś u doktora Rodrigo w Montego Bay. Powiedział, że przyszedłeś do niego w ostatniej chwili.

- Tak, teraz jest już lepiej, ale kogo to obchodzi?

- A wiesz, że doktor MacLean był też wieloletnim przyjacielem mojej rodziny? - spytał Jack.

- Ale nie przypuszczam, że chciał zniszczyć również pana i pańską rodzinę?

- Cóż, ja nie zdradziłem swojego kraju i nie odmawiałem wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny. Jean David odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego.

- Proszę posłuchać, wiem, że myślicie, że jestem samolubnym dupkiem. Nie jest mi przykro z powodu doktora MacLeana, ale uwierzcie mi, żałuję, że wyjawiałem Annie poufne informacje i tego, jak je wykorzystwała, żałuję tego. Ale to się już stało, więc cokolwiek powiem, zabrzmia jak żalosna wymówka, wyrachowana, i bezsensowna.

- Wygląda na to, że byłeś gotowy ryzykować życie dużej ilości ludzi - powiedział beznamiętnie Jack. - Zastanawiam się, ilu pracowników CIA zginęło, i ilu jeszcze zginie z powodu informacji, jakie przekazałaś swojej dziewczynie. Ta kobieta, którą twierdzisz, że kochasz, jest terrorystką. Zabija ludzi. Nie ma na imię Anna, lecz Halimah. Jest syryjską fundamentalistką. Została przeszkolona do uwodzenia młodych mężczyzn i wykorzystywania ich. Wykorzystała cię, doskonale się przy tym bawiąc. To, co ci dała, to urojenie, a ty w to

uwierzyłeś. Miłość? Nigdy nie chodziło o miłość i teraz już powinieneś o tym wiedzieć.

- Jesteś nie tylko dupkiem, Jean David, ale też głupcem. Opowiadać o tym, jak dałeś się kobiecie wodzić za nos? Nie wstyd ci?

Po chwili głuchoj ciszy Savich dodał:

- Jednak twoi rodzice nadal uważają cię za sprytnego i rozsądnego, Jean David - ich ukochany synek, który został podstępnie uwiedzony, bo dokonał kilku złych wyborów. Wydaje mi się, że nigdy nie dopuszczają do siebie myśli, że ich syn jest odpowiedzialny za śmierć niezliczonej liczby niewinnych ludzi.

- Jednym z argumentów, jakimi usprawiedliwiał mnie mój ojciec, było to, że nie mogłem zdradzić tego kraju, bo w końcu urodziłem się tutaj tylko przez przypadek. Moją ojczyzną jest Francja, i to tylko Francji jestem winien lojalność. Niestety, mylił się. Jestem fanem Redskins. Moją ojczyzną jest Ameryka. Nigdy nie zrobiłbym celowo tego, co zrobiłem - westchnął. - To chyba i tak nie ma już znaczenia. Chcecie mnie zabrać, tak?

- Tak, chcemy - powiedział Jack.

Był szybki. Savich złapał go za koszulkę z Redskins, ale była tak stara, że się podarła. Na jego ramieniu dostrzegli biały bandaż, kiedy Jean David Barbeau zeskoczył z wysokiego wapiennego klifu na zachodnim wybrzeżu Jamajki. Zrobił to bezszelestnie.

Savich oddychał ciężko, wstrząśnięty i wściekły, że pozwolił mu uciec. On i Jack stali na skraju klifu. Zobaczyli, jak twarzą w dół pływał dwadzieścia metrów niżej.

- Myślisz, że uderzył w te ukryte skały?

- To raczej nie ma znaczenia.

- Jego rodzice - powiedział Jack. - Znow będą załamani.

- Tylko jeżeli dowiedzą się o tym. Spróbujemy odzyskać jego ciało, zobaczymy, jak możemy go pochować na Jamajce, i spróbujemy utrzymać w tajemnicy przed nimi to, co się stało tutaj.

Usłyszeli głośny skrzek. Savich spojrzał na stado kormoranów, krążących nad ciałem Jeana Davida. Przez chwilę krążyły, po czym odleciały gdzieś w dal nad Morzem Karaibskim.

- Dziwne, prawda? - zamyślił się Savich. - Że w obu tych sprawach chodzi o obsesję na punkcie honoru rodziny. Tyle niepotrzebnych tragedii.

- Nie, nie w tej sprawie - powiedział powoli Jack, patrząc w dół na ciało Jeana Davida, które uderzało o czarne skały kołysane przez morskie fale. - Myślę, że tutaj chodziło o rozpieszczonego młodego człowieka, który odkrył, że nie jest tak sprytny, jak myślał.

- No dobrze, miejmy to za sobą - Savich wyjął swój telefon i zadzwonił do lokalnej

jednostki policji.

## EPILOG

W Slipper Hollow był piękny dzień. Mniej więcej połowa mieszkańców miasteczka Parlow w stanie Kentucky przybyła już do oddalonego o osiem kilometrów miejsca, które większość z nich znało tylko z nazwy. W tej chwili nie było to już wcale zapomniane przez Boga miejsce na końcu świata. Samochody z przyczepami kempingowymi kursowały po dwupasmowej, asfaltowej, krętej drodze, wijącej się pośród gęstego lasu otoczonego górami. Potem nagle skręcało się w prawo na inną, węższą drogę, pięknie wybrukowaną i po obu stronach otoczoną kwiatami i krzewami. Ten bardzo szeroki dojazd prowadził do pięknej doliny, pośrodku której stał piękny dom, zbudowany prawie w całości przez Gillette Janesa.

Jednak to nie ceremonia ślubna ściągnęła tutaj połowę mieszkańców miasteczka w ten ciepły jesienny dzień, ale instalacja na dachu domu nowego masztu telefonii komórkowej. Teraz wszyscy tutaj mieli telefony komórkowe, które, chwała Bogu, działały. Przez cały czas. Dougie Hollyfield wiedział, że to był skutek porozumienia między nowo założoną Fundacją im. Johna Jamesa Abbotta i operatorem telefonii komórkowej.

Była połowa września, jasny dzień, błękitne niebo, liście właśnie zmieniały kolor, złote i pomarańczowe mieszały się z tymi jeszcze zielonymi i przyprawiały o zachwyt.

Rachael i Jack Crowne byli zaręczeni, szeryf Hollyfield o tym wiedział, zresztą to było widać. Przez cały czas byli blisko siebie, dotykali się, nawet, kiedy witali gości i kierowali ich do dwóch namiotów, pod którymi stały stoły uginające się pod ciężarem jedzenia, okrągłe stoliki z krzesłami i kelnerzy serwujący szampana i piwo. Był tam nawet zespół muzyczny i drewniany parkiet do tańca.

Dillon Savich stał obok swojej żony, Sherlock, która niedawno została postrzelona i straciła śledzionę, ale wyglądała dobrze. Ich syn, Sean, grał w piłkę z kilkoma innymi chłopcami na łące nieopodal namiotu.

Jeżeli chodzi o zaręczoną parę, ogłosili, że ślub odbędzie się podczas świąt Bożego Narodzenia tutaj, w Slipper Hollow, i zaprosili wszystkich obecnych. Szeryf Hollyfield oczami wyobraźni zobaczył już wielką choinkę stojącą pośrodku doliny udekorowaną światełkami. Przydałoby się też trochę śniegu.

Dougie Hollyfield jak zwykle miał oko na wszystko i kiedy pewna mała dziewczynka pobiegła za frisbee i potknęła się, natychmiast pobiegł za nią. Był szybszy nawet od jej matki.

Patrzył, jak Gillette Janes rozmawia ze starszą siostrą Jacka Crowne'a, wysoką, ciemnowłosą i długonogą prawniczką, bardzo podobną do swojego brata. Wyglądali na bardzo sobą zainteresowanych.

Pamiętał, jak bardzo ucierpiał ten dom podczas strzelaniny, kiedy to próbowano zabić nie tylko Rachael, ale też Jacka i samego Gillette. Ale wygląda na to, że ostatnio sporo się tutaj zmieniło, począwszy od projektu, który Gillette rozpoczął dwa tygodnie po całym zajściu, kiedy o Slipper Hollow zrobiło się głośno.

Komórka Dougiego Hollyfielda zaczęła grać melodię *Born Free* specjalnie dla niego zaprogramowana przez Savicha. Odebrał i uśmiechnął się szeroko, słysząc rzeński głos jednego ze swoich zastępców.

- Co takiego? Samochód pani Mick zepsuł się, a ona jest sama i właśnie zaczęła rodzić? Dlaczego nie zadzwoniłeś do doktora Posta? Nie masz numeru jego komórki? - Dougie podyktował mu go. - Właściwie, to on jest tutaj, więc powiem mu, że dla niego zabawa na dziś się skończyła i że spotka się z tobą i panią Mick w szpitalu.

Schował komórkę do kieszeni, wziął lampkę szampana od przechodzącego kelnera i podszedł do doktora Posta, który śmiał się z czegoś, co usłyszał od Suzette z kawiarni Monk's.

Zabawne, jak urządzone jest życie, pomyślał i pomachał do doktora Posta, który odwrócił się i uśmiech zniknął z jego twarzy.

Przyjęcie trwało do północy. Każdy dzwonił do każdego, nawet jeżeli stali w odległości kilku metrów od siebie i wszyscy wymieniali się numerami telefonów.

To była cudowna noc, na niebie świecił półksiężyc, pary tańczyły, kołysząc się w rytm powolnej, kojącej muzyki.

Dougie Hollyfield był przekonany, że w Slipper Hollow nie została już ani kropla szampana.